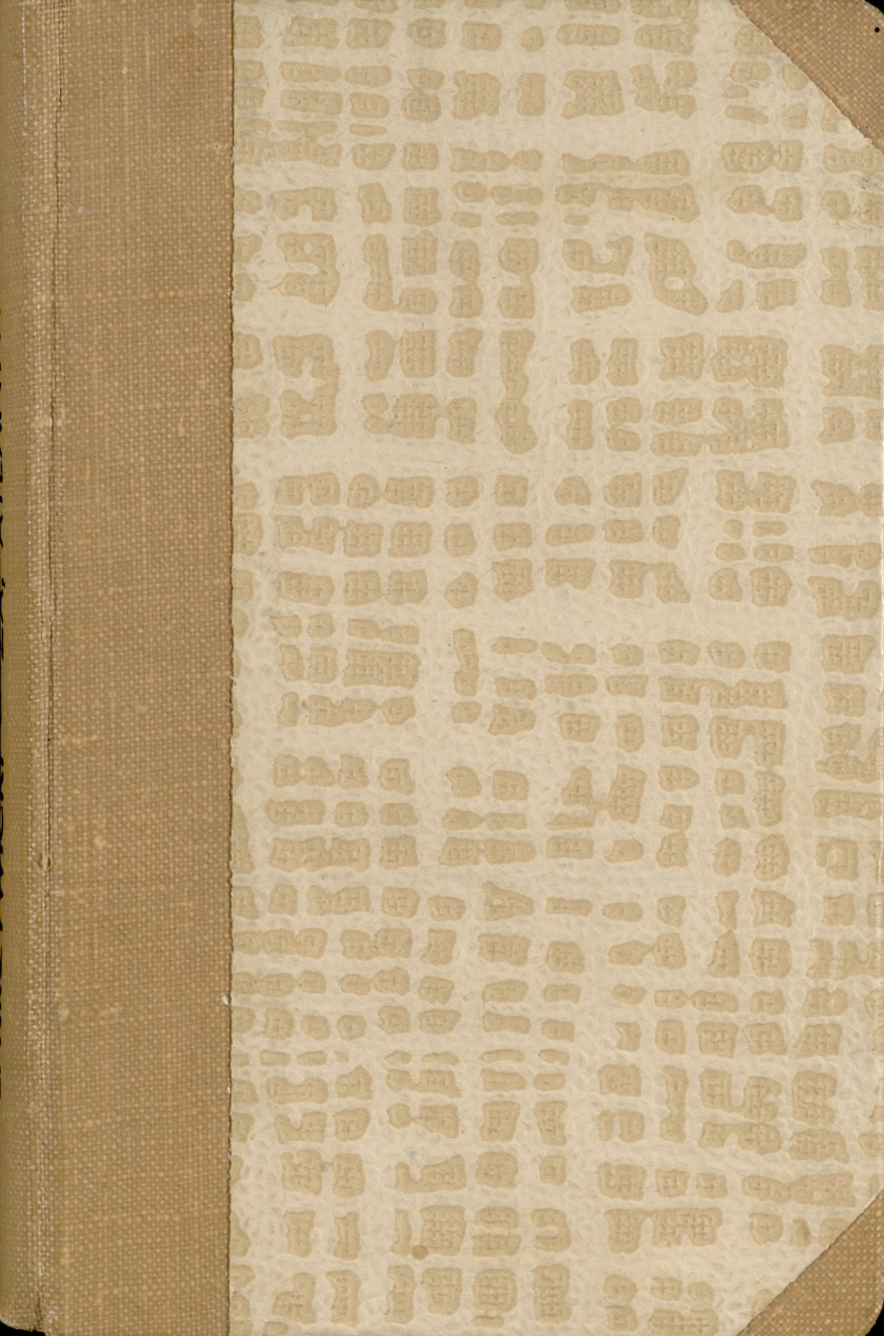


Ludwik Krzywicki.



ZA ATLANTYKIEM.

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

PO AMERYCE.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka № 8.

1895.

Ludwik Krzywicki.

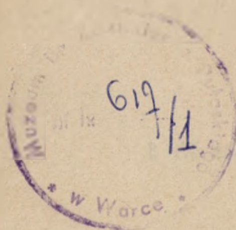
ZA ATLANTYKIEM.

Wrażenia z podróży po Ameryce.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka Nr. 8.

1895.

Дозволено Цензурою
Варшава, 13 Января 1895 г.



Książka moja powstała z luźnych notatek, które-m czynił z dnia na dzień, bodaj nawet z godziny na godzinę, pod natychmiastowem wrażeniem. Robiłem je w kolei i w tramwaju, wśród tłoku na ulicy i w chwilach odpoczynku, ilekroć coś do siebie przykuło moją uwagę. Może nie zawsze są one ścisłe: dzisiaj, kiedy rok czasu przedziela mnie od ostatnich spostrzeżeń, to i owo wygląda nieco inaczej. Nadaremnie jednak usiłowałem zmienić napisane, z kreślenia nic nie wychodziło jeno szkoda, bo ulatniała się z książki swieżość wrażeń. Zostawiłem więc wszystko bez zmiany w takiej postaci, w jakiej spostrzeżenia swoje drukowałem. Co najwyżej, dorzuciłem tu i owdzie parę szczegółów.

Autor.

31 Grudnia 1894 r.
Warszawa.

Berlin, *Lehrter Bahnhof*, *23 maja 1893.*

Godzina jeszcze do odjazdu! Gorączka podróży łechcze nerwy i nie pozwala usiedzieć na miejscu. Z niecierpliwości odczytuję napisy na ścianach. Steryotypowo powtarzają się one na całej przestrzeni od Eydtkunów: te same rozkłady jazdy, ogłoszenia hotelowe, plany linij parostatkowych. Niewiele mnie one zajmują w obecnej chwili. Ale oto inne, ciekawsze. Zdarłbym chętnie po egzemplarzu i przechowałbym na wieki w archiwum bibliotecznem, które obojętnie patrzy na te cenne pomniki cywilizacyi dzisiejszej. Jeden z owych druków, gdyby wszystkie dowody zaginęły, wystarczyłby, aby społecznemu Cuvierowi przyszłości pomódz do odbudowania brudów naszej epoki, jej pokus i matni. A ci oskarżyciele marzwi, te marne świstki papieru wiszą na ścianach każdego ze znanych mi foksalów pruskich; stanęły one przede mną w Eydtkunach, powtarzały swe żale w Królewcu, błagały o spojrzenie w Krzyżu. Teraz na banhofie Lehrteńskim znowu podnoszą swe głosy, rzucając przekleństwo na tego samego winowajcę: na Berlin. „*Heimathshaus*, dawny *Magdehaus*, przestrzega przybywające do Berlina młode dziewczęta, aby

nie dowierzały nieznanym osobom, które ofiarują pomoc na dworcach lub na ulicy.“ Dalej idą wskazówki, jak przyjeżdżająca dziewczyna ma odszukać przytułek, na dole widnieje podpis „towarzystwa obyczajności publicznej.“

Nieco dalej na czerwonym papierze to samo mówi inne stowarzyszenie — „przyjaciółek młodej kobiety.“ A tam znowu woła podobnym głosem jeszcze inny blankiet...

Jak wymowne są te głosy, które wyszły z pod maszyny drukarskiej! Wielkie miasto wygląda z pod nich, jako burzliwy wir morski: porywa zbliżającego się rozbitka, ciągnie na dół, wyrzuca na wierzch, znowu chwyta, póki nie zatopi go w swoim odmęcie. A czyha ono rozmaicie: w postaci starej poczciwej pani na służącą, młodej towarzyszki na towarzyszkę, rodaka na rodaczkę—znam pełne zacności przyszłe podpory społeczeństwa, które zanim wiek im pozwoli wziąć się do „obywatelskiej“ działalności, tymczasowo zajmują się tego rodzaju obławą. Podczas przeszłorocznego pobytu w Berlinie nieraz wypadło mi bywać wieczorem na dworcu przy ulicy Fryderyka. Niemal zawsze spotykałem młode dziewczę, prawie dziecko, z twarzyczką niezmiernie sympatyczną, naiwną. W swojej ubogiej sukience uczyniła po raz pierwszy na mnie wrażenie zabłąkanej istoty. Później dowiedziałem się, że w skórze niewinnej ukrywał się pająk, motający w swoje sidła ofiary, które przybywały do Berlina. Mężczyzna wielkomiejski nie potrzebuje dzisiaj czynić zabiegów, zwolniono go od tej powinności, obowią-

zującej samców w całym świecie zwierzęcym. Ongi musiał posiadać chociaż siłę brutalną, do przywłaszczenia sobie branki; dzisiaj może nie mieć żadnej zalety osobistej, byleby tylko złoto brzęczało mu w kieszeni—niepodejrzanej czystości, bo tylko tę jedną wewnętrzną wartość uszanowała epoka wszechfrymarczenia. Jest on kundmanem, którego zachciankom służy liczny zastęp faktorów i naganiaczy. Przyglądasz się książkom, rozłożonym na niewielkiej wystawie dworca, a nie znalazłszy odpowiedniej zabierasz się do odejścia, gdy sprzedawca nachyla się, uśmiecha tajemniczo i półgłosem szepcze, że ma jeszcze inne — ,inne" wymawia ze szczególnym naciskiem—książki, o wiele przyjemniejsze, a także bardzo ładne fotografie. Zajedziesz do podrzędniejszego hotelu i wzbudzisz zaufanie, że nie uwiadomisz policyi, a kelner zjawi się przed wieczorem i zapyta, czy łóżko ma słać dziewczyna, dorzucając, że jest zdrowia nieposzlakowanego. W porządniejszym, tj. droższym, nie będą tak uprzejmi i poprzestaną na tem, że wsadzą do ręki drukowany adres, iż w takiem a w takiem miejscu dają dzisiaj niewymownej piękności balet. Łatwość zadośćuczynienia swoim potrzebom żłobi w duszy męzkiej odpowiednie rysy: brutalnego nabywcy, który wie, że za pieniądze może przebierać w towarze. Rycerska donkiszoterya, sentymentalizm romantyków, pawie piórka głupców, psychiczne krewniactwo ideologów, wszystko pierzcha. Pozostaje jedynie brutalna wyrachowność kupca, targującego się nie z samym towarem, ale z pośrednikiem...

ka, oryginalna, różnobarwna, może nieokrzesana, ale z ludzkiem sercem... Gniazdo awanturniczej Hanzy stało się dzisiaj siedzibą pracy—pod tym względem nie przeniewierzyło się starodawnej tradycyi, ale potomkowie sławetnych patrycyuszów wynieśli się z ciasnych zaułków i sfilistrzyli swoją duszę w szablonie kapitalistycznym. Na uliczkach gwarno. Tłumy pracujące wyległy teraz na świeże—o ironio, pełna sadzy i kurzu atmosfera zwać się jeszcze może świeżą!—powietrze z dusznych izdebek. Miejscami trudno się przecisnąć, tu i owdzie z szynków dolatuje hałaśliwa muzyka, tam rozprawia jakaś gromadka, druga, dziesiąta... U kogoś spostrzegam w ręku dużą książkę, obok kilku podrostków bez surdutów, w olbrzymich szarych kapeluszach. To samouczek prelegent! Siedzi na stromych schodkach i głośno czyta w pół-świetle. Wszędzie gazety. Nie tylko cholera lęgnie się w starym, brudnym, opuszczonym Hamburgu patrycyuszowskiej Hanzy! Usiłuję podejść do którejś gromadki. Z pobliskiego szynku płynie hałaśliwa melodya owej sławnej piosenki, która powstawszy w zaułkach londyńskiej prostytucyi, dźwięczy na każdym rogu Berlina. Łapię uchem pojedyncze wyrazy rozwiązanie sejmu, nowe wybory... Wpośrodku inteligentny mężczyzna, bez surduta i w olbrzymim kapeluszu, coś rozprawia. Idę dalej. Na rogu kupka młodzieży, rezolutna, śmiała, w podobnie szarych kapeluszach—są one strojem, nieodłącznym od tych zaułków. Słyszę jakieś złorzeczenia, lękliwej twarzy wyrostek łaje swego *pfeffersacka*. .

Śród tego sejmikującego obozu, wybuchów żalu ub nienawiści, odgłosów orgii szynkowej, rozpostarł ię drobiazg ludzki. Musisz stąpać ostrożnie, bo na hodniku wązkiej uliczki wejdziesz na maleństwo, pełające jeszcze na czworakach, lub potrącisz kilkoletnią lziewczynkę, przysłuchającą się skargom ojców i rozrawom o parlamencie. Przywykłem w Berlinie do wobody dzieci: ulica jest ich salonem, dorożka je objeżdża, przechodzeń uważnie mija. W Hamburu, w ognisku niedawnej cholery, wolność ta jest jeszcze większą. Zdaje się, bębny lada chwilę wlczą a kark *schutzmanna*, zdejmą kask, a on bezbronny tać będzie w obliczu tego rozzuchwalonego małego bywatelstwa. „Nie mieliśmy w naszem dziecińtwie takiej wolności—mówi towarzyszący mi nieniec—gdybyśmy od niemowlęctwa przywykli do takiej odwagi, to nasz Michel nie potrzebowałby dzisiaj ak walczyć przeciw militaryzmowi...“

Noc przerywa wędrówkę. Z żalem opuszczam zaułki starego Hamburga.

25 maja. Na Kanale.

Pozostawiamy za sobą na wodzie szeroką smugę, ginącą gdzieś w niewidzialnej odległości. Środkiem, gdzie woda wtłacza się w próżnię po statku, powstaje zielonawa wstęga, na krawędziach pieni się fala. Smuga wygląda, jak gdyby ktoś nieskończony wątek przetkał w jednym pasie rzędami białych nici. Tu i owdzie, wbok od mlecznej drogi, znaczącej nasze ślady, wznosi się biały grzbiet i pryska, spadając na dół, niby wytrysk mleka. To spienił się

24 maja Hamburg.

Kurz, pył—oto jedyne wrażenie, które dotychczas wyniosłem z Hamburga. Ani śladu owej koszarowej estetyki publicznej, która tak wszechwładnie rozpostarła się nad miastami pruskiemi—praktyczny zarząd, złożony nie z biurokratów, ale z kupców, wie, że piękno jest rzeczą niepraktyczną, bo chłonie kapitały i nie przynosi zysków. A zatem, zamist olbrzymiego dworca centralnego, mamy mnóstwo drobnych, brudnych, małych, jakich-by nie powstydziły się drugorzędne stacye u nas. Jeszcze inny rys wolnego miasta. Zamiast opieki policyjnej, nieodłącznej od każdego zakątka pruskiego, mnóstwo czynności pozostawiono własnej uwadze i własnej samopomocy. Pociągi kolejowe przebiegają przez ulicę, szlaban bywa zamykany tylko w niektórych miejscach, gdzieindziej stoją jedynie napisy, wzywające do baczności. Malcy uwijają się po szynach w chwili, kiedy lokomotywa nadjeżdża, pasażerzy wskakują i wyskakują niemal podczas biegu, oko moje, z trudnością odnalazłszy w tłumie *schutzmanna*, daremnie poszukuje w nim śladów godności osobistej, wynikającej z poczucia, że bez niego świat ludzki runąłby w nieporządku. Ruchliwy kapitalizm handlowy stargał okowy ojcowskiej opieki berlińskiej!

* *
*

Zmęczony nocną podróżą i rannem bieganiem do kantorów, przespałem dzień cały. Z rannej wycieczki prócz kurzu skorzystałem jeno tyle, iż wiem, że są dwa Hamburgi, różne i obce sobie: jeden Hamburg ludzi za-

możnych, tonący w zieloności, upstrzony parkami, z szerokiemi a czystemi ulicami, drugi—brudny, ciasny, cuchnący, z spiętrzonemi kletkami. Kto widział jedno miasto a nie oglądał drugiego, ten wyniesie o Hamburgu pojęcie zgoła opaczne. A przecie jak łatwo może się to wydarzyć przelotnemu widzowi, że przypadek zaprowadzi go od dworca w jedną stronę i pokaże tylko cząstkę całości! Oba zaś miasta żyją inaczej, myślą odmiennie, od czasów zwłaszcza cholery każde z nich jest wrogim sobie obozem. Wszak *pfeffersacki*, mieszkający w rozkosznych wilach, nie zawahali się oddać przeciwników na pastwę zarazy i żałowali każdego grosza ze szkatuły municypalnej na pomoc!

Dopiero późnym wieczorem puściłem się na wędrówkę po mieście, a raczej po jednem z miast, po tym Hamburgu, który był ogniskiem cholery, a zawsze jest przytułkiem pracy, połączonej z niepewnością jutra. Z dworca *Klosterthor* wpadam w wązkie zaułki, będące jakby zbiorem starożytności. Kilka łokci szerokie, za to niezmiernie wysokie domy, tłoczą się przy sobie. Każda kamienica posiada inny wygląd, choć zawsze dziwny dla oka, przyzwyczajonego do koszarowej prostoty i szablonowej jednostajności nowych dzielnic. Te stare, brudne uliczki, okna wypełniające całą ścianę jak gdyby w cieplarni, te różnie, lecz zawsze spiczasto spiętrzone dachy, nieregularne budynki, wszystko to jakoś cieplej, serdeczniej przemawia do wyobraźni, aniżeli rzędy nowoczesnych domów. Indywidualność przeziera z pod staroświeckiego rumowis

ka, oryginalna, różnobarwna, może nieokrzesana, ale z ludzkiem sercem... Gniazdo awanturniczej Hanzy stało się dzisiaj siedzibą pracy—pod tym względem nie przeniewierzyło się starodawnej tradycyi, ale potomkowie sławetnych patrycyuszów wynieśli się z ciasnych zaułków i sfilistrzyli swoją duszę w szablonie kapitalistycznym. Na uliczkach gwarno. Tłumy pracujące wyległy teraz na świeże—o ironio, pełna sadzy i kurzu atmosfera zwać się jeszcze może świeżą!—powietrze z dusznych izdebek. Miejscami trudno się przecisnąć, tu i owdzie z szynków dolatuje hałaśliwa muzyka, tam rozprawia jakaś gromadka, druga, dziesiąta... U kogoś spostrzegam w ręku dużą książkę, obok kilku podrostków bez surdutów, w olbrzymich szarych kapeluszach. To samouczek prelegent! Siedzi na stromych schodkach i głośno czyta w pół-świetle. Wszędzie gazety. Nie tylko cholera lęgnie się w starym, brudnym, opuszczonym Hamburgu patrycyuszowskiej Hanzy! Usiłuję podejść do którejś gromadki. Z pobliskiego szynku płynie hałaśliwa melodya owej sławnej piosenki, która powstawszy w zaułkach londyńskiej prostytucyi, dźwięczy na każdym rogu Berlina. Łapię uchem pojedyncze wyrazy rozwiązanie sejmu, nowe wybory... Wpośrodku inteligentny mężczyzna, bez surduta i w olbrzymim kapeluszu, coś rozprawia. Idę dalej. Na rogu kupka młodzieży, rezolutna, śmiała, w podobnie szarych kapeluszach—są one strojem, nieodłącznym od tych zaułków. Słyszę jakieś złorzeczenia, lękliwej twarzy wyrostek łaje swego *pfeffersacka*..

Śród tego sejmikującego obozu, wybuchów żalu lub nienawiści, odgłosów orgii szynkowej, rozpostarł się drobiazg ludzki. Musisz stąpać ostrożnie, bo na chodniku wązkiej uliczki wejdziesz na maleństwo, pełzające jeszcze na czworakach, lub potrącisz kilkoletnią dziewczynkę, przysłuchającą się skargom ojców i rozprawom o parlamencie. Przywykłem w Berlinie do swobody dzieci: ulica jest ich salonem, doróżka je objeżdża, przechodzeń uważnie mija. W Hamburgu, w ognisku niedawnej cholery, wolność ta jest jeszcze większą. Zdaje się, bębny lada chwilę wlczą na kark *schutzmanna*, zdejmą kask, a on bezbronny stać będzie w obliczu tego rozzuchwalonego małego obywatelstwa. „Nie mieliśmy w naszem dzieciństwie takiej wolności—mówi towarzyszący mi niemiec—gdybyśmy od niemowlęctwa przywykli do takiej odwagi, to nasz Michel niepotrzebowałby dzisiaj tak walczyć przeciw militaryzmowi...“

Noc przerywa wędrówkę. Z żalem opuszczam zaułki starego Hamburga.

25 maja. Na Kanale.

Pozostawiamy za sobą na wodzie szeroką smugę, ginącą gdzieś w niewidzialnej odległości. Środkiem, gdzie woda wtłacza się w próżnię po statku, powstaje zielonawa wstęga, na krawędziach pieni się fala. Smuga wygląda, jak gdyby ktoś nieskończony wątek przetkał w jednym pasie rzędami białych nici. Tu i owdzie, wbok od mlecznej drogi, znaczącej nasze ślady, wznosi się biały grzbiet i pryska, spadając na dół, niby wytrysk mleka. To spienił się

bałwan. Wzrok znowu powraca do gościńca, przez nas zbrużdzonego. Het daleko, wśród prawidłowo przetkanych szwów piany, usadowiła się nieregularna gromadka białych punkcików. Czy to spiętrzone bałwany stargały utkaną z piany smugę? Śnieżne punkciki podnoszą się do góry, lecą nad śnieżystą falą, giną wśród niej, znowu wypływają, coraz bliżej. To mewy! Od Southamptonu towarzyszy nam całe stado. Ktoś z pokładu rzucił kawałek chleba—gromada spada na wodę i długo szuka żeru. Zdawałoby się, że pływają na wodzie, choć one tylko unoszą się nad nią.

Towarzyszą nam brzegi Anglii. Niekiedy jedziemy tak blisko, ża można odróżnić okna w domach i ścieżyny po pochyłościach. To znowu oddalamy się od wybrzeża, mgła niby muślinem zasłania nagość skał i gajów powaby. Morze oddycha życiem, we wszystkich kierunkach mkną żaglowce, parostatki, łodzie rybackie. Czasami przeleci spacerowy yacht zamożnego anglika. Rodzina, lekko przyodziana, krzątą się około miniaturowej maszyny parowej, nawet młode *misses* nie próżnują i pomagają mężczyznom. W porównaniu z naszym olbrzymem yacht jest łupinką orzecha. Bałwan, przez nas stwarzany, porywa wątłą łódź parową, niesie na grzbiecie i w dół rzuca. Zaleje ją! Nie, yacht wypływa, jakby igrał z żywiołem morskim, *ladies* i *misses* zasyłają nam zdaleka pożegnanie chustkami, panowie unoszą kapeluszy. Przestrzeń rośnie i yacht ginie z oczu, jedynie czarny komin świadczy, że porusza się gdzieś na wód powierzchni.

* * *

Od Southhamptonu powstała na pokładzie kwestya narodowościowa. Dotąd jedynie niemcy wypełniali Kolumbię, w tym porcie przybyli anglicy. Odróżnić ich łatwo: cały ubiór, od trzewika do czapki, obliczony na podróż. Trzymają się razem. Udzielają sobie milcząco wskazówek zachowywania się na morzu: wyszukali nieznane nam kąciki, znieśli fotele czytają, rozprawiają, grają w szachy lub karty. Kiedy niemcy chórem śpiewają, oni zbierają się jako widzowie, czynią do siebie głośne uwagi, lornetują, jak gdyby mieli przed sobą zwierzęta w menażeryi.

Niemiec z góry traktuje naszego rodaka. Zresztą zachowanie zależy od partyi politycznej. Wolnomyślny zimno, ale grzecznie ukłoni się zdaleka, narodowo-liberał (jest to ssak dwunożny przeważnie dobrej tuszy) odwróci się tyłem, chyba że poczuje, iż przybysz jest dobrze urodzonym—w nowoczesnem znaczeniu, tj. posiada wystarczającą rekomendacyę pieniężną. Wtedy umie skakać jak pies na łapkach, umizgający się do kawałka cukru. Jak zachowałby się junkier, nie wiem, bo jeszcze nie miałem do czynienia z czysto niemieckimi *von*'ami, ich zaś lichych naśladownictw z Poznańskiego niepodobna brać na seryo, wszelkie kopie są zawsze tandetą. Sądzę jednak, że, o ile zachował dawną brutalność rycerską i lekceważenie Mamony, będzie miał minę bardziej ludzką, niż miejski dorobkiewicz... Anglicy postępują z niemcami—przeważnie narodowo-liberalnego znaku—na pokładzie w ten sam sposób, jak niemcy z naszymi ziomkami. Syn wojowniczego *Vaterlandu* wprost

nie wie, jak tańczyć przed tem wyższem stworzeniem. Ktoś z niemców wciąż ponawia próby przedostania się do gromady anglików, dochodzi do niej, czyni po angielsku swoje uwagi, lecz zbyty milczeniem lub małomówiącemi *yes* traci stanowczość i się cofa...

(Przy sposobności zaznaczę jeden z rysów naszej „duszy rasowej.“ Biologia wydobyła na jaw zjawisko *mimicry*: motyl tak naśladuje liść drzewa, liszka—suchą gałązkę, że najwprawniejsze oko nie odróżni ich od otoczenia. Moi rodacy posiadają nie powiem zdolność, ale olbrzymi pociąg do takiego upodobania się. Są *von*' ami, austryakami stosownie do tego, z kim mówią).

* *
*

Ciepły, pogodny wieczór. Przejeżdżamy około podwójnej latarni morskiej na w. Scilly. Wkrótce pożegnamy na zawsze ląd europejski i znajdziemy się na *morzu*. Wody bowiem morza Północnego i Kanału nie uchodzą jeszcze za morze. Ciekawość ujrzenia Oceanu zgromadziła wszystkich na pokładzie. Dajemy sygnały: za pomocą różnobarwnego płomienia opowiedzieliśmy latarnikowi na w. Scilly, jak się nazywamy— niech doniesie światu, że taki to statek minął szczęśliwie najniebezpieczniejszą część podróży i puścił się o takiej to godzinie na niezmierzoną wód powierzchnię.

Ale pomiędzy Kanałem a morzem nikt nie postawił granic. Jeden i drugi, omylony w nadziei ujrzenia Oceanu, udaje się do swojej celki. Pokład zaczyna świecić pustkami Siedzę na pomoście i wzrokiem usiłuję przeniknąć tajemniczą ciemność nocy i

wód przestwory. Dziwne uczucie owłada ludzką istotę. „Morze“ jest głębokiem i rozległem, pochłonie Ciebie, i nikt się nie dowie, w jakiem miejscu z jednej bezbrzeżności przeszedłeś do drugiej. Nie jest to bojaźń — zgoła nie! ani też radość, raczej coś podobnego do ekstazy, wśród której istotni czciciele Nirwany zrywają z siebie więzy bytu. Błogością napełnia Cię myśl, że zmierzysz się z tajemniczą przestrzenią, która dzisiaj uśmiechnięta, jutro może zadrży i zabałwani się pod tobą. Jest to lęk wobec bezbrzeżnej nieokreśloności z tęsknotą ku niej...

29 maja. Na otwartem morzu.

Od trzech dni jesteśmy na Oceanie. Pusto, nawet na dalekim widnokręgu nie zamigocze koniuszek żagla. Mewy rozstały się z nami. Mimo ciszy, bałwany podnoszą się wysoko i strzępią biegnącą za statkiem wstęgę wodną.

Całemi godzinami silę się zrozumieć technikę barwy morskiej i fal drgania. Powierzchnia inaczej wygląda pod słońce, a inaczej kiedy wzrok płynie po niej z promieniami gwiazdy dziennej. Niebo się zasępi, barwa znowu lśni odmiennie. Lecz zawsze jednako drażni nerwy: jaźń zwolna zapuszcza się w siebie i zasypia, jak u fakira hinduskiego, który w bezczynnym samozachwycie lubo wyzbył się namiętności, pożądań, wreszcie własnych myśli, czuje, że żyje jeszcze—z każdym szeptem i drgnięciem przyrody. Rodzi się skłonność do mistycyzmu, zabarwionego panteizmem, żywiołowo, bezwiednie. Błogość ogar-

nia na widok tej nieskończonej, błękitnej, falującej powierzchni. A jednak pod tym spoczynkiem ukrywa się nieustająca groźba niebezpieczeństwa. Nikt nie wie, kiedy ono spadnie i gniew rozżarzy w piersi wodnego olbrzyma. Myśl często wraca do tego przedmiotu i nawet zaczyna łaknąć zgiełku burzy.

Z morza wypłynęła zuchwałość wikingów. Lądowiec potrafi być śmiałym, kiedy niebezpieczeństwo nastało. Człowiek morza oczekuje go odważnie, co więcej—ze spokojem.

...Sądzę, że są natury, urodzone do morza, którym tęskno i ciasno na lądzie. Znam osoby, które duchowo a nawet fizycznie chorowały podczas pobytu w urozmaiconym, lecz ciasnym widnokręgu Szwajcaryi. Napadała je tęsknota, przechodząca w ból nerwowy piersi, apatya przygniatała. Widok równiny leczył i jednocześnie wyjaśniał powody tego stanu. Ażeby znajdować rozkosz w obcowaniu z morzem, trzeba posiadać szczególne pierwiastki duchowe i uczuciowe. Napewno są tacy. Przypadek otwiera im oczy na ich powołanie, niekiedy umierają, nie znalazłszy się we właściwym sobie żywiole.

* * *

Morze musi być serdecznym towarzyszem dla wszystkich, którzy nie przed szczęściem uciekają i nie do przystani szczęścia spodziewają się zawinąć.

Wyciągnąłem z biblioteczki okrętowej Byrona i rozkoszuję się wynurzeniami lirycznemi, wplecionemi w melodyę nieskończoności i majestatu morza. W połuśpieniu, drgając wspól z nieustającym ruchem bał-

wanów i wpatrując się w nieskończoność morskiej toni, poczynam rozumieć ową tęsknotę, która z duszy poety wytrysnęła takim wspaniałym akordem, jak pożegnanie Child-Harolda:

....For pleasures past I have no grief,
Nor perils gathering near.
My greatest grief is that I leave
No thing that claims a tear...

30 maja, na otwartem morzu.

Niebo pokryte chmurami, morze przybrało barwę ołowianą, bałwany się piętrzą, nasz parowiec odbywa lekkie pląsy. Anglicy są jedynymi panami pokładu; niemców nie widać, borykają się z losem w kajutach. Hałas i śmiech rozgościły się na pustym pokładzie. Wystawiono niewielki kołek, przymocowany do deseczki; z dziesięciu mężczyzn, niektórzy z siwymi włosami, inni jeszcze bez zarostu, zabawiają się rzucaniem małych obręczy. Obręcz, zrobiona ze sznura, ma tak upaść, aby zawisła na kółku. Zaledwie raz jeden na dwadzieścia udaje się komuś tego dopiąć.

Gromadka rośnie, twarze się roznamiętniają, ten i ów wyciąga sakiewkę. Zakłady idą po zakładach. 50-letni mężczyzna, silny, inteligentny, rej wodzi. Śmiech, żarty, dowcipy. Ktoś trafia obręcz po obręczy, ze śmiechem obchodzi tych, którzy zakład przegrali, i zbiera szylingi. Ze spokojnych dżentelmenów anglicy zamienili się na gromadkę wesołych urwisów. Pokazują sobie języki, jeden z radości wywraca koziołki, choć ma siwe włosy na głowie. Służba dzwoni na obiad — anglicy na to nie zważają, śmieją się, zakładają.

Gra ta odbywa się nie po raz pierwszy, niemcy nie biorą w niej udziału: piją piwo, grają w karty lub nadskakują spódniczkom.

31 maja, na wodach prądu północnego.

Zimno przejmujące, bałwany dochodzą do dolnego pokładu. Przepływamy przez prąd, odprowadzający wody z Oceanu północnego, i znajdujemy się w niewielkiej względnie odległości od ławic New-foundlandu. Około piątej oglądaliśmy zdaleka górę lodową, ostrowidze zaś morscy dostrzegali jeszcze drugą. Ptactwo unosi się nad wodą; oficer okrętowy zapewnia, że wśród bałwanów widzi wieloryby. Wkrótce podjeżdżamy pod okręty trudniące się ich połowem. Jeden stoi tak blisko, że tylko rękę wyciągnąć, aby go dostać. Wołamy: *hurra!* Nikt nie odpowiada, załoga bowiem buja w czółnach na powierzchni oceanu. Spotykamy je po drodze: wątłe łódki, mogące pomieścić najwyżej 5 osób. Dalej widać drugi i trzeci statek wielorybi, a załogi ich tak samo unoszą się na fali w czółenkach. Nigdy nie widzimy wszystkich jednocześnie. Bałwan łapie któreś z nich, niesie na swoim grzbiecie i zrzuca — woda je zakryła przed naszym wzrokiem. Rzekłbyś, morze wysuwa z swojej głębi i wciąga maryonetki.

Anglicy władają niepodzielnie pokładem. Osobliwości ich kultury mogę teraz obserwować wybornie. Nigdy nie widziałem ludzi w wieku dojrzałym z taką wrażliwością dziecinną. Grają np. w obręcze, ktoś, po raz dziesiąty w ciągu godziny, przybiega, zwiastując

bliskość wielorybów; wszyscy rzucają grę po raz dziesiąty, tłoczą się przy baryerze, krzyczą, lornetują. Później każdy wydobywa podróżną książeczkę, patrzy na zegarek i notuje, że o takiej to godzinie krzyczał *hurra* na cześć—może niewidzianego—wieloryba. Wierzchołek masztu pokaże się na widnokręgu, ta sama ciekawość, żywość, to samo zapisywanie do książeczki. O godzinie 12-ej kapitan uwiadamia, pod jaką znajdujemy się szerokością i długością, i na zawieszonej mapie chorągiewką wyznacza to miejsce. Każdy z anglików odrysował mapkę i kreśli na niej naszą drogę. Ten i ów sili się nad ujęciem w pisane słowo swojej myśli — gryzie ołówek lub obraca w ręku pióro automatyczne, ma już coś zanotować, lecz cofa się w ostatniej chwili i znowu gryzie nieszczęśliwe narzędzie do pisania. W ciągu koncertu, trwającego około dwóch godzin, nie zapisał nawet pół stronicy. To notowanie nie jest konwencyonalną formalnością, widać, że człowiek wkłada w nią całą swoją duszę.

W ich grach ta sama drga namiętność. Dzisiaj wynaleźli nową. Dwaj ujęli końce sznura i zaczęli obracać: sznur dotyka podłogi, później każdy punkt jego opisuje koło i znowu spada ku dołowi. Sztuka polega na przeskoczeniu, kiedy sznur na chwilę spocznie na ziemi. Trudna to rzecz, gdyż szybkość obrotu zależy od trzymających. Młodzi i starzy przepływają przez powróz, niezręczniejsi zostają obdarzeni niezbyt delikatnymi ciosami po twarzy — wśród dowcipów, zakładów i, co zatem idzie, liczenia pensów. *Miss* zwycięża, skacze z nieposzlakowaną zręcznością,

uniosłszy z lekka sukienkę, i okazuje się wyższą po nad fortele tych, którzy sznur trzymają.

31 maja, rano.

W powietrzu ciepło, parno. Mgła tak gęsta, że już w pobliżu oko jej nie przebija. Dmie wiatr silny i niesie ku nam bałwany. Żaden pędzel nie odda tego widoku. którego najważniejszym rysem jest ruch. Jak tylko oko sięgnie, ciągną się wały, tu i owdzie przerwane spiętrzoną pianą, równoległe, i wszystkie, niby armia do ataku, posuwają się ku nam. Poruszają się one na dziwnie wygiętej powierzchni.

Statek nigdy jeszcze nie pląsał tak silnie. Na pokładzie widać zaledwie dziesiątek osób—istotne natury morskie! Oparte o poręcz spadają ze statkiem na dół i podnoszą sie z nim do góry, każde mocniejsze wypłynięcie i stoczenie witając głośnymi okrzykami uniesienia. Wielka to przyjemność, kiedy można tak współdrgać i współżyć z rozhukanym żywiołem!

Jutro o tej porze będziemy w porcie...

2 czerwca. Newark, N. J.

Dziwne wrażenie wywarła na mnie Ameryka na wstępie—w najwyższym stopniu nieprzyjemne. Brudy, kurz — nie, nasza niemyta ojczyzna nie potrzebuje się wstydzić swoich miasteczek, nie jest ostatnią na ziemi! Wszędzie na głównych ulicach leżą śmiecie, jak u nas w zaułkach. I przestrzenie wzdłuż linii kolejowej są dziwnie zaniedbane. W Niemczech każdy kawałek bywa troskliwie uprawiony, tutaj spotykamy ciągle

odłogi. Ze wszystkiego widać, że człowiek ma obfite i bogate siły przyrody do wyzysku, iż nie potrzebuje zadawać sobie pracy, aby gorszą uprawiać glebę. Zatem planty kolejowe biegną w pustkowiu. Nie, omyliśmy się, zużytkowano je, gdyż, jak oko sięgnie, dźwigają na sobie olbrzymie parkany, lub raczej rusztowania reklam. Pojedyncze litery są niekiedy mojego wzrostu, i pomimo szybkiej jazdy mogę z łatwością z okien wagonu wyczytać, o czem one głoszą. Reklamy towaszą nam na każdym kroku. Wchodząc na dworzec, depczemy je na schodach; spostrzegamy na dachach wiejskich domków, kominach fabryk, podporach mostu.

Domy nie mają naszych spiętych, ostrych dachów, a zatem i strychów do suszenia bielizny. Amerykanin wynalazł inny środek. Wszędzie na niewielkich podwórkach sterczą słupy, zaś na wysokości każdego piętra od słupa do słupa biegną ruchome sznury. Gospodyni z okna rozwiesza bieliznę na sznurze, przymocowywa, aby nie spadła, i za pomocą przyrządu przesuwa. Wszędzie, gdzie spojrzę, powiewają takie białe sztandary. Widok ten naturalnie nie dodaje powabu, ale za to wybornie harmonizuje z koszykami śmieci wzdłuż chodników.

3 czerwca, New-York.

Kolej niesie mnie po *elevated railroad*, przerzynającej New-York, z prędkością nieznaną naszym pociągom. Po jednej stronie ulicy wznosi się w pewnej od siebie odległości szereg pojedyńczych słupów, niby nasze latarnie; na nich, ze zdumiewającą śmiałością,

sztuka inżenierska rzuciła wązkie pomosty—słup u góry wypuszcza ramiona i obejmuje pomost w swoje uściski żelazne. Po drugiej stronie ulicy ciągnie się inny szereg słupów: przebiega tam rzęd wagonów w przeciwnym kierunku. Co kilka minut stajemy, kilkadziesiąt osób wysiada, tyleż wsiada, wszystko zaś trwa króciej, niż na stacyi tramwajowej w Warszawie. Mkniemy na wysokości pierwszego, względnie drugiego piętra, po poziomo położonej drabinie, niepodobna bowiem znaleźć lepszego porównania. Teraz jesteśmy na pół w polu, ulice dopiero powstają. Drabina biegnie na wysokości czwartego piętra, nadto skręca w postaci litery S. Czy mamy jechać po tej karkołomnej drodze? Jedziemy i do tego niemal z taką samą prędkością.

Jadę wzdłuż *Avenue*—będziemy amerykanami i skróćmy ten długi wyraz na dogodniejszy *Ave N.* 9. Przede mną nieustający szereg koszar, tej samej struktury, tej samej ceglanej barwy. Takiego szablonu i na tak wielką skalę nigdy nie zdarzało mi się oglądać w starej Europie. Czerwone mury, wązkie okna, ta sama architektura, wszystko to działa jakoś przygnębiająco. Mimowoli myśl moja świdruje te ściany, wciska się we wnętrza domów, szuka duszy ludzkiej i bada, jak owa pokrewna mi jaźń, chociaż w każdym człowieku odlana inaczej, czuć się musi w powodzi szablonu, gdzie nawet świątynie i przybytki sztuki są takimi samymi domami, bez oryginalności. Myśl cofa się, bo natrafiła na coś obcego. Czy możliwą jest jest w tem morzu koszarowości jakaś istota oryginalna, którąby podobnie odróżniała się swoją mocą i odmien-

nością od sąsiadów, jak domostwa zaułka średniowiecznego pomiędzy sobą? I nie wiem dlaczego, w hałasie dzwonków kolei, pędzącej ponad rzędami jednostajnych domów, w tem królestwie szablonu, gdzie człowiek jest na komornem w cudzych murach, spirytyzm stoi mi wciąż przed oczami. Zdaje się, dopiero teraz pojąłem istotę rozmów z duchami za pomocą obracających się stolików, gdzie nie ma ani odrobiny zachwytu mistycznego, kumoszki zaś wchodzą w stosunek z wielką Tajemnicą, jak gdyby to była sąsiadka, z którą trajkotać można całemi godzinami o cenie mięsa i brudnej spódnicy nieobecnej przyjaciółki... Wszystkie późniejsze dzielnice New Yorku odznaczają się takim charakterem koszarowym. *Down-town*, stare miasto, składa się z ulic, idących różnie. Każda z nich ma swoje osobiste nazwisko i poniekąd w niem zawarła własne dzieje. *Broadway* swojem imieniem świadczy, że kiedyś była najszerszą arteryę ruchu miejskiego, *Bowery* uwiadamia o swoim wygiętym kształcie. Ale górne, nowe miasto milczy o swojej przeszłości. Bo jej nie posiada. New-York w tej stronie wyrastał szybko. Człowiek z góry wyznaczył szemata dla przyszłej siedziby i w braku podkładu dziejowego, który-by ochrzcił tak lub inaczej ulice, wezwał na pomoc logikę. Z południa na północ wytknął długie a równolegle biegnące linie, *avenues*, i nadał im nazwy liczbowe: *Ave 1... 12*, lub literowe: *Ave A... D*. Niektóre z nich posiadają po kilka tysięcy domów. Prostopadle do tych linij przeprowadził mnóstwo krótszych (mapa mówi, że jest ich z górą dwieście) i każ-

dej dał miano cyfrowe. Są to *streets 1, 10... 100...* Każdą z nich rozdzielił jeszcze na wschodnią i zachodnią. Adres brzmi węzłowato: *164 E. str.* 95, tj. dom pod numerem 164 na wschodniej części ulicy 95-ej. Przy każdem przecięciu się takiej ulicy z *Ave* numery domów zaczynają się od nowej setki. Słowem, wszystko ostrzyżono według tej samej modły. Chętnie jednak wybaczam tę szablonowość; gotów jestem przystać na wszelką prostotę, oszczędzającą niepotrzebnych wysiłków i tem samem umożliwiającą większy rozkwit różnobarwności wewnętrznej. A szemat ulic należy do tej liczby. Dziesięć minut uważnego badania pozwala mi oryentować się w przestrzeni, gdzie mieszka do miliona głów ludzkich.

Bądź co bądź jednak szemat ten pozostaje tem, czem jest: żywym, a raczej martwym dowodem szablonowości życia nowoczesnego. W umyśle wypływa stary Hamburg z jego zakopconymi murami, pogiętymi w cudackie a wciąż odmienne, a zawsze oryginalne kształty. Dwie to różne epoki dziejów ludzkości! Tam, na łonie starodawnej Hanzy, wytwórca posiadał własne imię i dbał o to, ażeby dzieło rąk jego sławiło swego mistrza. Tutaj, wśród tych ulic, które na chrzcie otrzymały nazwy, wzięte z abecadła i podręcznika arytmetycznego, w labiryncie podobiusieńkich do siebie kamienic, czuję, że jestem w obec tworów bezimiennej rzeszy ludzkiej, że bez indywidualizmu fabryka nałożyła swoje piętno nawet na ulice i domy, okna i drzwi, klamki i firanki.

* * *

Reklama wszędzie! W New-Yorku i w Brooklynie jest kilkaset stacyj kolei nagórnej, do każdej z nich prowadzą schody o kilkudziesięciu stopniach. Na pionowej stronie każdego stopnia przybito dużą, emaliowaną deseczkę metaliczną, polecającą jakiś proszek do pieczywa. Sądząc z obfitości stacyj i schodów, nie popełnimy błędu, jeżeli liczbę tabliczek ocenimy na sto tysięcy! Gdybym potrzebował kiedyś tego specyfiku, to machinalnie zażądałbym go od owej firmy.

W liczbie reklam, które ciągną się na dachach, na murach, na rusztowaniach wzdłuż kolei zamiejskiej, spostrzegam dzienniki. Wydawanie pisma w Ameryce wyzbyło się ze wszystkich ideologicznych osłonek, jakiemi lubi się jeszcze stroić w starej Europie. Jest to *business*, niczem nieróżniący się od wyrobu proszku do pieczywa.

Ba, nietylko kazalnice publicystyczne są przytułkiem geszeftu! Z okna miejskiej kolei spostrzegam olbrzymi afisz, w którym jakaś świątynia obwieszcza, że nigdzie niema tak wzniosłego nabożeństwa. Obowiązki kapłańskie stały się za morzem taką samą profesyą, jak adwokatura lub pomoc lekarska u nas. *A propos*. Przechodząc po *Ave 5*, ujrzałem za ogrodzeniem gwardyę dzieciaków w błękitnych mundurkach. Kilku szło na czele i bębniło z całej siły, jeden niósł chorągiew, reszta postępowała w zwartym szeregu z karabinami na ramieniu. Militaryzm chłopięcy, jawnie obliczony na efekt, mnie zdziwił. Ciekawość wzrosła jeszcze bardziej, kiedy-m pomiędzy batalionami spostrzegł kilka starych wiedźm—takie było pierwsze

wrażenie!—czarno ubranych, z kapturami na głowie i woalami na twarzy. Gwardya wyszła z ogrodu, przebyła wszerz ulicę i przy odgłosie bębnów zaczęła obchodzić sąsiednią świątynię, okazałej budowy. Napis na bramie: *Catolic orphan house* wyprowadził mnie z niewiadomości. Wszystko to było reklamą, obliczoną na zwabienie tłumów, zwłaszcza zaś na zainteresowanie młodego pokolenia! Dzieci tak lgną do mundurków, karabinów, bębnów, marszów! Wszak za pomocą parad i muzyki trzymano kiedyś w posłuszeństwie trzodę paragwajską...

4 czerwca, Brownsville. N. Y.

Brownsville jest żydowską kolonią w odległości godziny jazdy od New Yorku. Żeby dostać się do niej, musiałem przejeżdżać przez Brooklyn. Jaką ludność posiada to miasto, nie wiem: spis z r. 1890 podaje ją na 800 tysięcy. A jednak z każdego zakrętu wieś wygląda! Na zamożniejszych ulicach nizkie, piętrowe, drewniane domki, na najgłówniejszych arteryach handlu trzypiętrowe, ale materyał zbyt często pozostaje ten sam, tj. drzewo. Osobliwy to widok, kiedy rzędem z nagórnemi kolejami i światłem elektrycznem oko ogląda nieprzerwane szeregi wysokich, drewnianych budynków. Śmiecie na ulicach, często nie brukowanych, obok zaś latarnie elektryczne. Każda gospodyni w pewnych porach dnia wystawia w koszyku śmiecie przed domem na ulicy, przejeżdżający zaś wóz je zabiera. Przechodząc o godzinie południowej, widzisz przed każdym domem beczułki, skrzynki, kosze śmieci i odpadków kuchennych.

Teraz, w Brownsville, właściwości te występują jeszcze jaskrawiej, znalazły bowiem przewyborny grunt w nieczystości żydowskiej.

Amerykanin nie ma czasu upiększać miasta. Nie jest to następstwem wrodzonej nieczystości, ale tego, że życie rozwija się zbyt szybko. Brudy na Nalewkach i Gęsiej świadczą o nizkim poziomie potrzeb, amerykańskie o szybkim postępie i — czystości! Przekonywam się o tem w Brownsville. Tylko co przeprowadzono w gołem polu kilka dziesiątków arteryj ruchu i je zabudowano. Nie zdążono wystawić na rogach nazwisk ulic, ani pokryć ich brukiem, to też pośrodku ciągną się góry rupieci i kamieni. Jednak dano już chodniki, latarnie elektryczne rozpraszają mrok w nocy. Municypalność robi to, co jest najniezbędniejszem, resztę zaś odkłada na przyszłość. W tym widoku tkwi jakby klucz do zrozumienia całej kultury amerykańskiej. Brownsville jest niewykończonem miastem, podobnie cały związek północno-amerykański niewykończoną kulturą, która niema czasu załatwić jednych spraw, gdy inne już żądają rozstrzygnięcia. Nawet codzienne wywożenie śmieci jest może w gruncie rzeczy środkiem bardzo rozsądnym. Wprawdzie nie mają powabu te koszyki, stojące przed domem, ale po godzinie odpadki znikną w wozie — świeże. Lepiej to, niż gdyby gniły na podwórku, obłudnie okryte przed wzrokiem przechodnia i zarażały całymi miesiącami powietrze. Ameryka zerwała z estetyką i hypokryzyą, codzień wywozi legowiska bakteryj i usuwa źródło ukrytych zarazków.

Help yourself! Ulice Brownsville'a są przerznięte szynami w najrozmaitszych kierunkach, po nich pędzą pociągi. Żadnych ogrodzeń i szlabanów, choć tuż na chodniku bawią się gromady dzieci!

5 czerwca, New-York.

Kilka razy spostrzegłem pewne zwyczaje, które mojej głowie europejskiej wydały się na razie niezrozumiałymi. Poprawiają dom; cały parter zburzono, jedną lub dwie ściany wyjęto i tylko w kątach widać rzędy cegieł. A tymczasem na wyższych piętrach mieszkają ludzie i zgoła nie troszczą się, że pod ich stopami zburzono mury! Dzisiaj znalazłem wytłomaczenie zagadki. Na jednej z ulic zdaleka zoczyłem olbrzymią klatkę trzypiętrową. Rusztowanie przyszłego domu! Z odpowiednio przygotowanych prętów żelaznych amerykanie budują szkielet, później obijają go w kierunku poziomym podłogami, w pionowym oblepiają murem.

6 czerwca, New-York.

U nas, jeżeli ktoś wybiera się w podróż, bierze gazetę do ręki i przegląda pomieszczony na ostatniej stronicy rozkład kolei. Czynność ta w Ameryce jest złożeńszą, tutejsze stosunki ekonomiczne stargały naszą prostotę. Nadaremniebyśmy poszukiwali niemieckich *Fahrplanów*. Towarzystwa zmieniają nieustannie rozkład jazdy, wszelki przewodnik ogólny, zanimby wyszedł z pod prasy, byłby przestarzałym. Niemało też przyczynia się decentralizacya i współzawo-

dnictwo. Nie pozostaje nic innego, jeno osobiście udać się na dworzec i tam u źródła zasięgnąć języka, t. j. poprosić o książeczkę z rozkładem. Zresztą prawie na każdej głównej ulicy znajduje się kantor sprzedaży biletów. Dość tam zajść i z szafki bez pytania wyjąć potrzebne rozkłady — wolno ich zabrać, ile tylko ktoś zechce.

7 czerwca, Brooklyn, N. Y.

Whisker!, tem przezwiskiem obrzuciła mnie gromada malców, kiedym przed knajpą w mroku nocnym oczekiwał na towarzysza, który poszedł rozpytać się o drogę. Otoczyło mnie kilkunastu smarkaczów, jeden stanął naprzeciwko, mrugał okiem i przekrzywiał się. Towarzysz mój, wyszedłszy, uznał za najstosowniejsze, abyśmy czemprędzej się oddalili. Poźniej wyznał, iż obawiał się gradu kamieni ze strony malców.

Ktoś rzekł, że demokracye odznaczają się nietolerancyą i konserwatyzmem. W pewnej mierze słuszne to zdanie. Nie wiem, skąd powstało wysokie mniemanie o oryginalności amerykanina. Nic monotonniejszego! Ubiór, umeblowanie, tryb życia są niewolniczo jednakie na całej przestrzeni Związku. Ten sam twardy, czarny kapelusz w chłodnych porach roku, tego samego fasonu słomiany podczas skwarów letnich, tego samego stylu meble — jeżeli jest różnica, to tylko w gatunku! I być inaczej nie może tam, gdzie szablon fabryczny wszystko porwał w swoje uściski i zdusił oryginalność

drobnego warsztatu; gdzie nawet fotele posiadają, jak u nas buty, swoje numery. Nikt, chyba w wieku podeszłym, nie nosi zarostu na twarzy. Wszelkie przekroczenia opinia publiczna prześladuje, wykonawcami jej jest zaś podrastająca generacya. Chińczycy, obecnie żydzi, padają ofiarą nietolerancyi. Pierwszym *loafers*— ulicznicy, wobec których malcy paryscy są skromną trzódką,—obcinają na ulicy warkocze, chyba że zagrożony wykupi się. Posiadający zarost na niektórych ulicach naraża się na to, że prześladować go będą przezwiskiem *whiskera* — „kudłacza;" a niekiedy ktoś podejdzie i pociągnie za brodę. Pierwszą rzeczą ze strony europejczyka, który na stałe pragnie się osiedlić w czysto amerykańskiej dzielnicy, jest przybrać swoją osobę według wzorów miejscowych, a zatem kupić sobie taki kapelusz, jak inni noszą, odziać swoją córeczkę w długą, niby mnisią sukienkę, tak iż maleństwu wciąż się nóżki plączą o fałdy, zgolić brodę. Zwłaszcza wśród żydów obawa staje się wprost śmieszną. Niewolniczo kopiują — mówię o młodszem pokoleniu —tutejsze zwyczaje, ażeby tylko nie poznano w nich *greenerów*, *popcornów*, *greenhornów*, istnieje bowiem cały słowniczek obelg względem cudzoziemca. Ponieważ amerykanin nigdy pono nie przejdzie ulicy, prócz miejsc na to przeznaczonych, przeto żaden nowy obywatel, semickiego pochodzenia, który tylko co przybył z Brześcia lub Supraśla, tego nie uczyni. Yankee nie zdejmuje kapelusza w sklepie, i przybysz tego nie zrobi...

Prasa miejscowa usprawiedliwiała ongi niecne na-

paści na chińczykówtem, ze swoją konkurencyą podkopują dobrobyt robotników. Istotnym jednak powodem była nietolerancya: przybysz ośmielił się mieć inne rysy twarzy, nosił warkocz i strój odmienny! Jestem pewny, że gdyby syn nieba przywdział ubiór miejscowy, obciął warkocz i włożył kapelusz amerykański, to zajadłość byłaby o połowę mniejszą.

8 czerwca, New-York.

Mamy przed sobą stosy rozkładów jazdy. Rzecz to warta studyów! Wiele z pośród nich posiada format olbrzymiego stołu. Po jednej stronie płachty pomieszczono czas odejścia pociągów, po drugiej mapę tej okolicy, przez jaką przebiegają linie towarzystwa. Pomiędzy tablicami jazdy plączą się wiadomości o miejscowościach po drodze i rysunki piękniejszych krajobrazów. Teraz, kiedy Chicago jest na języku u każdego, w rozkładach znajdujemy plany tego miasta, widoki wystawy z lotu ptaka. Elegancya wydawnictw jest jeszcze większą, kiedy idzie o specyalne, pospieszne pociągi. Istnieją całe książeczki, poświęcone opisowi sławnego *Flyera*, kursującego od kilku tygodni pomiędzy New - Yorkiem a Chicago. Mnóstwo rysunków przedstawia urządzenie wagonów obserwacyjnych; plany podają rozkład siedzeń i stolików w wagonie, dzwonków i łaźni, opisy mówią o materyale, z jakiego zrobiono portyery i oparcia. Europa nie zna podobnej reklamy, czy też informacyi. Naturalnie, każda z linii rywalizujących wychwala siebie pod niebiosa. Jedna przypomina, że tylko ona w świecie posiada

cztery tory na całej swojej przestrzeni; druga, że prowadzi przez najpiękniejsze okolice; trzecia, że kiedyś przed laty pierwsza wprowadziła wagony sypialne.

* * *

W podręcznikach ekonomii liberalnej można spotkać skargi na zaściankowość średniowiecznego rzemiosła. Członkowie zawodu mieszkali przy sobie na tej samej ulicy, co była dla nich całym światem. Nowoczesny rozwój ekonomiczny powołał do życia poniekąd stosunki analogiczne. W *Down-townie* każdy fach usadowił się zwarcie: na kilku ulicach sąsiednich widzimy jedynie kantory fabryk, trudniących się wyrobem maszyn, a oko nadaremnie poszukiwałoby szyldów, mówiących o czem innem; gdzieindziej hurtowe składy owoców, to znowu—mąki, lamp. Ale kiedy podstawą średniowiecznego zaścianku cechowego była wzajemna solidarność, która wiązała rzemieślników w spójne ciało, tutaj tymczasem konkurencya jest siłą skupiającą. Jeden osiedla się przy innym, ponieważ każdy chce kontrolować współzawodników. Niby gromada psów zbiegła się i warczy na widok tego, że jakiś obywatel rodu psiego kość ogryza. Ale nie łudźmy się! Jest to przemijająca już faza rozwoju wielkoprzemysłowego. Może z podobnej walki wyłoniła się ongi organizacya cechowa. Współzawodniczące brytany wiążą się dziś w *trusty* i *poole*, konkurencyę pomiędzy sobą zamieniają na solidarne węszenie zysków, cena przedmiotów staje się jednaką we wszystkich kantorach.

Redakcye nie wyłamały się z pod ogólnej zasady.

Usadowiły się one przy sobie, w pobliżu mostu, tam, gdzie codziennie kilkaset tysięcy ludzi przepływa w różne strony. *World* mieści się w 13-piętrowym domu, dach w kształcie kopuły zdala świeci swoją pozłotą w promieniach słońca, wieczorem zaś zarzy się światłem elektrycznem. Ktoby miał jeszcze wątpliwość, że wydawanie pisma nie jest zwykłym businessem, pozbędzie się złudzenia, kiedy stanie na *Broadway*. Przed redakcyami stoją olbrzymie szyldy, jak przed wielkanocnemi panoramami na Mokotowie. W hałaśliwych i efektownych nagłówkach podano treść numeru, który lada chwilę ukaże się z pod prasy. Inny napis obwieszcza, że tylu a tylu czytelników posiada gazeta, którzy swoją mnogością ręczą za dobroć drukowanego towaru. Możesz wejść do tej lub innej redakcyi. Korzystając z tej swobody, rozlokowałem się w *Heraldzie*. Duża sala, przeznaczona na usługi publiczności, kilka okrągłych pulpitów, każdy na parę osób, kałamarze, pióra, papier listowy, koperty. Kto chce, wchodzi, pisze, przypuśćmy, list na przygotowanym papierze, kładzie go do leżącej koperty i wychodzi, nie zdjąwszy nawet kapelusza. Na ścianach widzę jeszcze mokre kolumny ogłoszeń—numer wyjdzie zaledwie za parę godzin, ale redakcya zawczasu wywiesiła ogłoszenia, dokoła których pcha się gromada poszukujących zarobku.

Około gmachu pocztowego, w górę *Broadway'u*, ciągną się nieprzerwanie *offices*, trudniące się sprzedażą biletów kolejowych. Ta sama potrzeba, która zgromadziła różne fachy w tej samej okolicy, wywarła po-

dobny wpływ na ajentury przewozowe. Wszędzie widnieją reklamy, zapewniające, że tylko w danym kantorze można otrzymać bilety po cenie najniższej. Ogromne tablice z obietnicami wiszą na latarniach, i stoją na chodniku. Z jednym znajomym, kilkuletnim mieszkańcem New-Yorku, odbywamy wędrówkę po kantorach, który taniej i na lepszych warunkach odda bilet do Chicago. Targujemy się, jak na Pociejowie.

9 czerwca. New-York.

Na *Bowery*. Szeroka ulica z dwoma rzędami filarów kolei górnej. Krzyk i wrzawa, kurz nie do wytrzymania, brud nędzy, smród miejscami, że aż ciężko oddychać. Wzdłuż chodników stragany z jedzeniem. Wystawiono na słońcu: ostrygi, raki morskie, sery, butterszníty; ktoś podchodzi, bierze jadło, ze stojącej butelki pokrapia je cieczą podejrzanej czystości i woni. Szynki, składy starzyzny, w oknach górnych pięter ogłoszenia, że za 15 centów na dobę można dostać pokój. Ci którzy utracili zdolność do wszelkiej systematycznej pracy, wydrwigrosze, którzy stoczyli się w przepaść ostatecznej nędzy i nie mogą się z niej wygrzebać, upadłe dziewczęta, z których haniebne rzemiosło starło wszelką świeżość — oto ludność, gnieżdżąca się w tych brudach. Podczas dnia śpi ona, wieczorem systematycznie czyta ogłoszenia w dziennikach o miejscach, choć nie idzie ich szukać — nie wierzy, aby dostała stałe zajęcie, w nocy siedzi w szynkach. Teraz

dopiero szósta godzina. Spotykam bosych, brudnych dzieciaków, obszarpanych mężczyzn z twarzą ospałą, apatyczną, bez śladu energii.

Ale nawet na *Bowery* poezya słodzi chwilę nędzy i człowiek w niej szuka wytchnienia. Sądzę, że tutaj czyni on częściej, niż w salonach, gdzie paplające damy tak unoszą się nad sztuką i grzebią w „subtelnościach" tego lub innego utworu. Olbrzymia wystawa zadrukowanych arkuszów szarej ordynarnej bibuły, zapełnionej poezyą. „Po balu," „w mrokach nocy," „na Bowery"—tak brzmią tytuły świstków. Ba! znalazłem się w obliczu poezyi, może wyuzdania i swawoli, o jakiej tyle mówi Lombroso ze sztabem mieszczańskich kryminologów. Kupuję parę arkuszy. Pierwszy utwór opiewa naszą miejscowość. Młodzieniec opowiada, jak poszedł na *Bowery*, stracił tam zegarek, handlarz-krawiec go oszukał, dziewczyna, która rzuciła mu się na szyję, w zamian za uściski, ograbiła. Ale wyuzdania ani śladu! Przeciwnie, rzewna skarga, pragnienie przyjaźni, miłości, prawdy rozbrzmiewają ze stronic szarej bibuły, rozchwytywanej przez wyrzutków społeczeństwa! „Oh, napisz list do swojej starej, kiedyś znalazł się od niej tak daleko —czytamy w jednym utworze,— życie jej ma więcej cienia, aniżeli światła słonecznego; modli się ona za ciebie, napisz więc do niej i zrób jej przyjemność, napisz list, napisz natychmiast." Ktoś inny marzy o opuszczonej chatce rodzinnej, łzy mu stoją w oczach, serce bije nadzieją, że chyba mu przebaczą, kiedy do wrót zapuka. Albo weźmy piosenkę córeczki pijaka. Nieboga się skarży, że podczas czarnej

nocy tuła się i szlocha samotna — matka umarła, a ojciec pije! Błaga Boga, aby ktoś z towarzystwa wstrzemięźliwości nawrócił ojca, byłaby wtedy tak szczęśliwa, pracowałaby na niego żebrząc, byleby tylko ją ucałował... Ta szara bibuła jest istotną kopalnią złota!

Tu i owdzie usadowiły się różne misye, nawracające grzeszników. Wchodzę do jednej. Olbrzymia bezpłatna czytelnia. Pulpity do pisania. Na ścianach obrazy syna marnotrawnego. O kilka domów dalej armia zbawienia nęci rozbitków do skosztowania jej narkotyków: wódkę zastąpiła marszami, upojenie alkoholiczne—ekstazą duszy zbiorowej. Jeden środek wart drugiego: tamten usypia ducha w trunku, ten—w myśli o zbawieniu. Nie wytwarzają one ludzi, walczących o swoje krzywdy, ale usiłują je wybić im z pamięci.

* * *

Narody rozsiadły się w New-Yorku swojemi dzielnicami. Istnieją dzielnice: romańska, chińska, murzyńska, wreszcie żydowska. Ta ostatnia zajmuje nie mniejszą przestrzeń, niż Nalewki ze swoją okolicą. Niegdyś mieszkali tam irlandczycy, teraz żydzi wyrugowali ich zupełnie. Wypadło mi być w niej kilkakrotnie, w różnych porach dnia, między innemi w sobotę. Ubiory były świąteczne, ale sklepy otwarte i handel szedł w najlepsze. Młode pokolenie zamerykanizowało się: młodzież nosi amerykańskie kapelusze, mężczyzni strzygą brodę, mówią tylko po angielsku, chociażby licho. Starsze trzyma się jeszcze dawnych zwyczajów i narzeka na bezbożność synów. Niektóre właściwości Nalewek występują w całej pełni, co wię-

cej, jeszcze bujniej zakwitły na gruncie amerykańskim, gdzie policya nie wtrąca się, aby czysto utrzymano domy. Wszędzie w Ameryce beczki ze śmieciami stoją na chodniku, tutaj kompletnie się piętrzą. Można odgadnąć, co dzisiaj gotowano w tym lub innym domu, zapachy odurzają przechodnia. Brud przewyższa wszelkie pojęcie. Na ulicy rozstawiono stragany i wozy, tak iż przejść niepodobna. Wszędzie tłumy wrzeszczące, giestykulujące —dniem i nocą. Wieczorem chodniki zamieniają się na salon: mężczyzni gwarzą, kobiety karmią niemowlęta, dzieci się bawią, młodzież oddycha miłością i parami spaceruje, wyrażając swoje uczucia w kiepskiej angielszczyznie.

12 czerwca, pomiędzy New-Yorkiem a Buffalo.

Zachwycony jestem urządzeniem tutejszych kolei. Wagony wązkie ale bardzo długie, przynajmniej dwa razy dłuższe, niż w Europie. W pośrodku przejście, z obu stron fotele, każdy na dwie osoby i zawsze przodem do maszyny, oparcia są bowiem ruchome, jak w letnich tramwajach. Siedzenia miękkie, wybite aksamitem, z wygodną poręczą, jak u nas w klasie pierwszej. Olbrzymie okna bez przerwy wypełniają obie boczne ściany. W każdym wagonie jest przyrząd z zimną wodą do picia; lampy w nocy rzucają rzęsiste światło, wagon spoczywa na resorach i usuwa wszelkie trzęsienie. Poręcze metaliczne, zasuwki u okien, lampy, podłoga, wszystko lśni się czystością, nieznaną nawet kolejom niemieckim.

* *
*

Nigdzie nie widzę dróżników, powiewających chorągiewkami, ani szlabanów przy rozdrożu, zamykanych, kiedy pociąg nadchodzi. Troskę o siebie pozostawiono każdemu. Z okien spostrzegam na rozdrożach jedynie tablicę z napisem: *look out for the locomotive*—owa przestroga jest wszystkiem: i dróżnikiem, i szlabanem. Do niej dodano jeszcze drugą: w pewnej odległości od rozdroża wznosi się słup, głoszący węzłowato: gwizdać! Maszyna gwiżdże i komuś, mającemu przejeżdżać przez tor kolejowy, daje znać o swojej blizkości.

* * *

Demokratyczne tradycye dawnego purytanizmu trzymają się jeszcze mocno. W zakresie stosunków rolnych zrodziły one prawodawstwo *homesteadów*, zapobiegające aby grunta nie skupiły się w nielicznych rękach. W New-Yorku ławki w publicznych ogrodach są przedzielone poręczami na pojedyncze siedzenia, nikt nie ukrzywdzi innych. Ten sam zwyczaj panuje w tramwajach i na kolejach. Istnieje jedna tylko klasa: „Nie znamy kast, ani stanów, nie mamy też klas,“ urąga Staremu Światowi yankee. Ale niedarmo w Ameryce istnieją miliarderzy. Pod demokratyczną formułkę podsunęli oni treść inną! Pociąg, którym jadę, składa się z kilku rozmaitych wagonów. Każdy pasażer zapłacił tę samą sumę za bilet, ale zamożniejszy coś jeszcze dorzucił i korzysta z sypialni. Dniem to zwykły wagon, w nocy siedzenia zamienione zostają na łóżka. Jest jeszcze wagon-salon, z którego wolno korzystać tylko temu, kto złożył nową, zresztą niewiel-

ką opłatę. Znajdzie on tam fotele na pojedynczą osobę, stoliki z gazetami, czytelnię nowości. Może w moim pociągu idzie jeszcze wagon prywatny, służący do użytku tylko jednej rodzinie. Gdybym jechał po linii Hudsońskiej, w tyle szedłby wagon obserwacyjny — rodzaj salonowego, w którym połowa, prócz sufitu i podłogi, składa się z olbrzymich szkła tafli. Pasażer jak na dłoni ma przed sobą cały krajobraz okolicy. Kiedy, jak ślimak, siedzę przykuty do tego samego wagonu, kto inny spaceruje po całym pociągu, wysypia się na fotelu, spędza czas na czytaniu gazet w salonie, napawa się widokami w obserwacyjnym apartamencie, a muszę przyznać, że przed okiem przesuwają się urocze okolice, wjeżdżamy bowiem na wyniosłość, okalającą wielkie jeziora.

A jednak nominalnie istnieje tylko jedna klasa! ..

13 czerwca, Buffalo N. Y.

Na dworcu oczekuje na mnie dawny towarzysz uniwersytecki, praktykujący obecnie w Buffalo jako lekarz. Dworzec brudny, ciasny, mały, niby chlewek, choć żadna z naszych kolei nie może się równać z daną linią, Buffalo zaś swoję zamożnoscią kilkanaście razy przewyższa Warszawę. Wystawność tego rodzaju uchodzi tutaj za marnotrawstwo. Przez tłumy przedzieramy się do powoziku, który stoi przywiązany na dalekiej ulicy. Właściciel zostawił powóz z koniem bez opieki bllzko na kwadrans czasu, wśród ruchu ludności i wozów, w mieście posiadającem tyleż mieszkańców, co Warszawa. A jednak nikt go nie ukradł! To samo

czyni drugi i dziesiąty, wszędzie stoją prywatne powoziki, tak samo strzeżone, t. j. niestrzeżone. W drodze zachodzimy do kantoru, tłum nie pozwala nam dojechać. Znowu konia z powozikiem zostawiamy bez opieki, a kiedy waham się, co zrobić z pledem, mój znajomy z uśmiechem rzuca go do wnętrza.

Jedziemy z pół godziny. Brudne, zakopcone kamienice, jednakiej architektury, oto widok handlowej dzielnicy, pustej zresztą ku wieczorowi. Wszędzie kolej żelazna przerzyna place i ulice, żadne szlabany nie ostrzegają publiczności. Dbaj sam o siebie! Szerokie, asfaltowe ulice ciągną się bez końca, drobne, jednopiętrowe, drewniane domki sterczą wśród zieleni. Ulice spotykają się pod prostym kątem, a jeden zakręt podobniusieńki do innego, jak krople wody. Wszystko mąci się i mięsza w pamięci, która znużona jednostajnością zasypia.

14 czerwca, Buffalo.

Czy istotnie jestem w Ameryce? Od dwóch dni słyszę jedynie polski język, chociażbym przeszedł dziesiątek ulic. Na szyldach czytam swojskie ogłoszenia— ktoś jednocześnie wyrabia nagrobki, posiada agenturę biletów okrętowych i udziela porady adwokackiej! Moc szynków, nie żyd je trzyma w ręku, ale polak, o tem przekonywają napisy. Przedemną kościół Św. Stanisława z olbrzymim trzypiętrowym domem, służącym za szkołę.

Kolonia polska—*polish settlement*—posiada swoją historyę: walki pomiędzy konkurującymi księżmi.

Kapłaństwo stało się *businessem*. Był ksiądz, robił spekulacye i rósł w dolary, dzisiaj jest wart kilkaset tysięcy. Przyszedł inny, założył nową parafię i rozpoczęła się zażarta kłótnia pomiędzy Stanisławowem a Wojciechowem. Historya to pełna intryg. Kapłani szli na czele, za nimi, jak trzoda, parafianie. Ponieważ Stanisławowo głosowało za demokratami, to Wojciechowo na przekór popiera republikanów. Księża są w Ameryce istotnymi kacykami, a wiara ludu pozwala im wszechwładnie panować i robić grosze. Budowa nowej świątyni jest geszeftem; kapłan za pomocą znajomych skupuje *loty*, przypuśćmy po 9 dolarów za stopę, a kiedy kościół stanie i cena ziemi pójdzie do góry, odprzedaje je po 40. Albo kiedy zyska wziętość, robi 10 tysięcy fotografij i sprzedaje sztukę po dolarze. Szkoły są źrenicą w ich oku. Wykładają w nich zakonnice, nauka stoi niżej wszelkiej krytyki, choć rodzice płacą. Do szkółki przy parafii Św. Stanisława uczęszcza około dwu tysięcy dziatwy.

15 czerwca, pomiędzy Tanawanna a Lasalle.

Jadę wśród nieustających plantacyj ogrodowych. Drzewa owocowe ciągną się w równych przedziałach nieskończonymi rzędami. Gdzieniegdzie widać przerwę, pomiędzy sadami rozpostarła się łączka. Każde drzewo obcięte, ostrzyżono, jedno niczem nie odbija od drugiego. Sady zdaleka wyglądają niby gaje i drobne lasy. Z pośród zieleni wynurzają się fermy rolników, hodujących owoce—bierzesz je za chatę leśnika.

15 czerwca, Niagara Falls N. Y.

Tylko minuta drogi przedziela mnie od wodospadu! Zapach wody sprawia mi zawrót głowy, pierś szeroko oddycha po smrodach Buffala, oko, porwane ruchem piętrzącyah się kaskad, biegnie za szeleszczącą wodą aż het daleko, do odległych urwisk, kąpiących się u dołu w błękicie rzeki a przyćmionych mgłą łagodną—to unosi się między mną a dalszą okolicą kurzawa wodna, która tryska z pod stóp wodospadu. Huk i łoskot, jakby od tysiąca młynów. Jeszcze kilka kroków. Zburzona powierzchnia przegina się i niknie, woda z ciemno-szarej staje się na przełęczy jaśniejszą, linia, odgraniczająca obie barwy, rysuje się ostro, kańczasto. Kurzawa biała bucha kłębami z dołu, jak gdyby w głębinie u nóg naszych ktoś warzył czarodziejskie leki. Wodospad tuż przed nami! Nie widzimy go jeszcze, ale czujemy z tego przełomu, huku, obłoków pyłu wodnego, olbrzymich kłębów piany tam w dali na rzece. Podsuwamy się ku balustradzie i w dół wzrok zanurzamy. Rumowiska czerwonych głazów dymią się, jak gdyby ktoś na rozpalony kamień lał potoki wody, nad nimi wśród obłoków pyłu wodnego chwieje się i buja rozwieszona tęcza, przez nią przeziera i zielenieje powierzchnia rzeki, którą bruzdzi statek w kierunku wodospadu. Z góry spuszcza się olbrzymia biała płachta — zda się, że jest nieruchomą.

Stoimy w obliczu amerykańskiej odnogi Niagary.

* * *

Kolej powrozowa zwozi nas do stóp urwiska, tam, gdzie, od wieków nieruchome, stoją na czatach

olbrzymie głazy. Ścieżka, wykuta na ich karku, prowadzi ku wodospadowi. Im bliżej, tem wilgotniejsza i zdradliwsza. Deszczyk nas rosi—z góry, dołu, boków. Nie, to nie deszcz, cała atmosfera oddycha wilgotnym proszkiem, tak drobnym, jak z najdelikatniejszego pulweryzatora. Idziemy jeszcze dalej po oślizłej skale, póki ogromne prostopadłe głazy nie zagrodziły drogi; obłoki kurzawy suną ku nam i obrzucają rzęsistym deszczem, nogi nie mogą utrzymać się na zdradliwej, czerwonej powierzchni. Cofamy się ku przystani, gdzie „Dziewica pyłu“ niecierpliwym swistkiem zaprasza na swój pokład.

W nieprzemakalnych płaszczach ruszamy na jej pokładzie ku obłokowi, całującemu stopy amerykańskiego wodospadu. Pył wodny nas orzeźwia, wśród południowego skwaru pierś łyka go chciwie. Proszek drobny zamienia się na... Biorę znowu ołówek do ręki. Kurzawa przeszła w ulewną nawałnicę, wichura zrywa kaptur z głowy, zimno ogarnęło. Teraz przebyliśmy już odnogę amerykańską. Przyglądam się kłębom wodnym, które tryskają z głazów. Jedynie musnęliśmy je, a już obdarzyły nas ulewą. A jednak jeszcze głębiej w mgły szacie, po przez głazy, pnie się pomost, śmiało wkracza w płachtę rzeczną i ginie dla oka w jej fałdach. Słońce przygrzewa, para z nas się unosi. „Dziewica“ kołysze się z lekka na fali. Jedziemy w kierunku wodospadu kanadyjskiego. W porównaniu z tem huczącem i kotłującem piekłem wodnej kurzawy, nawałnica, którejśmy doznali przy jej siostrzycy amerykańskiej, wydaje się igraszką. Statek kołysze się coraz silniej

a najrozmaitsze żywioły swawolą z nami. Słońce piecze, kurzawa rosi, fala nas podrzuca, huk zagłusza, wiatr zrywa kaptur i płaszcz rozwiewa. Przecież nie zbliżyliśmy się jeszcze do pierwszych kłębów obłoku! Co będzie dalej? Niecierpliwość łechcze nerwy. Ale nasz wjazd jakoś trwa zbyt długo—nie, my oddalamy się! „Dziewica“ podwiozła nas tylko i pokazała przedsmak wodnego piekła, a teraz ucieka... Bujna zieloność zwiesza się z urwisk. Na olbrzymiej wysokości widać kilka nici pajęczych, to most wiszący: za nim oko spostrzega jeszcze drugą i trzecią parę podobnych pasemek. To inne mosty, istotne arcydzieła sztuki inżenierskiej. Po jednym z nich teraz pędzi pociąg.

* * *

Na brzegu kanadyjskim suszę się po wycieczce na „Dziewicy pyłu“. Upał silny, łagodzony orzeźwiającymi podmuchami wilgotnego wiatru. Krople potu mieszają się z wodą, z której jeszczem nie zdołał się otrząść. Po krytej drodze podnoszę się na górę. Ilekroć z pod przykrycia skały wyjdę na otwarty zakręt, mimo półmilowej odległości czuję powiew powietrznego prądu, zrodzonego przez spadek wody.

Po stronie kanadyjskiej ciągnie się park Wiktoryi. Mój martwy przewodnik objaśnia mnie szczegółowo, jak wielką zajmuje on powierzchnię. Oko pomija te drobiazgi. Wszelkie rachunki są jakby zniewagą dla tej bujnej roślinności, która mnie zewsząd otacza, a dojrzewa skąpana nieustającą rosą z wodospadu i słońcem, przedzierającem się przez roznoszoną na skrzydłach wiatru kurzawę wodną. Przed wejściem

tablica zagradza mi drogę. Jeden z paragrafów głosi, że do parku nie wolno wchodzić pijanej osobie, ani wnosić z sobą trunków. Tylko smuga rzeczna przedziela nas od Stanów Zjednoczonych, a tam nadaremnie poszukiwalibyśmy tej macierzyńskiej opieki. „Nie udawaj junaka w niebezpiecznych miejscach“—tak brzmi jedyna tam przestroga. Automatyczne wrota notują, że ktoś przestąpił progi parku, inne podobnie zapiszą nasze wyjście lub w końcowym kiedyś rachunku powiedzą, że jakiś bezimienny okaz ludzki wszedł i więcej nie wyszedł...

Zapach kwiatów odurza, upał piecze, od wodospadów dobiega huk z pyłem wodnym. Podkowa końska (takie bowiem miano nosi wodospad kanadyjski) wynurza się w całej swojej okazałości. Widzę tylko jej krawędzie, środek zasłoniła przed okiem kurzawa, która od dołu wali się słupami ku górze i tworzy obłoki. Rzeka, która przed spadkiem posiadała barwę zielonawą, teraz, kiedy wypływa z pod stop Podkowy, jest białą. Rzekłbyś, przyroda dokonała cudu, wodę zamieniła na mleko, a ono wrze i kipi. Ołówek odmawia posłuszeństwa, jeszcze waży się ująć w wyrazy siłę amerykańskiego wodospadu, ale nie zdoła tego uczynić z kanadyjskim. Chaos szczegółów tłoczy się, lecz duch całości jest niedostępny. Wodospad, leżący po stronie amerykańskiej, zmalał i w swoim uroku i w grozie. Poza mostem, o jakąś wiorstę, spostrzegam czarne kłęby dymu, ich smoczy wygląd osobliwie odbija od śnieżnej białości, która roztacza się podemną. Oko ze wstrętem ucieka od tego

brudu i sunie ku przełęczy, spada z wodą, ślizga się po mlecznej powierzchni, później po błękitno-zielonawej, usianej brudno-żółtemi plamami piany. Jakiś przedmiot szybuje i roztrąca te oka, podnosi się i opada, czarnemi kłębami dymu parska w otchłań śnieżności i sili się dosięgnąć mlecznej kotłowiny. Przejmujący kontrast! To „Dziewica pyłu“ pragnie wjechać na wody bielejącego piekła. Pragnie?—istna parodya! Przecież z góry wie, że nie podjedzie. A jednak pasażerowie łudzą się i cieszą...

Na głazach pod nogami, het het w przepaści, kręcą się wśród lekkiej zadymki żółto odziane postacie ludzkie. To turyści, którzy spuścili się do „Stołu kamiennego.“

* * *

Stoję z stóp urwiska kanadyjskiego, w żółtej nieprzemakalnej odzieży. Zwiedziłem pieczarę pod lewą krawędzią Podkowy. Spostrzeżono, że jedno miejsce spadającej płachty jest nieco ciemniejszem, i wywnioskowano, że grubość jej nie może tam być znaczną. W twardej skale wywiercono długi korytarz i w jego końcu wybito okno, któremu tafla wodna służy za szybę.

Spuszczam się z głazu na głaz, sam jeden na urwisku. Woda posiada barwę mleka. Z krańcowej skały przyglądam się potędze tego waru, w którym kipi rzeka, kiedy jej smugi i płachty połączyły się znowu w jednem łożysku. Bałwan biegnie po bałwanie, dziko uderza o kajdany z granitu, odskakuje i znowu naciera. Kilka stóp wysokości przedziela mnie od

spienionego nurtu—wyróżniam każdy ton jego ryku. Towarzystwo, z którem jechałem w elewatorze, oddawna mnie opuściło, a teraz wraca z Kamiennego stołu. wołając, abym ostrożnie tam wchodził. Rada ta budzi mnie z uśpienia, stąpam po wilgotnych ścieżkach, na których niegdyś pełzały krocie wężów. Dziś odebrano im dawne siedziby. Scieżka wspina się po skale w górę, zbiega na dół, przerzuca się mostkami z głazu na głaz, coraz zdradliwsza, coraz bliższa boku Podkowy. Pomiędzy skałami pienią się wartkie odnogi, jakiemi woda, rozbita o skały, wlewa się do macierzy. Wśród kurzawy wznosi się Stół kamienny. Idę wśród ulewy i wiatrów pod wystającą skałę. Istotny huragan zrywa się tam nade mną, wypędza z otwartego przetworza, oblewa wodą i hukiem. Chwytam się za poręcz drabiny, która prowadzi na Stół kamienny, lecz coś mnie z niej spycha i podcina nogi, ręce spazmatycznie trzymają się szczebli. Walczę o każdy stopień. Wreszcie wychylam głowę, chcę spojrzeć. Nic nie widzę wśród powodzi i wichury. Z jednego boku spada samotnie zabłąkany słup wody, z drugiej wyje mleczna kotłowina, tysiące wytrysków plwają z jej paszczęki. Strach mnie ogarnia, chowam głowę i schodzę, uciekając pod poblizką skałę. I tutaj woda pryska zewsząd, ale cóż znaczy ten deszcz wobec świeżej potyczki z rozhukanymi żywiołami! Odpoczywam na oślizłym głazu ustępie. Dawni turyści, którzy bez mostków i szczebli wdrapywali się na Stół kamienny, pozostawili opowieść o tem, że jakaś siła— piekielna!—zastępowała im drogę, póki nie złożyli

ofiary. Rzucali kamyczek a moc owa znikała.. Chęć bierze być na tym zaczarowanym głazie, a raczej szczątkach jego, bo część runęła w nurty. Wracam drogą, po której niedawno-m uciekał tak sromotnie, wdrapuję się, znowu wychylam głowę—wichura ledwie jej nie urwie. Bryzga i chłoszcze wodą, niebo, rzeka i wodospad połączyły się w całość: trudno powiedzieć, gdzie jedne żywioły się poczynają a inne kończą. Powierzchnia stołu ma kilka stóp, pochyla się zlekka. Noga stoi na niej niepewna...

...Dzwonię na elewator. Nim spuści się, rozglądam się po okolicy. Stół kamienny czerwienieje opodal wśród pierwszych obłoków zadymki. Ale jak skromnie wygląda to miejsce w porównaniu z dalszymi kłębami, które są znowu niby drobnym pyłkiem w obliczu piekła, unoszącego się w środku Podkowy! Uczucie zawodu prześladuje mnie, kiedy wznoszę się do góry. Przy wyjściu podchodzi fotograf i proponuje zdjęcie. Płótno z kłębami kurzawy oczekuje, dość usiąść przed niem.. Przerzucam podane fotografie, uśmiechnięte twarze z pod kaptura świadczą o dumie podróżników: pochwalą się, że zajrzeli w paszczękę Niagarze, a fotografia posłuży za dowód niezbity. Tandeta!

* * *

Tylko co skończyłem czytać opis wyzwolenia Niagary, tego huczącego grzmotu, jak opiewa jej nazwa indyjska. Biały człowiek, jak tylko wszedł na to terytoryum, natychmiast opasał je wieńcem prywatnych działek. Jakiś patryota, który za usługi, wyświadczone ojczyźnie, otrzymał prawo zażądania kil-

kunastu akrów ziemi, gdzie zechce, wybrał je na wyspie Kóz. Kto pragnął dostać się do miejsc, z których odkrywał się szerszy widok na groźną urodę, musiał uiszczać haracz nowożytnym rycerzom otwartej drogi. Ale obdzierano nie-biedaków. Wyzysk pustoszył kieszeń zrozpaczonych dyabłów spleenu, którzy, mimo swego Child-Haroldyzmu, dbali o każdy grosz, wyciągnięty z sakiewki. Krzywda, która-by bez tego setki lat drzemała pokorna, zawołała o pomstę do państwa. Do rządu Stanów Zjednoczonych wpływa petycya, opatrzona mnóstwem podpisów, w tej liczbie Lubbocka, Carlyle'a, Ruskina. Milionerzy amerykańscy zawiązują ligę w tym samym celu—„wart setki milionów“ Vanderbilt agituje o wywłaszczenie posiadaczów i unarodowienie okolicy wodospadu. Pluskwom, gnieżdżącym się na setce akrów, rzucono 3 mil. rubli odczepnego i w r. 1883 w obecności tłumów ogłoszono Niagarę za własność całej ludzkości...

...Wchodzę na wiszący most, wiążący, na wiorstowej odległości od Podkowy, oba brzegi. Przedemną w całej okazałości wodospad,—olbrzymi, śnieżny, huczący, kąpiący swe stopy we wrzącem mleku. Z drugiej strony—wstręt bierze spojrzeć! Z urwisk wyrastają brudne ceglane zręby, zpośród ich kadłuba strzelają ku czystemu niebu jeszcze brudniejsze kominy, z których buchają kłęby czarnej sadzy, łączą się w uścisku i tworzą ogromną plugawą chmurę. Snieżność wodospadu i brudy przemysłu, wolne siły swobodnej przyrody i warownia wyzysku! A z pod fabryk,

przez otwory, przewiercone w skale, tryska powódź drobnych wodospadów, tak samo śnieżnych, jak wielka macierz, od której łona je odcięto. To człowiek-kapitalista ukradł wielkiemu nurtowi kilka wodnych nici, zamknął w kanale, zmusił do obracania kół w fabryce i do pomocy w robieniu majątku. Ucho chwyta odgłos spadku tych sierot, które jak gdyby jęczą, że ich siłę, jaką kiedyś wyładowywały swobodnie, zaprzężono do jarzma, że z wolnego ruchu ciężkości zrobiono posługacza.

Jako żywym istotom współczuję im. Czyż epoka wszechfrymarczenia nie wprzęgła drgań mego mózgu do takiego deptaka i nie zmusiła wynosić na rynek każdego wrażenia, które wolałbym pozostawić dla siebie samego? Rzędy fabryk z unoszącym się dymem wyglądają na kuźnię szatana, który rozmyśla nad zbrukaniem czystości przyrody. Tam istotnie lęgną się takie zamiary! Geszefciarz, który rozkazuje w tych kazamatach nietylko ludzkiego ducha, ale też piękna Matki-natury, wie, że zdołałby całą Niagarę rozprószyć na podobne sieroty. Gdyby grzmotowi huczącemu odjął chociażby cal poziomu, a jużby zabrana przyrodzie siła żywa była dwa razy większą niż dają wszystkie motory, pracujące na przestrzeni Związku. Bezpłatny motor! Jak podniósłby on rentę i jak pobiłby współzawodników na rynku wszechświatowym! Vanderbilt i inni milionerzy kuszą od lat kilku rząd Stanów Zjednoczonych — jednego tylko chcą cala, nawet wezmą setną jego cząstkę! Taka okruszyna nie zuboży olbrzyma, nie zmniejszy wspaniałości, nie znisz-

czy uroku! Dlatego to możnowładcy nadwyrężyli święte prawo własności i zmietli drobne robaki z okolicy wodospadu... Wymogli koncesyę, założyli towarzystwo akcyjne z kapitałem 10 milionów dolarów, setki najemników kończą tunel, który urwie rzece kawał nurtu i zamieni go na elektryczność lub na motor zgęszczonego powietrza. Elektryczność zostanie przeniesiona do brudnego Buffalo, gdzie między innemi będzie rozpraszała mroki nocne. Technicy pracują nad transportem jej do dalszych miejscowości; kilkaset tysięcy rubli nagrody oczekuje tego, kto rozwiąże zadanie. Niagara ćwiczyła swoją energię przez dziesiątki tysięcy lat, dzika, swobodna, zuchwała, aż nadeszła epoka robigroszów, którzy wszędzie muszą nos swój wścibić. Zaprzęgą oni ją do oświetlenia śmietnisk i wygódek, do wiercenia dziurawych zębów filistra i smażenia mu rostbeefów i puddingów. W przewodniku znajdujemy zapewnienie, że „dopiero wtedy"—t. j. kiedy Niagara zamienioną zostanie na niewolnicze pasemka żywej siły—„czuć będziemy, że ziemię opasuje żywa girlanda, która drga i tętni na rozkazy, że ją okrąża wieniec napiętej energii, ale zmuszonej do prawidłowego pulsu." Rozum przyznaje, że Niagara na kilku strumieniach nie straci swojej urody, ale żal nawet tego ułamka jej krasy na służbę na obczyznie u kapitału.

Kiedy wracam do parku, indyanka zastępuje mi drogę z różnymi drobiazgami ręki „indyjskiej," w tej liczbie z postacią Kolumba na tkaninach. Biedna córo wydziedziczonej rasy, wolałbym, abyś sprzedawała siebie samą, aniżeli wizerunki tego człowieka, które wtło-

czyła ci do ręki nędza a wyprodukował w swojej fabryce jakiś nabab! Czy nie wiesz o tem, jak kilku twoich współbraci zjawiło się nieproszonych na uroczystość otwarcia wystawy? Zagadnięci przez zdziwionych kierowników, uniewinnili się, że nieproszeni przyszli na obchód, bo wszak i Kolumb nieproszony przybył do ziemi ich ojców, później zaś potokiem polały się skargi, wnoszące rozdźwięk do hałaśliwej hecy święta. W parku spotykam opasłych ichmościów z torebkami w ręku; rozkładają się oni na ławkach i ze skupieniem żołądka spożywają dary sztuki gastronomicznej. Kolej żelazna przywozi ich teraz tysiącami dziennie. A któż z nich ważyłby się wkroczyć na to terytoryum, gdyby musiał iść śladem pierwszych turystów, zdobywających z narażeniem swego życia śliskie głazy i jaskinie? Olbrzymie hotele rozsiadły się i jak ladacznice zapraszają każdego, aby zamieszkał w celce i jadł gastronomicznie przybraną truciznę. Każde okno, każda cząstka zdradzają tandetę, zręby te, niby chlewy, szpecą przyrodę. Wszelki objaw *businessu* w tem miejscu wygląda na świętokradztwo.

* * *

Jaskinia wiatrów jest zakątkiem, gdzie człowiek najgłębiej przenika w łono wodospadu—mostki, które, wśród kurzawy, oglądałem z „Dziewicy pyłu,“ do niej prowadzą. Jeżeli wiatr sprzyja, można z jej wnętrza oglądać tęczę w postaci zamkniętego koła, niekiedy parę. Ale jest to najniebezpieczniejsza część wycieczki do Niagary, zaledwie kilka osób na sto ją przedsiębierze. Z przewodnikiem—bez niego niepodobna się obejść —

pod osłoną wystającej skały, dochodzimy do mostków i zapuszczamy się w obłok kurzawy. Nawałnica jest gorszą, niż ta, która zepchnęła mnie z stołu Kamiennego. Pomost przerzuca się z głazu na głaz po nad huczącymi potokami, zagina się w około, wreszcie wkracza w wolną przestrzeń pomiędzy dwoma słupami spadającej rzeki. Przewodnik bierze mnie za rękę, bo w mroku nic nie widzę. I otwarły się upusty niebios, i Eol — dodajmy — wypuścił wszystkie wiatry. Huk ogłuszający, nie słyszę, co mówi mój *cicerone*, z jego przemowy zrozumiałem przeciągłe *look at*. Chcę patrzeć, woda zalewa oczy. Pomost urywa się, jesteśmy w ciemnej jaskini, świszczącej, wyjącej, chłoszczącej. Mój opiekun ciągnie mnie coraz dalej po tej otchłani, nogi brną po kostki w zimnej wodzie, wolną ręką macam po śliskiej skale, pierś drży jak w prysznicu. O dwie, trzy, najdalej dziesięć stóp spada woda z druzgocącą siłą w otchań, której głębokości nikt nie mierzył. Zamknięte oczy nic nie widzą, uczucie zaś, że jest się na łasce kogoś, niszczy wszelki powab. Pragnąłbym pozostać czas jakiś wśród tego huku i deszczu, tuląc się do skały, ale przewodnik ciągnie — mówić nie warto, nie usłyszy. Noga natrafia schody jeden, drugi, piąty. Wychodzę z jaskini, przeszedłszy pod spadającą szmatą — plecami do wodospadu!...

Cicerone prosi, aby coś mu ofiarować. Codziennie sprowadza na dół kilkanaście osób, niektóre musi w pół obejmować, bo tracą przytomność, za to od przedsiębiorcy nie dostaje nawet dziesiątej części haraczu. Wszak ubiór, w który odziewają widzów, nie wart

setnej części dochodu, jaskinia zaś świszcze darmo i darmo daje wrażenia.

* * *

Błąkam się po wyspach, które usadowiły się w pośrodku rzeki pomiędzy wodospadami i docierają aż do samej przełęczy. Byłem na wszystkich Siostrach, przypatrywałem się Braciszkowi, od godziny włóczę się po wyspie Kóz i Księżycowej. Mosty wszędzie zwisly nad potokami, po których woda wprawia się do olbrzymiego skoku, jaki poniżej zamierza wykonać. Na wystających z rzeki kamieniach, o kilka calów od przełęczy, sterczą kłody drzewa, przez nurt przyniesione. Wysepki są bukietami zieloności, tylko że śród liści zebłąkały się dziwne świstki papieru. To oberżyści wielkiego stylu rozwiesili swoje reklamy i może sądzą, że przyrodzie przysporzyli powabu! Pomosty ciągną się aż do głazów, sterczących na przełęczy ponad otchłanią, i pozwalają wzrok zanurzyć w spadającą kataraktę tuż nad nią. Sztuka inżenierska rozłożyła wszędzie drogi, najniebezpieczniejsze miejsca uczyniła dostępnemi nawet dla najlękliwszej synogarliczki i najtchórzliwszego trznadla. Nie darowano ani jednemu grzbietowi podwodnej skały, wychylającemu się ponad zwierciadło rzeki. Nie tak wyglądały te przestrzenie przed kilkunastu laty! Dostanie się do tych miejsc, które tak wygodnie zwiedzam, groziło niebezpieczeństwem. A jednak ktoś ukochał tak Niagarę, że obrał je wtedy za stałą swoją siedzibę—jeden z tego pokolenia, jakie Byron zaklął w melodyi swego słowa. Trzeźwa krytyka estetyczna, która wyhodowała się w trzeźwej—czytaj: tchó-

rzliwej -- szkole rozsądku mieszczańskiego, pogardą obsypuje duchową dziatwę tego poety, widzi jedynie pogoń za spódniczką, rozczochrane włosy i rozpiętą koszulę, ale zapomina, że ono pierwsze usłyszało jęki Helady i uczuło rumieniec wstydu za poniżenie Italii. Jeden z tego awanturniczego szczepu, potomek zamożnego rodu angielskiego, zamieszkał samotny na tych głazach — w oczekiwaniu może żywszego podmuchu serc ludzkich. Dniem i nocą, w słotę i podczas pogody tułał się bez stosunków z ludźmi, coś pisał i palił, kąpał się w kaskadach porohu o kilka kroków od zagięcia, zwieszał się z głazów na przełęczy. Pił całem swojem jestestwem niebezpieczeństwo. Niagara też przytuliła w swoich głębiach samotnika. Tradycya dała mu miano pustelnika wodospadów. Nieco wyżej, przed pierwszym porohem, który ciągnie się przez całą rzekę, wątłe łodzie kontrabandzistów przewoziły ciemnemi nocami przemycany towar. Rzadka odwaga, zresztą wszędzie nieodłączna od szwarcowników...

A teraz? Czyż fotografie, na których ktoś paraduje wśród kurzawy wodnej, nie oddają najlepiej duszy tych tłumów, które masowo, jak robactwo, depcze wyspy i urwiska? Któż z nich odważyłby się bez mostków, przewodników, i wieści o przeszłem doświadczeniu zgwałcić po raz pierwszy tajnie jaskini wiatrów? I po co mają to czynić, odzywa się Sancho-Pancho, kiedy sztuka inżenierska udostępniła wszystko, na to trza być don Kiszotem! Wierutna to prawda, ale też prawdą jest to, że dogodności życia, niby rdza— żelazo, przegryzają energię charakteru i hart woli. Co-

raz mniej błędnych rycerzy, z nimi zaś znikają nietylko dzieciniady, ale też jedna z dźwigni postępu.

* *
*

Zmęczony wielogodzinną wędrówką, odpoczywam na wyspie Kóz na ławce. Akurat pod tem miejscem u stóp urwiska wije się ścieżyna, która prowadzi do Jaskini wiatrów. Kamień, stąd rzucony, grozi przechodniowi niebezpieczeństwem. Ręka prawodawcza wie o tem i zapobiega swawoli w sposób amerykański. Tablica głosi: *stone, thrown over the bank, may fall upon persons below.* Krótko, węzłowato, a jednak wystarcza!

W gruncie jestem niezadowolony z całej wycieczki. Pamięć usiłuje wskrzesić obraz całości—bez powodzenia. Fragmenty tylko wypływają: to kurzawa Stołu kamiennego, ten lub ów słup, widok z tego lub innego miejsca. Rozszarpane szczątki! Jak zgłodniały, który dostał kęs chleba i z głodu niema czasu rozkoszować się jego smakiem, tak samo pożerałem Niagarę. Czuję, że trzeba dłuższego pobytu, aby z odłamków ułożyła się całkowita mozajka, i że muszę odjechać z chaosem cząstek. Byłem w Niagarze, ale jakby nie byłem, nie mam bowiem jej w swojej wyobraźni. Pomimo że jeszcze kilka godzin mogę tutaj zabawić, straciłem chęć pozostania. Uciekam najbliższym pociągiem.

15 czerwca, Buffalo.

Rozglądam się po obszernej a wysokiej sali. Ileż tu promieni światła, jakaż obfitość powietrza! Na ścianach wiszą obrazy, przedstawiające sceny z życia

lziatwy, w kącikach stoi kilka małych krzesełek, na których usiąść siedmioletni malec będzie uważał za ıjmę dla swego honoru. Środkiem w podłogę wprawiono lwa olbrzymie koła, jedno w drugiem—dziatwa według ıich ustawia się w korowody. To pokój przeznaczony do abaw podczas zimy i w niepogodę. Z ciekawością ırzypatruję się szczegółom. Czuję, że mój podziw vprawia towarzyszącą mi *miss* w nieco ironiczny natrój ducha, jak gdyby miała przed sobą gapiącego się .a dziwy stołeczne wieśniaka. W końcu przewodnizka, osądziwszy, że za długo studyuję pustki, rob ilka kroków ku drzwiom, i odmyka—ścianę. W razie otrzeby dwa i trzy pokoje stanowić mogą olbrzymią alę. Otwiera się przedemną podobnie wielki pokój taką samą masą światła i powietrza. Nizkie stoliki iągną się jeden za drugim, każdy otoczony wieńcem robnych krzesełek, wśród których króluje jedno wielie, dla nauczycielki. Drugi i trzeci pokój, jedynie rzesełka wyższe. Zwiedzam ogródek froeblowski. nalazłem się w nim najniespodziewaniej i o najniewłaciwszej godzinie. Przechodząc, spostrzegłem napis zaszedłem, ufny, że mi drzwi niepokażą. Nie omyliem się co do uprzejmości zamorskiej. Raczej, przecivnie, poczynam żałować, żem wdał się w podobną wanturę. Zmęczony całodniowym pobytem w Niagaze, muszę teraz przeglądać rysunki i robótki dziatwy, łuchać wykładu metody i innych drobiazgów. Staram ię wywzajemnić swojej przewodniczce za jej uprzejıość okazywaniem ciekawości, co ona bierze za najepszą monetę, bo brnie coraz dalej. Moja *miss* op

wiada mi, w jaki sposób szkółka zapoznaje dzieciaków ze światem. Kiedy lekcya potrąci o statki, nauczycielka naówczas odbywa wycieczkę po jeziorze ze szkółką i pokazuje łodzie. Po powrocie w ciągu tygodnia dziatwa wycina z papieru, rysuje, modeluje to, co oglądała, bawi się w gry, naśladujące czynności załogi, uczy się śpiewów o żegludze. Oglądam stosy tych rysunków i modelów; nieraz trzeba posiadać sporo przenikliwości, ażeby odgadnąć, co czteroletni obywatel pragnął przedstawić. Nauka przestaje być arcynudną opowieścią o tem, że wróbel ma dwie, krowa zaś cztery nogi, że oczy są z przodu, ogon zaś z tyłu, ale wysoce zajmującem ćwiczeniem: dziecko własnemi oczyma ogląda, i to nie na obrazku, lecz w rzeczywistości, najprostszy przedmiot danej grupy, modeluje go i rysuje i tem samem uczy się czynić spostrzeżenia nad życiem. Później przechodzi do coraz trudniejszych, od wozu do wagonu, od wagonu do pociągu. Froeblowszczyźnie u nas grozi rutyna, w Ameryce tymczasem wre ona życiem i postępem. Szkoła, jaką zwiedzam, rozporządza całym gmachem, który był już na to przeznaczony w owej porze, kiedy kładziono pierwsze jego fundamenta. W pamięci stają mi swojskie ogródki, gnieżdżące się w ciasnych wynajętych lokalach, niekiedy nawet nierozweselane figlarnie przez okno zaglądającem światłem słońca. Rozmiary szkółki znaczne: udziela nauki z górą stu dzieciakom. Nie mogę powstrzymać swojego podziwu. *Miss* znowu się uśmiecha. Pogłaskana w dumie patryotycznej, opowiada, że zakład froeblowski, który zwiedzam, bynajmniej nie

jest najlepszym. Istnieją w San-Francisco gmachy z oszklonym dachem, ażeby więcej było światła i słońca, z rozmyślnie pielęgnowanymi klombami kwiatów, z galeryami dokoła domu, w których lekcye się odbywają podczas pogody. Dzieciaki mają w ogródku swoje grządki, kopią, sieją, pielą. Ba, czego tam niema! Gdzieindziej znowu jest coś podobnego, choć różnego. A tam znowu...—przerwijmy tę litanię.

Zmierzch zsunął się na ziemię, kiedy-m t. j. wreszcie kiedy-m został zwolniony. Musiałem złożyć amerykance obietnicę, że przyjrzę się wystawie froeblowskiej w Chicago.

20 czerwca, Buffalo.

Zwiedzam instytucye publiczne z redaktorem jednego z miejscowych organów polskich. Byliśmy w gmachu municypalnym i w więzieniu, zaszliśmy do straży ogniowej. Uprzejmość władz amerykańskich wprawia mnie w podziw. Choć przyszliśmy do więzienia w porze, kiedy wywieszona tablica głosiła, że nikogo nie wpuszczają, jednak po kilku słowach wyjaśnienia przełamano ten zakaz. Pozostawiono nas samym sobie: błąkaliśmy się bez żywej duszy po korytarzach więzienia, zaglądaliśmy przez kraty do celek, wchodziliśmy do tych, gdzie drzwi stały otworem, nikt nie kontrolował nas i gdybyśmy zechcieli, moglibyśmy pozostać jak najdłużej. W straży ogniowej dyżurny oprowadzał nas z pół godziny i tłómaczył mechanizm organizacyi, pokazywał przyrządy. Dowiódł nam uprzejmości, niemożliwej w Europie i nawet niezrozumiałej. Dodajmy, że

nie oczekiwał napiwka, o którym za Atlantykiem nie mają pono najmniejszego pojęcia.

* * *

Żony inteligencyi europejskiej, która za zarobkiem wywędrowała do Nowego Świata, są bardzo niezadowolone z tutejszych stosunków. Niema służących i dama europejska sama zamiata pokoje, krząta się koło kuchni! Do służby idzie tylko świeża przybyszka, lecz rzuca to zajęcie, jak tylko zapozna się ze stosunkami, które wyglądają coraz gorzej — dla pań, im dalej posuwamy się ku Zachodowi. W Buffalo najniższa zapłata wznosi 3 dolary—dwa razy tyle rubli!—tygodniowo. Służąca z państwem siada do stołu i jej dzień roboczy kończy się o szóstej wieczorem. Sprawa służby jest „kwestyą palącą“ wśród uboższych warstw klasy „wyższej.“ Śmietanka plutokracyi posługuje się murzynami; te istoty „niższej“ rasy, na której ciąży, niby przekleństwo, tradycya dawnej niewoli, mogą być usuwane od owej poufałości, do której biały służący rości prawo na zasadzie zwyczaju. Domy, które u nas prócz kucharki trzymają jeszcze pokojówkę, obchodzą się tutaj bez jednej i drugiej. Rodzina często mieszka z tego powodu w szczególnego rodzaju hotelach, rozumie się, jeżeli posiada dostateczne środki. Jeżeli nie, to pani musi pracować w kuchni. Owocem tego jest niezmierna degradacya gustów gastronomicznych. Zupy zwykle nie gotują, za dużo bowiem pochłania czasu. Konserwy mięsne i rybne, które można dostać w pudłach, ciasta, owoce, stanowią podstawę obiadu. Wszystko podaje się jednocześnie, nawet jeśli jest parę go-

ących potraw, aby gospodyni nie potrzebowała wstawać podczas obiadu.

Inteligencya emigracyjna obu płci skarży się gorzko na Amerykę. O ile przybysz robotnik mniema, że dostał się do raju, o tyle tamta sarka. Kultura amerykańska płynie szerokiem łożyskiem, ale wyrosła ona z ludu, nadto dopływy, które wciąż do niej się wlewają, składają się z pierwiastków tego samego pochodzenia. Potrzeby, zwyczaje, upodobania estetyczne są wielce różne od tych, do jakich przywykł inteligentny europejczyk, wychowany w atmosferze, która dojrzała wśród przywileju i wolnego wczasu.

25 czerwca, w drodze pomiędzy Buffalo a Chicago.

Jadę najwolniejszym pociągiem, jaki istnieje pomiędzy temi miastami, „emigracyjnym,“ pragnę bowiem zapoznać się z wychodźcami, wśród których napewno spotkam rodaków. Nadmieniłem, jak obłuda plutokratyczna, pod maską równości, stworzyła w pociągu amerykańskim faktyczną nierówność. Znalazła jeszcze inne sposoby na obejście tradycyi demokratycznej: zaprowadziła pociągi różnej prędkości. Każdy posiada własne imię i przebiega daną przestrzeń w innym przeciągu czasu lub w innej porze dnia. Różnice w czasie są olbrzymie. Mój pociąg chociaż jedziemy z nieznaną u nas prędkością, będzie się wlókł niemal całą dobę, tymczasem sławny *Flyer*, kursujący od paru tygodni na linii Hudsońskiej, przebyłby tę odległość w dziesięć godzin. Cena zależy od szybkości, może nawet od tego, czy pociąg przerzyna okolicę podczas dnia lub

nocy i daje lub nie daje oczom rozkoszy napawania się widokami. Nałożono haracz nawet na przyjemność, jakiej doznaje moja siatkówka, kiedy przygląda się przyrodzie z okien wagonu. Nic darmo!

* * *

Odkrywam rzecz nową. Mój pociąg ma nawet nominalnie dwie klasy. Obłuda zrzuciła maskę i wystąpiła otwarcie. Póki szło o amerykańskich współobywateli, trzeba było zachować pozory. Ale *greenerzy* nie są jeszcze ludźmi! Wrzucono ich do wagonów tylnych, z których w jednym sadowię się mimo niechęci konduktora, radzącego udać się do należnej mi klasy pierwszej. Wygląd zewnętrzny świadczy, że są to apartamenta paryasów. Wchodzę do środka. Zamiast wyściełanych fotelów, siedzenia słomkowe, czystość nie tak wzorowa, konduktor mniej uprzejmy. Swoją drogą urządzenie jest idealnem w porównaniu z naszą klasą trzecią. Dodajmy, że cena biletów jest niższą, niż innych miejsc w pociągu, oraz że dostaje je tylko rzeczywisty wychodźca.

Jestem wśród istotnej wieży Babel. Włochów najwięcej, brud na nich i dokoła nich domaga się, aby go uznano za objaw ducha narodowego. Kilku niemców i skandynawczyków, garstka polaków z Augustowskiego. Jadą do Chicago, ponieważ tam mają znajomych; jeden, wyrostek 18-letni, spowiada się przedemną ze swoich zuchwałych planów. Chce koniecznie być pisarzem prowentowym i udał się do Ameryki, ponieważ spodziewa się, iż nadzieje jego ziszczą się tam rychlej.

* * *

Nie mogę oderwać wzroku od okolicy, po której przejeżdżamy. Bogactwo przyrody amerykańskiej występuje w całej pełni. Piasków nie dostrzegam, trawa do pasa. Głębokie wąwozy przerzynają od czasu do czasu powierzchnię mocno sfalowaną. Pola orne noszą jeszcze widoczne ślady, że pług rolnika od niedawna kraje tę glebę, często bowiem pnie przeglądają z pod szaty zbożowej. Na parę godzin przed Clevelandem ciągną się nieprzerwanie plantacye owocowe. Nigdzie na widnokręgu nie widzę wioski: każda chata stoi daleko jedna od drugiej, przeszłość barbarzyńska nie pozostawiła po sobie zewnętrznego szkieletu dawnej solidarności gminnej w postaci wioskowego skupienia. Od najpierwszej chwili człowiek osiedlał się według zasad własności prywatnej i zgodnie z tem budował swoje siedziby. Domki uśmiechają się do nas z po za gąszczów, swoim powabem przypominają mi raczej nasze wille, aniżeli chałupy włościańskie. Obfitość osad i wzajemna blizkość świadczą, że jestem wśród obszarów drobnej posiadłości. Poszukuję śladów rutyny chłopskiej w uprawie gruntów. Lecz z okien wagonu nie dostrzegam owej szachownicy zbóż, jaka ściele się przed okiem w Starym Świecie. Świadczy to o większym rozmiarze fermy i o racyonalniejszym trybie gospodarowania. Rolnik nie dba tutaj jeszcze o każdą piędź ziemi, ale o to aby oszczędzić sobie wysiłków. Nie wznosi płotów. Kładzie na ziemi pal, drugi w pewnej odległości, ich końce łączy trzecim itd., aż powstaje rusztowanie, które biegnie zygzakiem, zajmując spory zagon ziemi. Niekiedy na łące pasie się kilka

i kilkanaście krów, które niczem nie przypominają chu doby naszego włościanina. Na przestrzeni sześciu go dzin drogi tylko raz jeden zobaczyłem człowieka, pra cującego w polu. Zdaje się iż bronował, ale nie ręcz Narzędzie było nieznanych mi kształtów, posiadał w górze siedzenie, na którem usadowił się rolnik.

Od czasu do czasu przejeżdżamy przez większ miasteczka. Czynią one wrażenie czegoś niedokończo nego. Ulice zawsze znacznej szerokości, nizkie, dre wniane domki, bogactwo drzew, tramwaj elekryczn oczekujący przed torem kolejowym, wzdłuż ulicy la tarnie kształtem swoim zdradzające, że światło czer pią z tego samego źródła, środkiem zaś ciągną się ku py śmieci i niema bruku.

* * *

Przy wjeździe do Clevelandu musieliśmy oczeki wać w jednem miejscu parę minut, zanim towarówk nie oczyściła nam drogi. Kilku robotników, którzy pra cowali na torze, podeszło do wagonów emigracyjnyc i rzuciło wyglądającym stąd twarzom obelżywe *scabs* Z oczu pałała nienawiść. *Scabs!*—w tym wyrazie zawie ra się cała historya potoku emigracyjnego. Przybys jest pożądanym gościem jedynie dla możnowładców kapitału, ale dla warstwy najemników to zwiastu nędzy. Nie dlatego, aby na ziemi amerykańskiej za brakło dla kogoś chleba i pracy. Nie! Jest ona jeszcz niezaludnioną i zdoła dać przytułek niejednemu milic nowi rozbitków. Ale emigrant, np. owi brudni włos których w pierwszej chwili wziąłem za bandę cyganów jest człowiekiem o nizkim poziomie potrzeb, najmnie

sza płaca jest jeszcze dla niego bardzo dobrą. Gdziekolwiek wtargnie, obniża skalę zarobkową i odbiera zajęcie staremu obywatelowi.

* * *

Zaczynam żałować, że nie jestem w swoim wagonie. Rzęsiste światło pozwalałoby na czytanie najdrobniejszego druku, wygodne siedzenia zachęcałyby do pracy. Tymczasem tutaj, w wagonie emigracyjnym, zaledwie odróżniam wyrazy, lampki słabo mrok rozpraszają, choć silniej, aniżeli po tamtej stronie Oceanu. Przeglądam opis sławnego *Flyera*, rozdawany darmo na dworcach. Niewielka, elegancko wydana broszura, z mnóstwem planów i rysunków, winna mojem zdaniem nosić inny tytuł: jak podróżują plutokraci amerykańscy. Olbrzymie odległości sprzyjają ulepszeniom: pociągi są hotelami na kołach, gdzie możemy znaleźć łóżko, obiad, czytelnię, nawet wannę. Zamożność kraju odbija się w zbytku, o jakim Europa niema wyobrażenia. Aksamit i jedwab, mahoń i marmur, oto materyały, z których zrobiono meble, ściany są złocone i ozdobione rzeźbą.

Flyer kursuje raz na dobę po linii Hudsońskiej i przebiega milę angielską w 32 sekundy! Czas dla plutokraty amerykańskiego, to pieniądz, potrzebuje on szybkich a wygodnych i bezpiecznych pociągów i gotów za to grubo płacić. Pociąg składa się z 3—4 wagonów, miejsca należy zamawiać z góry: nie trzeba będzie maszynie ciągnąć próżnych siedzeń. Nawet przeniesiono do pociągu cząstkę giełdy, bo drut telegraficzny na każdej stacyi przynosi wiadomość o kursach, kondu-

ktor wywiesza je w wagonie. Plutokraci wysyłają odpowiednie rozkazy i niejeden może, siedząc w pociągu, zgarnia miliony!

* * *

Słońce ukazało się nad widnokręgiem. Z pośród mgły, która zwolna opada, wynurzają się łąki bez końca. Gdziekolwiek oko sięgnie, nieskończona powierzchnia zieleniejącej trawy, miejscami sucha, gdzieindziej pluszcząca od wody. Niekiedy mignie ślad ręki ludzkiej. Człowiek zjawia się tutaj w niektóre pory roku, kosi trawę, w prasie wyrabia z siana cegły, składa je w piramidy i rozsyła kolejami w różne zakątki lądu amerykańskiego. A zatem jest to gospodarstwo rolne, polegające jedynie na produkcyi siana!

Oko ucieka w kierunku zielonego morza od widoków, jakie ogląda przed sobą w wagonie. Zaczynam uniewinniać amerykanów. Rozumiem teraz, że przykra konieczność może zmusiła ich do odgrodzenia wychodźców i dania im gorzej urządzonych przedziałów. Wagon zamienił się na chlew! Od naczynia z wodą biegną strugi, *greenerzy* myją się nad podłogą, mimo że miska sterczy pod kranem. Dokoła włochów kupy śmiecia. I gdyby tylko śmiecia!...

19 czerwca, Chicago, city.

Ulice bez końca, brudy przewyższające wszelkie pojęcie, okopcone domy, nad nimi atmosfera kurzu, sadzy i pyłu, przez którą przeziera krwawe słońce, nawet podczas upału ślady błota na ulicach, niebrukowane zaułki, godne jakiegoś Ciechanowa, rzędy wie-

łopiętrowych koszar w środku miasta, dalej szeregi coraz drobniejszych drewnianych domków aż do parterowych, ciężkie powietrze, tamujące oddech w piersiach — oto pierwsze wrażenie, które odniosłem, kiedy-m po raz pierwszy znalazł się w osławionem mieście. Bawię już od tygodnia i nie nabrałem jeszcze lepszego wyobrażenia. Dodajmy do tego nieustające skwary. Słowem, Chicago, przynajmniej dzielnice, które poznałem dotychczas, są w najwyższym stopniu opuszczone. Kiedy wracam późnym wieczorem do domu, stąpam ostrożnie: chodniki, z desek, obfitują w wyniosłości i doły.

Niezmierne przestrzenie, ulice, ciągnące się po parę mil naszych, drobne domki drewniane. Rzekłbyś, ktoś złożył do kupy kilka setek Szreńsków, Przasnyszów i Radzyminów, tylko ulice uczynił regularnemi i szerokiemi oraz opatrzył je siecią drutów telegraficznych i telefonicznych. Porównanie to daje najlepszy obraz miast amerykańskich, leżących ku Zachodowi.

23 czerwca, Chicago, wystawa.

Z balustrady, otaczającej dach głównego tułowia gmachu przemysłu i sztuki, podziwiam wystawę, która ściele się u nóg moich ze swoimi białymi budynkami, kobiercami zieleni i gajami krzewów, stawami i wysepkami, pełna pełzającego a różnokolorowego robactwa ludzkiego. Życiem swojem i ruchem odbija ona ostro od nieskończonej tafli jeziora, gładkiej, czystej, spokojnej. Z przeciwnej strony rozpostarło się miasto.

Bliższe części — dzielnice zamożnego obywatelstwa, kąpiące się w zieloności — istnieją jeszcze dla oka, lubo już przyćmione lekkim całunem mgły z kurzu; dalsze nikną zupełnie wśród tumanów sadzy, jedynie kominy fabryczne wynurzają się z tej chmury i dymią jeszcze ciemniejszym obłoczkiem, który zwolna rozpływa się w okalającej atmosferze pyłu. Jeszcze dalej sterczą baszty, może „drapacze nieba,“ ale nie jestem pewny, bo w nieprzezroczystem powietrzu tracę wszelką zdolność odróżniania. Okropny widok! Tutaj, na balustradzie, gdzie kąpię się w morzu czystego powietrza i w niezbrukanych blaskach słońca, a u stóp mam niezmierzoną czystość fali jeziorowej i tafle zieleni, tutaj wszystkie moje zmysły buntują się przeciwko przeklętym warunkom hygienicznym, w których jęczą miliony istot ludzkich. Izby bez światła, place bez roślinności, tumany kurzu, najrozmaitsze smrody! Czy miasta nie są istotnymi wrzodami na ciele społecznem? Rozumiem Ruskina, który ze względów estetycznych rzucił rękawicę wszechwładzy industryi nowoczesnej. A jednak—jednak Chicago to jeszcze ideał: nie posiada suteryn, ludzie nie gnieżdżą się jak króliki w wielopiętrowych domach, ulice są szerokie.

Myśl ze wstrętem ucieka od obrazów, które splamiły czystość przyrody, i buja nad tem, co mnie bezpośrednio otacza. Kiedy błąkam się na dole, po powierzchni parku Jacksona, to mam zawsze do czynienia tylko z cząstką Białego grodu. Całość rozprasza się i rozpływa w drobiazgach. Jestem wtedy, jako kret estetyczny, wyróżniający „subtelności,“ ale nie zdol-

ny do ujęcia całokształtu. Tutaj, na wyniosłości, zdaje się, dwustu stóp, „subtelne,“ t. j. krecie, zarzuty i zachwyty stają się naiwnie śmiesznymi. Chaotyczne tam na dole zbiorowisko budynków układa się w harmonijną i potężną mozajkę. Jak wszystko, co jest potężnem i śmiałem, budzi w duszy widza okrzyk zachwytu i uderza w stronę marzycielską. Majaczy mi się, jakbym stał wobec zewnętrznego szkieletu dalekiej przyszłości! Podziwiam olbrzymie kopuły, na których zbudowanie niegdyś trzeba było dziesiątków lat i mistrzów kunsztu murarskiego, a które dzisiaj rodzą się i dojrzewają w ciągu kilku tygodni. Albo czyż nie arcydziełem jest gmach, na którego wierzchołku puszczam cugle swojej wyobraźni? Potrzebuję kilkunastu minut, aby obejść balustradę; z pod niej wznosi się w górę dach szklany głównego korpusu, u nóg zaokrągla się i spada olbrzymia powierzchnia dolnego sklepienia i kiedy spadła, znowu podnosi się i piętrzy śpiczastym dachem, rozpostartym na pawilionami. Wuj Sam chwali się, że glob ziemski po raz pierwszy dźwiga na swoim grzbiecie takiego potwora. Nowy wiek architektury wynurza się przed nami — wiek żelaza, szkła i staffu, który swawolnie łamie tradycyjne formy, kpi z trudności architektonicznych, szydzi z siedmiu cudów starożytności. Myśl podniecona szybuje ku przyszłości i ze skrawków Białego grodu układa kanwę poetycką. Ziemia zamieniła się na jeden olbrzymi ogród-pole, na którego łonie uwija się nowa rasa ludzka: silna, zdrowa. Porzuciła ona niektóre maszyny, bo mięśnie łakną ćwiczenia fizycznego; ludzie wolą własnoręcznie gra-

bić siano, niż rozkazywać automatom-maszynom. Wśród pól zieleni i gajów-sadów wznoszą się budynki takiej struktury, jaka rozsiadła się w Białym grodzie. Olbrzymie te gmachy są tylko namiotami, które w kilka dni będzie można rozebrać i przenieść gdzieindziej na karku posłusznej kolei—tam, dokąd przesiedla się horda cywilizowanych koczowników. Ów plusk bałwanów jeziora, pociągi kolei elektrycznej, jako wąż wijące się na torze co minuta, płynące potoki głów ludzkich, wszystko to sprzyja, aby myśl skojarzyła daleką przyszłość z koczownictwem. A wśród tych hord przyszłości, przenoszących się ze swoimi namiotami z pól nad morze lub w góry, tu i owdzie będą sterczały całe dzisiejsze miasta, opuszczone, z kilku dozorcami, jako pomniki po ubiegłej, osiadłej przeszłości, tak samo, jak dzisiaj na niedostępnem urwisku śpi zamek sępów średniowiecznych, okrutnych, rozbójniczych, ale odważnych i nie frymarczących honorem.

Jedno pytanie dobywa się z głębi na morze świadomej myśli. Gdyby Novalisa lub któregoś z romantyków posadzono na balustradzie, po której chodzę, czy i wtedy uciekaliby oni wyobraźnią do średniowiecznej rozmaitości? Czy cały romantyzm nie był jękiem natur, zduszonych w rozwijającym się szablonie filisterstwa mieszczańskiego z jego krecią estetyką „subtelności,“ poszanowaniem biurokratycznej gładkości stylu i kultem taktu?

24 czerwca, Chicago, wystawa.

Przedemną przesuwa się fotel na kołach. Dama

rozparła się w nim i poufale gwarzy z młodzieńcem, pchającym ją z tyłu. Twarz młodzieńca oddycha inteligencyą i śmiałością, jasnobłękitna kurtka świadczy, że należy on do służby wystawowej, która zarobkuje, wożąc widzów w fotelach.

Ciekawa to karta zwyczajów amerykańskich, jedna z tych, które sprawiają, że wróciwszy do kraju, długo będę tęsknił po Ameryce. Kiedy organizowano służbę przy fotelach, studenci miejscowego uniwersytetu zastrzegli sobie pierwszeństwo i w ten sposób zdobywają środki do dalszych studyów. Praca nikogo nie wstydzi! Zasada ta kwitnie w Stanach Zjednoczonych, prosty drwal, jeżeli posiada na karku przedsiębiorczą mózgownicę, może marzyć o wielkiem stanowisku. Nasz student spoliczkowałby tego, kto zaproponowałby mu takie źródło utrzymania. Woli on, ażeby nóżki roztańczonych dam pracowały na niego na dobroczynnych balach, jałmużna go nie wstydzi, ale praca by zhańbiła...

25 *czerwca*, *Chicago*, *State street.*

Życie społeczne miewa swoje objawienia. Właściwe mu dążności występują wtedy z całą mocą i wyrazistością. Ulica *State* w godzinach południowych, kiedy *business* idzie najżwawiej, jest takiem wcieleniem istoty dzisiejszego społeczeństwa. Jak oko zasięgnie, tłoczą się ludziska i tworzą nieprzerwaną masę, która posuwa się zwarcie, ktoś niekiedy z niej wyskoczy, przebiegnie kilka kroków ulicą i znalazłszy wolniejsze miejsce w tłumie, znowu w nim tonie. Zwartość ginie, kiedy znajdziemy się w potoku. Każdy idzie

inaczej, ten spieszy się jak opętany, tamten stawia czoło unoszącemu go prądowi. Każdy dba tylko o siebie, cudze odciski lub sukienki wcale go nie obchodzą. Jeżeli idziesz wolno, a nadto zachowasz w sobie źdźbło grzeczności, t. j. względność na innych, będziesz popychany na prawo i na lewo, deptany, szturgany. Gdy ktoś nastąpi ci na nogę lub potrąci łokciem, to nie oczekuj przeprosin, naprzód bowiem niema na to czasu, powtóre to nie jego, lecz twoja wina, żeś nie miał się na baczności. I nie tylko twoje odciski, ale i zegarek jest zagrożony. Pilnuj jednych i drugiego! Każdy zatem patrzy z podełba na wszystkich, ci na niego. *Homo homini lupus est*, taka zasada rządzi ludzkim potokiem na *State street*. Nastało najdoskonalsze równouprawnienie płci: mężczyzna nie ustąpi kobiecie, kobieta zaś, kiedy noga męzka przydepcze jej frendzelek u sukni, niech nie czeka uniewinnienia. A kiedy spadnie ulewa i parasole rozepną się w górze nad głowami, nastaje wtedy istna bójka—prawo mocniejszego panuje, pięść zwycięża, etyka oparta na solidarności zostaje wyklętą. Zbiorowisko wrogich atomów — nic więcej! Na drobną skalę obraz społeczeństwa *business*'owego.

27 czerwca, Chicago, City.

Dziatwa jest władczynią ulicy. Łobuzerya nieodrosłych od ziemi obywateli przewyższa wszelkie pojęcie, do jakiego jest zdolnym mózg przybysza. Europejscy rodzice, gdyby zostali obdarzeni taką urwisującą się pociechą, sądziliby, że wydali na świat szu-

bieniczników. Moi znajomi, wychowani w Starym Świecie, którzy zrządzeniem losu znaleźli się teraz za Atlantykiem, nie szczędzą słów oburzenia. A jednak z tych urwisów nie wychodzą szubienicznicy, lecz obywatele kraju, samodzielniejsi i energiczniejsi, aniżeli obszczypane i strzyżone pisklęta naszej części świata, przyzwyczajone, ażeby je długo otaczano skrzydłem opieki. Sześcioletni smarkacze zarabiają na utrzymanie sprzedażą gazet, dwunastoletni czynią dalekie wycieczki. W dzisiejszej gazecie telegram przynosi wiadomość o takim obywatelu z północnej Karoliny. Postanowił zobaczyć wystawę i piechotą wyruszył z domu. Tylko co przybył do miasteczka w stanie Tenessee, zrobiwszy 130 mil. Nikt go nie zatrzyma i nie odstawi do rodziców.

Kilka obrazków swawoli. Wieczorami, w pośrodku ulic — dodajmy, zbudowanych z drzewa — palą się ogromne ogniska. To młode pokolenie rozwesela sobie nudy życia i urządza *autodafé*, na którem często znajdzie się może elementarz, częściej deska, wykradziona z chodnika lub z ściany chlewka. Ilekroć wyjdę przed próg mojego mieszkania, mogę oglądać, jak z chodnika—wystaje on o parę stóp nad ulicę—gromady chłopców i dziewcząt wdrapują się na latarnię i po niej zjeżdżają. Do częstych rozrywek należy podkładanie kamieni pod tramwaje. Pociąg łamie z trzaskiem lub odsuwa przeszkodę, sprawcy trzymają się opodal — wiedzą, że mogliby otrzymać od konduktora niezbyt przyjemną nagrodę, jedynie trzyletni bęben, bierny towarzysz czynu, stoi tuż przy relsach, dłubie w nosie

i z dumą przysłuchuje się przekleństwom konduktora. Niekiedy młodzi obywatele wprawiają się w rzucanie kamieni, zaś niewiele dbają wtedy o to, że jakiś pocisk przeleci zbyt blizko nad głową starszego współrodaka. Za tydzień uroczystość czwartego lipca. Dziatwa wuja Sama z namaszczeniem wprawia się do niej; na ulicach i zaułkach strzelają już petardy, rakieta wysuwa się z pod nóg przechodnia. Malcy podkładają eksplodujące kapsle na szyny tramwajów, prócz huku niema innych następstw.

2 lipca, Chicago, wystawa.

Zaczarowany siedzę wśród hałasu i łoskotu poruszających się maszyn w dziale rolniczym. Jestem jako ów tłum, który oglądam na danej mi reklamie. Różnej mowy i różnego stroju ludy gapią się na cuda, które w okienku pokazuje im wujaszek Sam—sprężyna się obraca i w otworze kolejno ukazują się nieznane formy sprzęty rolne. Sądzę, że gdyby wzięto naszego wieśniaka, który spędził swoje życie w pracy nad macierzą-ziemią, którego ojcowie i praojcowie nie znali innego zarobku, przeniesiono go tutaj i powiedziano, że znajduje się w obliczu maszyn rolniczych, obraziłby się na sowizdrzała, szydzącego z jego prostoty. Po długiem chodzeniu odkryłby wreszcie kilka znanych sobie kształtów: poznałby pług, raczej domyśliłby się, że to narzędzie musi być pługiem—z ostrza co stanowi najrutyniczniejszą składową część rynsztunku, jakim człowiek kraje łono ziemi. Zdziwiłoby go w pogańskim pługu tylko siedzenie, unoszące się w górze. Co to zna

czy? Czyżby parobek, względnie wieśniak zamorski pozwalał sobie aż na takie fanaberye, czyżby siedział na pługu i swojem ciałem przysparzał ciężarów biednemu bydlęciu? Niestety, miewa on takie zachcianki, i siedząc na pługu trzyma jeszcze w gębie cygaro i czyta gazetę...

Błąkam się po gmachu, na którego murze spostrzegam w jednem miejscu napis: „epoka żelazna w rolnictwie,“ i przypatruję się sterczącym przedemną zagadkom. Do jakiego celu np. służy ów szereg widelców, ułożonych niby szpryce koła od wozu, zachodzących przy swoim obrocie na inne szpryce, te zaś jeszcze na dalsze? Albo czem jest owo płótno pod obracającą się drabiną, które zrobiwszy obrót, wraca na swoje miejsce. Nieznane mi to kształty, z nieznanem przeznaczeniem. A jednak sporą część swego życia spędziłem na wsi i znam swojskie sprzęty gospodarskie. Jedno zrozumiałem: amerykanin nie trudzi nóg swoich chodzeniem. Na każdej niemal łamigłówce umieszczono siedzenie: ono ułatwia mi odcyfrowywanie nieznanych kształtów. Domyślam się, że gdziekolwiek jest krzesło, tam mam przed sobą narzędzie, które porusza się po polu, jest przeinaczonym sierpem, kosą, broną, ręką rzucającą ziarno—pługi wykluczam, bo je odrazu poznaję po ostrzu. Gdzie niema siedzenia, tam stoją przedemną zmienione cepy, widły do podawania i inne pokrewne narzędzia. Teraz, kiedy uskuteczniłem tę pierwszą linię klasyfikacyjną, łatwiej odgaduję, do czego służą różne rebusy. Czynię to już od dni kilku. Do pomocy przychodzą mi rozdawane przez każdą fir-

mę katalogi z różnobarwnemi malowidłami. Do rysunku dołączono opis użycia, jednocześnie dodano inny, pokazujący, jak człowiek radził sobie w przeszłości. To zestawienie europejskiej rutyny i amerykańskiego postępu dają mi klucz do tajemnic zgromadzonej w gmachu techniki agronomicznej.

Przy wychodnem spostrzegam swojską sochę i parę innych zabytków, które dotrwały u nas od czasów legendowego potopu. Czyżby i one były jeszcze w użyciu? Nie! Napis opiewa, że takiemi narzędziami uprawiano ziemię w Misouri w r. 1840. A zatem to ustęp z muzeum starożytności, antyk pokazywany jako ciekowostka...

3 lipca wieczorem, Chicago, City.

Tłumy ludzi zamknęły mi drogę. Wzdłuż ulicy ciągną się, niby węże, olbrzymie rury z tkaniny. Przechodzę *block* jeden jeszcze. W mrokach nocy niejasno rysują się potwory, parskające kłębami dymu z kominów, a w dole gorejące ogniem. Jeden, drugi, piąty... To sikawki parowe! Stoję w obliczu amerykańskiego pożaru!

Płomieni nie widzę. Z po za tego, to znowu tamtego domu unoszą się słupy dymu. Po uważniejszem spojrzeniu okazuje się, że pochodzą od maszyn parowych. Wreszcie spostrzegam rusztowania drabin. Ogień widocznie już ugaszono. Dziwi mnie, że nie widzę łańcucha strażaków, że tłumy zewnątrz oblepiły dom, w którym wszczął się pożar. Wśród tłumu kręcą się malcy i—jesteśmy w przededniu 4 lipca! —rzucają ra-

kiety po nad głowami publiczności, pod nogami zaś drobne kapsle eksplodujące. Spora rakieta pryska, kręci się po ziemi i pluje deszczem iskier, a bosy urwis wśród niej tańcuje. Hałas parowych sikawek, wystrzały rakiet, szmer tłumów, ścisk, głosy świstawek — doprawdy, jesteśmy wśród bombardowanego miasta! A!— *policeman!* Z zdziwieniem spoglądam na tę poważną postać, zapomniałem bowiem o jej istnieniu. Stoi on niby hetman z buławą i z flegmatycznym spokojem spogląda na malca, tańcującego wśród rakiety.

4 lipca, Chicago, City.

Od wczorajszego wieczora jestem jak gdyby w oblężonem mieście. Nieustający huk rakiet przeciągnął się do późnej nocy — usnąłem wśród jego odgłosów. Wystrzały, niby armatnie, obudziły mnie o piątej, odtąd nie zamilkły ani na chwilę. Wszak to dzień Św. Dżulaja, jak o 4 lipca mówi amerykanin „polskiego wyznania.“ W gazetach pełno karykatur. Wuj Sam skacze na jednej nodze, jak opętany, strzela z rewolweru, rakiety pękają na ulicy, iskry pryskają w powietrzu. Lecz najwięcej poświęcono miejsca nieodrosłemu jeszcze od ziemi bohaterowi dzisiejszej uroczystości. Jedna z karykatur: dziewiąta rano, olbrzymie pudło rakiet już puste, zaś malec naprzykrza się płaczem o inne. Druga: obywatel *policeman* stoi wyprostowany z wzniesioną do góry buławą w ręku i czatuje, jak mu wczoraj kazano, na rakiety w wązkich uliczkach — wśród rzędów drewnianych domów. Mogą one cały zaułek przekształcić na stos płonący.

Stróż porządku publicznego wytrzeszcza ślepie z gorliwości, a tymczasem bęben podsunął olbrzymią rakietę pod tę czcigodną osobę, podpalił lont i nie czekając dalszych następstw, cmycha, co sił starczy. Wniosek: pozostawmy wszystko swobodnemu biegowi i usuńmy stróżów, którzy są zbyteczni na ziemi Washingtonów.

Moja gospodyni skarży się przedemną na swoją dziewczynkę, że nie jadła nawet śniadania i poleciała puszczać rakiety. Szał opanował młode pokolenie, prócz fajerwerków nic dla niego nie istnieje. Smarkate obywatelstwo tłoczy się na ulicach; jeden stanął w pośrodku chodnika i wywija małą rakietą, która opryskuje przechodniów rzęsistym deszczem iskier, inny skierował swoją, poważniejszych rozmiarów, na ulicę i podpala, nie dbając w jakim kierunku wybuch nastąpi. Musisz iść uważnie, bo chłopiec na nic nie zważa, nawet na swego przyjaciela-pomocnika: jeden z nich przykłada lont, drugi przygląda się, zapomniawszy, że ogień w twarz mu buchnie. Inni, którzy wystrzelali swoje zasoby i od rodziców nie mogą wyprosić „floty“ na nowe, latają jak psiaki wściekłe; gdziekolwiek zoczą przygotowania, pędzą, ażeby być chociaż świadkami. Po drodze zachodzę do znajomego lekarza. Akurat opatruje on dziesięcioletniego malca, któremu towarzysz wpakował w twarz kilka ziarnek. Winowajca, który to uczynił, oczekuje w drugim pokoju na rezultat operacyi i płaci lekarza — z własnej kieszeni. Druga to już dzisiaj! Bohater pierwszej przybył zaniepokojony, że może utną mu palec. Obawa była płonną, z radością więc poddał się drobnej operacyi. Tylko

ıatka utyskiwała, że do południa puścił z dymem nietylo dolara, ale nadto wyciągnął jej drugiego na lekarza.

Ciekawe to obrazki. Świadczą wymownie o swoıodzie, jaką cieszą się dzieci.

Wychodzę znowu na ulicę. Huk nieustaje. Nieiedy na chodnik wypada dorosły obywatel i strzela fuzyi, to znowu przez okno wychyli się ręka — dorawdy dłoń kobieca!—i puszcza w górę wystrzał z reɿolweru. Ciągły grzmot wydobywa się z pod tramwaów. Nie dziw, kapsle sterczą na szynach i eksplodują. Vinowajcy nietylko nie umykają, ale jeszcze do adących mierzą rakietami. A co będzie wieczorem, iedy noc swoją szatą przyćmi światło dzienne i mroki ozpostrą się, żądne efektów ognistych?

7 lipca, Chicago, City.

Próbki reklam nad sklepami: „Magazyn mód, największy na całym globie ziemskim,“ „Największa za lwa centy gazeta na świecie.“ Próbki opisów: „Największa i najcięższa na ziemi sztuka stali, podniesiona ıa wysokość, na jaką nigdy takiego ciężaru nie podnoszono.“ „Fajerwerki, jakich świat jeszcze nie oglądał, puszczone na nieznaną wysokość.“ Kiedy niepodobna uż wpakować globu, to miejsce jego zajmuje stan, dzielnica, wreszcie chociażby ulica. „Nasz magazyn, największy na ulicy.“

Amerykanin niesłychanie uprościł estetykę. Polega ona na wysokich cyfrach! Jeżeli opiewa wspaniałości parku, gmachu, mostu, zaczyna od tego, ile poszło cegieł, drzewa, szkła. Mniej obchodzi go wygląd zewnę-

trzny, to, na co miłośnik piękna naprzód zwraca uwagę; więcej — czy dany twór ręki ludzkiej przewyższy pod względem jakiegoś rozmiaru swoich współbraci na ziemi. Jeżeli nie, to najpiękniejsza rzecz traci dużo nawet wszystko ze swego uroku. Mniemam, że Apollo belwederski nabyłby w jego oczach stokroć więcej wartości, gdyby był tak wysoki, jak nowoyorski posąg Wolności, albo zrobiony z niezwykłego materyału, np. z żelaza, wziętego ze spadłych meteorów. Przewodniki skrupulatnie czynią zadość takiemu artystycznemu smakowi—dorobkiewiczów-Geldhabów! Otwieramy jeden z nich i akurat natrafiamy na opis obrzydliwej budy, mieszczącej w sobie teatr, hotel i mnóstwo kantorów. „Pomiędzy wspaniałymi budynkami naszego miasta — czytamy — *Audytoryum* jest najwspanialszym. Najsławniejszy to gmach na lądzie amerykańskim: przytułek wielkiej opery, przepiękny hotel mamutowej wielkości, siedziba wielu *office*'ów — niepodobna znaleźć na globie budynku, któryby z nim wytrzymał porównanie. W sobie upostaciował on nowożytną ideę budowniczą, jak rzymskie Kolizeum—starożytnego świata. Duch chicagoski drga w nim i przemawia z jego struktury."

Zaprawdę jest on kwintesencyą chicagoskiej estetyki: posiada dziesięć pięter w głównym tułowiu szesnaście zaś w paskudnej wieżycy, waży 110 tysięcy tonn, zużył 17 mil. cegieł, rury gazowe i wodociągi mają 25 mil. długości, lamp elektrycznych znajduje się dziesięć tysięcy. Ustęp to z estetyki miejscowej!

Gust ów ku wielkim rozmiarom spotkałem wszę

dzie w Ameryce, ale w „największem mieście żywnościowem“—*biggest live city* jest jednym z przydomków Chicago—przyjął on formy przesadne. Obywatel tego grodu uwielbia przymiotniki najwyższego stopnia. Gdzie ich nie może zastosować, tam rzecz traci dla niego na wartości. Chicago w swoich murach posiada tyle przedmiotów, istotnie największych na świecie, że jego rodowitym mieszkańcom przewróciło się w głowie. Artyzm jęli szacować łokciem i miarką. Wogóle zasługiwałaby na studya dusza „zdobywców świata“ (przezwisko chicagowiaków). Nie znam żadnego z pośród miejscowych psychiatrów, bo zagadnąłbym go o naturę tutejszej *maniae grandiosae*, czy nie uwidocznia ona w sobie tych rysów, jakie przemawiają z szyldów. W starej części świata obłąkaniec wielkości uważa siebie za papieża, króla, hrabiego, nad Michiganem chyba za największego bankiera na globie, za osobę, która zbudowała najwyższą wieżycę... Mania ta istnieje w łagodniejszej postaci wśród plutokratów miejscowych. Zarodki jej objawiają się też w żargonie prasy, która wyznaje estetykę Geldhabowską i splugawiła swojem tchnieniem dzielne postacie przeszłowiekowego drobnomieszczaństwa: za czyn, bodaj czy nie równy działalności Franklina lub Waszyngtona, uważa wizytę, złożoną jakiemuś mamutowi z kamienia. Nie mogę się oprzeć, aby nie dać próbki tutejszego stylu dziennikarskiego, kiedy idzie o drogie sercu rzeczy. „Czwarty lipca to sztuczka! Ćwierć miliona osób, których serca zespoliły się w uroczystości, o tem zaświadczy. Ćwierć miliona osób stało tam, gdzie setka plemion,

narodów i królestw stworzyła największe widowisko, jakie kiedykolwiek i gdzieś oglądano; zgodnie rzekną, że nic podobnego nie widziano na ziemi, ani pod ziemią, ani w jakimbądź zakątku wszechświata (tak!). Dzień ów roztoczył możliwe wspaniałości wszystkich wojen i przepych parad. Wzniesiono ołtarz patryotyczny, jak daleko sięgają granice kraju i jak wysoko biegną żądne natury! Tłumy były niezmierzone. Mniejsze gromady zapisała historya i przekazała dziejom, jako cud pod względem rozmiarów. Aleksander miał mniej hufców, kiedy szedł na podbój Wschodu, kohorty Hanibala były tylko drobnym orszakiem... (wskrzeszono Cezarów, Attylę, Karola W., wojny krzyżowe, Napoleona I i mnóstwo innych). Zbiorowisko to przejdzie do dziejów, jako drogowskaz naszej epoki!“

Smieszna przesada, estetyka dorobkiewicza-plutokraty, ale są to łachmany na ciele dzielnego dziecka. Nie zapominajmy o tem! Arogancya taka idzie w parze tylko z poczuciem własnej siły.

10 lipca, wystawa, Children's Building.

Cząstka życia amerykańskiego przeniesiona na wystawę! Służąca jest nieznaną. Co zatem mają czynić matki, jeżeli wydalają się z domu? Czy winny wyrzec się przyjemności obejrzenia Białego grodu? Nie! zabierają dzieci z sobą i pozostawiają w *Przybytku*; starsze będzie ćwiczyło swoje mięśnie w „gimnazyum,“ młodsze znajdzie opiekę w ogródku froeblowskim, drobne—w żłobku.

Napisy nade drzwiami serdecznie zapraszają

do wnętrza. „Jaką gałązkę wetkniesz, takie będzie drzewo!“ „Maluczcy z czasem wyrosną na wielkich tego świata.“ „Dziatwa to nadzieja kraju.“ „Dorośli są dziećmi wyższego wzrostu.“ Wzniosłe hasła! Ale ostrożnie z niemi, nie dowierzajmy słowom. Epoka wszechfrymarczenia trzyma się zasady, że człowiek na to posiada język, aby tem łacniej okpiwał i robił geszefty. Yankee celuje w reklamie: wyćwiczył w sobie umiejętność ukrywania najwstrętniejszej pogoni za zyskiem pod pięknemi słówkami. Z wierzchu pozłota, wewnątrz brudy!

* *
*

Kitchen garden. Małe czerwone krzesełka, pośrodku niewielkie stoliczki, kilkadziesiąt dziewcząt w białych czepeczkach na głowie i w białych komżach—doprawdy nie wiem, pod jaką nazwą słynie ten strój w kostyumowym arsenale pań naszych. To szkółka, która dziewczynkom ma wpoić cnoty prababek, zanikające pod zabójczem tchnieniem nowoczesnej techniki. Co dawniej, jako konieczne następstwo owczesnych warunków bytu, przychodziło samo z siebie, teraz wymaga hodowli za pomocą suggestyi i hypnozy. Na to zeszedł kult Znicza! O celach głosi przybita tabliczka: *Kitchen garden* zwalczać ma wstręt ku zajęciom domowym—tak daleko już sięgnął rozwój po tamtej stronie Atlantyku!—i podnieść w oczach kobiety jej obowiązki przez oczarowanie niemi młodocianego umysłu.

Lekcya tylko co się rozpoczęła. Dziewczynki chórem śpiewają o tem, co gospodyni czynić winna, kiedy

zbliża się chwila obiadu. Po skończonym śpiewie, kilk
wyszło na środek i zaczęło nakrywać stoliczki. (
można byłoby uskutecznić w ciągu dwóch minut, na
zużyto około kwadransa. Któraś kładzie nóż, odchod
—nie, położyła go źle, wraca więc i poprawia. Jeszc
źle, trzonek leży inaczej, nie tak, jak powinien. Bo
podchodzi i wykłada ustęp z amerykańskiego *savoi
vivre*. Ach, to cała nauka. Choć mam jak najlepsze p
jęcie o zdolnościach dwunożnego ssaka do uczynien
prostej rzeczy najzłożeńszą, nigdym jednak nie sądz
aby nakrycie stołu wymagało takiej olbrzymiej wi
dzy... Wreszcie sakrament spełniono i zabrano s
do innego. Kilka dziewczynek usiadło za stołe
Przełożona oka z nich nie spuszcza, czy nie p
pełnią grzechu: może użyją do owoców niewłaściwe
noża, może źle trzymają serwetkę!

Takie samo namaszczenie przemawia z każde
szczegółu: dziewczęta wśród śpiewów myją podłog
gotują obiad. Nawet miotły na ścianach wokoło posi
dają uroczystą minę, bo są ozdobione wstążeczkam
niby proporce rożańcowe.

Jestem tutaj nie po raz pierwszy. Szkółka w *Prz
bytku dziatwy* jest filią zakładu w New Yorku i pró
przesadzenia tej płonki na grunt chicagoski. Galant
ryjne sklepy amerykańskie za oknami umieszczają ż
wych manekinów, perfumerye — żywe okazy z wark
czami do ziemi, zakład p. X.—mniejsza o nazwisko
wynajął pokój w budynku dla dziatwy i codzienn
popisuje się przed publicznością. Reklama pedago
czna! Znam już twarze niektórych dziewcząt i odra

yróżniam je z pośród zastępu nowych przyby-
ek. Zamiast namaszczenia dostrzegam znudzenie,
yuczone maryonetki machinalnie spełniają sakra-
enty Znicza. Może to laleczki, kupione u rodzi-
w i przeznaczone na wabika... Reklama, hypnoza,
rtury duszy młodocianej!

* * *

Firma jakiegoś Sloydu. Gromadka malców za
olikami. Warsztaciki są arcydziełem w swoim rodza-
, aż chęć bierze usiąść przy nich i modelować. Ale
ońce świeci na dworze jeszcze piękniej i wabi ku so-
e! Uciekam więc od tej tresury i zarazem wystawy
edagogicznegn *businessu*. Wolę oprzeć się na balu-
radzie i z góry spoglądać na salę środkową. W po-
odku wiszą trapezy, stoją kozły, z kątów wygląda-
hantle. To „gimnazyum.“ I tutaj usadowiła się re-
lama. Ale nie zabija ona suggestyą młodocianego du-
a, nie odbiera dziatwie swobody i powietrza, na twa-
y nie kładzie niesmaku i niecierpliwości. Chłopcy
dziewczęta ćwiczą mięśnie; tak samo skaczą przez
ozły, takie same podnoszą hantle. Panienki są ubra-
e w strój odpowiedni: marynarka błękitna spię-
ich kibić, spódniczka idzie do kolan i kończy się dwie-
a nogawicami, przypominającemi nieco krój spodni
ureckich. Dziatwa opuszcza „gimnazyum“ z rumień-
em na twarzy i z szeroko oddychającemi piersiami.
apominam o *businessie*, kiedy oglądam te skutki.

* * *

Lubię przypatrywać się przez okno żłobkowi.
V pokoju znajdują się dzieci dwuletnie i młodsze. Po

przez drzwi widzę marmurową wannę, wzdłuż ściany stoją szafy ze stosami czystej bielizny. Środkiem idzie zamknięta balustrada, wewnątrz wysłana; kilkoro drobnych amerykanów uczy się umiejętności łażenia na czworakach i poznaje rozkosze towarzyskie. Nieco dalej olbrzymia kołyska-huśtawka w swoich objęciach usypia parę innych niemowląt. Przy ścianach stoją łóżeczka z kołyszącem się posłaniem, pokryte baldachimem, który łagodzi światło, ale piersi dziecięcej nie pozbawia powietrza. Co chwila wchodzi matka, popieści się ze swojem maleństwem i znowu ginie — zwiedza wystawę. Cząstka falansteru!

Drugi pokój to salon starszego pokolenia, które już przestało trudzić się nad nauką stawiania nóg. Zamiast kołysek rzędy łóżeczek, czyściutkich aż do przesady. Krzesełka i stoliczki — według miary gości, odwiedzających stale ten salon hotelowy. Na ścianach obrazy, przemawiające do trzechletniego umysłu; na ziemi kręgle, piłki.

W jednym i drugim pokoju kręcą się niańki. Zakład bowiem jest jednoczeście szkołą tych szeregowców armii pedagogicznej. Zachowanie się właścicielki wobec niższych podwładnych inne, aniżeli naszych dam z froeblowskich zakładów względem bon swoich. Ba, nie we wszystkiem Ameryka przoduje światu, *bossowie* amerykańscy — miejscowe miano pryncypałów — nie dorośli jeszcze buty europejskiej.

* * *

Opuszczam *Przybytek dziatwy* z przykrem uczuciem. Sztuka pedagogiczna stanęła tutaj do popisu

w całej doskonałości. Ale nowoczesne środki pedagogiczne znalazły się nie w ręku osób, pojmujących nauczycielstwo jako pomazanie kapłańskie! Stały się dźwignią *businessu. Przybytek dziatwy* nie jest świątynią, na to musi czekać jeszcze długo. Pedagogiczna to giełda, kupcząca, blagująca, zachwalająca swój towar i myśląca o geszefcie!

13 lipca, Chicago, na zjeździe folklorystów.

Mól gabinetowy osłupiałby, gdyby mu się zdarzyło być świadkiem takiej „profanacyi“ nauki! Uczeni zapomnieli o swojej olimpijskiej powadze, mieszają się z szarym tłumem profanów. Mój sąsiad, istne zero, którego wartości nie podniósł przejazd przez Atlantyk—*nomina sunt odiosa* — trąca mnie w plecy, a kiedy nachylam się, czyni ironiczne uwagi nad „nienaukowością“ kongresów amerykańskich. „Nie złapią mnie powtórnie,“ odgraża się, aż wreszcie znudzony powtarzaniem tego samego w kółko, przechodzi do weselszych tematów: w duszy Wagnera odzywa się natura samca, uwagi o dyletantyzmie amerykańskim milkną, nastają inne—o amerykankach.

Mandaryni mają się czem gorszyć! W Europie zbiera się grono kilkunastu uczonych mężów, otacza się murem chińskim, bo zamyka drzwi przed profanami i rozbiera te lub inne kwestye. Rozbiór ów sprowadza się zwykle do grzecznego wysłuchania odczytu kolegi, cichego ziewania, lecz tak ażeby prelegent tego nie spostrzegł, kilku uwag krytycznych dla przyzwoitości. Tutaj na lądzie amerykańskim inaczej. Olbrzymia sala,

w niej pełno publiczności. Uczone referaty przekształciły się na odczyty, zjazd stał się szeregiem wykładów. Siedzimy na estradzie, jak gdyby za szkłami wystawowemi. Każdy z nas kolejno wchodzi na trybunę, wygłasza swoją rozprawę, otrzymuje oklaski lub, jeżeli znudził słuchaczów, widzi dokoła nieukrywane ziewanie. Reporterzy rysują oblicza i treść notują, to samo czyni ktoś wśród publiczności. Po odczycie jedna i druga dama z tłumu podchodzi, prosi prelegenta o zapisanie nazwiska w albumie lub chociażby na wachlarzu, niekiědy rozpytuje o szczegóły lub spiera się o wywody. Istny teatr!—jęczy mój sąsiad...

Niechaj będzie to teatr, ale że przynosi sporo pożytku, to rzecz niewątpliwa. Nauka zlewa się z szerokim prądem życia, jako jeden z jego wirów, jej zdobycze zostają upowszechnione, posiadanie—zdemokratyzowanem. Popularność wykładu nie jest w antagonizmie nieprzejednanym z naukowością a nadto nie potrzebuje iść ręka w rękę z blagą.

* * *

Amerykanki, im bliżej się przypatruję, czynią wrażenie tem sympatyczniejsze. W obecnej chwili mam na myśli swoje towarzyszki ze zjazdu. Jedna jest prezesem jakiegoś towarzystwa folklorystycznego, inna odbyła podróż w głąb Afryki i umiała utrzymać w ryzie bandę kilkuset murzynów, którzy stanowili jej oddział. Każda taka niewiasta w Europie stałaby się nieznośnie zarozumiałą, rodzajem pawia, bezustannie roztaczającego swój ogon. „Uczona europejska uważa za najpierwszy swój obowiązek małpować

nólów gabinetowych, a ponieważ mózg kobiecy zwykle bywa subtelnie wrażliwym na drobiazgi—odzieży, obejścia, piękna, przeto krecią naturę dyplomowanej uczoności doprowadza ona do niemożliwego wykończenia.

W moich koleżankach nie dostrzegam ani śladu pawicy: rzecz widoczna, że udział w zjazdach i występach publicznych przestał być dla nich rzadkością. Może natura folkloru, który wciąż jest areną dyletantyzmu i zbiorem ślimaków, nie pozwala uwydatnić się tej właściwości.

Pomiędzy referentkami znajduje się kilka młodych *misses*, z zapadłych ustroni Związku, coś w rodzaju Pacanowa. Zachowanie ich świadczy, że zrosły się z życiem publicznem. Każda śmiało i spokojnie wypowiada swoje poglądy. Któraś nasuwa mi parę uwag. Uderzająco podobna do jednej z moich warszawskich znajomych, osoby inteligentnej, ale która wobec publiczności naprzód zaczerwieniłaby się, później nerwowo roześmiała i w końcu może utraciła zdolność mowy członkowanej. Amerykanka nie rumieni się, jej głos nie faluje nerwowo. Wygłasza odczyt, jak gdyby była w kole najbliższych przyjaciół.

15 lipca. Chicago.

Poznaję Chicago lepiej. Olbrzymie to miasto rozsiadło się na przestrzeni o wiele większej, niż Paryż. Niektóre ulice posiadają po kilkanaście mil angielskich długości. W swojem łonie kryje ono nietylko brudy i zakopcone domy, jakem pierwszego dnia sądził. Nie

wiem, czy istnieje kraj, w którymby plutokracya tak umiała skrupulatnie siebie wydzielić z pośród reszty śmiertelników. Noga pracującego Michela depcze jeszcze po bruku ulicy Wiktoryi i innych dzielnic zachodniego Berlina, ale w Ameryce dwa narody, plutokracya i pracujący, niemal że nie wiedzą o swojem istnieniu. Są osoby, które po kilka lat przebyły w Chicago i sądzą, że miasto to na całej swojej przestrzeni jest jednem olbrzymiem śmietniskiem.

Przy parku Lincolna, wzdłuż brzegów Michiganu, ciągnie się urocza miejscowość, odświeżana w letnie skwary łagodnym wietrzykiem z jeziora, opłukiwana codziennie wodotryskami z pomp automatycznych, pełna drzew, uśmiechająca się mnóstwem trawników. Wśród bujnej zieloności wznoszą się budynki, które skradły styl wszystkim czasom i miejscom i wskrzesiły go tutaj w tej oprawie z trawy. Feodalne zameczki i średniowieczne gotyki, maurytańskie pałace i szwajcarskie domki, plączą się i swoją różnobarwnością wabią wzrok ku sobie. To rezydencye plutokracyi! Ulice asfaltowe, granitowe chodniki, żaden tramwaj, ani wóz nie turkocze po bruku, cisza wiejska ze świeżem powietrzem. Ani śladu kurzu i brudu, ani odrobiny sadzy na murach i trawnikach. Tylko tam na widnokręgu wznosi się chmura, czarna, złowieszcza. Może huragan się zbliża? Nie, to atmosfera, zwieszająca się nad Chicago zwykłych śmiertelników.

Kiedyś rzekłem, że Chicago czyni na mnie wrażenie, jak gdyby do kupy złożono setkę Przasnyszów i Szreńsków. Teraz winienem dodać, że każdy Szreńsk

taki posiada inną fizyognomię. Jeden spoczął w powijakach tumanu sadzy, inny kąpie się w odorach od wędliniarni i kałuży gnojnych. Inna dzielnica to jeszcze kompletna wioszczyna, ulice niezabrukowane, przestrzenie nieogrodzone, za domkami łany zboża i warzyw, wzdłuż chodnika poczciwe wierzby, ten symbol niedołęztwa naszego wieśniaka. Gdzieindziej parki, otoczone wieńcem wdzięcznych will, albo prywatne miasteczka, jak osada Pullmana.

Rzeczywisty kalejdoskop małomiasteczkowej różnobarwności.

18 lipca, Chicago, w Świątyni masońskiej.

Cokolwiek przyszłość przyniesie, imię Chicago pozostanie—w budownictwie. Albowiem miasto to powołało do życia własną architekturę: olbrzymie gmachy, piętrzące się w górę rzędami okien. Mity biblijne dochowały nam legendę o ukaraniu zarozumiałości ludzkiej, która wieżą usiłowała przebić niebo. Kapitaliści chicagoscy podjęli też dumny zamiar i zbudowali „drapacze nieba,“ swoimi wierzchołkami urągające chmurom. Drożyzna placów w dzielnicy handlowej jest straszna, po kilka tysięcy dolarów za stopę kwadratową. Budynki, nie mogąc rosnąć w tuszę, jak chojaki w gęstwinie, strzelają cienko i wysmukle ku górze. A co zaczęła konieczność, dokończyła moda. Kiedy jeden plutokrata zyskał sławę, że zbudował najwyższy dom na globie, inny zazdrosny sięgnął po palmę pierwszeństwa, aż nareszcie, jako ostatni owoc współzawodnictwa, stanęła Świątynia masońska o 20

piętrach. W niektórych okolicach dzielnicy handlowej drapacz nieba ulokował się przy drapaczu. Kiedy zatrzymam się na rogu ulic Adamsa i Dearbórna i skieruję wzrok w głąb tej ostatniej, to widzę przed sobą niemal jedynie takie nowożytne wieże Babel. Nietylko piętrzą się one zuchwale ku górze, bo i tusza jest nader pokaźną — front wytrzeszcza na ulicę setkę ócz, z których każde lśni się złotymi i srebrnymi napisami. To szyldy, wypisane na szkle. Jakiś karlik wlazł pomiędzy olbrzymów—posiada siedem pięter wysokości.

* * *

Siedzę na którem**ś**, sądzę, że na ósmem piętrze, w Świątyni masońskiej, na wygodnej ławce. Siedzenia te wraz ze spluwaczkami są jedynem drzewem w gmachu, reszta to ogniotrwały materyał. Rusztowanie z żelaza, podłoga z mozajki granitowej, pokrywająca ciało terrakotowe, słupy z żelaza, schody z tego samego metalu lub z pośledniejszego marmuru. Murów czepiają się szklanne kwiaty, kielichy, dzwonki. To lampki elektryczne. Czwartą część gmachu zajmują idące półkolem windy, — jest ich szesnaście. Taki powóz z ludźmi sunie co chwila na dół lub wznosi się ku górze. Osoba stoi w nim przy osobie — pełniusieńko! Windy są w bezustannej pracy.

Wogóle nam, europejczykom, trudno nawet zrozumieć, jak niezbędną częścią handlowych gmachów w Chicago są te przyrządy. Schody stanowią organ szczątkowy. Ale architekt jeszcze nie wyzwolił się z powijaków tradycyi. Zdołał on wybudować dom 20-piętrowy, lecz pozbawić go schodów — nie, nie po-

siada tyle odwagi! Wypoczywam od pół godziny, czynię notatki, windy migają w tę lub inną stronę, może do tysiąca osób podniosło się lub spuściło, a jednak na najbliższe piętro nikt nie wszedł po schodach — przepraszam, właśnie teraz stąpa listonosz. Schody są do tego stopnia bezcelowe, że w jednym budynku, *Chamber of Commerce*, właściciel ujednostajnił komorne na wszystkich piętrach! Istnieje jednak drapacz, który usunął ten organ szczątkowy i zniósł schody zupełnie. Dziwna śmiałość! Człowiekowi bowiem łatwiej zburzyć za sobą wszystkie mosty, niżeli przeniewierzyć się drobiazgowi, uświęconemu przez tradycyę... Marmurowe schody prowadzą tylko na pierwsze piętro, później nikną, windy podnoszą i spuszczają interesantów. Każdej towarzyszy puls elektryczny, pokazujący, czy powóz idzie na dół lub ku górze, i na jakiem piętrze się znajduje. Gmach 16-piętrowy i bez schodów, to ostatnie słowo wielkomiejskiej architektury!

* * *

System wind to przełyk pokarmowy drapaczów. Zajmuje on w organizmie sporo miejsca, blizko czwartą część w Świątyni masońskiej. Reszta to celki, przeznaczone na różne *offices*. Świątynia masońska jest bowiem olbrzymim przybytkiem Mamony. Rzekłbyś, gołębnik robigroszów. Przed otworami przełyku na każdem piętrze znajduje się wolna przestrzeń, z której wychodzą korytarze. Wzdłuż niej widnieją drzwiczki, opatrzone numerami: tu obrał sobie siedzibę kantor adwokata, tam dentysty, lekarza. Wrażenie

klasztoru z jego wązkimi a długimi korytarzami i mnóstwem celek, ale bez ciszy klasztornej. Ludzie wchodzą i wychodzą. Przez odemknięte drzwi można spostrzedz w *office'ach* bogate umeblowanie, jest to jedna z konieczności reklamy. Z kilku wydobywa się śmiech, ktoś wyświstuje aryę mocno podkasanej natury—dziatwa nowoczesnej Mamony zwykle uprawia jeszcze kult innej bogini, *Veneris vagae.*

19 lipca, Chicago, wystawa transportu.

But, widziany z okien tramwaju, odkąd wszedłem w progi pawilonu towarzystwa *White Star*, prześladuje moją wyobraźnię. Skład obuwia, a nad drzwiami, zamiast szyldu, but—olbrzymi, złocony. Do jakich rozmiarów wyrosła ta cząstka naszego przyodziewku i w jakie ubrała się w szaty złociste! Proszę mi wskazać inną epokę dziejową, prócz naszej, w którejśmy mogli napawać oczy takimi butami, kapeluszami, okularami. Reklama, niby cudowne drożdże, rozdęła nicość do potwornej wielkości, zwykłą drewnianą tandetę pokryła blichtrem. Działa zaś nietylko tak w świecie butów i kapeluszy, lecz także kiedy idzie o bohaterów nowoczesnych... Czyż tego szyldu nie powinniśmy wziąć za godło naszej doby, jak Znicz był symbolem barbarzyńskiej gminy rolnej?

But nad szyldem, z wierzchu kapiący złotem, wewnątrz może stoczony przez robactwo, stanowi alfę i omegę wszelkiej reklamy, wszelkiego popisu, wszelkiej wreszcie wystawy. Dzisiaj zwiedziłem w Białym-grodzie towarzystwa kolejowe i parostatkowe. Modele

ıajprędszych parostatków, kajuty okrętowe, każda na edną osobę, z olbrzymiem łożem na sprężynach, jadalnie, gdzie każde krzesło jest fotelem, salony do paleıia, w których szesląągi zapraszają do drzemki. Czy ;ak wygląda rzeczywistość? Modele pod szkłem są połobiznami rzeczywistych parostatków, zapomniano jelynie nadmienić, że prócz tej arystokracyi istnieje eszcze coś więcej. Wzięto dwa, trzy okazy najlepsze, ; nich wybrano znów najwytworniejsze ustępy, o kopciuszkach zamilczano. To nazywa się wystawą, co winıa nas poznajomić z teraźniejszością!..

Po głowie kręcą się w kółko te same obrazy. Złoty but—reklama—wystawa. Wystawa—złoty but —blaga. Blaga na małą skalę—wystawa magazynów— vielki humbug—popis międzynarodowy...

Czem jest ostatecznie wystawa?

* * *

Wystawa? Jest ona zbiorem produktów ręki ludzkiej, zdobyczy ludzkiego umysłu, owoców ludzkiej vynalazczości. Jest dalej rachunkiem sumienia naszej kultury, spowiedzią z dokonanego postępu.

Czem jest wystawa? Jeszcze raz rzucamy zapyanie. Odbywa się ona nie w próżni, ale w ramach pevnego ustroju, ów zaś ustrój znalazł swoją dewizę v wzajemnej konkurencyi i jego najwznioślejsze przykazanie to *money making* — o każdym czasie, w ka- dem miejscu i wszelkimi środkami. A zatem czem jest vystawa? Czy obrachunkiem dokonanego postępu, poisową koncentracyą wytworów ludzkiej zapobiegliwości? Lubię Amerykę, posiada ona wady, ale jeszcze

większe cnoty. Nie zna europejskiej hypokryzyi i ka
żdą rzecz nazywa po imieniu. Wystawę ochrzciła p
prostu nazwą *World's fair*, t. j. jakby międzynarod
wym kiermaszem, wszechświatowym bazarem, tak sa
mo, jak na *State street* istnieje mniejszy, handlując
wszystkiem, czem jawnie można handlować. Złączm
z całego świata okna wielkich magazynów z właściw
im pstrokacizną towarów, zbierzmy reklamy olbrzy
mich przedsiębiorstw w postaci modelów, okazów i ogł
szeń, ulokujmy je w tem samem miejscu, ale rozdzie
my według dziedzin, ten popis geszefciarzy uro
maićmy nielicznymi planami robót publicznych i zakł
dów a otrzymamy to, co yankee ochrzcił nazwą wszec
światowego bazaru. Biały-gród to wystawa *busine
sowców*, to popis współzawodników i, co zatem idzi
to arena zapamiętałych wyścigów, to bal wreszci
gdzie każdy odsłaniając wszystkie swoje wdzięki, g
tów odrzucić nawet listek figowy. Tajne powaby—
nie powaby, nie pozwalają bowiem się spieniężyć. Czy
bal jest rachunkiem sumienia? Najwyżej popisem blag
obłudnego różu. W tanecznym wirze unoszą się prz
nami eleganckie stroje, ale strzeżmy się z świąteczn
go obrazu sądzić o życiu codziennem. Kosztowna s
knia może ukrywa poszarpaną koszulę...

Wielki humbug!, powiedział jakiś szwed o Bia
łym-grodzie. Nie, tak źle nie jest, chociaż przybysz
wi ze starej części świata, który po raz pierwszy d
stał się w wir życia amerykańskiego, na razie tak zd
wać się może. Humbugiem wystawa nie jest, poznan
jej zastąpi kilkoletnie suche studya książkowe. Strze

my się tylko jednego: brać jej za szczery rachunek sumienia.

18 lipca, Chicago, City.

Nieubłagane zapasy konkurencyjne wyżłobiły odpowiednią etykę. Ktoś świeżo spowiadał się przedemną z wrażeń, jakie odniósł, bawiąc wśrod grona czysto amerykańskiej inteligencyi—medyków. Zapoznał się tam z obelgą, nieznaną nam, dzieciom starej części świata. W Ameryce powiedzieć o kimś, że jest niepraktyczny — *unpractical*, to zniesławić go i wyrządzić mu jaknajwiększą krzywdę. W oczach amerykanina jedynie „człowiek praktyczny“ jest godzien szacunku. Nie chodzi zaś jedynie o rozmiary majątku. Nie ten jest „dzielnym“ człowiekiem, kto wart tyle a tyle dolarów — chyba że je zdobył własną zapobiegliwością, ale czyj charakter ręczy za to, że zbije spore grosze. Stany Zjednoczone są jeszcze krajem, gdzie każdy, posiadający zmysł „praktyczności,“ może dorobić się sporej fortuny. Etyka to nie tej plutokracyi, która już wypoczywa na wawrzynach i w bezczynnem pasorzytnictwie zwyrodniała w swojej dzielności antropologicznej, ale rzutkich i przedsiębierczych robigroszów!

Na czem polega praktyczność? Dam jeden obrazek z wielu, może za mało jaskrawy. Kiedy po raz pierwszy poznałem panią French-Sheldon, ani domyślałem się, że przedstawiony zostałem takiej znakomitości. Sążnisty ogon u sukni raczej kazał mi mniemać, że mam przed sobą wielkość salonową, aniżeli jedną z najśmielszych podróżniczek. Ta kobieta odważyła się, na

na czele stu kilkudziesięciu murzynów, zapuścić się w nieznane zakątki wschodniej Afryki i utrzymała swój oddział w posłuszeństwie — tam, gdzie niejeden podróżnik miał do czynienia z nieustającym rokoszem. Teraz p. French-Sheldon spienięża swoje wrażenia— nie! źle powiedziałem, kształci swoją „praktyczność,“ może bez myśli o finansowych sprawach, tak samo, jak śpiewak leśny wydobywa tony ze swego gardła bez myśli o samiczki, chociaż ród jego zdobył tylko po to umiejętność śpiewacką. Na wystawie rozłożyła bez liku reklam o sobie. Oto jedna: „p. French-Sheldon osobiście zorganizowała karawanę, kierowała nią i przewodniczyła bez pomocy białego mężczyzny lub kobiety, odwiedziła przeszło dwudziestu sułtanów lub plemion, z których do wielu nie dotarła jeszcze noga białego człowieka. Postanowiła zbadać kobiety i dzieci, życie domowe, zwyczaje i normy bytu plemion afrykańskich... Taktyka, której p. French-Sheldon się trzymała, pozwoliła jej zgromadzić jedyne w swoim rodzaju a najdoskonalsze zbiory.“ A nasza podróżniczka działa jeszcze za pomocą odczytów. Byłem na jednym. Przyrząd stereoptyczny rzucał obrazy na płótno, bohaterka opowiadała o swoich przygodach. Pokazała na mapie drogę po której szła, później wydobyła fuzyę, którą miała z sobą, chorągiewkę, którą niosła, na płótnie przedstawiła samą siebie i drobiazgowo opowiedziała, z jakiego materyału była zrobiona suknia, czem wysadzana oprawa jej szabli, zapomniała tylko dodać, jakiej długości był ogon, który wlokła za suknią. O rozmiarach takiej reklamy nie ma-

ny w Europie pojęcia, chyba należałoby się zwrócić lo handlu bławatnego.

Kiedy w dni kilka później pewnemu amerykaniaowi wyraziłem z tego powodu swój podziw, to patrzył ia mnie, jak na raroga. Raczej widział w całem postępowaniu turystki jedną zaletę więcej! Okazała się osobą praktyczną, zdolną w razie potrzeby do zrobienia najątku...

20 lipca, Chicago, City.

Kongres osad społecznych! Pod wpływem prądów krańcowych, zmartwychwstała idea Carlylowska klasztorów społecznych.“ Prądy krańcowe usiłują przeciwstawić jedne klasy przeciwko innym, tymczasem apostołowie osad probują zbudować pomost zgody zgładzić świadomość krzywdy. Zamożne osoby, zwykle udzie najlepszej woli, osiedlają się w ubogich dzielniach, zakładają tam kluby oświaty i zabawy, szerzą zmysł artystyczny, ideę kooperacyjną. Właśnie zjazd akich działaczów obraduje teraz przede mną.

Ale nie treść obrad przykuwa do siebie moją uwagę. Spostrzegam inne rysy. Na wszystkich zjazdach, którym się przypatrywałem, płeć nadobna prawie jedna wypełnia salę. W Ameryce, podobnie jak wśród naszego obywatelstwa ziemskiego, kobiety są bezwarunkowo wykształceńsze humanitarnie, aniżeli ch ojcowie i małżonkowie. Nastąpił podział pracy. Mężczyzna zajmuje się *businessem* i w jego zgiełku wyrodnieje moralnie, kobieta przywłaszczyła sobie naukę i sztukę, filantropię społeczną i rojenia humanitarne.

I na obecnym zjeździe mężczyźni, nie stanowiący

dziesiątej części ogółu, milczą i słuchają wywodów płci pięknej, która jedynie przemawia z trybuny. Różnica tego zjazdu od innych polega na tem, że twarze kobiet wyglądają sympatyczniej, strój jest skromnym, zamiast motylkowatości—powaga. W Europie, kiedy po raz pierwszy spotykam jakąś niewiastę, która zbyt żywo interesuje się podobnemi sprawami, w większości wypadków poszukuję mimowoli podkładu histerycznego. To samo pytanie zadaję sobie względem amerykanek, które obradują przede mną, i rozglądam się po sali. Półsiwa staruszka, sześdziesięciu lat z górą tryskająca zdrowiem i inteligencyą, ze spokojem na twarzy, pożera każde słowo, padające z trybuny. Nie to nie histerya przemawia z jej oblicza, ale dzielna natura altruistyczna, zahartowana w wieloletnim potoku doświadczenia życiowego... Przy mnie siedzi może czterdziesto-letnia matka z małą córeczką. Ani na jednej, ani na drugiej nie widać śladów pogoni za wyróżnieniem. Dziecko ubrane skromnie, matka przyprowadziła je nie po to, ażeby popisać się tą żyjącą laleczką, ale ponieważ chciała być świadkiem rozpraw i nie wiedziała, co robić z dzieciną. Twarz jej wyraża uwagę, ręka od czasu do czasu głaszcze po głowie dziewczynkę, ażeby wynagrodzić jej nudy, oczy patrzą na prelegentkę. Gromadka—chciałem powiedzieć radykalnych panien na wydaniu, ale czuję całą niesłuszność i nawet krzywdę takiego wyrażenia o zebranej publice—rozsiadła się rzędem. Ubiór czysty, lecz skromny aż do niedbałości, twarzyczki inteligentne. Usta uśmiechają się, szyderstwo je okala, to znowu

yraz powagi zawitał. Przyszły nie po to, ażeby luziom się przypatrzeć i siebie pokazać lub czas zabić, którym nie wiedzą co począć, rade wszelkiej spra-ie, która da im wymówkę przebierania nogami po ruku. O czem toczy się mowa na zjeździe, to obchozi je istotnie, to cząstka ich życia!

Kobiety głównie zabierają głos w obradach. Słoa proste, bez fajerwerków frazeologii i efektów tea-alnych, śmiałe, drgające uczuciem. Mężczyźni przeawiają niekiedy, choć muszę się nieco wstydzić za voich współbraci. Biorą oni drobny szczegół z przeowy kobiet i kpią na tej podstawie z wypowiedziaych w odczycie porywów serca. Nie prostują błędych ścieżek, ale pragnęliby wykorzenić z duszy koety uczucia humanitarne. Zdaje mi się, amerykanka ięcej warta, jako obywatel kraju, niż jej towarzysz.

28 lipca, wystawa, w budynku owocowym.

Siedzę wśród szczególnego widoku. Najbardziej rzyczące barwy skojarzyły się z sobą, choć w tym aosie czerwieni, jaskrawej żółtości, purpury, błękitu ie ma dysonansu. Może dlatego, że jestem wobec twoów przyrody, nie zaś ręki ludzkiej. W głębi sterczy omnik, ułożony z cytryn i pomarańcz Kalifornii, z druiego końca ciągną się stoły, zastawione podobnem naryciem. Ściany wystawy oblepione stosami jabłek, rusz i innych owoców. Bezład i gra barw jaskrawych. o wrażeń oka dołączają swoją działalność inne zmysły. ala gama zapachów przelatuje przedemną za lada poiewem wiatru w halli owocowej i działa niby narkotyk.

Może pod wpływem tych wrażeń, obraz, wiszący na ścianie, przestaje być pasmem barw, rozpostartych na płótnie, i przekształca się na cząstkę żywej przyrody. Powierzchnia gruntów wygląda jak zakrzepła fala morza. Wszędzie unoszą się pasma wzgórzy Gaje, ułożone w regularne czworoboki i porznięte prawidłowemi, porządnie utrzymanemi drożynami, szumią regularnymi rzędami drzew, tuląc do zielonego łona drobne, kształtne domki leśników. Ale bory te nie są zwykłymi lasami, to plantacye drzew owocowych. Obraz przedstawia nam jeden z nowoczesnych folwarków-sadów, *Olden fruit farm*, który rozpostarł się na przestrzeni blisko 3,000 akrów w stanie Missouri. Chatki, wyglądające z poza gąszczów to domki ogrodników, którym właściciel powierzył pojedyncze działy tego szczególnego folwarku. Środkiem lasów owocowych biegnie gościniec pocztowy, stacya ulokowała się naprzeciwko gmachu, w którym skrzętne ręce ludzkie nadają owocom postać handlową. Rozbudzona wyobraźnia mknie dalej, dalej poza widnokręgi, objęte obrazem. Wszak cały stan Missouri jest usiany takimi gajami! Mam pod ręką listę folwarków owocowych w hrabstwie Howell, kilka posiada po parę dziesiątków włók rozległości, mnóstwo po kilkadziesiąt. W stanie znajduje się około 30 tysięcy ferm, zajmujących się jedynie hodowlą owoców. Rolnik przestał być zwykłym wieśniakiem, powierzającym macierzy- ziemi jedynie ziarno zbóż, ale jest ogrodnikiem. Do gajów owocowych zastosował prawo płodozmianu, u postępowych gospodarzy istnieje nawet specyalny

inwentarz, mający dostarczać odpowiedniej mierzwy. Czyżby wujaszek Sam chciał wydrwić te mądre, trzeźwe mózgownice, które szydziły z bredni Fouriera, przepowiadającego, że kiedyś ziemia będzie pokryta lasami owocowymi, i okolice rywalizowały w uprawie tylko specyalnej odmiany grusz lub jabłoni? Olbrzymi gaj jabłoni gatunek Ben-Dawis na fermie oldeńskiej wyraźnie świadczy, że nie należy trzeźwości kreta brać za jedno z mądrością. Albo inne widoki, które mam przed sobą w halli owocowej: te fotografie pól poziomkowych, co mierzą swój zbiór tysiącami buszli, owe olbrzymie suszarnie śliw! Z tych kopii żywej, lecz celowo prowadzonej przyrody przemawia nowa epoka dziejów ludzkich.

* * *

Wyobraźnia jeśli uniosła mnie za daleko na widok gajów oldeńskich, jak musi szybować, kiedy stanąłem wobec zamiarów kalifornijczyka! Te stosy pomarańcz, brzoskwiń i cytryn, te słoje winogron, fig i daktyli, czyż nie są wymownem świadectwem, że kapitalista z całą gorliwością szakala, węszącego zyski, krząta się tam nad założeniem nowego Edenu? Płody, które w ciągu dziesiątków tysięcy lat rutyniczna ręka zbierała w ustroniach, poprzedzielanych niezmierzoną przestrzenią, zostały zniesione do jednego miejsca i poddane tresurze. Kalifornia zawsze jest ojczyzną złotej gorączki: niegdyś dobywano złoto z łona ziemi, dzisiaj je zgarniają z drzew gałęzi. Kraj to dziwnie urodzajny. Trzechletnie plantacye dają obfite zbiory, drzewa wiśniowe wyrastają do 60 stóp. Pojedyńcze śliwy

dają po 300 funtów owocu, są zaś okazy, które w jednym roku dostarczyły 1,102 funtów. Dwudziestowłókowy folwark w dolinie Św. Joachima, wzorowo prowadzony, dał jednego roku około 3 milionów funtów tego owocu.

Kraina zamienia się zwolna na sad olbrzymi Człowiek względem przyrody spełniał dotychczas rolę rabusia, który ogałacał powierzchnię ziemi z szaty leśnej. Kalifornijczyk usiłuje przywrócić tę osłonę, ale zamiast dzikiego kroju, daje jej cywilizowany, owocowy. Tam, gdzie przed dziesiątkiem lat nie było ani jednego drzewka, teraz ciągną się tysiące akrów gaju. Powstały hrabstwa, pokryte gajami śliwkowymi, inne — brzoskwiniowymi, gruszkowymi, cytrynowymi. Kalifornia szczodrze obdarza na wystawie przechodniów różnemi broszurkami, mającemi zwabić wychodźców. Wszędzie kładzie ona nacisk tylko na sadownictwo, jak gdyby pragnęła całą swoją przestrzeń przekształcić na olbrzymi raj owocowy. Po głowie jej obywateli tuła się ambitna idea, ażeby Kalifornii w międzynarodowym podziale produkcyi dostała się rola sadu, jak górom Szwajcaryi i nizinom holenderskim — wyrobu serów.

Rozwój sadownictwa rodzi dalsze skutki. „Powstała wysoce posunięta organizacya w zakresie produkcyi—czytamy w pewnej pracy o Kalifornii — i powołano do życia na wielką i wciąż wzrastającą skalę maszyny, pozwalające osiągnąć wielkie oszczędności na pracy ludzkiej. Możemy wykazać, że koszta wyprodukowania funta owoców spadają z każdym rokiem. Niepodobna nawet określić, jak nizko mogą one stanąć

v sprzyjających okolicznościach pod ręką inteligentne-
[o amerykanina, znającego swój interes. Fermerzy
obią fortuny mimo cen, które przed laty dziesięciu
rawdopodobnie doprowadziły-by ich do bankructwa.
stnieją szranki, po-za które taniość owocu nie przej-
zie, ale leżą one jeszcze daleko.“ Wszystko, co ma
ylko coś wspólnego z sadownictwem, porwane zostało
virem rewolucyi technicznej. Sposób sadzenia i dozo-
owania plantacyi, opieki nad owocem na drzewie,
bioru, opakunku i transportu, wyrobu konserw, prze-
howywania, — wszędzie po przez bagno rutyny prze-
iega wartki potok postępu i oczyszcza je z szablonów
rzeszłości. Wzdłuż plantacyi widać pompy, odświe-
ające lasy owocowe sztucznym deszczem — odpowie-
nio przygotowanej cieczy — celem zniszczenia szko-
ników, to znowu oglądamy kaptury, którymi okrywa-
ą podejrzane drzewko i pogrążają je na czas jakiś
atmosferze stosownego gazu. Są dnie, kiedy na prze-
trzeni wielu mil gryzie oczy odor preperatów chemi-
icznych, skierowanych przeciwko pasorzytom.

To co u nas jest jeszcze dziełem domorosłej go-
podyni, tam stało się przemysłem fabrycznym. Wśród
ajów ukazały się zakopcone kominy, strzelające wy-
oko po-nad plantacyami i przerabiające owoc na kon-
erwy i konfitury. W pawiloniku jednej firmy wiszą
otografie, jedna przedstawia szczegóły transportu.
Pociąg, złożony z 25 wagonów towarowych, wywozi
onserwy i produkta, firma zaś u dołu fotografii doda-
a: „widok, nieoglądany jeszcze w dziejach.“

Ale kiedy jednemu zbiera się na śmiech, inny mu-

si gotować się do płaczu. Co pocznie wieśniak sycylijski, kiedy Kalifornia będzie na rynek wszechświatowy wyrzucała masy swoich owoców? Czy na zegarze dziejowym nie wybije godzina nędzy i ciemnoty dla południa, i tak już ubogiego i ciemnego? Cała halla owocowa przedstawia się nam w innem świetle. Ameryka wznosi baterye przeciwko staruszce Europie, pewna zaś zwycięztwa zaprosiła ofiary do przyjrzenia się tym śmiertelnym pociskom. (*Przypisek późniejszy.* W proroctwie swojem omyliliśmy się, bo nie w dalekiej przyszłości, lecz obecnie nastała owa chwila. Rokosz sycylijski, który wybuchnął ku schyłkowi 1893, wypłynął z nędzy, w jaką ostatnie lata pogrążyły uroczą wyspę w następstwie spadku cen owoców. Zniżkę zaś ową wywołało wyrugowanie płodów sycylijskich z rynków amerykańskich).

* *
*

Nietylko Kalifornia, lecz Colorado i Oregon marzą także o przekształceniu swoich obszarów na lasy owocowe. Stoimy wśród zbiorów oregońskich. Rzęd za rzędem ciągną się napisy buńczuczne, napuszone reklamą, lecz charakterystyczne. „W Oregonie zrobisz fortunę na ogrodnictwie.“ Uderzono w najczulszą strunę dzisiejszej duszy ludzkiej, w słabość do robienia grosza... „Oregon to raj owocowy!“ „Ojczyzna czerwonej jabłoni.“ „Ukochane siedlisko śliwy,“ „grusze oregońskie ważą po trzy funty,“ „brzoskwinie mają po 17, a wiśnie po $3^3/_4$ cali.“ Z tych napisów przemawia smok reklamy. Ale amerykanin, gdzie idzie o trwałe zyski, pamięta, że wszelki żart ma swoje granice

i że nic gorszego jak przebrać miarkę. W jego bladze tkwi zawsze źdźbło prawdy! U dołu pod napisamy spostrzegam potwornej wielkości owoce. Może to także wyjątki, ale dzisiejszy biały kruk w industryi pomologicznej jutro stanie się zasadą. Jest to dziedzina, gdzie z wielkiem powodzeniem hodują arystokratów i w przepaść nicości rzucają organiczne pospólstwo.

Czyż te reklamy Oregonu i Kalifornii nie zwiastują nowej fazy w dziejach ludzkiego osadnictwa? Człowiek kolonizował glob ziemski w imię najrozmaitszych haseł. Szerzył pożogi i rzezie pomiędzy dwunożnymi ssakami; wędrował, pędząc przed sobą trzody i poszukując pastwisk; karczował knieje i nowinom powierzał ziarno, ufny, że jego zachody będą uwieńczone sowitym plonem. Ale ażeby jął kolonizować ziemię w imię owocowego fermerstwa, to dopiero sprawiła doba dzisiejsza. Zamiast worków pszenicy—stosy owoców, zamiast ulepszonych kos — noże ogrodnicze, zamiast pól pszennych — gaje, tak wygląda kolonizacya nad brzegiem Pacyfiku!

* * *

Rewolucya wkracza do ogrodnictwa, rewolucyonistami są zaś amerykanie. Sadownik europejski wyhodował kilka gatunków szlachetnego owocu, ale nie poszedł dalej. Rynki rozsiadły się niedaleko sadów i udaremniły wszelki postęp techniczny przewozu. Życie nie domagało się śpichlerzy owocowych. Brakło przedsiębierczości. Po tamtej stronie Atlantyku śpichlerze stały się zjawiskiem codziennem, fermerzy-ogrodnicy obradują nad tem, jakby stworzyć coś w ro_

dzaju elewatorów — rozumie się nie dla zboża, ale dl owoców! W halli na jabłkach widzimy napisy: „świe że.“ Aż do tego doszło! Bo obok rozłożone są stos owoców z 1891, a nawet 1890, wyglądające tak samo.

Nasz ogrodnik jest rutynistą. Wbił sobie do gło wy różne przesądy. Ubrdało mu się, że to jest szla chetnem, co zostało uszlachetnione przed wiekam Zapomniał, że najpiękniejsze grusze pochodzą od zwy kłej dziczki. Parweniusz amerykański, w któreg oczach chłop szląski dobija się godności senatora ac jest przybyszem, inaczej spogląda na przyrodę, Dla „hołota“ jest roztworem, z którego mogą się osadzi najcudowniejsze kryształy. A zatem na stacyach do świadczalnych pielęgnuje żórawiny, jerzyny, orzech laskowe. Marne czernice znalazły się nawet w hall owocowej. Wątpię, czy w kastowej Europie ten owo chłopski doczekał-by się podobnego uznania. Brr! plan tacye czarnych jagód! Oburzył-by się każdy szanując się ogrodnik arystokratycznej Europy. On uprawi tylko pańskie owoce, chamskie niechaj rosną dziko!

* * *

Odurzony kilkogodzinnym pobytem w halli owo ców, wychodzę z szumem w głowie. Nad jeziorem prze glądam notatki. Może wyobraźnia, rozkołysana zapa chami owocu, uniosła mnie zbyt daleko? Nie, mim trzeźwości nie odkrywam błędów; przeciwnie, czuję, że może gdybym był trzeźwy na wzór przyzwoiteg a rozsądnego filistra, nie uchwyciłbym tak wyraźni tendencyi. Dowód to nie na korzyść narkotyku, ale przeciwko—ślimacznej oględności.

5 sierpnia, Chicago, Halla rolnicza na wystawie.

Prowadzę studya nad logiką ludzką!

Przedemną wznosi się coś w rodzaju wieżyczki, :hody czepiają się jej powierzchni z zewnątrz. To 'ewniana szata, okrywająca nagość sławnego Jum-), o którym słyszałem jeszcze podczas przejazdu 'zez Ocean. Jumbo jest okazem okrągłego sera, ysokiego 6, a posiadającego w obwodzie 28 stóp. ząd kanadyjski wysłał go aż oddzielnym pociągiem wystawił w halli rolniczej. Różne tablice głoszą sła-ę olbrzyma: jedna opowiada, że na ten ser zużyto łodzienny wydój przeszło z dziesięciu tysięcy krów, 'uga—że Jumbo waży 22 tysiące funtów, jeszcze in-—ale dajmy sposób litanii nadzwyczajności.

Dziwny, istotnie geldhabowski gust, myślę so-e! ale niebawem przekonywam się, iż władze kana-'jskie lepiej znają naturę ludzką. Nieproszony wdaje ę ze mną w rozmowę fermer z Indyany. Dusza jego st pełną ekstazy i potrzebuje przed kimś wynurzyć vój zachwyt. Co za piękny i wspaniały ser, około tego)raca się nasza rozmowa, którą fermer kończy zgoła espodziewanym wnioskiem: lepiej sprzedać fermę Indyanie i wynieść się do Kanady!

— Czy w Kanadzie wiedzie się fermerom tak do-'ze? rzucam pytanie.

— Naturalnie!

I mój interlokutor pokazuje w kierunku sera.

Dowód istotnie nie do odparcia! Jak widać, że są ı świecie różne logiki, między niemi taka, do której afia Jumbo... Rząd kanadyjski widocznie zna swoich

i zbadał ich logikę. Wszędzie na serze rozwiesił odezwy kolonizacyjne. i wtyka je przechodniom do ręki. Wartość rocznego wywozu serów jest większą niż w Stanach Zjednoczonych; w granicach Kanady znajduje się aż półtora tysiąca fabryk sera i masła, rząd przychodzi z możliwą pomocą, bo buduje stacye doświadczalne i utrzymuje wędrowne szkoły mleczarstwa, wolnej ziemi na osadników czeka sporo... A jeżeli powątpiewacie o prawdziwości i szczerości, spojrzyjcie na ten wymowny dowód, na ser mamutowej wielkości! Wiemy już, że przemówił on w taki sposób do czyjejś logiki. A nietylko władze kanadyjskie wyzyskują ową słabość ludzką. Jakaś firma w Londynie, trudniąca się na wielką skalę sprzedażą wiktuałów, oddawna nabyła olbrzyma. Kiedy wystawa zostanie zamkniętą, będzie go obwoziła po Anglii, jako świadectwo ogromu swoich interesów.

I czy jedynie wśród prostaczków popłacają takie dowody? Możesz w krótkich rozprawach złożyć sporo wiedzy i przenikliwości, ale w świecie molów gabinetowych i kretów nauki dopiero wtedy zyskasz uznanie, kiedy urodzisz mamuta, chociaż najnikczemniejszego smaku. Przed rokiem poznałem za granicą młodzieńca, pełnego cnót obywatelskich, bo głowa jego odznacza się niewymowną trzeźwością, serce — praktycznością, usta obfitują w słodycz anielską. Chce on sięgnąć po wawrzyny doktorskie — wszak przed moim wyjazdem do Ameryki ktoś tylko dyplomowanej, doktorskiej mądrości dał w Warszawie prawo do zabierania głosu w sprawach społecznych — marzy pó-

niej o katedrze uniwersyteckiej, a dzisiaj mozoli się ad wydaniem na świat... wielkiego sera. Tom pierwszy uż wyszedł, zawiera 40 arkuszy cytat z nieznacznym lodatkiem tekstu. Teraz autor poci się nad porodem lrugiego. Całą mądrość, którą rozwałkował na tylu ırkuszach, zdołałby streścić w jednym. Ale co robić! Spłodziwszy broszurkę, pozostałby niczem, porodziwszy wielką księgę, od tego czynu sam wyżej urośnie...

Wynik praktyczny moich rozmyślań nad sercem kanadyjskim: kto chce zyskać imię, niech trzyma się następującej zasady. Niech drukuje tylko Jumby! Rzecz łatwa: można zebrać swoje artykuły, mniejsza że jeden idzie do Sasa, drugi do Lasa, ażeby książka grubo wyglądała; nadto wydrukować ją na papierze jak najlepszym, zyska wtedy na tuszy. Zaleca się przytem, aby tytuł oddychał głęboką uczonością: zarys, zasady, podstawy, metoda — sądzimy, że kto ma głowę dobrą na karku, znajdzie odpowiedni nagłówek. Za powodzenie ręczymy.

6 sierpnia, Chicago, Stock yards.

Jak gdyby wśród istotnego piekła. Parkany i zagrody krzyżują się z sobą i tworzą labirynt ulic, zaułków i podwórzy, bydło w nich ryczy przeraźliwie, niekiedy wściekle uderza o nikłe na pozór, ale w gruncie rzeczy mocne kraty swojej klatki, *cowboye* pędzą konno, na oklep, w różnych kierunkach przez uliczki i gwiżdżąc, porozumiewają się pomiędzy sobą, inni z przekleństwem na ustach uwijają się wśród bydła i poskramiają jego wybryki. Berliński *Viehhof*, to salon w po-

równaniu z rozpościerającym się przed nami widokiem. A brak nietylko berlińskiego spokoju i czystości! Giełda na bydło składa się z rozrzuconych bezładnie budynków, profanowi trudno się w niej połapać — bez żadnej symetryi, bez najmniejszej wystawności. Jak wszędzie, tak i tutaj kapitalista amerykański obywa się bez blichtru. Sądzi on, że wielkie odsetki to alfa i omega wszystkiego i że lepiej w nędznym kantorze zgarniać grube zyski, aniżeli we wspaniałym gmachu—małe. To też parkany i zabudowania ledwie się trzymają, drzewo miejscami jest nadgniłe, a gdy zanadto wypowiada już posłuszeństwo i zagraża ruiną, wtedy łata, przychodzi z pomocą i na czas jakiś spaja rozlatujące się części.

Kurz nie do opisania. Mimo, że oddawna nie było deszczu, błoto pod nogami. A cóż dopiero dziać się musi, kiedy słota zawiśnie nad targowiskiem!

* * *

Spaceruję po długim pomoście, który trzeszczy i kołysze się, kiedy wiatr silniej powieje. Podemną ciągną się bez końca klatki, najróżnorodniej połączone wrotami, pomiędzy niemi biegną ślepe uliczki — do wpuszczania bydła. Są dnie, kiedy rano znajduje się na targowisku do kilkudziesięciu tysięcy rogacizny. Druty telefonowe i telegraficzne tworzą niekiedy istną siatkę. Olbrzymie galerye przerzynają targowisko w górze we wszystkich kierunkach. Ponieważ na dole panuje ruch ciągły, mają one służyć do pędzenia bydła na targi do rzeźni bez zamętu. Wszędzie wznoszą się budy, słynące jako *fairbanki*—olbrzymie wagi, mierzące

odrazu do stu tysięcy funtów żywego mięsa. Właśnie jedna jest teraz w ruchu. *Cowboye* zawracają gromadę rogacizny do takiej budy, a kiedy przestrzeń została zapełnioną, wrota się zatrzaskują i waga oblicza trzodę w funtach. Rzeźnicy-milionerzy nie kupują pojedynczych sztuk, lecz całe stada.

Z pomostu oglądam jedynie drobną cząstkę targowiska, nie wiem, czy dziesiątą! *Stock yards* z pobliskiem miasteczkiem rzeźnickiem są jakby olbrzymim żołądkiem, który wysunął mnóstwo przełyków ku zachodowi i południo-zachodowi. Falujące a lesiste okolice Montany i Nevady, płaszczyzny Arizony i Texasu, urocza dolina Misisipi, wszystkie te miejscowości, odległe o półtora i dwa tysiące wiorst, wysyłają do Chicago trzodę najrozmaitszego gatunku dziesiątkami tysięcy sztuk dziennie. Targowisko jest obliczone na 300 tysięcy rogacizny i trzody chlewnej jednorazowo, to daje pojęcie o jego rozmiarach i żarłoczności. Żołądek to olbrzymiego organizmu wymiennego! Porwane bydło zostaje zamienione na wędliny, konserwy, stosy świeżego mięsa i w takiej postaci wędruje dalej na wschód aż do miast nad Atlantykiem, nawet przekracza Ocean, bo wylewa się regularnym potokiem na rynki Anglii. Na odległości tysiąca wiorst i więcej, świeże mięso, napływające z Chicago, zmiażdżyło miejscowy proceder rzeźnicki i stworzyło nową troskę: jeżeli pewnego dnia, z powodu przeszkód, transport nie dopisze, okolica zostanie narażona na niebezpieczeństwo głodu. Opis zakładu Armoura, jaki otrzymaliśmy na pamiątkę w kantorze, jasno i wyraźnie

mówi o tej możliwości. Dana firma zapobiega jej, bo stwarza w różnych miastach śpichlerze mięsne!

Z dnia na dzień w porannych godzinach setki wagonów podjeżdżają ku targowisku od zachodu, wiozące w wnętrzu żywe mięso i znacząc swoją drogą magazynami paszy; nad wieczorem setki innych odjeżdżają ku wschodowi i niosą stosy gotowego mięsa a po drodze zamiast magazynów paszy spotykają fabryki lodu. Chicago stanowi ośrodek dla obu tych ruchów i szczyci się, że jest największem w świecie miastem wiktuałowem. Tak rzeczy stoją dotychczas, ale — ale na dalekim zachodzie zaczynają ukazywać się współzawodnicy. Bydło przybywa z daleka. Lecz po co ma robić taką drogę? Czyż nie lepiej, gdyby odbywało podróż w postaci przerobów? A zatem w Kanzas-city, w Omaha, powstają takie same żołądki i wzrastają w objętości. Nie mają one dzisiaj takiej mocy, jak Chicago, ale z chwilą, kiedy stepy zamienią się ostatecznie na oborę ulepszonej rasy rogatej, zawierającą w swoim obrębie dziesiątki milionów bydła, naówczas te drugorzędne ogniska nabiorą większej doniosłości, naturalnie, jeśli wśród samych stepów nie wyrosną potężniejsi współzawodnicy.Ześrodkować hodowlę bydła opasowego w stepach i jednocześnie skoncentrować tam przemysł rzeźnicki, a zamiast bydła wysyłać mięso do dalekich zakątków, oto dążność nowoczesnego potoku ekonomicznego.

* *
*

Wiatr lekki dmie z południa. Jego nikłej siły wystarczy, aby cały pomost chwiał się od podmuchu.

A na skrzydłach wiatru dolatuje coś więcej. Tam, na południu od targowiska, ciągnie się miasto rzeźnickie, *packing town*, złożone jedynie z rzeźni i fabryk, przerabiających odpadki mięsne. O rozmiarach ludności, która żyje z rzeźnictwa wprost lub ubocznie, da najlepsze pojęcie fakt następujący. Przed trzema laty parę największych firm zbuntowało się przeciwko spółce akcyjnej, posiadającej targowisko, i zamierzało przenieść swoje zakłady po za miasto. Obliczano, że założona osada rzeźnicka będzie liczyła 150 tysięcy głów! Z pomostu widzimy rzędy budynków. Nad koszarami rzeźnictwa unoszą się tumany dymu. Niedawno ztamtąd wyszliśmy. Zwiedzaliśmy sławne zakłady Armoura i -Ski, które dają pracę ośmiu tysiącom osób i wprowadziły do rzemiosła rzeźnickiego możliwe ulepszenia w postaci automatów-maszyn. Zakłady te tak przyzwyczaiły się do gości, że posiadają dla nich specyalną poczekalnię. a kiedy zbierze się w niej kilkadziesiąt osób, przewodnik, który tylko co oprowadził jedną partyę, puszcza się na wędrówkę z nową. Umyślne pomosty i galerye oczekują widzów i ze swojej wysokości pozwalają przyjrzeć się robocie. Obrazy, oglądane podczas wycieczki, wypływają teraz w umyśle pod tchnieniem południowego wiatru. Przynosi on z sobą wszystkie możliwe wonie, jakiemi oddycha *packing town*, i kojarzy je z sobą: odory wędliniarni i świeżej krwi, swędy od przypalonej skóry i włosów, smrody zgnilizny i gnojowiska, wszystko to miesza się z sobą, a nadto z pyłem ulicznym i z sadzą z kominów. W tym zaś potoku najrozmaitszych woni, gwizdania i przekleń-

stwa *cowboyów*, ryk bydła, czującego śmierć albo rzucającego się rozpaczliwie, galop ludzki na koniach, dzikie: hep! hep! przybierają odmienną fizyognomię. Mam dosyć tego piekła, ale czy niedokuczyło ono tym *cowboyom*, którzy tak poskramiają bydło, jakby chcieli wywołać jeszcze większą wściekłość u rozjuszonego zwierzęcia? Nawet przekleństwo w ich ustach oddycha namiętną radością, a rozszerzone nozdrza jakby lubują się tymi zapachami... Targowisko traci w moim umyśle na barwie i mocy, bo wysuwa się sprawa inna— istot ludzkich, spędzających życie w jego obrębie.

Jacy ludzie żyją w tym świecie mordu i krwi? Czyż są oni takimi, jak reszta śmiertelników? Odpowiadają nam na to świeżo widziane obrazy. Przy wejściu do rzeźni oglądaliśmy człowieka, który sztyletem zabija świnie. Ręka jego systematycznie spadała na ofiary i unosiła się ze sztyletem krwią ociekłym, w ciągu dnia zaś czyni on to parę tysięcy razy. Czem jest ten człowiek? Co kilka minut w innym oddziale dziesiątki wołów bywają wpędzane do klatek, w których śmierć je czeka. Oprawcy czatują na pomoście, uderzają woły młotami po głowie i ogłuszają; jedna ze ścian się otwiera, zwierzęta zostają wyrzucone i od innych katów dostają jeszcze nowe, ostateczne ciosy. Uciekłem. Czy obojętność tych ludzi wypływa wyłącznie z przyzwyczajenia? Czy owo targowisko wraz z rzeźniami nie skupia około siebie szczególnych natur krwiożerczych? „Nam wszystko jedno, czy panów czy bydło rznąć“—śpiewa chór rzeźników u Krasińskiego. Czyż dla tych oprawców, którzy od rana do wieczora

mają przed sobą widok konwulsyi zwierzęcia, oddychają bezustannie odorem krwi, robota rzeźnicka nie posiada szczególnego powabu i nie jest wyładowaniem chuci okrutnej? Dość rozejrzeć się uważnie i spostrzegamy twarze, mówiące, że ich właściciele czują się tutaj jak w raju. A nasz *cicerone* dostarcza nowych dowodów, przed nami odsłaniając tajemnice targowiska. Opowiada on, że atmosfera krwi służy nadzwyczajnie niektórym mieszkańcom grodu rzeźnickiego, że tyją oni niepomiernie i formalnie tęsknią, kiedy wypadnie im na dłuższy przeciąg czasu rozstać się z tym światem mordu! Sądzę, że spostrzegawczy antropolog-psycholog z powodzeniem mógłby osiąść tutaj i z dostrzeżonych objawów ułożyć cenną pracę. Ci gwiżdżący *cowboye*, borykający się z wołami, ci otyli oprawcy, mordujący tysiące istot żywych lub z młotami w ręku ogłuszający dziennie setki wołów, wszak to tak bogata kopalnia typów zawodowych! Nietylko ludzie, ale i zwierzęta noszą na targowisku Kainowe znamię zwyrodnienia uczuciowego. „Stary Billy“ jest bezwarunkowo takim okazem. Opowiadają o bydlęciu, że instyktownie odgaduje miejsce, gdzie jego współtowarzysz został zamordowany. Otóż obowiązkiem byka Billy jest zagłuszyć ów instynkt i poprowadzić swoich czworonożnych rodaków do miejsca zgonu. Kiedy do przedśmiertnej klatki trzeba pognać nową gromadę ofiar, Billy staje na czele, rykiem uspokaja towarzyszy, a przy wrotach zręcznie usuwa się na bok, by dalej prowadzić to samo dzieło zdrady i podejścia. *Business* wyzyskuje wszystkie instynkty przewrotne, jego

możnowładcy przyswajają sobie nawet liczne rysy otoczenia.

Woń świeżej krwi; ludzie-potwory i zwierzęta-potwory, tysiące głów ryczącego bydła, pył ze swędem i smrodem. wśród takich obrazów opuszczam targowisko. Tramwaj mnie wiezie w ciągu półgodziny wśród kurzu i niekiedy błota, a ilekroć zaleci podmuch wiatru od targowiska, niesie on z sobą najrozmaitsze odory. Nieraz po całych tygodniach unoszą się one nad dzielnicą, zaludnioną przez polaków i litwinów, po większej części pracujących w rzeźnictwie. Amerykanin pogardza tem rzemiosłem i pozostawia je przybyszom, którzy do wszystkiego są gotowi, byleby tylko zarobić na życie.

8 sierpnia, Chicago, wystawa.

Zapoznaję się z pedagogiką amerykańską. O ile ona dotyczy niższej, elementarnej oświaty, jestem zachwycony zamorskimi zwyczajami.

Wykład o Norwegii w *Przybytku dziatwy.* Cały odczyt polega na umiejętnym doborze obrazów, rzucanych na płótno przez przyrząd stereoptyczny. Prelegent zaczął od gulf-streamu i wyjaśnił, jakie znaczenie dla północno-zachodniej Europy posiada rzeka morska. Pokazał widoki will norweskich, obfitość tamtejszej zieloności i bogactwo kwiecia. Klimat, złagodzony przez bliskość rzeki morskiej, sprawił te cuda! Później prelegent skreślił strukturę Norwegii, zatrzymał się nad fiordami, opowiedział o znaczeniu dla ludności połowu ryb i żeglugi. Ukazały się widoki fiordów wraz z krajobrazami gór,

wodospadów, okolicznych mostów, dróg i wiosek. W ciągu dalszym zobaczyliśmy florę letnią i wygląd zimowy na krańcowej północy, wyspy, wiry i skały podwodne, niebezpieczeństwa żeglugi, właściwości i efekty świetlne w różnych porach. Człowiek musiał szukać utrzymania w morzu, zdradziecki żywioł zaś hartował jego odwagę. Pokazano nam budowę łodzi dawnych wikingów, opowiedziano o ich wyprawach, na płótno rzucono obrazy obecnych, wątłych okręcików, trudniących się połowem.

Zarówno 8-letnie dziecko, jak i starzec mogą z pożytkiem wysłuchać wykładu. Godzina czasu zeszła mi z przyjemnością. We wszystkich miastach tą metodą szkoły zaczynają posługiwać się i istnieją specyalne firmy, trudniące się produkcyą albumów z kliszami dla celów pedagogicznych.

9 sierpnia, Chicago, wystawa.

Siedzę od trzech godzin w pawilonie pedagogicznej wystawy miasta Kanzas i nie mogę oderwać się od niej. Przerzucam olbrzymie kajety ze szkolnemi ćwiczeniami ośmioletniej i dziesięcioletniej dziatwy. Mówią, co zresztą jest prawdą, że wyższa oświata w Stanach Zjednoczonych znajduje się na nader nizkim poziomie. Zgoda. Ale za to olbrzymia ta rzeczpospolita może poszczycić się czemś, o wiele ważniejszem dla każdego kraju wysokim rozkwitem szkolnictwa elementarnego. Zbywa tam na wyniosłych wierzchołkach, wspaniale rozpościerających się w wyżynie i z daleka przykuwających do siebie oczy. Ale

nie ma też i owych kryjących się u dołu przeraźliwych otchłani, ziejących ponurym mrokiem, którego nigdy nie rozproszyły i nie rozjaśniły promienie słońca, w takie piękne barwy ubierającego sterczące pod niebiosami szczyty.

Metody elementarnego szkolnictwa są zaprawdę wzorowe. Nasza staruszka Europa mogłaby w tej mierze sporo się poduczyć u swojej zamorskiej córy. Poglądowość panuje tam w całej pełni. Każda kartka szkolnych kajetów o tem nas przekonywa. Malec ma np. przed sobą zadanie matematyczne: dodać do trzech dwa jabłka. Odpowiedź rozpada się na dwa działy: rysunkowy, który naocznie przedstawia rezultaty dodawania, i drugi będący przekładem tamtego na język cyfr i wyrazów. Zeszyty z ćwiczeniami arytmetycznemi wyglądają niby kajety rysunkowe. Albo weźmy wypracowania językowe. Nauczyciel daje temat: rysuje kulę na tablicy, objaśnia, jak ona wygląda, i wreszcie każe wynaleźć i opisać przedmioty, podobne do tego ciała geometrycznego. Każdy malec— jesteśmy śród dziatwy w wieku od lat siedmiu do dziesięciu—rysuje w swoim kajecie kulę i daje jej określenie, zeszyty dowodzą, że powtarza wyrazy nauczyciela; później wyszukuje przedmioty, przypominające kulę, np. jabłka, wiśnie, groch, które znowu rysuje. Jeszcze dalej mówi o wróbelkach, łakomiących się bardzo na dojrzałe wiśnie—wróble figurują na rysunku; inny uczeń bierze jabłka, opowiada o nich, a kilka rysunków unaocznia opowieść. Nauczyciel rzucił myśl zasadniczą, reszta jest dziełem wyobraźni dziatwy.

Albo weźmy geografię. Nauka poczyna się od opisu hotelu, przechodzi do sąsiednich ulic, później do okolicy, która daje możność zapoznania się z niektóremi definicyami geografii, np. czem jest rzeka, jezioro, wyspa. Rysunki towarzyszą opisowi, a malec wtrąca wycieczkę z rodzicami na jezioro, podróż po rzece. Geografia plącze się z botaniką roślin uprawnych i z zoologią zwierząt domowych. Dzieciak daje rysunek pszenicy, do karty kajetu przykleja listki, opisuje sposoby transportu lub uprawy. W wypracowaniach stylistycznych nauczyciel podsuwa geometryę, w arytmetycznych uczy buchalteryi. Rysunki uzmysławiają to, co mogło być niezrozumiałem. A rozbiór gramatyczny! Z ołówkiem w ręku notowałem przez godzinę czasu te szematy geometryczne, przy pomocy których szkoła zamorska unaocznia dzieciakom budowę zdania. Sądzę, naśladownictwo tej metody wydałoby bardzo dodatnie owoce.

Duch, który wieje z tych z żółkłych już kartek kajetów szkolnych, czyni na mnie głębokie wrażenie. To brak owego formalizmu, jaki zakorzenił się w szkółce europejskiej, a który niesłusznie biorą za jedno z punktualnością. Dzieciak jest panem swojego zeszytu i robi z nim co mu się podoba, byleby tylko trzymał się wątka, nakazywanego przez nauczyciela. Wolno mu zadane ćwiczenie urozmaicać najróżnorodniejszymi rysunkami: wprowadzać ludzi, konie, piłki kiedy zechce. Wolno mu narysować jakiś figiel np. samego nauczyciela, do rysunku dorzucić dowcip, prawdopodobnie niezbyt zjadliwy.

10 sierpnia, Chicago, wystawa.

Służąca zjawia się w domu amerykańskim dopiero wtedy, kiedy dochody są już względnie znaczne i odpowiadają mniej więcej naszej stopie 3—4 tysięcy rubli rocznie. Taniość służby sprawiła, że mało dbamy o zdobycze, dokonane przez technikę w kuchni. Wszak mozoły spadają nie na nasze barki. Amerykanka, której gospodarstwo obywa się bez najemnicy, zachowuje się, bo musi, inaczej. To też kuchnia wygląda odmiennie. Usunięto opał drzewem, jako zbyt mozolny, i wprowadzono gaz lub vesalinę. Piec wygląda niby mebel, cały z metalu, błyszczy jak cacko. Stanowi on własność lokatora, który, kiedy zmienia mieszkanie, rozbiera go na części. I cały lokal co do swoich urządzeń posiada inny wygląd. Chicago jest jeszcze „dzikiem“ miastem, nie chcę przeto brać jego za wzór stosunków. Ale Boston, New-York, wogóle wschód amerykański zaszedł bardzo daleko. Prawdopodobnie wrócimy do tego przedmiotu, kiedy znajdziemy się znowu w tamtej okolicy. Teraz poprzestaniemy na jednem ulepszeniu, na wschodzie bardzo upowszechnionem.

Jesteśmy w górnej galeryi halli elektrycznej, tuż obok restauracyi. Duży blaszany piec, wewnątrz oświetlony lampkami elektrycznemi, okno szklane pozwala nam dokładnie widzieć, w jakim stanie jest włożone tam ciasto lub pieczeń. Przy innym stoliku postawiono przed chwilą na metalicznym krążku szklankę zimnej wody, która teraz zaczyna się już gotować, gdyż bąble wydobywają się silnie na powierzchnię.

W niklowem naczyniu kipi kakao. Murzyn w białym ubiorze uwija się w kuchni i przygotowane potrawy odnosi do restauracyi. W całem gospodarstwie nie ujrzysz iskry, nie dopatrzysz najmniejszego śladu ognia, niema niepotrzebnego gorąca, prócz tego, jakie unosi się z rozgrzanych naczyń, powonienie nie czuje swędu, a dym nie zre oczów. Nie widać ani kawałka drzewa, nawet niema zapałki, prąd elektryczny nie potrzebuje tego rodzaju pomocników. Dość zakręcić w tę lub inną stronę szrubkę, a już tamujemy bieg gotowania się wody. Kuchnia ta posiada inne jeszcze przymioty. Elektryczność jest stałem źródłem ciepła, działającem dzisiaj według normy wczorajszej. Po kilku dniach doświadczenia gospodyni wie, ile w danem naczyniu jakaś potrawa wymaga czasu. Może spokojnie siedzieć w trzecim i czwartym pokoju i tam posiadać szrubkę, regulującą prąd: nie uczyniwszy ani kroku, „gasi" ogień lub roznieca go. Może nawet wyjść z domu na odpowiedni przeciąg czasu: „ogień" nie zgaśnie i nie wznieci pożaru, potrawy się nie przypalą.

11 sierpnia, Chicago, Halla przemysłu.

Potwornych rozmiarów halla sztuki i przemysłu w górnych galeryach zebrała wszystko, co w Ameryce zrobiono dla oświaty. Na dole za to, wśród labiryntu ulic i uliczek, pawiloników i pałacyków, przykrytych wspólnym dachem, inne żywioły rej wodzą. Jest to arena, na której rozsiadła się wystawa zbytku i kusi swoją wspaniałością, nawet wonią zmysły ludz-

kie. Co tylko sztuka i wynalazczość stworzyły dla uprzyjemnienia wczasów dostatniego życia, co technika dokonała dla komfortu, łechczącego nerwy, dogadzającego wszystkim zachciankom, to zgromadził ten potwór kunsztu budowniczego i pomieścił w swojem wnętrzu. Zwykły chudopachołek niewiele znajdzie w halli przedmiotów dla siebie, dowie się jedynie jak żyje plutokracya. Nie wielką posiadam znajomość rzeczy, które w niej wystawiono na pokaz: różnobarwnych gałganków, dywanów wyściełających ściany, szkła i porcelany pietrzących się, ale czuję, że tylko bardzo nieliczna garstka plutokratów może rozsiadać się w fotelach, pokrytych sobolami, przewracać się w złoconych łożach, deptać po wystawionych kobiercach. Wycieczka po halli sztuki i przemyslu jest ogromnie ciekawą. To, co w codziennym potoku życia kryje się wstydliwie w mroku prywatnej siedziby, a o czem zwykła gawiedź chudopachołków wie z drugich ust, tutaj wyszło z ukrycia, rozłożyło się jawnie, uśmiecha się ku przechodniom i kusi ich żądze.

* * *

Potok ludzki przepływa szerokiem korytem przez hallę. Wdłuż głównej arteryi, od której biegną pomniejsze, niekiedy bywa wprost czarno od głów ludzkich—nie! poprawmy się i powiedzmy—kobiecych. Obsiadły one ławki i krzesla, przylgnęły twarzami do szkieł wystawy, gorączkują się, rozprawiając o przymiotach tej lub innej rzeczy. Powieściopisasz mógłby tutaj czynić studya nad psychologią duszy kobiecej: nad tem, co ją roznamiętnia, sposobami zachwytu, sto-

sunkiem pokładu idejowego i moralnego do wewnętrznej żądz lawy.

* *
*

Lubię odpoczywać wśród gwaru halli i przypatrywać się twarzom niewieścim. I teraz siedzę na idącej wokoło filaru ławce. Przy mnie co chwila sadowią się różnego wieku przedstawicielki płci strojącej. Zbliży się grono przyjaciółek, siada, gorzkie wylewając nawzajem żale, że czują się ogromnie zmęczone. Nie minie paru minut, a znużenie przeszło, bo ujrzały wystawę firmy francuskiej z gałgankami, naprzeciwko której stoi ławka, i naturalnie poleciały oglądać te cuda. Siada inna gromadka i znowu ucieka po chwili do tej samej szyby. Zaprawdę, grzechem byłoby odpoczywać...

Młoda czy stara, jednaką posiada duszę. Mefistofeles wiedział dobrze, co czyni, kiedy doradzał Faustowi kusić Małgosię brylantami. Zamężne mają przy sobie niewolnika, pana małżonka. Od czasu do czasu siada na ławce tego rodzaju istota, utyskuje na znużenie, wysyła męża po fotel. Chociaż ciało buntuje się, dusza jeszcze żyje, rwie się i łaknie! Mąż zjawia się z wózkiem i wiezie swoją towarzyszkę od szyby do szyby. Pani jego każe mu stawać przy tej lub innej wystawie i napawa chociaż swój wzrok rozłożonemi arcydziełami. A co dzieje się tam, przed wystawą firmy francuskiej, znajdującej się kilka kroków ode mnie! Twarze wlepione w okna, oczy iskrzą się i patrzą nienasycone na skarby gałganków. U niejednej aż rumieńce wystąpiły na twarzy, dopytuje się

o coś wystawcę—prawdopodobnie o cenę, żywo rozprawia z inną. Towarzyszący mężczyzna ziewa z nudów, ale rad nierad dźwiga cierpliwie jarzmo obowiązku. Tamtemu słuchaczowi chociaż płacą za to! W błękitnym uniformie stoi za fotelem, siedząca dama wpatruje się w cuda tualety i wylewa swoje uczucia przed tym najemnikiem. A —został zwolniony! Podjechał drugi wózek, obie damy zawiązały rozmowę. Może się nie znają i znać nie będą na ulicy. Ale stroje działają nader uspołeczniająco na mało społeczną naturę Ewy.

Wśród tych obrazów myśl zwraca się ku roli „damy“—tego szczególnego gatunku kobiety— w ekonomicznym obiegu życia nowoczesnego. Optymiści mogą zawołać z radością, że wszystko składa się ku lepszemu w tym najlepszym ze światów. Mężczyzna pracuje swoimi nerwami o majątek, kobieta zaś puszcza plony *businessu*. Zaprawdę, jeżeli moralizatorzy narzekają na wietrzność tego puchu marnego, za jaki w ich oczach uchodzi kobieta, natomiast ekonomiści mieszczańscy, tak dbający o plastry i plasterki na ciężkim losie człowieka pracy fizycznej, powinni na jej cześć układać hymny dziękczynne, większe niż na rzecz Rumforda i jego zupy lub na instytucye oszczędności. Rozrzutna białogłowa swojem marnotrawstwem zbawia świat kapitalistyczny, bo podnieca produkcyę i sprawia, że tłumy mają więcej zarobków, aniżeli gdyby wzięła sobie za hasło oszczędność... Mężczyzna bez kobiety nie wiedziałby, co począć z rentą. Zna on jedyny sposób trwonienia — grę, ale przegrana przenosi jedynie pieniądz

z jednej ręki do drugiej i nie zapładnia produkcyi. Dopiero kiedy wtrąci się postać niewieścia ze swoją umiejętnością, wtedy rzeczy wyglądać poczynają odmiennie, jej ząbki zdolne są zgryźć miliony, jej rączki potargać fortunę. Przyjrzyjmy się poważnie jej niepoważnym czynom z powagą właściwą panu Wicherkiewiczowi, kiedy mozoli się nad postępowem a taniem *menu* dla niezamożnej kieszeni. Gdyby dama nie tańczyła na dobroczynnych balach i nie potrzebowała strojów, kto dałby na kawałek chleba szwaczkom? A ktoby byłby nabywcą tych pieścidełek, błyszczących za oknem? Mężczyzna jest zwierzęciem grubiańskiego pokroju, niechlujnem i skąpem, nigdy nie nabyłby tego. Kapitały gromadziłyby się bezużytecznie. Kobieta zaś to ferment, ożywiający tę potęgę, jaką jest pieniądz, a która bez niej marnie gnuśniałaby w bezczynności. Zaiste, dziwnie się plecie na ziemi! Rozbestwiona baletniczka, puszczająca fortuny zdechlaków i graczów giełdowych, rozkapryszona plutokratka, miotająca slę w napadzie kupowania, rozflirtowana dama, wszystkie to są zbawicielki!....

* * *

Zawiść to wielka siła społeczna. O tem się przewybornie przekonałem, kiedy-m się tułał po olbrzymim gmachu i przysłuchiwał rozmowom tego dziesiątka tysięcy osób, który się tam tłoczył. Ileż w ulotnie rzuconych uwagach żółci i jadu, ileż tam zawiści. Prości fermerzy, którzy siedzieli w swoim zakątku i nie mieli ani pojęcia o tem, czem jest zbytek plutokracyi, teraz, kiedy stanęli oko w oko z wytworami kunsztu, poczy-

nają przebąkiwać o różnych rzeczach. Wyzysk ze strony kolei żelaznych i banków staje im w pamięci, a gdy wrócą na fermę, każdy zatarg wskrzesi w wyobraźni widziane przedmioty i uczyni zajadłość mocniejszą, namiętniejszą. Wystawa zbytku jest dobrą tylko dla tych, którzy zbytkiem i w zbytku żyją.

Dla usuniętych od tej uczty to jad jątrzący, siewca, który do duszy rzuca ziarno zawiści społecznej.

11 sierpnia, Chicago, wystawa.

Wielu jest nieproszonych pedagogów, którzy niecierpliwie pchają przed sobą taczkę, do jakiej traf przykuł ich dłonie. „Buda“ ich niecierpliwi, największą nieprzyjemnością jest, gdy ktoś po godzinach deptaka zagadnie ich o sprawy wychowawcze. Za całą odpowiedź bąkną coś pod nosem i jak najrychlej przerwą rozmowę.

Nie wiem, czy przypadkiem, dość, że w Starym świecie zwykle spotykam takich rozgoryczniouych pedagogów, w Nowym zaś ludzi, którzy, zagadnieni o sprawy szkolne, gotowi są rozprawiać bez końca. Drobiazgi, w jakie się wdają, szczególiki, jakie podnoszą, ciepłe uczucie, z jakiem dają informacyę, wszystko to brzmi inaczej—milej, serdeczniej. W galeryach halli przemysłu usadowiła się wystawa wychowawcza. Pedagodzy krzątają się tam jako kierownicy. Są to niekiedy osoby, zajmujące wybitne stanowisko, ale ono nie oślepiło ich—każdego obdarzają jednako serdecznemi informacyami, nawet smarkaczów, którym spodobał się rysunek w wystawowym kajecie i teraz naprzy-

trzają się o szczegóły. Jeżeli ktoś śpieszy się i chce otrzymać jakąś drobną informacyę, niechaj działa ostrożnie. Rozpłomieniony pedagog gotów go trzymać z godzinę!

W Ameryce rzadko kto rzuca się na pole pedagogiczne dla *businessu*. Ludziska są tam pełni praktyczności i wiedzą, że majątek zrobić można na szmalcu, pieprzu, „medycynie," ale nie na pedagogice. Do niej biorą się tylko ci, którzy istotnie ukochali ten zawód. A nadto nie znają oni tego, co u nas zowie się zapracowaniem. Znam w Warszawie nauczycielki, które są bez sił po dziennej pracy. Czy w tym nadmiarze trudów nie pierzchną najlepsze chęci i zawód nie przybierze odrażającego wyglądu? Rzecz dziwna. Właśnie u tych zapracowanych pedagogiczek dotychczas znalazłem najwięcej ciepła ku maleństwu i nawet ku owej budzie, w której tracą swoje młode siły, najmniej — u panów pedagogów z wyrobionem imieniem, którzy nie potrzebują tak uginać się pod ciężarem taczki nauczycielskiej.

12 sierpnia, Chicago, City.

Zwolna utracam wrażliwość nawet na charakterystyczniejsze rysy życia amerykańskiego. Przyzwyczaiłem się do nich i to, co kiedyś wydałoby się dziwnem, teraz uważam za rzecz najnormalniejszą w świecie. Ma to swoje ujemne strony. Wiele objawów zwróciło moją uwagę zaraz na samym wstępie, ale nie ośmieliłem się o nich wyrokować, obawiałem się bowiem pośpiesznego sądu. Dzisiaj daremnie usiłuję je scharakteryzować,

zżyłem się z niemi, one utraciły dla mnie swoją ostrość i wyrazistość.

Dziury i łaty w chodnikach przestały mnie dziwić, a łobuzerka małego obywatelstwa stała się dla mnie widokiem codziennym. Reklamy nie rażą mnie, nawet jeżeli spotykam szyldy głoszące, że jasnowidzące medyum udziela porady lekarskiej, albo inne, ogromnemi literami przemawiające do osób płci. męzkiej i zapraszające jedynie ich do składania wieczorem wizyt podejrzanym zakładom, kryjącym się pod maską muzeów osobliwości.

* *
*

W kolei miejskiej tłok straszny. Dziesiątki osób stoją w pośrodku pomiędzy siedzeniami i trzymają się pasów w górze. Przy mnie rozparł się ośmioletni malec, o którym sądziłem z początku, że jest synem siedzącej damy, w takiej bowiem jest z nią zażyłości. Gwizda, nachyla się do ucha, bawi się jej rękawiczkami. Dziwi mnie pobłażliwość owej damy, oraz w porównaniu z jej strojem, ubóstwo, niemal nędza, przeglądająca z odzieży malca, wreszcie i to, że matka nie każe mu wstać i ustąpić miejsca stojącym kobietom. Po kwadransie malec upodobał sobie młodą damę z drugiego końca wagonu, zaprosił na swoje miejsce, niebawem na drugiej czy trzeciej stacyi wyszedł, jeszcze z peronu płatając figla mniemanej matce. Był to poprostu używający przejażdżki urwis, widocznie dziecko bardzo niezamożnych rodziców. Czy taka poufałość pomiędzy damą a ubogim smarkaczem byłaby możliwa w naszej części świata? Malec wyglądałby

na zahukanego dziczka, trwożliwie kryjącego się w kącie. A czy uszanowanoby jego prawo do krzesła? Każda nieco lepiej ubrana dama zawołałaby konduktora i kazała zegnać obdartusa, każdy zaś dżentleman, sławiący się swoją grzecznością w towarzystwie, a jednocześnie demokratyczną tolerancyą, wyciągnąłby go za uszy. W Ameryce inaczej szanują czyjeś prawa, chociażby ktoś był ubogo ubrany i nie odrósł od ziemi. Nawiasowo nadmienię, że uważają tu demokratyczne wywody inteligencyi europejskiej ze humbug najczystszej wody. Mniemają, że każde nasze młode zwierzątko, swawolące w ten sposób, samo obryzga szyderstwem własne zasady, jeżeli inni nie raczą mu kłaniać się zbyt nisko do nóg, i na wybryki jego spojrzą nie jako na objawy gieniuszu, lecz uważać je będą wprost za następstwa złego humoru, chorobliwie rozdętej ambicyi, albo głosy niskiej chuci.

* * *

Ktoś, udający się na wystawę koleją górną, miejscami ogląda z okna jeszcze kompletne pustki. Przestrzeń zaniedbana, porosła chwastami. Domki rozsiadły się nielicznie, do nich prowadzą drewniane chodniki. Kiedyś wzdłuż nich pobiegną ulice, dzisiaj jeszcze zbyteczne. Z obu stron chodnika chwast bujnie się krzowi. Deska zaś wśród pola urywa się nagle. To właściciel sąsiednich gruntów podzielił ziemię na cząstki, przeprowadził chodniki, niby balustrady, z których by amatorzy zdołali obejrzeć place. Ziemia odpoczywa. Nie! — dźwiga na swoim grzbiecie mnóstwo dodatków, od których pewnie zbiera się na płacz duchom

wolnego stepu. Przestrzenie, porosłe burzanem, służą za śmietnisko! A z pośród zeschłych odpadków, z pośród rozmaitego paskudztwa podnoszą się tyki z reklamami.

Tak jeszcze wyglądają niektóre dzielnice Chicaga! Teraz kiedy od suszy wszystko na pół się spaliło, ponuro patrzy ta równina, nad którą spoczął tuman kurzu miejskiego. Dalej pociągnęły się gaje wiązów. Jest to parodya lasu, ale zawsze lasu. A człowiek, chociaż obecne stulecie gorliwie pracuje nad tem, aby oduczyć go od potrzeb praojców—czystego powietrza, dostatecznego słońca, obfitej zieloności, i przekształcić na miejskie zwierzę, rozkoszujące się, że łyka pył skwerów, tęskni przecież za przyrodą. To też starczyło małego gaiku, ażeby rozłożył namioty. Jeden obóz—drugi—trzeci!.. Lubię te obozy amerykanów! Świadczą one o człowieku inaczej, aniżeli nasze niby-wiejskie siedziby. Wchodzimy do jednego z nich. Parkan oddzielił znaczną część gaju, namiot stoi przy namiocie. Mieszkanie z płótna, przewiewne, wśród skwarów, jakie panują w Chicago, musi być istnym skarbem. W obozowisku mieszkają osoby niezamożne, przykute do miasta warunkami zarobku i niemające czasu szukać czystszej przyrody w okolicy pozamiejskiej.

Takich letnich obozów istnieje mnóstwo na ziemi amerykańskiej. Są obozy-kluby, obozy ekstazy religijnej czyli tak zwane *revivale*, nawet obozy-uniwersytety. Amerykanin lubi przyrodę i umie korzystać z jej wdzięków.

* * *

Wróciwszy do domu, biorę do ręki katalogi letnich mieszkań i letnich wycieczek. Pod każdą miejscowością znajdują się adresy hotelów oraz prywatnych domków, przyjmujących letników, z podaniem ceny. Hotele obliczone na kilkaset, prywatne domki na kilkanaście i kilkadziesiąt osób. Cena bajecznie nizka, jak na stosunki amerykańskie. Za dziesięć dolarów, nawet pięć na tydzień, dostajemy mieszkanie z pościelą, oświetleniem i życiem. W jakiej dziurze u nas pojedyncza osoba znalazłaby elegancko umeblowany pokój, trzy obiady dziennie — bo tak żyje amerykanin — za 20 rubli miesięcznie? (dolar odpowiada faktycznie rublowi). Oglądam rysunki domków. Istotne pałacyki, wobec których Otwock jest zbiorem lepianek! Domki leżą nad morzem, inne patrzą oknami na pasmo wodospadów, bielejących na zielonej kanwie lasów. inne obsiadły jakąś setinę drobnych wysepek. Amerykanin uśmiałby się serdecznie, gdyby kazano mu mieszkać wśród wydm piasku, porosłych karłowatą choiną. Wielki kapitał — wolę go niż drobne robactwo robigroszów!—ujął w swoje ręce sprawę letnich mieszkań i wysyła ajentów szukać nowych ustroni, a kiedy znajdzie się Ojców, wśród dzikiej pustki powstają hotele, nawet umyślne drogi elektryczne. Renta, jaką zdziera kapitalista za wynajem wdzięków przyrody, jest nizką, obliczoną na masy. Niekiedy, zamiast hotelów lub domków, widzę obozy: klub wioślarzy wyniósł się na lato nad brzeg morski, zbudował namioty z płótna i prowadzi koczowniczy tryb życia, przenosząc się z jednej miejscowości do in-

nej. A dokoła kolonii powstają wyścigi piesze, wioślarskie, cyklistów — kobieta w nich uczestniczy, olbrzymie krokiety i palanty, kluby dyskusyjne, nawet wykłady w rodzaju akademii mędrców ateńskich. Podczas wakacyi amerykanin żyje jak człowiek — ciałem i duchem. Jest byznesistą, ale posiada w sobie materyał na coś lepszego. Dla ćwiczeń ciała nie ma on pogardy filozofujących zdechlaków, a kiedy idzie o zabawę zbiorową, zapomina, że trznadle i papużki stworzyły kodeks *savoir-vivre'u*.

Biorę do ręki drugi katalog, kolei Hudsońskiej, około 500 stronic. Nie patrzę na letnie mieszkania, bo i cóż mogę dodać do tego, com powiedział? Natomiast przykuwają do siebie moją uwagę udogodnienia kolejowe. Letnie bilety za bezcen, bo wynoszą piątą część wartości, istnieją inne, rodzinne, tej samej ceny bez względu, ile osób jedzie, a cena wynosi połowę zwykłej; pociągi zatrzymują się w polu, niby tramwaje, jeżeli ktoś czekający da znać chustką! Naszych możnowładców, panujących nad kolejami, wysłałbym do Ameryki na naukę — nie żeby nabyli grzeczności, chociaż w tej mierze dużo skorzystaliby, ale wprost, aby nabrali rozumu. Byznesista amerykański kieruje się tylko rozsądkiem. Przestał trzymać się on zasad drobnomieszczańskiego skąpca, który woli dzisiaj grosz zabrać aniżeli za rok setkę.

13 sierpnia, wystawa.

Gmach, w którym usadowiła się wystawa rybacka, wywiera na mnie wpływ mocno pociągający.

Stosy blaszanek najrozmaitszego kształtu i wielkości z malowidłami raków, ryb i ostryg; portyery po-nad pawilonami i pod arkadami, ułożone z tysięcy stóp sieci; bateryę słoików z tranem. Nad temi pudełkami i beczkami, nad suszonemi rybami, zawieszonemi tu i owdzie bez najmniejszego pokrycia, unoszą się niezbyt przyjemne odory stęchlizny. A przecież, wbrew temu wszystkiemu, gmach rybacki wabi mnie ku sobie...

Po-za nieprzyjemnemi bowiem woniami majaczy tam nowy, chociaż jeszcze niezbyt wyraźnie zarysowany ustęp przyszłych dziejów ludzkości. Należy nieco porozmawiać ze specyalistami, nie tymi, którzy żywot pędzą gdzieś w zaścianku i dalej swego nosa myślą nie wylatują, ale z takimi, którzy wzrokiem obejmują dalekie widnokręgi; nieco poszperać w specyalnych czasopismach; uważnie przyjrzeć się różnym przedmiotom, tablicom i fotografiom w pałacu zawodu rybackiego, a żywioł wodny przedstawi się inaczej. Huczące morze pociągało ku sobie wyobraźnię niejedną. Spokojny, cichy, ale nieustanny plusk bałwanów o brzegi niecił w duszy artysty najrozmaitsze iskry. Ale że kiedyś ryba odegra potężną rolę w dziejach rodu ludzkiego, to nikomu nie przychodziło do głowy, a raczej przychodziło, lecz tego rodzaju mózgom, które trzeźwy rozsądek uważa za podejrzane. Nadeszła jednak godzina sądu dziejowego i dzisiejsza chwila „waryatów“ promuje na proroków, o trzeźwości zaś przebąkuje ironicznie.

Względem morza jeszcze stoimy na szczeblu dzikości, kiedy istota ludzka zbiera tylko to, co przyroda łaskawą była ofiarować, oraz w tem miejscu, w którem

raczyła to uczynić. Naturalnie, od owych zamierzchłych czasów, gdy nasza prababka po piersi stała w wodzie, czatując na morską zwierzynę, lub gdy praszczur kąpał się w tłuszczu trupa wielorybiego, którego szczęśliwy traf rzucił na wybrzeże, uczyniliśmy niezmierne postępy. Posiadamy parowe maszyny do miotania harpunów, czynimy setki wiorst, żeby wyszukać potwory, mieszkające w morzu, udoskonaliliśmy narzędzia połowu. Ale na tem koniec, dalej nie idziemy. Jesteśmy rabusiami, przy pomocy rozwiniętej techniki niszczącymi skarby oceanów — bez myśli o jutrze. Powoli jednak świta jutrzenka innej epoki. Po głowach błąka się świadomość, że do morza zdołamy zastosować tę samę kulturę zootechniczną, jakiej widownią są nasze pola, ogrody i obory. Specyaliści z kredką w ręku prowadzą obrachunki, ile pokarmu wydała-by toń morska przy racyonalnej hodowli — hodowli, która możliwą jest tylko wtedy, kiedy jedna centralna dłoń, jako wyraz zsolidaryzowanej pod naciskiem ekonomicznych potrzeb woli rodu ludzkiego, ujmie przewodnictwo nad przestworami wodnymi i usunie zastępy dzisiejszych rzezimieszków, uwijających się na powierzchni żywiołu morskiego. Ktoś usiłuje dowieść, że akr morza wyżywi dziesięćkrotnie większą ilość istot dwunożnych, aniżeli taka sama powierzchnia ziemi. A wobec tego do ilu miliardów wzrosnąć może zaludnienie naszego globu? Żywioł morski oddziała jeszcze w inny sposób. Czarnoziem równin Dakoty i Minnesoty daje w najwyższem przecięciu około 30 buszli zboża z akru; na doświadczalnej stacyi rolniczej w Massachusets, sku-

tkiem racyonalnego mierzwienia, wydała o wiele gorsza gleba aż 73! Rozmiary pokarmu, wydobywanego z roli, zależą od nawozu; jeżeli będziemy mogli dowolnie zwiększać ten posiłek, plony wystarczą na danie kęsa chleba największym ciżbom. Morze stanie się, przynajmniej stać się może, niewyczerpaną skarbnicą mierzwy. Zarodki tej przyszłości oglądamy już w gmachu rybackim. Piętrzą się tutaj słoiki, pełne szarej mączki. To sztuczne nawozy z odpadków, jakie dotychczas bezużytecznie gniły, zarażając okoliczne powietrze.

* * *

Morze pociąga mnie ku sobie czemś jeszcze. Udajmy się w doliny alpejskie lub do wiosek górali szkockich. Cóż z nich zrobiło kilka wieków cywilizacyi? Gdzie podziały się męztwo i dzielność! A co stało się z hardemi postaciami łyków nadreńskich lub husyckiego chłopstwa! Przed kilku laty ukazała się książka jakiegoś czecha. Nazwiska autora nie pamiętam ani wątku szczegółowego. Ale treść główną zachowałem w pamięci. Dzisiejszy mieszczuch praski ocknął się ze snu, przeniesiony o parę wieków wstecz, w czasy walki husytów przeciwko siepaczom niemieckości. Przeciwstawność pomiędzy energiczną indywidualnością husytów a ślamazarnością jednego z tych okazów, jakie epoka dzisiejsza produkuje na wzór maszyny — tego samego stempla duchowego, jest jaskrawą. Oportunizm duchowy i fizyologiczny, oportunizm uczucia i oportunizm idei, w głębi zaś etyka tłustej rzeźniczki, jaką skreślił Zola w *Ventre de Paris*...

Lecz morze nie jest lądem, to żywioł zgoła innej natury. Wątłe łodzie leżą rozciągnięte w różnych działach gmachu rybackiego. Marna to skorupa, kiedy przy mocniejszym podmuchu wiatrów bałwany poczną się piętrzyć po-nad bałwanami, a wybrzeżny plusk wydobywać z siebie coraz mocniejsze tony. Jednak w takiej skorupce człowiek zapuszcza się daleko w przestwory wodnej pustyni. Życie rybaka jest niepewnem i zdradliwem! Z ciekawością przyglądam sią portretom rybaków morskich. Energia tryska z każdej fałdy na czole, przemawia z każdego rysu twarzy. Spokój, pewność i wiara we własne siły! Nadaremnie poszukiwalibyśmy takiej silnej indywidualności wśród bulwarowej ciżby Paryża. Dziesięć wieków osiadłości starło z rybaków dawną krwiożerczość wikingów, ale nie zmiotło energii, nie nadłamało hartu. Człowiek tam żyje, bogaty w jaźń własną — nie jako produkt fabryki społecznej, w swym warsztacie urabiającej wszystko według tego samego kopyta, ale jako istota, która w samej sobie się przetrawiła, posiada własną, mniejsza czy racyonalną, filozofię życia. I nie dziw, iż w miarę jak szablonowość staje się coraz ckliwszą a indywidualność jest blizką zaniku — zamożne złotem kraje Europy sięgają do ubożuchnej Skandynawii po utwory oryginalnego ducha.

W Massachusecie znajduje się rybacka osada Gloucester. Z ojców praojców żyje ona z ryb połowu. Każde tętno życia zrosło się w niej ze zdradzieckim żywiołem; malec od dziecka przyzwyczaja się widzieć w oceanie drugą ojczyznę; starzec, kiedy siły go opu-

ściły, spędza dnie, przyglądając się ukochanej toni, która służy za cmentarzysko dla wielu blizkich mu istot. Wszak rocznie ginie tam jakaś setka Gloucesterczyków!

Gloucester wystawił cały pawilonik w gmachu rybackim. Na pokaz wysłał modele *skoonerów* za dwa z górą wieki czasu, przedstawił dzisiejszą technikę suszenia i pakowania, na kolumnach, otaczających pawilon, opowiedział swoje dzieje, dzisiejszy stan zdrowotności, stosunki ekonomiczne. Jego ludność, żyjąca z morza, przyzwyczajona do ryku burzy i podrygów wodnego żywiołu, odznacza się niezwykłem zdrowiem. A w tem zdrowem ciele ludzkiem mieszka podobnie silna dusza. Wogóle nie wierzę w bohaterstwo zdechlaków, o ile oni nie są histerykami, w chwili podrażnienia rozporządzającymi napiętą, ale krótkotrwałą energią. Na słupie wypisano opowieść o historycznych czynach. Kilka szczegółów z tej tablicy. Podczas walki z metropolią 1775—1782 miasto wysłało parę kompanii, 225 ludzi służyło w armii lądowej, a mnóstwo w marynarce lub na okrętach, uzbrojonych przez osoby prywatne. Zginęło wtedy czterystu mężczyzn i piąta część ludności po wojnie żyła z publicznej zapomogi. Wojna o oswobodzenie niewolników powołała z Gloucesteru 1,504 mężczyzn. Dzisiaj miasto rybackie posiada szkół bez liku, rybacy mieszkają w półwillach, mają biblioteki, którym pozazdrościć może niejedno stotysięczne miasto europejskie, ale po dawnemu żyją z morza, puszczają się na połowy, znoszą mozoły.

Stosunki ekonomiczne przedstawiają widok ró-

wnie ciekawy. Są one szczątkiem dalekiej, zamierzchłej przeszłości, który ostał się wobec wszystkich podmuchów rozwojowego huraganu. Kooperacya gloucesterska wyrosła z staroczesnej *artieli*, którą wszędzie spotykamy na rozświcie wolnej konkurencyi. Stare księgi z r. 1624 opowiadają o jej istnieniu językiem, prostym, bez uniesień, bo nie nastały jeszcze czasy aby mędrcy dziwili się, że nie zawsze i nie wszędzie człowiek dla człowieka jest wilkiem. Załoga rybacka wyruszała na cudzym statku, a co zarobiła na morzu, dzieliła się na trzy równe części. Jedną brał właściciel okrętu, który nadto dostarczał majtków, drugą dostawali kupcy w zamian za liny, sól i inne sprzęty, wreszcie trzecia przypadała rybakom i szła do podziału. Dwieście lat z górą uczyniło w tym zwyczaju niewielki wyłom. Jedynie, ponieważ koszta zbudowania i utrzymania *skoonera* podniosły się, właściciel pobiera połowę dobytku. Resztę sprzedaje załoga i po odtrąceniu wspólnych kosztów dzieli pomiędzy sobą proporcyonalnie do wysiłku, włożonego przez pojedyńczych członków. Starodawna solidarność oparła się zębom wzajemnej walki konkurencyjnej, ale czy długo będzie się jeszcze trzymała, a raczej czy będzie i nadal, jak była przez wieki, podstawą zamożności rybackiej? Że dzielna i zahartowana indywidualność uporczywie dochowa wiary starodawnym zwyczajom, rzecz pewna, ale równie nie mam wątpliwości, że zamożności jej i dobrobytowi zagraża niebezpieczeństwo ze strony pośredników rynkowych. Minęły pradziadowskie czasy, kiedy stosunki sprzedaży połowu odznaczały się nie-

zmierną prostotą. Obecnie przybrały one inną fizyognomię. Odpowiednio do potężnych sił, rządzących rynkiem, ukazały się podobnie wielkie firmy, pośredniczące pomiędzy rybakiem i kundmanem, obdarzone wilczym apetytem na cudzą krwawicę i silnymi pazurami. Niechaj wzrośnie jeszcze konkurencya różnych części globu ziemskiego w zakresie rybactwa, a wzrasta ona szybko,—niech w ciągu dalszym stworzy kryzysy i nadprodukcyę, a los rybaków będzie rozstrzygnięty. Burze morskie nie zjadły hartu ich duszy, owszem jeszcze go wzmocniły; za to pożre go pozornie cicha i niby pokojowa logika ewolucyi ekonomicznej.

* * *

Najrozmaitsze zakątki globu ziemskiego wystąpiły z modelami przedsiębiorstw rybołowczych. Kanada dała wzór całej osady, założonej przez akcyjny kapitał—z suszarniami, wędzarniami, olejarniami. Boston wystąpił z modelami swoich fabryk. Popisało się zwłaszcza wybrzeże Oceanu Spokojnego, nasłało bowiem bez liku widoków swoich zakładów. W pałacu rybackim wielki kapitał obchodzi świątecznie swoje powodzenie w dziedzinie rybołówstwa. Nieznane wzory techniki dojrzewają, a dojrzewaniem swojem zwiastują nową erę. W Australii i na wyspach norweskich, na wodach Oregonu i zatoki Hudsońskiej, wszędzie sadowią się przedstawiciele wielkiej industryi, wznoszą w pustkowiach, dotychczas nawiedzanych jedynie przez śnieżne huragany i zamieszkanych przez dzikie ptactwo, mury fabryczne i wille dla siebie, wysyłają w świat setki tysięcy blaszanek, użytkują z każdego odpadku,

dawniej rzucanego do kąta. Ciekawy to widok obserwować ów najazd techniki do zakresu ludzkiej działalności, dotychczas zostającej na uboczu. Powstają specyalne szkoły rybackie. Sama nauka, jak zwykle bywa, rozwija się silnie pod tym podmuchem kapitału. Ostatnie dziesięciolecie więcej zrobiło dla poznania fauny morskiej, aniżeli kilka przedtem. Państwa powołują do życia departamenta rybackie ze stacyami doświadczalnemi i czynią pierwsze próby okiełzania rabunku, popełnianego na żywiole morskim. Pałac rybacki może niejednego odstrasza stosami pudełek i odorem tranu, ale, bądź co bądź, stanowi dział wystawy, ciekawszy, aniżeli podejrzane tańce perskich szansonistek, lub cuda w rodzaju młyna dyabelskiego.

14 sierpnia, Chicago, wystawa pedagogiczna.

Na ścianie olbrzymia mapa Stanów Zjednoczonych, upstrzona czerwonymi punkcikami. Zwłaszcza gęsto rozsiadły się one w kącie pomiędzy Atlantykiem a siecią wielkich jezior. To organizacya samouctwa prowadzona przez komitet chautauquański. Na półkach książki, wydane dla samouków, na stolikach czasopismo miesięczne apostołów oświaty, statuty, opisy, wreszcie reklamy — bez tego specyfiku niepodobna się obyć w „nowym kraju.“ Na jednym ze stołów albumy z fotografiami. To sceny z letniego obozu-uniwersytetu: pochody zbiorowe, wysepki, widoki gmachów, krajobrazy, nawet flirty nad ruczajem. Potężnem a oryginalnem oddycha tam każdy szczegół! Gdzieś nad niewielkiem jeziorkiem, Chautauquą, w porze letniej gro-

madzą się żądni wiedzy. W kolegium wakacyjnem ciągną się wykłady, obliczone, ażeby w parę tygodni słuchacz otrzymał całość zaokrągloną danego przedmiotu, Istnieją fakultety: łaciński, grecki, niemiecki i francuski, fizyczny i chemiczny, biologiczny i geologiczny, psychologiczny i matematyczny, historyczny i ekonomiczny. Przeglądając programy niektórych, jestem zachwycony praktycznością wykładów, a niekiedy metodami. Obok kolegium, jeśli nie po nad niem, winniśmy postawić „instytut literatury świętej,“ czyli po prostu zmodernizowaną akademię teologiczną, prowadzoną w duchu sekciarstwa amerykańskiego.

Ale kolegium i instytut literatury świętej stanowią jedynie cząstkę szkół, otwierających podczas lata nad jeziorem swoje podwoje. Mamy tam jeszcze mnóstwo zakładów fachowych: konserwatoryum naucza muzyki, szkoła prawna kształci prawników, handlowa — buchalterów, artystyczne uczą rysunku, rzeźby, modelowania, deklamacyjne wypuszczają krasomówców, fotograficzne fotografów.

Człowiek niezamożny za tanie pieniądze może zaznajomić się z różnymi działami wiedzy — na świeżem powietrzu. Zorganizowanie takiego letniego uniwersytetu, podającego wiedzę systematyczną w formie treściwej, jest już dziełem pożytecznem. Ale wykłady owe stanowią jedynie drobny ułamek działalności koła chautauquańskiego.

Z ostatnim dniem sierpnia, kiedy *Chautauqua Assembly* zwija swoje wykłady i ludziska się rozjeżdżają, dla zarządu bynajmniej nie wybija godzina odpo-

czynku, raczej nastaje okres ciężkiej a mozolnej pracy, w porównaniu z którą nawał zajęć w porze letniej jest igraszką. Komitet kieruje szkołą na łonie rodziny i w zaciszu mieszkania prywatnego dla osób, które z braku czasu lub z innych powodów nie mogą uczęszczać do zakładów naukowych, a przecież chcą czegoś się poduczyć. Osób zaś takich jest mnóstwo w Ameryce. Pełno tam ludzi ambitnych, acz nie o tej chorobliwej a histerycznej ambicyi, która przywdziewa na siebie maskę fałszywą, rada, że naiwni pozłotę wezmą za jedno z istotnem złotem. Za kantorkiem w sklepie, albo w drobnym kramiku, w fabryce i w kuchni, ba, nawet na świeżym rudunku pod strzechą drobnego fermera, t. j. naszego włościanina, znajdzie się ktoś, chcący nieco zgłębić tajemnice otaczającej go przyrody, oświecić się w sprawach społecznych, zdobyć teoryę uprawianego przez siebie zawodu. Ten, zamknięty w swojem ustroniu, nie może dostać najmniejszej wskazówki; tamten przebywa wprawdzie w gwarniejszem ognisku, ale w nawale pracy zaledwie godzinkę czasu dziennie zdoła obrócić na kulturę swojego umysłu. I otóż komitet związku chautauquańskiego pośpiesza z pomocą tym samoukom, troskliwie a starannie uwzględniając warunki, jakich garną się oni do wiedzy. Ułożył kursa systematyczne samouctwa, które wymagają paru łat pracy półgodzinnej, względnie godzinnej dziennie. Wszedł w stosunki ze znakomitościami, które podjęły się ułożenia odpowiednich podręczników, oraz z firmami wydawniczemi, od których bierze w komis dzieła pierwszorzędnej wartości i ułatwia samoukom nabycie

ich po zniżonej cenie. Ogłosił *syllabusy* (rodzaj drukowanych kierowników do studyów ogólnie kształcących); wydaje miesięcznik, który dostarcza zdrowej lektury. Ułożył *memoranda*—notatniki do każdej z polecanych książek, do których samouk wpisuje rzeczy przeczytane, aż wreszcie otrzymuje przewyborny skrót tego, czego się nauczył, postronny zaś czytelnik dostał probierz, pozwalający mu osądzić, czy ów ktoś skorzystał cokolwiek i jak zrozumiał autora. Stworzył systematyczne kursa w zakresie kolegium, ale opracowywane w domu: każdy z samouków, uiściwszy odpowiednią, bardzo małą opłatę, otrzymuje szemata, według nich studyuje przedmiot i wypełnione posyła kilkanaście razy do „biura korespondencyjnego,“ które rozwiązuje wątpliwości, daje wskazówki i uczniowi wytyka słabe strony.

Ale samotna praca nie zawsze bywa wydajną, nieraz zaś jest nazbyt kosztowna. Przynajmniej komitet zarządzający jest zdania, że osoba pojedyncza, skoro rozporządza tylko własnemi siłami, nigdy nie dopnie tych rezultatów, jakie zdobędzie, kiedy wysiłki swoje zsolidaryzuje z wysiłkami sąsiadów, zmierzających ku temu samemu celowi. Kółka wprowadzają wymianę myśli pomiędzy uczestnikami i starcie poglądów, usuwają opaczne wnioski z rzeczy przeczytanej, uczą bronić swego zdania, z groszaków nagromadzanych pozwalają dojść do biblioteki i pracowni i nawet płacić za wykłady. Zarząd więc troskliwie wyszukuje apostołów idei chautauquańskiej w różnych zakątkach Stanów Zjednoczonych, którzy-by organizowali zbory samouctwa.

Dzieje się to w sposób iście amerykański. Nauczyciel, który przejął się był pomysłami chautauquańskimi, kaznodzieja miejscowy lub publicysta zwołują meeting, tam wykładają cele samouctwa, organizują komitet lokalny, wchodzący w stosunki z organizacyą centralną, i pomiędzy ludnością miasta wywołują zainteresowanie. Tworzą się kółka i gromadzą biblioteczki, ktoś zjeżdża i za niską opłatę w paru lekcyach wykłada zasady danej gałęzi wiedzy—w tym wypadku prąd chautauquański zlewa się z innym, jeszcze obszerniejszym, demokratyzacyą wykształcenia uniwersyteckiego. Członkowie zbierają się na zabawę, urządzają wycieczki i na podstawie oświaty wiążą się w grupę koleżeńską, wzajemnie uczącą się i pospołu bawiącą.

Tak wygląda szkielet zewnętrzny, który tyle daje pojęcia o istotnem życiu, ile każdy podobnie suchy szemat o tej różnobarwności i wartkości, jaka pod nim się ukrywa. Broszurka, w którą zaopatrzyliśmy się, ów szkielet przyodziewa nieco muskułami. Znajdujemy tam listy samouków, pełne wdzięczności za pomoc otrzymaną. Pochodzą one z najrozmaitszych zakątków i od osób, znajdujących się w bardzo odmiennych warunkach. Ktoś, zagnany losami aż do kniei Amazonki, pisze: „Przeczytałem wasze sześć książek, kiedy siedząc na skale olbrzymiej nad zlewem rzek Rio-Negro i Rio-Bianco, wśród Andów, na wiele mil dokoła nie miałem innego sąsiedztwa prócz chaty ubogiego indyanina. Jaką łaską nieba jest Chautauqua dla osób, które zostały zagnane do takiej dziury na pół cywilizowanej!“ „Jestem matką ośmiorga dzieci—

dziękuje jakaś amerykanka. — W ciągu lat czterech pracowałam nad kursem, o ile na to pozwalały okoliczności. Nie byłabym tem, czem dzisiaj jestem, gdyby wasze kierownictwo nie zwróciło myśli moich ku czemuś wyższemu, niż troski życia codziennego!" „Kiedym począł nieco zarabiać—spowiada się młodzieniec—postanowiłem pieniądze, które szły na tytoń, odkładać na kupno książek. Ktoś powiedział mi, że istnieje Chautauqua i wielokrotnie dziękuję mu za to, że życiu memu przysporzył nowe źródło uciechy." Znaleźli się entuzyaści, przeważnie z pośród kapelanów, którzy słowo, poczęte w Chautauqua, ponieśli do armii i w mury więzień. Jeden z takich zapaleńców opowiada o skutkach swojej propagandy: „Nocą odwiedzam celki. Więźniowie siedzą przy stolikach i mają przed sobą książki i papiery. Zasypują mnie gradem pytań. Chautauquański system kształcenia skierował ich myśl w inną stronę i kształci smak więźniów w zakresie czytania. Niektórzy otwarcie przyznają się, że przedtem nie czytali nic porządnego. A czytanie lepszych rzeczy prowadzi do lepszych myśli, lepsze zaś myśli są w każdym razie pragnieniem lepszego postępowania." A jeżeli mamy zawierzyć statystyce związkowej, której nie ufać niepodobna, to okaże się, iż z górą 200 tys. samouków korzystało ze wskazówek, udzielanych przez organizacyę — od r. 1878. Czy wciągu tego czasu ogół wszechnic niemieckich może pochlubić się podobnymi owocami swojej pracy? Pamiętajmy zaś, ze w tym zastępie nie ma karyerowiczów, którzyby zdobywali pozory wiedzy celem otumanienia łatwowiernych, oraz

że samouctwo amerykańskie jedynie zaspakaja łaknienie wiedzy—nic więcej.

Taką jest organizacya chautauquańska! Owa mapa z punkcikami czerwonymi to statystyka kółek domowych i kółek samouctwa! Lubię przesiadywać w tym pawiloniku, wdawać się w rozmowy z *miss*'ami, które deżurują, i słuchać ich namów, ażebym odwiedził spiesznie obóz nad jeziorem, który niebawem zwija swoje namioty, przyglądać się wreszcie propagandzie oświaty, jaką one szerzą pomiędzy przepływającym potokiem głów ludzkich. Ot! dzisiaj znużony wystawą, uciekłem tutaj na odpoczynek, rozsiadłem się w fotelu i patrzę. Jeden i drugi stos swistków i opisów przy mnie uprzątnięto ze stołu—*miss* wtyka je każdemu przechodniowi. Ktoś rozpytuje się o szczegóły: moja apostołka z rozłomienioną twarzą pokazuje mu albumy, wyjaśnia mapę, wtyka opisy...

18 sierpnia, Chicago, city.

Przedemną przynajmniej dwustopowej grubości stos gazet — z najrozmaitszych okolic. Zbieram je, oczekując w tej chwili, kiedy nagromadzi się sporo tego rodzaju dokumentów zamorskiej psychologii dziennikarskiej.

Kurz, grubą warstwą spoczywający na plice zadrukowanej bibuły, bynajmniej nie podniósł jej wdzięków, ale za to pomógł do wykrycia jej znikomości. Wydawcy z góry wiedzą, że płachty dziennikarskie pójdą do śmieci, i zgon taki swojego towaru uważają za najzasłużeńszy, a skwitowawszy z wieczności, biorą

najlichsze gatunki papieru, które już dzisiaj, po kilkotygodniowym odpoczynku w kącie, rozłażą się pod palcami. Nadaremnie poszukiwalibyśmy w gazecie amerykańskiej dbałości o przyjemną powierzchowność produkowanej papki umysłowej! Oko, przyzwyczajone do wzorów europejskich, z trudnością godzi się z takiem niechlujstwem. Zamorski robigrosz dziennikarski wziął rozbrat z estetyką. Tak samo dzieje się w innych gałęziach przemysłu. Największe fabryki są zbiorem lepianek, gdzie schody i pomosty ledwie trzymają się pod ciężarem, milionowe kantory gnieżdżą się nieraz w zwykłej budzie. Podobna zasada panuje też nad geszeftem dziennikarskim. Pośpiech, łaknący zaraz ponieść wiadomość o wypadku, wygląda z każdego wiersza. On to sprawił, że garmont z petitem plączą się bez harmonii, że przedziały są rozmaitej miary, że artykuł na wyrazie przerywa się i dopiero o kilka stronic dalej wątek jego znowu wypływa.

Rozmiary przeraźliwe! Kilka ogromnych płacht papieru w codziennym potoku życia, kilkanaście w niedzielę, oto dziennik amerykański w większych ogniskach. *Herald*, jeden z poczytniejszych organów w Chicago, gdyby drukowano go w postaci książki, w powszedniej edycyi ukazywałby się jako broszura ośmioarkuszowa, w świątecznej zaś posiadałby do dwudziestu arkuszy. Kładę nacisk na tej stronie dziennika, bo wywiera ona mojem zdaniem bardzo ujemny wpływ na umysłowość kraju. Może nigdzie nie występuje tak jaskrawo ta prawda, że prasa codzienna jest wrogiem głębszej inteligencyi, że, niby trucizna, znieczula szer-

sze potrzeby umysłowe. Niejednemu, który bierze za dobrą monetę hymny o cywilizacyjnej roli dzienników, sąd taki wyda się co najmniej dzikim, ale niestety, jest on słusznym.

Bo czem zaiste jest dziennik amerykański? Przerzuciłem systematycznie kilkaset numerów najrozmaitszych organów i wszędzie widziałem ten sam brak podniety umysłowej. Gazeta rozpoczyna się zwykle artykułem wstępnym o najważniejszym skandalu bieżącej chwili, przyprawionym w sposób, możliwie łechczący nerwy, a ozdobionym mnóstwem rysunków — dzienniki amerykańskie są ilustrowane i reporter prócz innych umiejętności musi być rysownikiem. Dzisiaj owym naczelnym skandalem będzie wiadomość o rozwodzie, nagłówek grubemi czcionkami rozmaitego formatu poda główne stadya wypadku, jutro o napadzie rozbójników na kolej lub o kradzieży. Bieżąca plotka wypełnia wraz z ogłoszeniami parę lub kilka arkuszy książki! Niekiedy urozmaica ją jakaś sprawa wewnętrznej polityki, lecz niemal niknie wśród powodzi rozwodów, pożarów, wyścigów, nadto nosi na sobie cechy plotkarskie. Nawet powieści niema, nie zgadza się to z „bieżącością“; fejleton też ulotnił się, bo reporter jest panem w dzienniku. Idea zatonęła w plotkarstwie, potrzeby umysłowe zaspokaja opowieść o skandalach i wypadkach codziennych, reporter połknął publicystę...

Trzeba godziny czasu i więcej na spożycie tej strawy. Obywatel, kiedy pożre taką porcyę, daje za wygranę innym—dość mu drukowanego słowa! A stra-

wę taką i z takim skutkiem amerykanin zjada codzień przez całe życie. Zwolna przyzwyczaja się do niej, co więcej prócz niej żadna inna mu nie smakuje, zwłaszcza że wydawca posiada na swoim żołdzie kuchcików, których obowiązkiem jest przyprawić ją tak, aby przypadła do gustu. Rzecz dziwna, nigdzie nie spotykamy takiego pożądania gazety, i jednocześnie takiej obojętności dla książki! Księgarni w Chicago trzeba poszukiwać z latarką w ręku, tak są rzadkie; idąc wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata, więcej zoczymy wystaw z książkami, aniżeli w całym grodzie wystawy. Są amerykanie, codziennie czytający gazetę, którzy przecież w życiu nie kupili ani jednej książki! W domu amerykańskim sprzęt taki należy do rzadkości, mówię, rozumie się, o szerokich masach ludności. Dopytywałem się swojej gospodyni, codziennie siedzącej przez godzinę nad gazetą, czy posiada książki w domu. Prócz podręczników szkolnych nigdy nie kupowała takiego towaru, ani nie słyszała, żeby jej znajomi to czynili! Drukowana plotka, upostaciowana w dzienniku, jest plagą, niszczącą w zarodku głębsze potrzeby umysłowe. Ta bibuła, tak licha pod względem swego gatunku, jest podobnie marną, co do wywieranego wpływu. Ale kiedy materyał po kilku miesiącach gnije i rozlatuje się, trucizna, rzucana kropla po kropli do umysłu, pozostaje i tłumi poważniejsze porywy.

20 sierpnia, Chicago, wystawa.

Szkolnictwem amerykańskiem jestem coraz bardziej zachwycony. Wyszedłem przed chwilą z budynku

stanu waszyngtońskiego. Sekretarz szkolny, ujrzawszy kogoś, kręcącego się pomiędzy stosami kajetów i ćwiczeń, tak rozczulił się tą ciekawością, że obdarzył mnie próbkami ćwiczeń i zbiorów, i przetrzymał parę godzin, gotów zaś byłby nie wypuszczać mnie ze swoich szponów dłużej, gdyby nie nadszedł czas zamknięcia gmachu.

Poglądowość przemawia z każdego kajetu, rozłożonego na pulpicie, z każdego ćwiczenia, rozwieszonego na ścianie. Z poglądowością zespoliła się nierozerwalnie chęć obładowania pupilów jaknajwiększą masą przetrawionych wiadomości, rozszerzających jego widnokręgi umysłowe i wyrabiających go na dzielnego obywatela kraju. Z historyą powszechną, algebrą, językami starożytnymi malec lub dziewczyna zapoznają się dopiero wtedy, kiedy dostaną się do wyższej szkoły, a zatem w wieku lat czternastu i więcej. Za to, podczas pobytu w niższej, dowiadują się o swoim kraju, jego przyrodzie i dziejach, o życiu ludzkiem, jego działalności fizyologicznej i o anatomii; poznają zasady hygieny i konstytucyi; uczą się spoglądać na naturę rozumniejszemi oczami. Rysunek bezustannie ćwiczy rękę ucznia i uzdolnia do oddania na papierze wszystkiego, co go zainteresowało. Zoologia, botanika, fizyologia, a nawet historya i wypracowania stylistyczne to tylko lekcye wyspecyalizowanego rysunku! Weźmy botanikę. Wykład systematyki polega na tem, że uczeń w ciągu roku szkolnego winien zebrać pewną liczbę okazów roślinnych, charakteryzujących oddzielne rodziny. Własnemi słowami opisuje cechy kwiatu, pręcików, łodygi,

rysuje ów kwiat, jego składowe części, kształty liści, obok zaś przyczepia samą roślinę, umiejętnie zasuszoszoną. Nadto podaje szczegóły, w jakich warunkach ją znalazł, opis zaś taki niekiedy aż za serce chwyta swoją swobodą. „Kwiat ten dostałam od Lory, której w podarunku dał go jej ukochany przyjaciel. Ten kwiat, kiedy żywy, musiał być dla tego bardzo pięknym!" opowiada w biografii rośliny uczenica, zdradzając może wielką tajemnicę swojej trzynastoletniej koleżanki. Zoologia jest nauką rysunku o głównych typach jestestw żyjących. Każdy typ oddano na papierze naprzód w pojedynczych częściach, później w szematycznem przecięciu. Mineralogia polega na opisie, zkąd okazy kamienne pochodzą i w jakim stanie znajdują się w przyrodzie. A szemata fizyologiczne? Nie wiem, czy wielu studentów zdołałoby tak trafnie oddać na rysunku różne czynności i organy ludzkie, jak to czyni czternastoletni bęben w szkołach waszyngtońskich. Szemata są najrozmaitszej natury: jedne dają obieg krwi, inne—ustrój nerwowy wraz z zależnymi od nich mięśniami i ich przyczepami. Są nawet takie, które kreślą uderzenia pulsu w stanie normalnym, oraz zawikłania pod wpływem alkoholu i nikotyny. Niekiedy do rysunku szkoła dołącza modelowanie z gliny. Widziałem płaskorzeźby, przedstawiające powierzchnię stanu waszyngtońskiego, a wyrobione przez 14-letnich uczniów. Zwłaszcza uderzył mnie model miasta Seatle, wykończony przez dziatwę. Ileż pracy musiało pójść na to odtworzenie każdego gmachu, mostu, na to utrzymanie stałej skali!

Co da się tylko, zostaje w wykładzie zamienionem na rysunek. Geografia, nauki przyrodnicze są ćwiczeniami rysunkowemi. Lekcye zaś właściwego rysunku przekształcają się na umiejętność oddania ołówkiem wdzięków przyrody. Nasze wycinania, wyszywania, rysunki ze szkół froeblowskich są za morzem celowo prowadzonymi wykładami tego kunsztu, ogarniającego coraz szersze kręgi w miarę tego, im wyżej podnosimy się po szczeblach drabiny szkolnej.

21 sierpnia, Chicago, city.

Obczyzna amerykańska dziwnie oddziaływa na wychodźców. Wraz z ziemią ojczystą przybysz pozostawia po za sobą w rodzinnym kraju szacunek przed opinią publiczną. Do Ameryki zjechał ciułać majątek, oto jedyny cel i wyłączne zadanie! Miejscowy robigrosz, który przyszedł na świat na ziemi amerykańskiej i jest z tym lub owym związany stosunkami krewniactwa, przyjaźni lub znajomości, jeszcze czuje więzy, jeszcze coś go krępuje i obezwładnia, lecz przybysz, kiedy przejechał Atlantyk, tem samem popalił za sobą wszystkie mosty, jego całem jestestwem wstrząsa wilczy apetyt zrobienia majątku, wszelkie drogi są godziwe, jeżeli wiodą do tego celu. Uczciwość wykreśla on ze słownika, zna tylko „rozum,“ naturalnie rozum geszefciarski, umiejący centa przelać na dolara.

Polonia amerykańska dostarcza w tej mierze wdzięcznego, chociaż aż nazbyt smutnego pola do studyów. Nasz rodak za morzem doznaje przygód, na których spis potrzebowałbym skóry wołowoj. Dawni oby_

watele ziemscy pracują jako wyrobnicy, hrabiowie służą za lokajów, żony ich stoją za szynkwasem. Z prostych chłopów wychodzą senatorzy, a jeszcze częściej ludzie pokaźnej fortuny. Naturalnie plutokracya, która z niczego dorobiła się majątku, rej wodzi i kreśli zasady kodeksu moralnego. Rodak, przybywający ze „starego kraju,“ chętnie daje posłuch tym ludziom, których szanuje za to, że z nędzy wydobyli się na wierzch, nadto widzi w nich kość z swej kości włościańskiej, krew z krwi swojej. Kto chce poznać, jak wygląda rodzimy włościański „kułak,“ niechaj udaje się za morze! Spekulował on na ziemi i okpiwał rodaków sprzedając im bilety okrętowe, jest naganiaczem polskiej trzody głosującej do sieci amerykańskich „politykantów“ — tak tłomaczą termin *politicians*; trudnił się pokątnem doradztwem, wreszcie był „salonistą,“ t. j. szynkarzem, poił ziomków. Salonista i sprzedawca „lotów“ są panami Polonii. Oni są głowami komitetów i rad, właścicielami dzienników. Felczer, tytułujący się doktorem, aptekarz z podejrzanym patentem stanowią przyboczną świtę tych możnowładców. A wszyscy trzymają się solidarnie i każdego krytyka okrzykują za zdrajcę ojczyzny, którą ciągle mają na języku: Wyszukują kopalni złota, aby oskubać rodaków, zakładają kolonie... Nauki praktycznej moralności, przez nich szerzone, wżerają się do serc napływającej rzeszy. Podłości stają się cnotami, po drodze zmieniły swoją nazwę chrzestną. Oszustwo jest tylko spekulacyą i oszust — mówimy o kilku wypadkach zpośród tutejszych śmietanki — dzisiaj wypuszczony z więzienia, na pewne

może do każdego dłoń wyciągnąć, zwłaszcza jeśli w nieszczęściu złożył dowody „rozumu.“

Etyka taka panuje nietylko pomiędzy polakami. Istnieje ona u innych przybyszów. Dopiero w trzeciem i czwartem pokoleniu, kiedy potomek zrośnie się ze społeczeństwem, poczyna ona tracić swoje jaskrawe barwy, ale niezupełnie, wycisnęła bowiem piętno na kulturze amerykańskiej. Bezwstyd reklamy i podejścia geszeftu pochodzą z tego źródła.

23 sierpnia, Chicago, city.

Skwar popołudniowy dopieka, najmniejszy wietrzyk go nie łagodzi. Z przeciwległej oficyny leniwo wlewają się do mego pokoju dźwięki skrzypiec, wygrywających swojskie melodye. Tam mieszka garstka amerykanów „polskiego wyznania,“ która przy święcie traktuje siebie nawzajem piwem i skraca czas śpiewem. Teraz nucą zbiorowo piosnkę, wykpiwającą stosunki amerykańskie, co zdarza się wśród naszych rodaków rzadko. W oczach tłumu Ameryka uchodzi za raj i gotów on szydercy za nową swoją ojczyznę wydrapać oczy... Zwrotki kończą się ironicznym dwuwierszem:

Bo Ameryka,
To śliczny wolny kraj!

Zwrotka utyskuje na ostrość praw amerykańskich, kiedy chodzi o dziewczynę. Dusza męzka wybucha żalem na krzywdy, jakich doznaje za morzem. Zaiste, wolny i śliczny kraj nie zna w tej mierze swawoli, bo

...Pożartuj z panną raz
I w biały jasny dzień,

To choćby piorun trzasł,
Już się z nią bratku żeń!
Bo sprawiedliwy sąd
Nie pyta ktoś i skąd,
Czyś rad jej czyś nie rad,
Żeń się z poza krat!..

Ostatnie „z poza krat“ wybucha z mocą, lecz ginie niebawem w chórze

Bo to Ameryka,
To śliczny wolny kraj!

Europejczycy, z którymi się spotykam, wyłącznie mężczyźni, z przekąsem odzywają się o barbarzyństwie, z jakiem prawodawstwo Nowego Świata występuje przeciwko grzeszącym Adamom. Dowodzą, że mężczyzna został oddany na pastwę kobiety, że wszystkim prawom przyrody ludzkiej, tj. męzkiej, zadano gwałt najbrutalniejszy.

Kodeks bowiem postawił tamę swawoli męzkiej. Ta pełna dziurawych chodników i śmieci na ulicach Ameryka posiada wiele doskonałych zwyczajów i wyznaje nader zdrowe zasady w sprawie między mężczyzną i kobietą!

Swoboda stosunków towarzyskich pomiędzy płciami jest nad wyraz wielką. Żadne pęta jej nie krępują. Ameryka nie zna owej cieplarnianej hodowli, wśród której wyrasta dziewczę w Europie. W szkołach, od elementarnej aż do uniwersytetu, dziewczyna siedzi z chłopcem na wspólnej ławce. Pożycie jest na wskroś koleżeńskie. Podczas lata, majówki groma-

dzą młodzież płci obojga Nikt ze starszych, żadna ciocia, ani mama, nie mącą wesołości, którą pojmować przestały. Z takiej zabawy dziewczęta wracają o północy i później. Panienka z młodym mężczyzną chodzi do teatru, wstępuje potem na lody, wraca do domu bardzo późno. Składa wizyty przyjaciołom płci męzkiej, wyjeżdża do innego miasta na wycieczkę. Dziewczyna 16–17 letnia bez wiedzy rodziców może zawrzeć związki małżeńskie, zapowiedzi zaś są nieznane, jedynie pan młody składa przysięgę, że narzeczona wyszła już z pod opieki ojcowskiej.

Słowem, dziewczę ma możliwą wolność w wieku. kiedy krew najsilniej się burzy w młodym organizmie. Trudno spodziewać się, aby młoda natura utrzymała się w granicach powściągliwości. Raczej należy przypuszczać, że nieostrożność stanowi zasadę. Wie o tem ogół, a zostawiwszy dziewczynie swobodę, pośpiesza jej z pomocą, gdy zaplątała się ona w sieci nieopatrznej namiętności—mądrzejszy a przedewszystkiem uczciwszy, niż zastęp Don Juanów, występujących pod płaszczykiem idei, którzy wykpiwają przesądy „towarzyszek,“ ale nie postawią uzupełniającego żądania opieki prawa nad młodą matką, której twarzyczka po kilku miesiącach zobojętniała apostołowi wolnej miłości. Społeczeństwo amerykańskie toleruje swobodę, świadome natury młodego pokolenia i losów dziewczyny, jeżeli mężczyzna będzie nadużywał przywileju, później porzuci zaś przyjaciółkę z niemowlęciem, nie troszcząc się o wychowanie wspólnego dziecka. Prawo występuje z pomocą tylko wtedy, kiedy dziew-

czyna jej zażąda. Sprawa jest prostą, aż nadto prostą, mało poetyczną i idealną, ale nader praktyczną. Liściki ze zbyt pieszczotliwymi wyrazami a przedewszystkiem z obietnicami mężczyznie grożą grzywną, ale jeszcze nie małżeństwem. Zresztą sądy są względne i okup nakładają tylko wtedy, kiedy widzą, iż oskarżony z góry działał w złej wierze; uczucie szczerze obumarłe, uniewinniają. Ale obrót sprawy bywa zgoła inny, jeżeli dziewczyna została uwiedzioną. W tym razie wystarcza jej przysięga oraz świadectwo znajomych. Sąd wydaje powódce *warrant*; wsadza ona przeniewiercę do kozy i trzyma dopóty, póki ten nie zawrze ślubu. „Żeń się z poza krat“! Nawet nierządnica, która sprzedawała swoje wdzięki za pieniądze, a została matką, może sądownie zmusić mężczyznę do troski o dziecko. Że brała pieniądze, okoliczność ta nie znosi praw dziecka do ojca. W stanie New York mężczyzna, który żył nieślubnie z kobietą i po pewnym czasie porzucił ją, musi starać się u sądu o formalny rozwód, jeżeli towarzyszka nie zgadza się dobrowolnie na rozejście. Wobec takiej swobody i opieki prawodawczej ślub nie rozpoczyna pożycia małżeńskiego, jedynie je reguluje, utrwala i uprawnia.

Owe warranty, śluby w „korcie“ (wyraz amerykańsko-polski, angielskie *court*), trzymanie chłopca za kratą, wszystko to może śmiesznem się wyda niejednemu, zapatrzonemu w dalekie widnokręgi wymarzonej przyszłości. Ale rzeczywistość ma swoje wymagania. Te dziwaczne środki są konieczne, póki społeczeństwo nie uzna, że powinno dać utrzymanie za-

równo każdej matce, jak każdemu inwalidowi pracy. Swoboda—rzecz piękna, ale w dzisiejszej chwili, kiedy rodzice osobistym wysiłkiem utrzymują dziecko, bez warrantów doprowadziłaby do wyzysku kobiety przez mężczyznę, zwłaszcza że ona zwykle odznacza się naiwnością i większą szczerością uczucia, on raczej cynizmem i brakiem wrodzonego instynktu ojcowskiego. Matka zaś dla społeczeństwa jest postacią ważniejszą, niż swoboda mężczyzny! Zresztą warranty i śluby w kozie wyglądają mniej strasznie, kiedy uwzględnimy łatwość rozwodu. O tem kiedyindziej.

24 sierpnia, na wodach Wisconsinu.

Piersi po paromiesięcznym kurzu, którym oddychały w Chicago, chciwie łykają czyste, leśne powietrze, unoszące się nad wodami Wisconsinu. Niewielki parostatek pruje fale rzeki, które spokojnie toczą się wśród głębokiego, krętego parowu. Prostopadłe skały sterczą na kilka piętr, przyodziane bujną zielonością a zaklęte w dziwaczne kształty. Przyroda, niby artysta w chwilach rozkiełzanej fantazyi swawolnie igrając z twardym głazem, wyrzeźbiła w skale krużganki i baszty, kryjówk i ischody. Z daleka można by mniemać, że urwiska dalej nas nie puszczą! Dojeżdżamy i przed wzrokiem otwiera się inny skręt, a zawsze odmienny. Ząb czasu z prądem rzecznym zamienił głazy na nieskończone pasmo koronek, tak urozmaicił, porznął i pogryzł powierzchnię murów wybrzeżnych. Skała ciągnie się regularnemi półkolami różnej wielkości, ale jednakiej prawidłowości, zawsze wysta-

jąca u góry, mokra, oślizła i uhaftowana wilgotnym mchem u podnóża, skąpanego w nurtach rzeki. Tam, gdzie półkola się schodzą, ciemna rozpadlina, wązka u wierzchu, wżera się w łono kamienia—w ponurej jaskini obchodzą one gody swego zetknięcia, a pluszcząca w mrokach woda jest jedynym świadkiem. Gdzieindziej ściana została przerwaną: przez otwór do Wisconsinu wlewa się potok piasku, letnie łożysko burzliwego strumienia wiosennego.

Doba drogi przedziela mnie i moich towarzyszów od wielkomiejskiego śmietniska. Mamy przed sobą eszcze parę dni drogi do stepów pszenicy w Dakocie. Przejażdka po powierzchni Wisconsinu ma nam skrócić nudy podróży kolejowej. Jest nas kilkudziesięciu—istna wieża Babel języków i ludów. Znajdujemy się w gościnie. Towarzystwa kolejowe, władające olbrzymią siecią dróg pomiędzy okolicą wielkich jezior, a odległem wybrzeżem Oceanu Spokojnego, wiozą nas do porzecza rz. Czerwonej, tego bajecznego zakątka urodzajności. Po drodze czekają nas uroczyste przyjęcia ze strony kilku miast, wizyty do różnych folwarków i zakładów.

24 sierpnia, z okna wagonu.

Nowoczesny sposób podróży—koleją—posiada swoje dodatnie strony. Niekiedy mamy prawo narzekać, gdy zbyt rychło wyrywa nas z jakiegoś zakątka w którym przyroda skupiła swoje powaby, i przenosi do mniej uroczego widoku. Przed godziną przejecha-

liśmy parę rękawów, składających się na „matkę wód,“ potężną Misisipi, a odtąd jej prąd towarzyszy stale torowi kolejowemu. Jakkolwiek jest to górna część tego olbrzymiego nurtu, niepodobna jednak wyjść z podziwu nad jego ogromem. A widoki! Znam różne ustronia naszej części świata, ale sądzę, że nadejdzie chwila, gdy zblakną wobec uroków przyrody amerykańskiej. Wyspy kąpią się w wodzie za wyspami; pomiędzy niemi wiją się odnogi. Na dalekim widnokręgu wznoszą się wierzchołki skał, cyple stoją samotnie lub, stęsknione za towarzystwem, idą pasmami. Zachodzące słońce barwi urwiska jaskrawą żółtością, cienie z połaciami świetlnemi potęgują wrażenie.

Przyroda zdradza wszechmoc! Jakby drwiła ze wszystkich zamiarów ręki ludzkiej zaprzęgnięcia jej do jarzma. Ale to tylko z pozoru. W starej części świata może pozostałaby swobodna, tutaj znalazła poskromiciela. W dość prawidłowych odległościach ziemia językiem wązkim a długim wsuwa się w łono wód niekiedy prawie przerzyna rzekę i przedziela ją na pasmo zagród. Te języczki, tak skromne na pierwszy rzut oka, są może jednem z najśmielszych dzieł inżenieryi rzecznej. Królowa wód w swojej górnej części była ongi kapryśniejszą, bo potężniejszą, aniżeli nasza Wisła: przeszłoroczne rękawy zamieniała na ławice piasku, nawet koryto przekształcała na szereg głębszych kałuż wśród wydm, pomiędzy któremi leniwo sączył się wązki przesmyk. Ale amerykaninowi zbrzydły te bezustanne psoty. W kraju nie zbrakło środków na poskromienie swawolnicy. Sztuka inżenier-

ska wyznaczyła ławicom piasku miejsca do legowiska i tem samem zniosła z czasem niektóre odnogi, za to głównemu prądowi zabezpieczyła dostateczną głębokość. Nurt poddał się, co więcej przybrał cechy jeszcze większej potęgi.

24 sierpnia, Saint-Paul, Ma.

Urzędowe przyjęcie ze strony obywateli S. Paulskich odbędzie się dopiero po południu. Ranek wolny. Korzystam z tej swobody i wsiadam do pierwszego lepszego tramwaju, chcę bowiem poznać miasto. St. Paul wygląda nadzwyczaj schludnie. Jest ono miastem obrotów finansowych, nie wznoszą się nad niem zakopcone kominy warsztatów, brudne koszary fabryczne nie szpecą ulic. Fabryki usadowiły się w poblizkim Minneapolisie. Tramwaj wiezie mnie wśród rzędu nieprzerwanych murów. Kilka minut i wydobyłem się zpośród murowanej dzielnicy. Droga zwolna idzie po pochyłości, wjeżdżamy na wyniosłość nie mniejszą aniżeli ta, na jakiej leży Warszawa, ale tramwaj posuwa się z taką samą prędkością—muszę nadmienić, że motorem jest elektryczność. Przejeżdżamy wzdłuż drobnych domków. Jeden ciągnie się za drugim na powierzchni trawników bez końca.

Jesteśmy na górze. Droga nasza z ulicy zamieniła się na zwykły, niebrukowany gościniec, w pośrodku biegną szyny tramwajowe, nad głową wiszą druty, które na rozdrożach krzyżują się i tworzą siatkę, z obu stron ciągną się drewniane chodniki. miejscami łata-

ne. Domki coraz rzadsze, pomiędzy nimi niewidać parkanów, sucha trawa murawy świadczy, że mieszkańcy nie mają czasu, aby pielęgnować zielone kobierce. Chaty czyste, schludne, wygodne. Jeszcze kilka minut i widok staje się bardziej wiejskim. Trawa bujnie z zielskiem porosła gościniec, z niej wyglądają i lśnią na słońcu szyny. Chodnikom znudziło się nam towarzyszyć, nie widzę ich dalej. Lecz domki ciągną się bez końca—jeszcze rzadsze. Odrazu można spostrzedz, że S. Paul rozrasta się wzdłuż arteryj ruchu tramwajowego, te organy komunikacyjne wprzódy istnieją i zakreślają kierunek dla rozwoju szkieletu miejskiego. Fizyologia panuje nad morfologią, oto wielkie prawo zachodu amerykańskiego! W takich warunkach domki nie są zmuszone oszczędzać przestrzeni. Jedziemy pół godziny i zawsze przed sobą mamy ten sam widok ulic, które trzymają się toru tramwajowego, podczas gdy z poza domków przegląda pole. Nie spodziewając się, abyśmy ujrzeli coś odmiennego, przesiadamy się z towarzyszem do tramwaju, idącego z powrotem.

Niebrukowana droga z siecią drutów, szyny kolei elektrycznej, połyskujące z pośród piasku! Ale Ameryka rozwija się zbyt szybko, nie ma czasu na bruki.. Zaprowadza kolej elektryczną, i poprzestaje na torze. Czy mu towarzyszy piasek, czy bruk, sprawa to obojętna. A raczej ów bruk jest wydatkiem nieprodukcyjnym. Mieszkańcy wolą go nie mieć: nie płacą podatku, wygód zaś nie tracą.

* * *

Pierwsze wrażenie rozstrzyga. Teraz, kiedy w sposób szybki poznaję S. Paul, zaczynam mniemać, że sądy moje o Chicago są bezwarunkowo zabarwione pewnem uprzedzeniem. Osiedliłem się w jednej z brudniejszych, chociaż jeszcze nie najbrudniejszej dzielnicy. Nadto „gród zdobywców świata" poznawałem częściami, zwolna, i te fragmenty jakoś nie zlały się z sobą. A jednak, jeżeli wziąć pod uwagę przestrzenie w tem mieście wolne od kurzu, pokryte zielonością, z mnóstwem przestworza, czy one nie wyniosą takiego procentu, jakiego-byśmy nadaremnie poszukiwali w naszej Europie? Zresztą z wzorów, jakich dostarcza Chicago, nie wolno sądzić o Ameryce. To miasto acz leży w Stanach Zjednoczonych, nie jest jeszcze amerykańskiem. Jest to olbrzymi przytułek dla ubogiej cudzoziemczyzny, która do niego przypływa bezustannie, zbierze nieco grosza i udaje się dalej. Wśród rdzennej ludności ma ono sławę nieszczególną.

Ale wracajmy do S. Paulu. Kareta za karetą wiezie nasz orszak po mieście. Byliśmy na wzgórzu, gdzie jeszcze przed laty 50 czerwonoskórzy rozpinali swoje namioty. Widok istotnie wspaniały, taki, jaki oglądamy z góry zamkowej w Wilnie. Ale wszystko przybrało rozmiary amerykańskie, t. j. olbrzymie. W wiorstowej, a może w szerszej dolinie błękitnieje Misisipi w pośrodku zielonej oprawy. Z obu stron uroczego trawnika ciągną się wzgórza, dźwigające na sobie szatę gajów, z pod której gdzie tylko zwrócimy oko, sterczą dachy domków—coraz częściej w pewnych kierunkach, aż tu i owdzie widzimy już tylko gromady mie-

szkań ludzkich. Z wzgórza S. Paul czynił wrażenie wsi, raczej miasta w półgaju.

Od godziny, może więcej zwiedzamy dzielnicę, w której ludziska odpoczywają po mozołach *businessu*. S. Paul bowiem nie przeniewierzył się ogólno-amerykańskim wzorom. Zabudowana zwarcie część miasta jest tylko olbrzymim kantorem, który za nadejściem późnej godziny pustoszeje. Właściwe miasto mieszkalne to szereg rozrzuconych domków. Rzecz naturalna, iż komitet recepcyjny pokazuje nam najpiękniejsze strony i chowa gorsze. A zatem wiezie nas przez dzielnice owej klasy, o której się mówi, że jest *well to-do*, t. j. zamożną. Rozsiadły się tu wille, w znacznej od siebie odległości, otoczone trawnikami, wśród wieńca drzew, niby stare, zamożne dworki wiejskie. Mimo że spiek sierpniowy zniszczył zieloność, murawa ma wygląd wiosenny. *Allmighty dollar* zniósł posuchę! Szerokie i suche ulice asfaltowe, czyściutkie niby salon. Żaden tramwaj nie mąci spokoju, na ulicach ślizga się i łobuzuje bogata dziatwa, niekiedy minie nas welocyped. Parkanów pomiędzy willami nie widać, jesteśmy jak gdyby w dobrze utrzymanym parku, w którym nabudowano bez liku pałacyków. Jedziemy już drugą godzinę i wciąż z jednego bulwaru zakręcamy na inny i zawsze ciągnie się przed nami taki sam park mieszkalny. A przecież S. Paul jest względnie małem miastem, bo posiada zaledwie trzynaście dziesiątków tysięcy mieszkańców. Aleje Ujazdowskie zmieściłyby się w jednym takim bulwarze! Swiadczy to o zamożności

mieszkańców, a przynajmniej o tem, że ludzi, mających się dobrze, jest tam bardzo dużo.

Droga nasza wije się po wzgórzach. Dolina Misisipi, mury S. Paulu i chatki przedmieść leżą przed nami jak na dłoni. Widok czarodziejski. W dole ściele się przed okiem dzielnica ludności pracującej. W porównaniu z sąsiedztwem, jakie nas otacza, czuć tam ubóstwo — względne. Niewielkie chatki, rozproszone wśród zieleni, z mnóstwem wolnego przestworza. Znam je już z bliska, bo zanim znaleśliśmy się pomiędzy pałacami plutokratów, musknęliśmy tamte ulice. Z powierzchowności warunki hygieniczne przedstawiają się w nader dodatniem świetle, nie tak jak w Europie, gdzie pięciopiętrowe zbiorowiska klatek tłoczą się do siebie i wyklinają wszelką zieloność nie oficyalnej natury. W S. Paulu miasto nie pożarło jeszcze wsi.

Dograwdy nie wiem czy ideały najkrańcowszych polityków profesorskiego zastępu niemieckich socyal-grajków sięgają tak daleko, aby miastu europejskiemu, zwłaszcza zaś dzielnicom uboższym, nadać wygląd zamorski. W tej samej ze mną karecie jedzie jeden z młodych profesorów ekonomii politycznej. Zadaję mu to pytanie, odpowiada uśmiechem niemocy.

26 sierpnia, w drodze do Minneapolisu.

Okolica nie dźwiga na sobie kajdan przeszłości, nie trzeba było rzucać do kąta dawnej formy kapitału,

ażeby wprowadzić nową, ulepszoną. Człowiek osiedlał się w pustce historycznej i korzysta z najlepszych wzorów. To też koleje elektryczne we wszystkich kierunkach biegną od S. Paulu. Takim pociągiem, specyalnie dla nas przeznaczonym, jedziemy z tego miasta do Minneapolisu. Minęliśmy ostatnie rzędy domków, jesteśmy na gościńcu, który swoim piaskiem nieco przypomina leśne drogi na Powiślu mazowieckiem, ale na piasku leżą szyny i po nich idą pociągi drogi elektrycznej,

Jeszcze dziesięć minut a znajdziemy się wśród turkotu i hałasu ulicznego. Przed laty 50 była tam zupełna pustka. Pamięć o początku miasta jest jeszcze żywą. I jakże niema być taką, skoro w liczbie obywateli jego znajduje się staruszek, który pierwszy osiedlił się w tem miejscu? Dzieje Minneapolisu płyną wartkim strumieniem. „Są one podobnie ciekawe (czytam w albumie) jak romans!“ Jego rozwój— to rozwój olbrzymiego żołądka, który ramionami, kolejami, niesie ku sobie płony rolne stepów pszenicy, dokąd jedziemy. Jest on dzisiaj największym rynkiem zbożowym na globie! Młyny jego, jak mówią obywatele miejscowi, należą do ósmych cudów świata; jeden z nich. największy, dostarcza tyle mąki, że zaspokoiłby potrzebę sześciu takich miast, jak Warszawa. Rozwój ów zaczyna się zwłaszcza od roku 1870, t. j. kiedy konkurencya zbożowa się pojawiła. „Mączne miasto,“ *Flour city*, to dziecko owej konkurencyi, wyrosło ono na zbożu i mące, na nich zrobiło swoje miliony.

Ale Minneapolis jest nie tylko ogniskiem handlu zbożowego! W jego murach utkał swoje gniazdo olbrzymi i żarłoczny pająk, wielko-giełdowy lichwiarz-pośrednik, i swoją pajęczyną omotał fermerów. Jakie na minneapolitańskiej giełdzie dokonywają się spiski, za pomocą jakich środków bywa zwiększany haracz, składany przez rolników, jakie podatki nakłada możnowładca giełdowy na ogół spożywców, trzebaby siedzieć w mącznym grodzie całe lata, ażeby wystudyować te rzeczy. Dostaniemy się do sanktuaryum pająka i w niem za kilka minut będziemy podejmowani! On też będzie naszym przewodnikiem na dalekich polach Dakoty, gdzie pracują wysysane przezeń muchy. Ale wszystko będzie świątecznie wyglądało, nawet muchy będą śpiewały hymny uwielbienia dla pająków. Mam powody podejrzywać, że my sami może służymy za jakąś przynętę. .

26 sierpnia, Minneapolis, Mn.

Jesteśmy w głównej sali giełdy miejscowej. Mówca, jeden z możnowładców kapitału, wita nas w imieniu miasta. Mowa jego znajduje się w najzupełniejszej zgodzie ze zwyczajami amerykańskimi. Opowiada nam o tem, czem ongi był Minneapolis, czem zaś jest obecnie. Przechwałki te rażą w pierwszej chwili nasze europejskie ucho. Rzecz naturalna! Wszystkie hymny, w rodzaju tych jakie teraz rozlegają się byłyby lichem i niesmacznem, bo fałszywem i niezasłużonem pochlebstwem. Ale obywatel zamorskiej rzeczpospolitej jest w innem położeniu. Po amerykańskiej stronie Atlan-

tyku samochwalstwo objaw to nie czczej zarozumiałości, przystrajającej w fałszywe piórka swoją nicość, ale tylko niezręcznie wypowiedziana świadomość poczucia istotnej mocy i wielkości. Minneapolis ma być z czego dumnym! Giełda, która na nasze przyjęcie zawiesiła przez godzinę swoje czynności, jest największym na globie ziemskim pulsem handlu zbożowego. Mówca nie omieszkał podkreślić tej okoliczności, że wita nas w przybytku najzamożniejszych kapłanów Mamony zbożowej, wyliczył rozmiary potoku pszennego, jaki z dalekiego zachodu wielu korytami wlewa się do miejscowych elewatorów i młynów, ażeby z tego zbiornika rozpłynąć się po szerokim świecie. Miliony, dziesiątki, setki milionów brzęczą w jego mowie, niby zasadniczy akord melodyi. Powitanie kończy on nadzieją, że żaden z gości nie będzie się czuł obcym w murach Minneapolisu, powstało ono bowiem ze zmieszania najrozmaitszych ludów i we wzajemnem braterstwie widzi podwalinę swojej wielkości.

W sali tłumno, tak tłumno, że piersiom braknie powietrza. Pod ołówek cisną się szczegóły życia amerykańskiego, które do rozpaczy doprowadziłyby mandarynów etykiety. Ten i ów z pośród minneapolitańczyków wlazł na stół i stamtąd przypatruje się nam w kapeluszu na głowie. Inny, z takiej samej pozycyi, mierzy ku nam przyrządem fotograficznym; jeszcze inny zagląda w twarz przez plecy, patrzę—kreśli nasze karykatury i akurat jednemu z „najpoważniejszych“ członków naszej wyprawy, utyskującemu na „szewckie“ maniery amerykanów, nadał rysy mało licujące z po-

wagą, widocznie poczuł wroga kultury amerykańskiej. Do ucha dolatuje szczęk aparatu telegraficznego, który bezustanku działa — wszak giełda, lubo zawiesiła czynności, nie zna przerwy, kiedy idzie o obieg jej soków. Swoboda zupełna.

Nikt nie pyta, czy mu wolno być obecnym. Każdy tłoczy się, ciśnie przed oblicze mówcy, bierze nas za rękaw i maca materyał sukna lub rysuje twarze — bez pozwolenia. Oklaski przerywają mówcom, brzmią one niekiedy bardzo dziwnie: ktoś, zdaje się, na znak radości, naśladuje szczekanie.

Wreszcie przyjęcie skończyło się. Publiczność opuszcza salę, my zaś oglądamy stoły, pokryte próbkami giełdowemi zboża. Zamiast głosu mówcy, słychać inne dźwięki: agenci giełdowi wykrzykują kursy zbożowe i notują je na olbrzymiej tablicy. Windy zwożą nas na dół: jedziemy obejrzeć młyny, elewatory i tartaki.

* *
*

Zwiedziliśmy największe młyny i tartaki—z nieufnością używam tych wyrazów, bo amerykańska rzeczywistość odbiegła tak daleko od wzorów europejskich, że „tartak“ może w wyobraźni czytelnika zrodzić całkiem inny obraz. Teraz odpoczywamy na dachu miejscowego „drapacza nieba“ i z niego przyglądamy się okolicy. Drapacz to skromnych rozmiarów w porównaniu z chicagoskimi, bo posiada 14 pięter, ale, jak na Minneapolis, jest olbrzymem. Płaski dach, otoczony balustradami, z obserwacyjną wieżyczką, wznoszącą się o piętro wyżej. Architektura miasta warta studyów.

Bezpośrednio przed nami leży dzielnica handlu hurtowego i operacyi finansowych: olbrzymi zręb muru i granitu. Domy posiadają po wiele pięter, z pośród mozajki dachów gdzieniegdzie strzela do góry siedmiu lub dziesięciu piętrami gmach większy. Nieco dalej, w kierunku ku rzece, słupy dymu utworzyły szpetny obłok. To młyny parowe, obok nich zaś wznoszą się dziwnych kształtów elewatory zbożowe. Ale gromada kamiennych gmachów zajmuje bardzo niewiele miejsca wśród przestworza, jakie ogarniamy okiem. Rychło kończy się ona i oko ślizgać się zaczyna po zielonym kobiercu łąk, przeskakuje po nad gajami, spada z pochyłością gruntu ku rzece, lecz wszędzie, wśród zielonej oprawy, spotyka czerniejące i bielejące domki mieszkalne. I znowu odnosimy to samo wrażenie, jak w Saint-Paulu: parku z rozproszonemi w nim siedzibami ludzkiemi. Minneapolis posiada zaledwie 200 tysięcy mieszkańców, a jednak przestrzeń pod nim jest większą niż Warszawy. Ludność ma obfitość czystego powietrza, dziatwa—pod dostatkiem trawników do swawoli, przechodnie—cień na ulicy.

Sądzę, że S. Paul i Minneapolis są wzorami rdzennie amerykańskich miast, bo Chicago a tembardziej New-York przerosły miarę, a nadto zgarnęły do siebie zbyt wiele ubóstwa europejskiego. Amerykanin uważa je za wrzody pauperyzmu na ciele swojego kraju. Miasto amerykańskie to olbrzym, który nie pozbył się charakteru wioskowego. Członki jego nie posiadają spójności, ulice ze zwartego rzędu arteryi kamiennych przekształciły się na rozproszone wśród zieloności po-

jedyncze domki. Jedynie główne narządy organizmu miejskiego: kantory handlowe zbiegły się do gromady iześrodkowały, niby serce rozproszonego tułowia. Ale życie zbiorowe nie zwalnia swego tempa, rozproszone członki zostały połączone za pomocą telefonów , telegrafów i tramwajów. A im dalej ku zachodowi, tem nerwy te odgrywają większą rolę, rozproszenie zaś przybiera potworniejsze rozmiary. Granica pomiędzy miastem a wsią zaciera się.

27 *sierpnia*, *Minneapols*, *Ma.*

Byliśmy wczoraj wieczorem uroczyście witani w resursie kupieckiej Saint-Paulu, w „mącznem mieście“ zaś urządzono nam przyjęcie na pobliskiem jeziorze. Takie uroczystości nie obywają się bez mów. Otóż rzecz ciekawa, kto zpośród naszego grona głos zabiera. Amerykanin podeptał wszystkie przepisy etykiety: nie urzędowi przedstawiciele tego lub innego państwa dziękują za gościnę, nie oni są przedmiotem uwagi ze strony pnbliczności. Jest w naszym orszaku norwegczyk, wykapany potomek dawnych wikingów. Zamierzył on zbudować łódź na wzór tych, w jakich korsarze normandzcy przed tysiącem lat puszczali się, przebyć Atlantyk i dotrzeć do Chicago. Rząd odmówił pomocy, tem bardziej, iż ów żeglarz należy do opozycyjnego odłamu, marzącego o oderwaniu Norwegii od Szwecyi i obwołania jej rzeczpospolitą. Kapitan Andersen zwrócił się tedy do ofiarności publicznej, ze składek prywatnych stanęła łódź, w niej zaś z dwunastu towarzyszami przedostał się przez Ocean. To, co

było niegdyś czynem codziennym, dzisiaj, w wieku parowców, uchodzi za zuchwalstwo. Tak spadła skala antropologicznej dzielności! Nie urzędowy przedstawiciel Szwecyi, lecz ów junak figuruje w łamach dzienników, wygłasza mowy dziękczynne.. Również nie urzędowy przedstawiciel Hiszpanii, ale inny śmiałek, który przebył Atlantyk na flotyli, odtwarzającej okręty Kolumba, zabiera głos publicznie! Po nich idzie tłuścioch z Jamajki, staruszek z innej wyspy antylskiej Przedstawiciele naszej części świata zmalali. Wprost czują się nieswoi w tem towarzystwie, urągającem wszelkiej etykiecie, i na uboczu dają folgę swojemu oburzeniu, szydząc z braku u amerykanów grzeczności i taktu...

* * *

Ameryka może poszczycić się hotelami. Zakłady te świadczą wymownie, że ludność amerykańska masowo a często zmienia miejsce swego pobytu. Gdzie obrót soków ludzkich w społeczeństwie odbywa się ślamazarnie i na małą skalę, tam hotele bywają istotnemi łożami Madejowemi. Inaczej dzieje się w kraju, którego obywatel zerwał ze zwyczajami polipa — siedzeniem w tem samem miejscu.

Hotel posiada zwykle kształty naszych kamienic z Wilczej lub Wspólnej: zabudowanego czworoboku z podwórzem w środku, tylko że owo podwórze jest salą, posiadającą nad sobą dach szklany. Tutaj znajduje się kantor, tłoczą się przejezdni, w poblizkim przedziale piszą oni listy, zarząd zaś hotelowy dostarcza bezpłatnie wszystkiego, co potrzeba, a zatem ko-

pert, piór, papieru. Pierwsze piętro, patrzące galeryami na ruch w oszklonem podwórzu, zajmują jadalnia i salony. Bywa ich kilka, urządzonych niekiedy z nadzwyczajnym zbytkiem. Trudno dać należyte wyobrażenie o ich liczbie, obszarze, wreszcie o komforcie, jaki tam panuje. Są to rzeczy nawskróś amerykańskie— w tem znaczeniu, że nigdzie, prócz lądu amerykańskiego, z takiej wygody nie korzystają tak szerokie masy ludności. Z salonów tych w naszej części świata zrobionoby co najmniej kilkadziesiąt numerów. Wyżej, na drugiem, aż do szóstego piętra, idą sypialnie, zaopatrzone w zimną i ciepłą wodę, w światło elektryczne, słowem, każdy szczegół obliczony na to, aby przejezdny miał jak największe wygody. Winda zastąpiła schody.

Struktura hotelów powtarza się pono od jednego końca Stanów Zjednoczonych do drugiego. Jedyna różnica w przepychu. *Audytoryum* w Chicago jest całe wewnątrz wyłożone marmurem, w salonach wiszą drogie obrazy, kosztowne dywany wyściełają podłogę. Uboższy hotel nie posiada takich zbytków, ale wszędzie spotykamy to samo marnotrawstwo—z europejskiego punktu widzenia—przestrzeni na salony, w których ten i ów wygodnie spoczywa w fotelu z nogami na poblizkim stoliku i czyta sążnistych rozmiarów gazetę. Ceny, jak na drożyznę zamorską, są bardzo nizkie. Wszystko świadczy o tem, że hotel w życiu społecznem Ameryki zaczął odgrywać poważniejszą rolę, aniżeli u nas. Są tam zakłady, w których żyją stale całe rodziny, i ognisko rodzinne zostało zupełnie pochłonięte przez społeczny podział pracy. Znicz starocze-

sny jest cudzą własnością i ktoś nietylko mieszka w cudzych murach, lecz śpi na cudzem łóżku i w cudzej pościeli, wygrzewa się przed najętym kominkiem odpoczywa na nieswoim fotelu i je z talerzy, które nie do niego należą...

* * *

New-York, a tembardziej taki gród nieamerykański, jak Chicago, pozbyły się wielu zwyczajów czysto amerykańskiego życia, w tej liczbie uprzejmości dla kobiety. Epoka feodalna wyhodowała rycerską grzeczność, ale w głębi jej tkwiła niższość płci żeńskiej. Była to wyidealizowana żądza samca, przyozdobiona nimbem poezyi. Don Kiszot, ta karykatura awanturniczej dzielności średniowiecznego rycerstwa w oświetleniu trzeźwości mieszczańskiej, w wyśnionej Dulcynei widzi jedynie samiczkę. Tymczasem w Ameryce, zwłaszcza dalej ku zachodowi, zgoła inne czynniki złożyły się na grzeczność. Żywioł czysto płciowy odgrywa pewną rolę, ale nie wyłączną. Bret Hart wybornie opisał zarodki tej uprzejmości w pierwszych osadach Kalifornii: kobieta, zjawiająca się wśród kilkudziesięciu mężczyzn, odrazu stawała się poskromicielką ich rubaszności, łagodziła grubiaństwo, uśmierzała pijackie orgie. Takie przyczyny, chociaż nie w takim stopniu, działały wszędzie na lądzie amerykańskim. Ale do tych czynników, dołączyły się jeszcze inne. Kultura zamorska wyrosła z osady włościańskiej, tam zaś kobieta pracuje na równi z mężczyzną i doznawała zawsze większego względnie szacunku. Warunki zarobkowe spotęgowały w Ameryce to stanowi-

sko kobiety, wykształciły jej umysł, nauczyły ją samodzielności, względna zaś nieobfitość sprzyjała utrwaleniu przeszłej spuścizny i wzmocniła zdobycze późniejsze. Uprzejmość względem płci żeńskiej, to haracz, złożony jej stanowisku w społeczeństwie.

Tutaj, zdala od Chicago, wciąż spotykamy się z tą grzecznością. Najstarszy mężczyzna w tramwaju śpieszy ustąpić miejsca niedawnemu podlotkowi. Teraz w hotelu mogę obserwować inne objawy uprzejmości. Kilku nas zjeżdżało na dół windą. Weszła dama, mężczyzni wstali z miejsc i zdjęli kapelusze. Stali z odkrytemi głowami, póki chwilowa towarzyszka nie opuściła nas na drugiem piętrze. Wtedy wszyscy siedli i nakryli głowy.

27 sierpnia, w wagonie kolejowym.

Około pierwszej po południu. Przerzynamy okolicę jezior. Nie jestem geologiem, chętnie jednak porozmawiał-bym ze znawcą, który-by zdołał mi wytłómaczyć rodowód formacyi, jaka ściele się przed wzrokiem. Obok mnie siedzi urugwajczyk, profesor antropologii w Mondevideo. Niestety, mówi po hiszpańsku, więc tylko za pomocą mimiki udzielamy sobie swoich wrażeń. Powierzchnia wygląda jak zbiór olbrzymich niecek i dzieżek, jedne są zwrócone ku górze swoją wypukłością, inne wklęsły w ziemię i dały schronienie żywiołowi wodnemu. Z wagonu ogarniam wązki widnokrąg, nie mogę zatem powiedzieć, czy nierówności wiążą się w łańcuch, lub są bezładnie rzucone w przestrzeni, niby pasmo korali, które pękło, zawieszone zaś

paciorki rozsypały się we wszystkie strony. Jeziorzyska posiadają najrozmaitszą wielkość, ale wszystkie są niezmiennie okrągłe, niekiedy zaś mocno prawidłowe. Krajobraz nader urozmaicony, — pozornie, bo co chwila powtarza się w tej samej podobiznie. Sporo gajów, osłaniających swoim cieniem pochyłości wzgórz, mnóstwo łąk, tu i owdzie pokrytych żółtem kwieciem. Gdzieniegdzie inne oczko połyśnie: świeże ściernisko. W różnej odległości od toru kolejowego, ale rzadziej niż na wschodzie, usadowiły się fermy, przeważnie drobne. Dom mieszkalny przypomina swojską willę, ale jest lepszy i przedewszystkiem wygodniejszy, aniżeli dziury, w jakich gnieżdżą się nasi letnicy, posiada stale szarą lub białawą barwę. Obok ciągną się budynki, niezmiennie brudno ceglastego koloru, z szeroką białą obwódką wzdłuż węgłów. Po-nad zabudowaniami majaczy spore skrzydło, w kształcie koła, i obraca się zwolna. Jak nasz żóraw studzienny panuje nad podwórzem folwarku, tak samo ów powietrzny wachlarz wysunął się tutaj po-nad dachy. Przeznaczenie obu jednakie, ale inny sposób wywiązania się ze swoich powinności. Sprytny amerykanin zaprzągł drgania powietrza do pompowania wody, która z rury spada na dół do olbrzymiej kadzi. Wachlarz pracuje bezustannie, kadź zaś położona jest tak wysoko, że, korzystając z ciśnienia w niej wody i używszy stosownych przyrządów, można zrosić, jak deszczem, dość daleką przestrzeń. Jest to jeden z obrazków, malujących wiejskie życie w Ameryce: automaty wszędzie wyręczają człowieka i oszczędzają mu wysił-

ku. Jak odmiennym duchem, o ile innemi potrzebami i widnokręgami, jak odrębnym wreszcie trybem gospodarowania przemawiają te skrzydlate automaty-żórawie!

Na stacyach oglądamy niewielkie zagrody, z których prowadzi pomost, urywający się na pewnej wysokości. To ssawki tego organizmu, którego serce oglądamy w *stock-yardach* Chicago, Omahi lub Kanzas-City. Codziennie idą pociągi, zbierają bydło z zagród, niby pasażerów, i wiozą je do ogniska przemysłu rzeźnickiego. W tej pagórkowatej przestrzeni usadowiło się mleczarstwo z opasem bydła.

* * *

Trzecia po południu. Pagórki z siecią wodnych ócz i oczek pozostały het daleko za nami. Powierzchnia gruntu staje się gładką, jakby stołu. Za wzgórzami zniknęły też lasy, które tak malowniczo spuszczały się ku wód toniom i przeglądały w naturalnem zwierciedle. Nawet drzewa są teraz rzadkością. Spotykamy je przy fermie, wzrost zaś nizki wymownie świadczy, że niedawny prowadzą żywot w tej okolicy, przybierającej pozory stepu. Tak, wjechaliśmy w granicę preryi,— wyraźmy się ściślej i rzeknijmy: dawnej preryi, gdyż wszędzie człowiek zgwałcił dziewiczość ustronia, zorał glebę, która, od chwili wynurzenia się obszarów z otchłani morskiej, spoczywała nietknięta, i zmusił ją do porzucenia dawnego dzikiego stroju, uwitego z traw i burzanów stepowych, a przyodział w szaty cywilizowane, z niw zbożowych.

Kiedy niekiedy niewielki gaik wynurza się z pośród szarej powłoki ściernisk. Wyrósł on na tem miej-

scu nie z łaski dzikich sił kapryśnicy-przyrody, ale powołała go na świat zapobiegliwa ręka ludzka. Zadrzewianie nagiego kiedyś stepu stanowi na północo zachodzie przedmiot skrzętnej pieczy. Wisconsin, który niedawno przerznęliśmy, Minnesota, przez której błonia niesie nas obecnie pojazd parowy, troskliwie chodzą około tego, bo podniosły to nawet do poziomu powinności społecznej. W oznaczonym dniu, w końcu kwietnia, ludność obchodzi uroczystość sadzenia drzewek. Nikt nie wymawia się od tego obowiązku. Macierz-ziemia, która nie zaznała niegdyś cienia nawet podczas największej spiekoty, musi słuchać długich popisów krasomówczych ku chwale gęstwin leśnych, wysadzonych dróg, gajów przed domem. Wszerz i wzdłuż stepu ciągną procesye, obywatele niosą drzewka, wśród dźwięków hymnu narodowego, i sadzają w pustkowiach. Wiozę z sobą broszurki, poświęcone tej wielkiej uroczystości, słynącej pod nazwą *Arbor-day*. Są to sprawozdania inspektorów szkolnych z obchodu „święta drzewnego“ przez dziatwę. Ci amerykanie, zaprawdę, umieją połączyć nadobne z pożytecznem, zabawę z nauką! Już na miesiąc wcześniej o mury szkolne obijają się głosy namiętnej dyskusyi. Malcy i dziewczęta, zorganizowani na wzór prawodawczego ciała swojej wielkiej ojczyzny, roztrząsają poważnie, jakie drzewka szkółka na swojem podwórzu posadzi w bieżącym roku. Tworzą się stronnictwa: grabu, świerku, wiązu. Podczas obrad każda partya wyzyskuje możliwe argumenta: które drzewo piękniejsze, użyteczniejsze, praktyczniejsze. Walczący sięgają do ksią-

żek, nauczyciel podsuwa zręcznie materyał w odpowiednich podręcznikach; wchodzą we wzajemne kompromisy, wybierają *speakerów*. Ćwiczenia stylistyczne obracają się około tego wątku, dziatwa szpera w pisarzach, opiewających wdzięki lasów i gajów i rozwodzących się nad powabami przyrody. Wreszcie zbliża się uroczystość. Szkółka głosuje nad drzewkami, władze stanu dostarczają wybrańców, na których padły głosy większości. A kiedy zawita *Arbor-day*, uciechom niema końca. Muzyka, śpiewy, mowy, deklamacye, zabawy, niczego nie braknie w tym dniu uroczystym. Dzieciak wyrabia w sobie emocyonalny patryotyzm względem wdzięków macierzy-natury, wdraża się do zrzeszonego współdziałania, ozdabia swoją główkę pożytecznemi wiadomościami o królestwie roślinnem.

Myśl ślizga się po stronicach i zapomina o tem, że ujarzmiony step uśmiecha się bogactwem swoich błoni. Dotarła do końca broszurki, a zwolniona od czytania, biegnie dalej, ku amerykańskiemu szkolnictwu. Przedemną siedzi niemiec, który do naszej wycieczki przyłączył się w Milwaukee. Rozpoczynam gawędę o zwyczajach szkolnych. Mój towarzysz uzupełnia to, o czem dowiedziałem się z urzędowych wydawnictw. W każdem hrabstwie znajduje się towarzystwo ogrodnicze. Nietylko zgromadza ono siły dorosłe, lecz nadto zakłada filie pomiędzy młodzieżą szkolną. Za wpisowem dziesięciu kopiejek na rok rozdaje malcom jednej wiosny krzaki porzeczek, innej malin. Dziatwa je sadza przy domu rodziców i pielęgnuje.

* * *

Pociąg, do końca nie zwalniając biegu, zatrzymuje się przed stacyą. Czytam: Barnesville. Kolejowy *time-table* poucza, że jesteśmy o 200 z górą mil od Saint-Paulu. Odfotografował-bym tę mieścinę, tak oryginalną wydaje się memu oku, nieprzyzwyczajonemu do widoków, jakie stworzyła kultura amerykańska przy swoim najeździe na stepy. Osada ta niewielka, kilkaset głów ludności. Rozpostarła się w gołem polu, dokładniej wśród preryi, bez drzew i krzaków, jedynie wśród burzanów stepowych. Główna, omal że jedyna ulica, biegnie równolegle do toru kolejowego, bez bruku, opatrzona pojedyńczym chodnikiem z desek. Domy to proste, drewniane lepianki i baraki, jakie chwilowo oglądamy na polu mokotowskiem podczas zabaw wielkanocnych. Miasteczko *in statu nascendi*! Ludność wyległa na stacyę, wita nas okrzykami. Jakaś amerykanka dopomina się, aby jej pokazano kapitana Andersena. Sądzę, że gdyby Norwegia tolerowała wielożeństwo, to odważny żeglarz przywiózłby do swojej ojczyzny kilka dziesiątków żon z posagami. Przepłynął Atlantyk w wątłem czółenku!

Ale nie żartujmy z amerykańskich Pacanowów. Jak za czasów Napoleona I każdy szeregowiec nosił w tornistrze dyplom na generała, podobnie drobna, rzucona w pustkowiu stepowem osada marzy o wspaniałej przyszłości. Niechaj znajdzie się w niej kilka głów przedsiębiorczych i rzutkich, a kto wie, jak daleko Pacanów dzisiejszy zajdzie! Przysłuchajmy się uważniej martwej mowie, z jaką ku nam zwracają się domostwa. Są one lepiankami, ale na jednej rozsiadł się napis:

State bank. Przy torze kolejowym parę brudno-ceglastych elewatorów wznosi swoje cudackie kształty, jeden z nich, jak dowiadujemy się z napisu, należy do związku okolicznych fermerów. Z po-za chwastów wygląda świeży transport wiążących żniwiarek i wabi ku sobie nasze oko jaskrawą żółtością swojej szaty, a tam daleko czerwienieje jedna, druga, piąta młóckarnia parowa! Pacanów kipi działalnością przemysłową i może posiada większe obroty handlowe, niż niejedno nasze miasteczko powiatowe...

Ołówek jeszcze kreśli wrażenie, jakie wywarł Barnesville, chociaż osada zniknęła już w przestrzeni, po niej tym samym śladem poszły fermy, które dość tłumnie tulą się do stacyi. Mieścina utonęła w oddaleniu i my jesteśmy w stepie. Łąka bez końca! Trawa rośnie do pasa: obecnie, kiedy zżółkła od posuchy, wziął-byś ją za niwę zboża. Gdzieniegdzie pasie się bydło, jesteśmy zatem jeszcze wśród obszarów, trudniących się przeważnie mleczarstwem i opasem.

*
* *

Dochodzi piąta. Stepu coraz mniej—naturalnego, porosłego dziką trawą, natomiast więcej i więcej łanów zboża, właściwie pszenicy. Aż wreszcie preryе stanowczo przeszły w nieskończone pole orne, równiuchne jak stół, bez drzew i pagórków. Już od godziny przed okiem ciągnie się podobnego rodzaju krajobraz. Na gładkiej powierzchni, gdziekolwiek rzucę wzrokiem, leżą niby trupy, powalone snopy pszenicy. Osobliwe wrażenie czyni ten widok na oko, które przywykło oglądać przed sobą szachownicę drobnych pólek, mie-

niących się odmiennemi barwami: to posiane czerwieniejącą koniczyną, tamto bielejące od kwitnącej gryki, owo żółte, a poprzedzielanych nawzajem zagrodami i parkanami. Z lornetką przy oku poszukuję, czy gdzieś na widnokręgu nie dostrzegę końca tego ogromnego pobojowiska. Nadaremne mozoły! Ciągnie się ono bez granic i nie zna przerwy. Step pszenny w całem znaczeniu, bez drzew, miedz, oraz innego zboża—to samo bezustanne ściernisko z prawidłowo oddalonymi kopcami snopów pszenicy. I nic prócz trupów! Często w ciągu kwadransa jedziemy wśród pobojowiska, które zaledwie na chwilę ustępuje miejsca czystemu ściernisku, potem znowu kilkanaście minut ściele się przestrzeń, pokryta snopami. Jedyną rozmaitość do tego ściernistego morza wnoszą fermy, sterczące w dość znacznych odległościach od siebie, a jaskrawo odbijające od żółtego tła swoimi brudno-ceglastymi budynkami. Zasadzony ręką ludzką gaik niekiedy osłania siedzibę swoim cieniem, ale rzadziej i rzadziej oko go ogląda. Człowiek nie zdążył jeszcze przyozdobić stepu sztuczną zielonością. Zwykle bez drzew, nawet bez ogródka, osada ludzka rozsiadła się na łanie pszenicy i żaden parkan nie stawia granic pomiędzy przestrzenią folwarczną a morzem zboża. Stepowe burzany owładnęły podwórzem. Wygnane przez pług z preryi, naznaczyły sobie schadzkę pod osłoną zabudowań.

I struktura osady nosi na sobie szczególne piętno, rdzennie amerykańskie. Nie mogę znaleźć w niej śladów owego przywiązania do macierzy-ziemi, jakiem

ma się odznaczać wyidelizowany przez drobnomieszczańskie teorye chłopek Europy. Krajobraz do mego ucha szepcze zgoła odmiennej treści opowieść. Każda ferma, lubo nie jest namiotem, wywiera na mnie wrażenie, jak gdybym oglądał ruchomy szałas koczownika, który, ot! lada chwila, posadzi willę swoją na koła—bywają tutaj takie wypadki! — i pojedzie dalej w sposób rabunkowy wyzyskiwać soki innej gleby, porzucając splądrowany i wyjałowiony posterunek. A wyobraźnia działa tak silnie, iż przeżywam obraz takiej wędrówki. Osady ludzkie wędrują na kołach, za niemi idą gospodarze, prowadząc olbrzymie żniwiarko-wiązałki, przywiązane do parowej lokomobili, która zastępuje konia... Polot imaginacyi został okiełzany, bo nie wiem, co mam począć z szaremi chatkami, które sterczą na polach. Bez okien i bez drzwi—zdaje się, iż nie mylę się, bo drzwi jakoś nie wyglądają na drzwi nasze. Poco te domki w morzu pszenicy, niby pustelnie, zdala od osady? Zagadka to dla mnie nierozwiązalna. To coś nieodcyfrowanego psuje mi obraz koczowniczej wędrówki rolników, bo wyobraźnia nie umie wskazać miejsca szarym chatkom w pochodzie...

Przerzynamy względnie ludną okolicę. Oko nie może oderwać się od widoku schludnych domków, bielejących wśród tłumu ceglastych zabudowań. Gdzieniegdzie zebrała się liczniejsza gromadka brudasów przy sobie. To folwark! Jeszcze rzadziej oglądamy mieściny. Są to stacye, mimo których nasz pociąg pogardliwie przejeżdża, nie zatrzymując się ani chwilki. Drewniane lepianki, zamiast ulicy pojedynczy chodnik z desek,

tonący w chwastach, parkanu ani śladu, dokoła step pszenny. Obok toru kolejowego rząd jednakiej struktury i niezmiennie czerwonej barwy elewatorów; w burzanach i zielsku, olśnione promieniami sierpniowego słońca, czerwienieją parowe młóckarnie i żółtością swoją pysznią się żniwiarko-wiązałki, oraz kilka innych narzędzi, świadczących, że wiek żelazny zapanował na roli.

* * *

Pozostawiliśmy za sobą błonia „północnej gwiazdy“ i „spichlerza wszechświatowego,“ pod jakiemi to przezwiskami słynie Minnesota. Niesłusznie! Została już bowiem zdetronizowaną przez sąsiadkę, Dakotę. Jedziemy na pograniczu obu tych stanów równolegle do prądu sławnej rzeki Czerwonej. Imię tego wodnego nurtu, przed dwudziestu laty znane zaledwie nielicznej garstce specyalistów-geografów, dzisiaj słynie na cały świat cywilizowany. Wszak to siedziba jednej z najpotężniejszych bateryi zamorskiej konkurencyi zbożowej i zarazem ojczyzna olbrzymich *bonanza-farms*, które zwiastują nową epokę w rolnictwie! Wydajność gleby jest bajeczną: zdaniem miejscowych teoretyków-agronomów grunt będzie dawał jednakie plony ziarna pszennego w ciągu setki lat, chociaż nie zasilany mierzwą. To też potok głów ludzkich rozlewa się po dawnej preryi, niby wezbrany strumień górski, kiedy zerwie tamy w dolinie. Stepy, które przed kilkunastu laty stały najzupełniejszą pustką i dawały schronienie jedynie bawołom, dzisiaj falują złocistą powierzchnią bez końca. Po bawołach pozostały jedynie zbielałe kości, taki spróchniały szczątek znalazłem na

ziemi, kiedy pociąg zatrzymał się w czystem polu, a my ze strzelbami zrobiliśmy wycieczkę na kurczęta stepowe. Biały człowiek wtargnął z bateryą żelaznych potworów, pług zorał nigdy nietknięte łono macierzy-ziemi, siewca rzucił ziarno. I dzikie preryę wydawać poczęły plon sowity. Zjawił się dobrobyt i wysoki poziom umysłowo moralny. Doprawdy, wątpię, ażali w dziejach globu ziemskiego można wskazać drugą podobną chwilę, żeby w tak krótkim przeciągu czasu równie olbrzymie pustkowia zamieniły się na siedlisko takiej zamożności i takiej cywilizacyi.

Dziewicza gleba czekała na pieszczotę pługa, do zalotników uśmiechnęła się najbujniejszymi urodzajami i wynagrodziła hojnie zabiegi rolnika. Ktoś przybywał goły, jak święty turecki. Często pracować musiał, jako najemnik u tych, którzy zjawili się byli do stepu z trzosem grosza, i dorabiać się funduszów na wniesienie pierwszej raty za maszyny. Po dziesiątku zaś lat opływał w dostatku. Chudopachołek, lubo nie wyzyskiwał niczyjej pracy i trudził się jedynie w pocie własnego czoła, robił fortunę na uprawie pszenicy! Reklama nie omieszkała wyciągnąć korzyści z takiej okazyi. Kolej, która nas wiezie, posiada jeszcze mnóstwo gruntów na sprzedaż, i dawni osadnicy mile witają nowego przychodnia. Wszak każdy atom ludzki, który obierze sobie tutaj siedlisko, swoją obecnością podnosi cenę istniejącego majątku ziemskiego. Reklama podchwytuje powodzenia i trąbi o nich het daleko po świecie, zachęcając wychodźców do porzucenia ojczystej chaty i szukania szczęścia w dalekiej obczy-

znie. Mam przed sobą mnóstwo zadrukowanej tymi hymnami bibuły, zarząd podejmującej nas kolei jest nader szczodry i każe rozsypywać po fotelach wciąż nowe stosy świstków. Dowiaduję się, że ktoś przyszedł przed dziesięciu laty z 300 dolarami w kieszeni, dzisiaj zaś mienie jego wynosi około 20 tysięcy. Ów opowiada, że znalazł się na błoniach Dakoty przed sześciu laty bez szeląga w kieszeni, mając w rękach jedynie fach rymarski, który pomógł mu do kupna gruntów. Dzisiaj posiada 420 akrów, 12 koni, sporą gromadkę rogacizny i tysiąc z górą dolarów rocznego dochodu z ziemi. Jeszcze ktoś inny przybył przed jedenastu laty z dziesięciu dolarami, obecnie ma półtrzecia tysiąca akrów i zbiera po 16 tysięcy buszli pszenicy. A tamten znowu, zwabiony pogłoskami, przyszedł piechotą i w ciągu pierwszego półrocza pracował jako najemnik, po ośmiu zaś latach dorobił się tysiąca akrów.

Zaprzestańmy litanii. Wprawdzie reklama wybrała z dziejów osadnictwa to, co uważała za najkorzystniejsze dla swoich celów, zamilczała zaś o wszystkich niefortunnych, z którymi los obszedł się po macoszemu; z pośród zaś szczęśliwców, o których rozpowiada blaga robigroszów, my wzięliśmy znowu prawdopodobnie jeżeli nie najwymowniejsze, tedy w każdym razie wymowniejsze przykłady. Ale z plwami reklamy nie odrzucajmy czystego ziarna! Wyłuszczone wypadki są tylko wygórowanem przedstawieniem ogólnej, a rzeczywiście istniejącej dążności. Któż bowiem w „starym kraju,“ w ciągu lat kilku, na zagonie pszennym, z proletaryusza bez kapitału wyszedł-by na czło-

wieka, opływającego w dobrobycie? Któż pot własnego czoła i znużenie własnych mięśni przekuć tam zdołał-by na parę tysięcy dolarów rocznego dochodu? O tem nie słychać w starej Europie. A tutaj w porzeczu rzeki Czerwonej stanowi to zasadę. Nie każdy staje się bogaczem, ale nikomu przecież nie urąga widmo nędzy, jeżeli ma na karku głowę nie od parady, ręce zaś nie lękają się mozołu. Dzisiaj te czasy mijają. Linie kolejowe przerznęły porzecze w najrozmaitszych kierunkach, ziemi zabrakło, nawet puste grunta, które jeszcze nie straciły swojej dzikiej, dziewiczej osłony z chwastów i burzanów, nabrały już wartości. Nastał okres spekulantów, handlujących ziemią...

* *
*

Siódma wieczorem. Od godzin pięciu ten sam widok ściele się niezmiennie przed nami. Pszenne ściernisko bez końca, z regularnie rozrzuconymi kopcami pszenicy. Prawidłowość ta jest czynem żniwiarki, która wyrzuca z siebie snopy w jednostajnych odstępach. A wśród tego niezmierzonego pobojowiska trupów-snopów nie dostrzegłem jeszcze człowieka — w polu! Widziałem mieszkańców dawnej preryi jedynie na stacyach kolei.

Co istota ludzka czuje w stepie pszennym? Mam na myśli nie wielkich kapitalistów, lecz zwykłego fermera, odpowiadającego swojem stanowiskiem naszemu włościaństwu. Że nie posiada on duszy europejczyka i przy sprzedaży zagonu nie będzie biadał, iż opuszcza cmentarz, na którym spoczywają pradziadowie, iż żegna na zawsze szmery wioskowego strumienia i blaski

rodzimego księżyca, rzecz to pewna. Nie rozmawiałem z rolnikami, do których należą te nieskończone łany, nie oglądałem nawet żadnego w polu, ale struktura fermy i jej otoczenie rzucają światło na ich jaźń wewnętrzną, na wzruszenia duszy i ideje umysłu. W pamięci wypływają Konopnickiej *Odgłosy z pól i niw*. Rozdźwiękiem brzmią one w tym krajobrazie, od którego oka nie mogę oderwać. Napewno żadna dziewczyna z tych stepów nie będzie narzekała, że ojce nie chcą dać jej z chaty, ani matka nad kołyską lipową wróżyła dziecku szarej doli Owa willa—nie ośmielam się tych wdzięcznych domków ochrzcić nazwą chaty!—wygląda niby tymczasowy przystanek. Może nieobecność drzew przyczynia się do tego i brak parkanów razi moje oko, może to, że każda ferma sterczy samotnie, każe widzieć tam próżnię uczuciową względem ziemi. Nie! nie mylę się. I świstki reklamy mówią, że w stepie rozsiadł się rój szarańczy ludzkiej, zmierzający do okolic, gdzie żer jest najobfitszym. Ten bez żalu porzucił fermę w Wisconsinie na wieść o urodzajności obszarów rzeki Czerwonej, tamten rozstał się z zagonem ojczystym w Indyanie. Słowem, zawsze i wszędzie ktoś coś porzucił, zwabiony pogłoską o tem jaki *business* oczekuje go tutaj. Niechaj wieść rozniesie się o czemś jeszcze zyskowniejszem, a ludzie ci opuszczą dzisiejsze sadyby i pociągną dalej rozpiąć swoje namioty koczownicze. Chęć zysku wżarła się w istotę rolnika. Przychodzą mi na myśl czyjeś słowa: „Drobni fermerzy dalekiego zachodu są chłopami, ale nie posiadają żadnego z rysów duchowych włościanina euro-

pejskiego, krom jego chciwości. Są przybyszami z odległych krajów i po-za sobą zostawili wszystkie nawyknienia, przesądy, zwyczaje, bezwładność, w Starym świecie stoją na przeszkodzie rozwojowi. Nie są, na wzór włościan europejskich, opętani owem piekielnem łaknieniem gruntu, upoetyzowanem przez Micheleta, Proudhona i innych wielkich świeczników pospolitego demokratyzmu. W preryach zachodu zbywa na wyśnionej uczuciowości. Nie wskrzeszają one dzieciństwa w pamięci, kolebka fermera nie kołysała się na tej ziemi, on zaś nie stąpa po mogiłach swoich dziadów. Fermer tutejszy jest rolnikiem nie po to, ażeby zlać się w jedno z macierzą-ziemią, lecz celem wydarcia jej majątku. Skoro pola bliskie wyczerpania, porzuca je; kiedy odkryto gdzieś dziewicze obszary, ku nim podąża. Rolnik, stargał mistyczny związek z glebą i jej płodami i odzyskał dumną niezależność koczownika.“

Na którejś stacyi ujrzałem zastęp tych nomadów-rolników. Dzielne miny, wzrok śmiały i pewny siebie, twarze ogorzałe, inteligentna głowa na karku, zgarbionym od mozołów pracy, słowem, materyał na istoty, że użyję amerykanizmu, samoistnie robiące swój los i gotowe poszukiwać szczęścia wszędzie, choćby za dziesięciu górami i stu rzekami. „Niechaj piekło będzie na drodze, przejdziemy je, ażeby dostać się do dziewiczej gleby zachodu,“ mówiły tłumy, ciągnące do okolic, przez które przejeżdżam...

Rolnik stargał nietylko nawyknienia osiedleńca. Przesiąka on duchem miasta: miejskiemi upodobaniami

i miejskimi widnokręgami. Orze on pługiem, na którym siedzi, zbiera plony przy pomocy samowiążącej żniwiarki, parowa młóckarnia, wynajęta na dnie, młóci plony. Już to jedno wprowadza do osady włościańskiej szczególne pierwiastki duchowe. Zamiast trzymania ziarna na fermie, odstawia je do elewatorów, ubiera się w odzież, zrobioną w mieście, nawet w piecu pali węglem, na kuchni zaś gazoliną, przywiezionemi ztamtąd, obecnie zaś przebąkuje o drobnych motorach elektrycznych do obracania sieczkarni. Na każdym kroku zależy od miasta! Przestał być stworzeniem, pracującem na te obce mu duchem zbiorowiska domów, i wzamian za swoje płody utrzymującem ztamtąd bardzo niewiele. I rozproszenie osad, jedna daleko od drugiej, pcha go w kierunku miasta. My, którzy posiadamy wioski, t. j. gromady leżących przy sobie osad włościańskich, ani przeczuwamy, ile takie skupienie chat w przestrzeni sprzyja wyrobieniu samodzielnego ducha wiejskiego, powiedzmy szczerzej: kultury włościańskiej. Inaczej dzieje się tam, gdzie ferma znajduje się od fermy w odległości wiorsty i więcej, jak to oglądamy na tym nieskończonym łanie. Wiosną, kiedy niwy zazielenią się na niezmierzonej przestrzeni, podczas lata, które złocistym połyskiem ubierze step pszenny, w takie pory roku człowiekowi bywa przyjemnie na łonie przyrody. Ale co za pustka rozpościera swoje skrzydła nad dawną preryą, kiedy zima śnieżnym całunem przyodzieje równinę i zamiecie zaczną pląsać swobodnie po tych przestworach. Kobieta nie ma kumoszki pod bokiem, ani gospodarz nie znajdzie współbiesiadnika. Poblizkie

miasteczko jest jedyną ucieczką. Tam związki „farmazońskie“, do których tłumnie należą rolnicy, odbywają swoje sesye, tam miejscowa *Grange* posiada rezydencyę, dziatwa uczęszcza do szkółki, kluby oddają sale na tańce dla młodzieży. Rodziny włościańskie z inwentarzem przenoszą się wtedy do miasta, wielkie zaś folwarki wysyłają bydło do stepów o paręset mil angielskich. Miasto panuje nade wsią chociaż gleba jest jeszcze porzniętą na drobne kawałki prywatne. Uczyńmy krok dalej i wyobraźmy sobie akcyjne spółki włościańskie, korzystające z centralizacyi gospodarczej, a zatem niezależniejsze, niż obecny fermer, od ziemi. Cóż naówczas stanie się ze wsią? Rolnik przybierze cechy nawskroś koczownicze, chata letnia będzie namiotem, jedynie miasto zachowa piętno osiadłego trybu życia.

* * *

O północy. Ujechaliśmy z górą 400 mil. ang. od Minneapolisu, w tej liczbie 200, może więcej, wśród stepu pszennego. Zachód słońca zaskoczył nas na łonie ściernisk bez końca, pokrytych w prawidłowej odległości snopami. Teraz odpoczywamy na drobnej stacyi pogranicznej, jutro przejedziemy granicę i nieco pobujamy po Kanadzie, później wrócimy inną, równoległą linią, ażeby gdzieś skręcić pod prostym kątem.

Zmęczeni całodzienną podróżą, hurmem wyruszamy na odwiedziny osady. Miasteczko śpi, tylko nieliczne pary młodzieży wracają z zabawy. Zamiast ulicy drewniany chodnik, idący równolegle do toru kolejowego. Wzdłuż tego pomostu sterczą parterowe

domki w znacznej od siebie odległości. Bliżej stacyi kilka baraków przy sobie, to sklepy. Na ulicy chwasty rosną do pasa i stoją kałuże wody.

28 sierpnia, w kolei.

Jedziemy z Kanady. Daleka północ zrobiła swoje: zamiast pobojowiska snopów, nieskończone żółtawo-złociste morze, falujące, jak zwierciadło wodne, kiedy silniejszy podmuch wiatru powionie. Zpośród żółtego kobierca wynurzają się białe schludne domki i brudne ceglaste zręby budynków, częściej zaś jeszcze szare domki bez okien i drzwi—zagadkowego przeznaczenia.

Żółte łany urwały się. Wjeżdżamy na stacyę Hamilton. Cztery elewatory, kilka sklepów, parę czerwonych młockarni, iskrzących się w promieniach słońca, mnóstwo samowiążących żniwiarek w trawie. Minuta jeszcze i znowu poruszamy się wśród złocistych obszarów dojrzałego zboża. Ziemia czeka, ażeby olbrzymie brzytwy uwolniły ją od czupryny. Niekiedy oglądamy te narzędzia w polu: to żniwiarko-wiązałki. Jeszcze liczniej widzimy je na stacyach przy torze, tylko co sprowadzone, zwykle w towarzystwie paru lokomobil. Przystanki kolejowe wyglądają niby arsenały i posterunki olbrzymiej armii: wznoszą swą cudacką kibić elewatory, sterczą pod gołem niebem składy narzędzi, agenci firm zbożowych mają swoje kantory. Minneapolis jest główną warownią, te stacye—fortami rolniczej działalności. „Mączne miasto“ rocznie sprzedaje maszyn rolniczych na 70 mil. rubli.

* *
*

Książka nigdy nie zastąpi życia. O amerykańskiej konkurencyi zbożowej miałem jakie takie pojęcie teoretyczne. Ale kiedy myśl moja zaprzątała się tą kwestyą, zamorskie współzawodnictwo występowało zawsze, jako bezcielesna gromada wielocyfrowych liczb, przenoszących się z zachodu na wschód, przechowywanych w elewatorach, przepływających Atlantyk, ale tylko suchych liczb, bez krwi, bez życia. Dzień wczorajszy i dzisiejszy przyodziały ów szkielet statystyczny w żywe kształty. Teraz, kiedy od doby oglądam łany pszenicy lub pobojowiska snopów, kiedy wzdłuż toru kolejowego widzę rzędy elewatorów, niby klęczących potwornej wielkości mnichów w brunatnym habicie, kiedy przy tych porwanych przez społeczny podział pracy spichlerzach spostrzegam po kilkadziesiąt zielonych wozów, a nadto w pobliżu olbrzymie młockarnie, dopiero teraz zamorska konkurencya przemawia do mojej wyobraźni, jako żywe jestestwo. Suche daty statystyczne zatarły się, każda cyfra rośnie, wędruje w przestrzeni, zmienia swoją postać,—jako obraz realny: niezmierzonych łanów, setkami stojących elewatorów, jadących pociągów. Zmysłowe wrażenia, wywołane widokiem żółtawego kobierca i wykarmione sylwetkami elewatorów i posterunkami maszyn, domagają się gwałtownie uzupełniającego rysu. Gdzież jest czarodziej, który preryę zamienił na ocean zbożowy, zorał pole, posiadające do 300 mil. ang. długości, a zwarcie zasiane pszenicą, zrewolucyonizował staroczesny tryb gospodarowania? Pusto, głucho o nim. Bez przerwy widać dzieło rąk jego—olbrzymie, ale je-

go samego nie dostrzegam! Potęga dłoni ludzkiej święci w rolnictwie nową erę. Nieznaczny wysiłek wydał plony, o jakie w naszej części świata kilkanaście razy większy zastęp rąk ludzkich musi toczyć bój z przyrodą, i uprawia przestrzenie, na jakich u nas żyje i pracuje o wiele liczniejsza ciżba.

* * *

Zatrzymaliśmy się dłużej na stacyi S. Thomas. Już zdala, rzekł-byś przednie czaty, powitał nas rząd elewatorów. Z drugiej strony toru kolejowego, wśród zielska, widać parę młockarni parowych, pomalowanych niezmiennie na jaskrawo czerwony kolor. Miasteczko, wątpię, czy posiada więcej uad dwieście mieszkańców. Każdy szczegół świadczy, że jest ono posterunkiem handlowo-zbożowym, niczem więcej. Wśród marnych bud, w drewnianej dziurze, bank się mieści. Nieprzebrane szeregi żółtych żniwiarek i zielonych wozów. Korzystając z tego, że pociąg zatrzymał się dłużej, w liczniejszem gronie czynimy wycieczkę do jednego z elewatorów. Ale czy dużo można obejrzeć w ciągu pięciu, może dziesięciu minut? Wyniosłem tylko parę dorywczych wrażeń. Wyobraźmy sobie budynek na budynku: z dachu jednego strzela ku górze inny tej samej długości, lecz mniejszej szerokości. Niby głowa, z boków obcięta, na krępym tułowiu. Dziwacka architektura znajduje się w jak najdoskonalszej harmonii z urządzeniem organów wewnętrznych. Wóz wjeżdża do budynku, zboże zsuwa się do piwnicy, tam je porywają łopaty, ustawione na windzie, i zanoszą na wierzchołek gmachu. Po drodze, skutkiem

wywołanego prądu powietrza, kurz zostaje odrzucony i zbiera się w głowie elewatora, czyste zaś zboże, kiedy winda pod sklepieniem dachu czyni zwrot na dół, spada do rur, później zaś do olbrzymich pudeł-żołądków. Pudła te wypełniają kadłub elewatora i ziarno z nich wędruje już wprost do wagonów. Motor parowy porusza całą maszyneryę. Amerykanin gospodaruje wewnątrz po amerykańsku, t. j. niedba o blichtry, lecz o zyski. Pół-schody, pół-drabina, trzęsą się podemną, kiedy wdrapuję się do „głowy“ elewatora, są zaś tak wązkie, że tylko na jednego starczą—z wątłą poręczą z jednej strony, z prędko poruszającym się pasem transmisyjnym z drugiej. Mrok taki, że nic nie widać. Przez grzeczność administracya kazała komuś z latarką w ręku nam przyświecać w tej karkołomnej wycieczce na szczyt budynku.

* * *

Na stacyi Minto czekała nas niespodzianka. Okoliczni fermerzy zebrali się, ażeby uroczyście powitać cudzoziemców, zwiedzających łany dakockie. Czerstwe, krzepkie postacie w olbrzymich czarnych kapeluszach, takich, jakie przed kilku laty były u nas widomą oznaką, że w mózgu pod nimi kryją się idee radykalne. W zgromadzonym orszaku znalazłem około dziesiątka rodaków.. Najmniejszego śladu owej niepewności i pokornej ślamazarności, do której przywykłem na piaskach Powiśla. Na bujnej niwie Dakoty wszystko wygląda inaczej. Mina butna—nie przystępuj; ruchy pewne siebie, pewniejsze może, aniżeli

u dawnego zagrodowego szaraczka, który na sejmiku gardłował, że szlachcic równy wojewodzie, ale pokornie kłaniał się do nóg jaśnie wielmożnych i brał bizuny na kobiercu. Ubiór codzienny, roboczy, ale bez brudu; te same ogromne kapelusze, jak u reszty rolników. Na ręku jednego z nich dwuletnie maleństwo, w różowej sukieneczce, tryska zdrowiem, jak u nas dziecko dworskie. Ciekawie przypatruję się dziecinie, na pożegnanie podaję rączkę, lecz chociaż ojciec podszeptuje jej do uszka „do widzenia,“ woli nam rzucić amerykańskie *good bye*. Wogóle stepy tutejsze sprzyjają naszym wychodźcom. Nawet pod znojnem niebem Texasu młode pokolenie wyrasta, jako dąbczaki, zdrowe i inteligentne. Patrząc na butnego parobczaka, trudno było-by się domyśleć, że jego stryjecznym bratem jest lękliwy wyrostek mazowiecki.

Przyjęcie trwa krótko. Pociąg rusza przy dźwiękach marsza narodowego. Mkniemy do Grand-Forks gdzie resztę dnia spędzimy. Miasteczko to posiada zaledwie 7 tysięcy mieszkańców, ale, położone w pośrodku obszarów rzeki Czerwonej, jest nader ważnym punktem handlowym. Samych desek dostarcza okolicznym fermerom rocznie do 15 mil. stóp kw. Przed laty dwudziestu były tam jeszcze zupełne pustki. Dzisiaj istnieją w mieście cztery banki, wychodzi parę pism codziennych, mieści się uniwersytet, są pięciopiętrowe hotele z parowemi windami; gaz, wodociąg i elektryczne oświetlenie, telefon liczy do stu połączeń. O tem wszystkiem dowiadujemy się z olbrzymich arkuszy, pono specyalnie dla nas wydrukowanych, a opie-

wających cuda tej zamożnej mieściny, do której dojeżdżamy.

28 sierpnia, Grand-Forks, N. Da.

Kabryolecikami jedziemy przez miasto. Wszędzie niebrukowane ulice, przynajmniej innych nie widzę. Wzdłuż nich drewniane chodniki, sterczą one wysoko po nad poziomem ulicy, niekiedy aż na 2—3 stóp, na rozdrożu zaś jeszcze wyżej. Biada przechodniowi, który wśród mroków nocy stąpnie po za chodnik. Nawet na najgłówniejszych ulicach, tam, gdzie stoją paropiętrowe domy, po większej części drewniane, błoto leży w pośrodku, mimo, że pogoda jest piękną, boczne zaś i drugorzędne zaułki bujnie porosły zielskiem. Kolej przerzyna miasto. Szyny przecinają w poprzek najpryncypalniejszą, t. j. najruchliwszą ulicę. *Look out*, wypisane na tablicach, stanowi jedyną przestrogę dla przechodniów, bo szlabanów ani dozorców nie poświeci, którzy-by opiekowali się przeciągającym tłumem. Pamiętaj sam o sobie!

Grand-Forks jest zbudowane według wzoru, właściwego wszystkim miastom amerykańskim. Dzielnica handlowa posiada zwarte rzędy murowanych kamienic, później idą rozrzucone wille i domki, przeważnie z drzewa. Ulica plutokratyczna już istnieje i wyodrębnia się od innych swoją ciszą, obfitością drzew i zielonością murawy.

* *
*

Wyjeżdżamy w pole. Gościniec przypomina naszą wiejską drogę. Szosy ani śladu — nie istnieje ona

niemal w Stanach Zjednoczonych, które znają tylko albo tor kolejowy, albo zwykły gościniec, ale nie tolerują naszej szosy, jako mało produkcyjnego wydatku. Na drodze, pod prostym kątem przerzynającej tę, po której jedziemy, parska maszyna parowa i mozoli się nad udeptaniem toru. W polu pracują żniwiarko-wiązałki. Jak oko zasięgnie, leżą snopy pszenicy, gdzieniegdzie zaś sterty wymłóconej słomy. Towarzyszący nam fermer opowiada, że jeszcze dzisiaj rano—obecnie ma się ku południowi—nie było ani jednej. Zjawiła się parowa młockarnia, po godzinie lub dwóch załatwiła się ze zbiorami fermy, później udała się na drugą, trzecią. Tak gospodaruje włościanin zamorski! Naturalnie, nie ma on funduszów na kupno kosztownej machiny. Wyręczają go specyalni przedsiębiorcy, którzy młócą zboże za pewną taksą od buszla. Parę godzin pobytu na fermie, a młocka, która zabiera u naszego gospodarza sporo czasu, zostaje skończoną. Niekiedy sąsiadujący z sobą rolnicy kupują do spółki młockarnię, zbierają się wszyscy u jednego, wymłócą ziarno, jadą do następnego, aż póki nie obejdą wszystkich.

Droga, po której jedziemy, prowadzi do sporych rozmiarów gmachu, ogrodzonego dość niedbale. Na parkanie ulokowały się sążniste reklamy o proszku do pieczywa, o oleju rycynowym i innych specyfikach, wypisane łokciowej wysokości literami. Budynek stoi samotnie w polu, może o milę naszą od najbliższej siedziby ludzkiej. A jest on przecież ogniskiem wiedzy dla stanu północnej Dakoty. To miejscowy uniwersytet! Rektor— doprawdy nie wiem, jak mam tytu-

łować kierownika tej świeżo upieczonej wszechnicy, liczącej zaledwie kilka lat wieku — wita nas w ganku krótką mową, której zasadniczym tonem jest obietnica: „poczekajcie nieco, a zobaczycie, czem będzie nasz uniwersytet!“ i po takiem przyjęciu prosi do wnętrza i oprowadza po gmachu. Budynek dwupiętrowy, drewniany, bardzo skromnych jak na uniwersytet rozmiarów. Z każdego szczegółu przemawia duch nie taki, do jakiego-śmy przywykli w murach starodawnych wszechnic naszej Europy. Nawet siedzenia w audytoryach świadczą o tem, że znajdujemy się na ziemi, łamiącej wszelką rutynę. A biblioteka? Jak na uniwersytet, nad wyraz ubożuchna. Obfituje za to we wszystkie doborowe rzeczy treści ogólno-filozoficznej, jakie wydała wiedza w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci. Najmniejszych śladów żyłki erudycyjnej, antyków niema, dzieł historycznych bardzo niewiele. Wygląda tak, jak gdyby ją układał wojujący „pozytywista:“ Haeckel, Huxley, lub Letourneau.

Na drzwiach napisy: dla dam! Sekretarz zakładu objaśnia, że są to miejsca odpoczynku dla studentek, które w ogólnej liczbie dwustu słuchaczy stanowią niemal połowę. Pomiędzy profesorami równie znajduje się płeć nadobna. Kobieta wykłada literaturę angielską, inna jest asystentką przy katedrze chemii. Słuchaczki są obowiązane do ćwiczeń fizycznych, prowadzonych naturalnie przez kobietę. Zarząd wypowiedział nieubłaganą wojnę gorsetom, których nie wolno nosić. Na początku roku szkolnego każde dziewczę bada lekarz, który, prócz ćwiczeń ogólnych,

przepisuje jeszcze indywidualne, mające wzmocnić słabe organa i mięśnie słuchaczki. Przy uniwersytecie znajduje się coś w rodzaju internatu. Jak dotychczas, mieszkają w nim jedynie studentki. Tygodniowa opłata za mieszkanie z opałem wynosi 75 centów! Za te pieniądze panienka posiada jeszcze prawo użytkowania— nie wiem doprawdy, czy jakaś kandydatka do uniwersytetu z Warszawy nie weźmie tego za żart z mojej strony. Ale jeżeli rumieniec wstydu wystąpi na twarz mojej rodaczki z powodu zajęć jej siostry zamorskiej, to niechaj pada wina na rzeczywistość amerykańską, która zresztą bardzo mi się podoba! Otóż studentka w północnej Dakocie do tego stopnia nie ma poczucia swojej godności, że sama pierze bieliznę w pralni uniwersyteckiej!.. Jeszcze inny szczegół, wymownie świadczący o zmyśle praktycznym amerykanina. W gronie pedagogicznem znajdujemy „matronę,“ kobietę w starszym wieku, do której dziewczęta, oderwane od rodziny, zwracają się o radę w potrzebie. Wychowańcy zakładu są dziećmi okolicznych fermerów, t. j. włościan, i nie jeden po ukończeniu będzie pracował na roli. Wszyscy jedzą obiad w kuchni uniwersyteckiej— nie z przymusu, ale ponieważ taniej a lepiej nie dostaną w mieście. Wykłady bezpłatne. Organizacya uniwersytecka jest jednocześnie oddziałem milicyi narodowej.

Ruszamy dalej. Oglądam się, czy nie zobaczę tutejszej studentki, której nie wolno nosić gorsetów a która własnemi rękami pierze bieliznę. Nadaremnie.

Jest to czas wakacyjny i słuchaczki może akurat doją teraz krowy na fermie.

* * *

W hotelu zjedliśmy obiad, przy którym nie obeszło się bez mów, czem kiedyś będzie miasto. Hotel tej samej struktury, jak inne, dotychczas przez nas widziane. Gmach to pięciopiętrowy, winda zastąpiła schody, telefon do rozporządzenia gości, olbrzymia jadalnia. W Grand-Forks jest jeszcze drugi taki zakład, może nawet trzeci. Mieścina choć liczy 7 tysięcy mieszkańców, posiada hotele, które-by były ozdobą Warszawy! Ta okoliczność świadczy o ruchliwości amerykanina, który wogóle nie lubi zagrzewać miejsca i drwi z mądrości przysłowiowej, że na jednem miejscu nawet kamień porasta.

Spacerujemy po miasteczku. Po drodze zawadziliśmy o „operę.“ Gmach jednopiętrowy, dość miłej powierzchowności. Wchodzimy do wnętrza. Na dole krzesła i dwie loże, na górze krzesła i nic więcej. Więc zupełny brak lóż, tego zewnętrznego wyrazu solidarności rodzinnej. Rozmiary niewielkie, może na trzysta osób. Uwzględniono wygody publiczności. Warszawa mogła-by niejednego poduczyć się w amerykańskiem pustkowiu. Następny rząd krzeseł wznosi się o stopę wyżej, na dole pod siedzeniami sprężyny do kapeluszy, na tylnej poręczy znajdującego się fotelu przedemną przyrząd do laski, względnie zarzutki damskiej. Korytarze oraz przejścia pomiędzy krzesłami wysłano kobiercami.

Weszliśmy bez pytania do pustej sali, zapaliliśmy

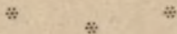
światło elektryczne i rozsiedliśmy się w krzesłach. Jeden z naszych kolegów, dziennikarz francuski, na pianinie wygrywa Marsyliankę, inni śpiewają. Za nami wali się tłum gapiów, który otoczył japończyka i kompletnie go skubie. Dobroduszny przedstawiciel rasy żółtej uśmiecha się, rad z tych owacyi. Nikt nie zastępuje nam drogi i nie wypędza nieproszonych gości.

* * *

Wieczorem przyjęcie w klubie obywatelskim, który mieści się na trzeciem piętrze jednego z hoteli. Rozumie się, wjeżdżamy na windzie. W pierwszym pokoju spotykam znajome twarze naszych żydów. Do sali nie chcą wejść, bo nie wiedząc o uroczystości, przybyli w codziennym stroju (później uwijali się w salonach, zmuszeni przez prezesa klubu). Jeden pochodzi ze Lwowa, drugi z Brodów, obaj siedzą na roli i gospodarują. Dowiaduję się, że żydzi licznie trudnią się fermerstwem w stanie północnej Dakoty: w okolicy Dyablego jeziora jest ich około 40, w innym zakątku do 50, jeszcze gdzieindziej — kilkudziesięciu. Niektórzy gospodarują już od lat dwudziestu. Osadnicy mają się dobrze, jeden pokazywał mi papiery, świadczące o kredycie, posiadanym w banku. Dzieci uczęszczają do szkół publicznych. Starszy, w zwykłym ubiorze żyda-rzemieślnika, miał taką dziarską minę, że raczej przypominał dobrodusznego hreczkosieja, siedzącego na kilku włókach na Mazowszu. Ziemia na twarzy każdego, kto ukochał jej uprawę, rzeźbi znamię szczerości i prostoty. Mój towarzysz, inż. Rycerski, tak zachwycił się naszym fermerem starozakonnego wyznania,

że prosi go o fotografię, którą obiecuje umieścić w pismach warszawskich. A we Lwowie żydek był faktorem, służalczo pokornym i gotowym może do wszystkich usług!

Opowiadają mi o polakach. Nasi ziomkowie obsiedli okolice miasteczka Minto, w liczbie pięciuset osadników z górą. Należą w stanie do zamożniejszych, bo pracują, dodaje fermer-żyd, nie po miejscowemu. Rolnik amerykanin o godz. $5^1/_2$ po południu składa robotę, polak siedzi nad nią do zachodu słońca. Pola jego lepiej uprawne, bo więcej wkłada do nich swojej krwawicy i nie porzuca osady, kiedy gdzieś błyśnie perspektywa lepszego zarobku. Wogóle, gdyby nie włościanin europejski, wytrzymały i na małem poprzestający, Dakota dzisiaj nie była-by Dakotą. Niegdyś, w pierwszych czasach gorączki, usadowiły się w niej olbrzymie gospodarstwa rolne, *Bonanza-farms*. Ale kiedy ceny na pszenicę spadły, większość wielkich kapitalistów rzuciła ziemię. Niemcy i skandynawczycy objęli rozdrobniony na małe fermy posterunek rolny. Pracowitość ich, wytresowana w jarzmie stosunków europejskich, nagrodzona została sowicie, bo uwieńczona dostatkiem.



Niepodobna nie spostrzedz jednostajności, spoczywającej na życiu miejskiem w Ameryce. Nietylko taki sam ubiór oglądam w Chicago i w Grand-Forks, i jednakiego fasonu kapelusze, ale struktura domów jest taką samą, forma dzienników podobna, maniery mieszkańców jednakie. W „starym kraju“ pomiędzy osobą

z wielkiego miasta, a mieszkańcem prowincyonalnego ustronia istnieją różnice w obejściu, widoczne od razu. Parafiańszczyzna przemawia z każdego ruchu. Chyba że w Ameryce dzieje się tak samo, ale różnicy jakoś nie mogę odkryć. A pod kapeluszem jednostajnego fasonu i w domku, niezmiennie tej samej struktury, ukrywają się jednakie upodobania i pojęcia. Najdrobniejsza mieścina ma jeszcze tyle stosunków na zewnątrz i w swoich murach widzi tylu gości z daleka, że z jej mieszkańców ścierają się rysy obrębności, oni zaś nabywają pewności siebie w obejściu z przybyszami. Czyż mieszkaniec powiatowej mieściny u nas zachował-by się tak prosto, jak obywatel z Grand-Forks, gdyby znalazł się oko w oko z gronem gości-cudzoziemców?..

Zwłaszcza zadziwia mnie brak różnicy intelektualnej. Podczas wycieczki za miastem stykałem się miejscowym żywiołem, słyszałem mowy obiadowe, spędziłem parę godzin wieczorem w klubie, którego wszystkie sale były przepełnione, rozprawiałem ze starszem pokoleniem i z młodemi amerykankami i zawsze musiałem podziwiać niezachwianą pewność siebie.

28 sierpnia, w wagonie kolejowym.

Kolej niesie nas prostopadle do nurtu rz. Czerwonej. Wiozą nas do folwarku Larimore, jednego z większych, chociaż nie największego w tej okolicy. Jak inne wielkie majątki ziemskie w Stanach-Zjednoczonych, stanowi ona własność spółki akcyjnej: *Elk Valley farm C-o.* Taka forma mocno przyczynia się

do rozwoju techniki rolnej i nadaje przedsiębiorstwom pszennym i hodowlanym niezwykłą elastyczność. Przed czem napewno cofnął-by się indywidualny kapitał, na to waży się związkowy, każdy z uczestników ryzykuje bowiem jedynie cząstkę swojego mienia i może się wycofać, kiedy interes się nie opłaca. Zwykle łączą się w spółkę obrotni kapitaliści miejscy, przyzwyczajeni do śmiałego spoglądania bankructwu w oczy i nie cofający się przed wypróbowaniem nowych wzorów, gdy one obiecują sowite zyski. Larimorską fermę założyli spekulanci z S. Louis w r. 1881 i oddali jej kierownictwo w ręce doświadczonego agronoma i zarazem obrotnego geszefciarza, p. Larimore'a. Folwark posiada szesnaście tysięcy akrów przestrzeni, zpośród których dziesięć znajduje się pod pszenicą. Zbiory w ubiegłym roku wynosiły 175 tysięcy buszli pszenicy, 40 owsa i 10 jęczmienia. Inwentarz składa się z 200 mułów, innego bydła niema. Businesista wniósł do rolnictwa właściwą sobie rachunkowość i ziemię traktuje jako fabrykę. „Wielkie fermy Dakoty—spowiada się jeden z przedsiębiorców, gospodarujący na zwartem stuwłókowem polu pszennem—są prowadzone ściśle według zasad *businessu*. Wszystko tam systematycznie urządzono. Wiemy dokładnie, ile każdy drobiazg kosztuje i ile wart dla właściciela. Z fermy dostajemy codzienne sprawozdania, co wciągu dnia zrobiono i czego dokonał pojedyńczy robotnik, koń lub maszyna. Oceniamy zużycie maszyny w stosunku do jej działalności, doliczamy koszta reparacyi i dokładnie znamy jej żywot. Nasze

fermy posiadają buchalterów, administratorów, urzędników. Wiemy dokładnie, ile akr pola, t. j. jego uprawa, nas kosztuje, i zyski, jakie z niego osiągamy. Aż do centa wyliczyć możemy odsetki, od kapitału.“ A kiedy taka skrupulatna rachunkowość wykaże, że *business* rolny nie daje należytych procentów, wówczas kapitał zbiorowy bez żalu porzuca ziemię, za pomocą reklamy ściąga wychodźców z włościańskiej Europy i rozparcelowywa pomiędzy nimi obszary.

29 sierpnia, stacya Larimore.

Szósta rano. Część naszej wyprawy odjechała na polowanie, inna śpi jeszcze. Co do mnie, udaję się na zwiady. Zamyślam obejrzeć miasteczko, które nie wiem, czy posiada kilkuset mieszkańców. Ze stacyi dostaję się na boczną uliczkę. Z niejakiem zakłopotaniem daję jej to miano, może lepiej było-by powiedzieć: chodnik. Dokoła bowiem zielsko bujnie porosło i niekiedy sięga do pasa. Drewniana kładka jest jedynym dowodem, że istnieje ulica; gdyby jej nie było, sądzili-byśmy, że stoimy w polu. Chodnik doprowadza nas do innego, idącego prostopadle. Ten sam widok. Wreszcie, jeszcze po jednym zakręcie, wydostaję się na pryncypalniejszą ulicę: mniej tutaj burzanów i ciągną się aż dwie kładki. Jeden i drugi okazalsze, bo piętrowe, budynki z drzewa. To municypalność i szkoła. Ta ostatnia, otoczona pustym placem, w którym sterczą tu i owdzie kołki z młodemi drzewkami. Innych drzew niema w mieście, ani nie widać na widnokręgu. W końcu zna

lazłem się na głównej ulicy, szerokiej jak zawsze na ziemi amerykańskiej. Lepianka przy lepiance. Słowem, stąpamy po rodzącem się mieście. Wśród trawy stoją kultywatory, z pod zielska wyglądają żniwiarko-wiązałki. Amerykanin niezbyt dbale chodzi dokoła narzędzi: nie chowa ich do szopy, lecz rzuca na słońcu i słocie.

* * *

O dziesiątej rano. Bryczka za bryczką wiezie nas na fermę larimorską. Wraz z poblizkiem miasteczkiem i stacyą wzięła ona nazwisko od swego dyrektora. Towarzyszący mi członek komitetu recepcyjnego gestykułuje żywo i usiłuje przejąć mnie podziwem dla rodzimego zakątka: oracz na polu larimorskiem idzie parę mil angielskich, nie zbaczając z prostej linii, i odwala w ciągu dnia tylko dwie bruzdy, w tamtą stronę i z powrotem.

Przejeżdżamy tuż obok folwarku. Kierownicy wyprawy uznali za rzecz niepotrzebną pokazać nam jej urządzenie. Bo i cóż może być tam ciekawego, powiada do mnie mój przewodnik. A jednak dla wielu z nas by znalazło się tam może sporo interesującego. Więc chociaż zdaleka wpatruję się w to cudactwo, rozpościerające sią na 40 akrach przestrzeni. Ferma wygląda na miasteczko, dachy jej barwnie czerwienieją, obrzucone promieniami słońca. Willa dyrektora stanęła opodal w świeżo zasadzonym parku. Parę dotrowych domów. Trzy olbrzymie wachlarze studzienne zlekka obracają się w powietrzu i pompują wodę. Mnóstwo długich z brudna czerwonych budynków, to

stajnie dla mułów i paru koni cugowych. Obok inne podobnie długie zabudowania: letnie baraki dla parobków, którzy przybywają podczas robót w polu z miast, odległych o tysiąc wiorst, pozostają, póki zajęcia gospodarskie się nie skończą, i ku schyłkowi lata powracają na bruk miejski. Ale na tej olbrzymiej fermie nie widać spichlerzy, równie nie poświeci stodół. Zabudowania, uchodzące u nas za niezbędne, są nieznane folwarkowi larimorskiemu!

Pod studziennymi wachlarzami, na wysokiem rusztowaniu, stoją olbrzymie okrągłe kadzie, jakie u nas można oglądać w browarach, tuż nad ziemią zaś długie koryta, przez które przelewa się woda. Wiatru nie zatrzymasz w pracy! Pomiędzy chwastami czerwienieje jedna, druga, trzecia parowa młockarnia, około którejś kręcą się ludzie. Jak oko zasięgnie, stoją rzędem pługi, zwykle paroskibowe. Obraz przemawia do nas w sposób osobliwy. Wrażenie trudno oddać: jak gdybyśmy stali w obliczu czegoś obcego i niezrozumiałego, co trzeba dopiero sobie przyswoić i przetrawić.

* * *

Minęliśmy fermę i znowu jesteśmy w czystem polu pomiędzy ciągnącemi się bez końca ścierniskami. Tylko na dalekim widnokręgu zwolna porusza się (na pierwszy rzut oka zdawało-by się, iż nieruchomie stoi) pasmo czarnych plamek, niemal zlewających się z sobą. To baterya żniwiarko-wiązałek, czekająca naszego przybycia, aby w godzinę uprzątnąć pole kilkuwłókowej rozległości.

Jesteśmy na miejscu. Olbrzymi łan pszenicy faluje przed nami. Wzdłuż jego krawędzi poruszają się żniwiarko-wiązałki jedna za drugą, każda zaprzężona w trójkę mułów. Furman rozparł się w górze na fotelu. Urzędnicy folwarczni i członkowie komitetu recepcyjnego udzielają informacyi. Aż 45 automatów tnie stojący przed nami mur pszenicy, pracuje zaś w polu z górą półtory setki mężczyzn, to jako furmani, to znowu jako piechurzy, chodzący około snopów i spełniający inne czynności. Taką baterye żniwiarek wystawiono wyjątkowo, tylko na nasze przyjęcie. W codziennym zaś biegu bywa rozdzielona na parę mniejszych partyi, po 10, najwyżej 15 maszyn, a to dlatego, ażeby, kiedy jedna ulegnie chwilowemu zniedołężnieniu, inne nie potrzebowały oczekiwać w bezczynności, zanim nadwerężony automat będzie wydalony z szeregu. Pomiędzy piechurami uwija się konno kilku oficerów armii rolnej, to mechanicy z narzędźmi. Skoro któryś z taranów, uderzających w zwarty mur pszenicy, zapotrzebuje naprawy, wycofują go wtedy i mechanik pośpiesza z pomocą. Wóz jeden i drugi. Na każdym beczka z wodą dla orzeźwienia pracujących i mnóstwo olbrzymich motków grubego szpagatu, które, wstawiane do żniwiarki, dostarczają wiązadła do snopów.

Stojąc zblizka, o kilkanaście kroków od działającej bateryi, doznajemy niezwykłego wrażenia. Żniwiarki, które znajdują się wprost przed okiem, odróżniam przewybornie. Dalej, w jednym i drugim kierunku, perspektywa zmniejszyła rozmiary automatów

i zwężyła odległości pomiędzy nimi. Jeszcze dalej wolne miejsca zupełnie znikają i widzimy ciągłe i zwarte pasmo, malejące w swojej grubości. Jedynie prążki białe i czerwone, przeplatając się systematycznie, pozwalają odróżnić, gdzie kończy się jedno, a poczyna następne ogniwo tego rzędu. Później białe zostają przysłonione, jeszcze dalej dzieje się to samo z czerwonemi, górne grabie zlewają się nawzajem, ludzie zostają przykryci. Pozostaje pas czarny, nad którym niekiedy, niby stal, błysną na słońcu któreś z obracających się grabi. Od czasu do czasu, tuż nad samą ziemią, coś żółtego się gromadzi, aż wreszcie zostaje pozostawione na polu, w jednem, drugiem i dziesiątem miejscu. To żniwiarka wyrzuca z siebie kilka związanych snopów, kiedy jadący na niej furman zakręci korbę, a każda pozostawia snopy na tej samej linii, prostopadłej do łanu pszennego. Przypomina mi się opowieść o bajecznym smoku, który stepy zorał. Bo jakby olbrzymi wąż opasał niwę i zwolna czołga się dokoła obrusa pszennego. Na jego karku, nad każdym pierścieniem, usadowili się śmiałkowie i popędzają leniwe zwierzę. Smok złości się i wypluwa żółte snopy, posuwa się zwolna dalej i dalej, zagina się na skręcie i wywija w powietrzu ssawkami-grabiami.

Ów smok pełzający, powtarzające się pierścienie i prążki, trupy snopów, w prawidłowej odległości wyrzucane całym kopcem, tłumy robotników, krzątających się w polu, dziwnie przemawiają do wyobraźni.

* * *

Nasz wąż przybiera kształty rozmaite. Jedynie

poeta ujął-by odbierane wrażenie we właściwe wyrazy i udzielił-by ich w całej pełni czytelnikowi. Ale jeżeli zgięty kark kobiety, idącej z sierpem, lub pot, spływający rzęsiście z czoła kosarza, znalazły swoich piewców, to natomiast nowoczesne żniwa, dokonywane przy pomocy żelaznych brzytew, uprzątających zboże, żelaznych rąk, wiążących je, i wreszcie żelaznych potworów, co wymłócają ziarno, oczekują swoich poetów, którzy-by oddali urok, tkwiący w krajobrazie niezmierzonych przestrzeni żółtego morza, smoków je opasujących, mrowiska ludzkiego, poruszającego się na polu. Niepodobna oczu oderwać od zagarniaczy-grabi, obracających się jednocześnie w kilkudziesięciu miejscach młynkowato. Upstrzony z tej strony białemi centkami, smok płynie i macha skrzydłami, jeszcze dalej perspektywa płącze z sobą i zlewa loty, słońce zaś obsypuje je iskrami. A posuwa się on z lekka przekrzywiony, bo każda następna maszyna ima się swymi zębami zboża o parę kroków głębiej w morzu pszennem.

Pole ma milę kwadratową (miary angielskiej) i dźwiga na sobie, jak wszędzie w północnej Dakocie, pokrycie z jarej pszenicy. Smok pożera je i przerabia na snopy. Obecnie połać pszenna do tego stopnia zmalała, że czołga się on już zgięty raz jeden i drugi, niemal, że obwinął się cały dokoła pola. Tuż przy mnie uwija się z górą setka żniwiarzy, mechanicy pędzą konno to w jedną, to w drugą stronę i głośne dają rozkazy, baterye maszyn iskrzą się na słońcu i uderzają o zboże swojemi ramionami bez liku. Pobojowisko ro-

śnie. Oko biegnie po-nad stojącą pszenicą i, jak daleko zasięgnie, nic nie spostrzega, prócz ścierniska z trupami. Błękitnawy całun rozpościera się nad nimi, i im głębiej zapuszczamy wzrok swój w przestrzeni, tem mocniejszej nabiera barwy. Tam, na widnokręgu, ściele się dym czarnym słupem. To pracuje parowa młockarnia. Wpatruję się uważniej i spostrzegam parę takich obłoczków, bujających tuż nad ziemią. Wiek pary i wiek żelaza rozpostarł się w rolnictwie! Przyroda pokazuje swoje siły w innem świetle, aniżeli na swojskiej niwie, na której oko ma przed sobą pstrokatą szachownicę drobnych, a różnem zbożem zasianych pólek i niewielkie gromadki robotników, pracujących przy pomocy pradziadowskiej kosy i sierpa.

I nawet psychologia duszy ludzkiej w takiem otoczeniu układać się chyba musi w mozajkę odmiennych stanów i wykwitać innemi ideami.

Nie znam nic rozpaczliwszego nad ponurą melodyę hymnu *Dies illa, dies irae*. Co za wstrząsająca bojaźń i niezmierzona bezsilność dźwięczą w każdym tonie tego posępnego śpiewu! Hymn ów stanowi, mojem zdaniem, i stanowić będzie najwybitniejszy płód artystyczny duszy pierwotnego rolnika, zależnego od zmienności przyrody, wystawionego na jej wybryki, bez środków zapobieżenia klęskom głodu. Przyroda jest tak wszechmocną, a siły człowieka tak nikłe! Potęgi przyrodzone wyrastają na coś potwornie wszechwładnego. Nieustający jęk i rozpaczliwa niemoc bez miary stanowią zasadniczą melodyę świętej uroczystości wężów, której przeznaczeniem u Zuniów jest wybłagać

łaskę niebios i dobry urodzaj! Z takiego też źródła wytrysnął śpiew „dnia onego, dnia strasznego.“ Tymczasem, tutaj, na niwach Dakoty, w obliczu tego smoka, na którego karkach usadowili się ludzie, na widok tych niezliczonych snopów, które z siebie wyrzuca pojedyńcze ogniwo skrętu wężowego, i elewatorów na widnokręgu, co każą domyślać się ukrywającej za nimi sieci kolejowej, obawa taka pierzcha. Człowiek jest świadom swojej siły i strząsnął z siebie troskę głodu. Nie lęka się kaprysów przyrody. Wyzuł się z dawnej cierpliwości barbarzyńskiego rolnika, nieodłącznej od kopania ziemi motyką lub bróżdżenia jej prostą sochą. Ów dojeżdżacz, który rozsiadł się na fotelu żniwiarki i porze łono ziemi cudackimi pługami parowymi, wydobędzie z swojej duszy różne hymny religijne, lecz w nich nie będzie łkania i rozpaczy „dnia strasznego.“

* * *

I wogóle usposobienie człowieka, jego odpoczynek i zabawy, już dzisiaj wyglądają w stepie pszennym odmiennie. Pracuje on tam innymi organami, i inne wrażenia mięśniowe wstępują do świata jego emocyi. Śpieszna praca naszych żniwiarzy, którzy, od wschodu do zachodu zgięci nad sierpem, posuwają się zwolna wśród skwarów, wywołuje w całym organizmie szczególne zuużenie. Wieśniak rzucił-by się na ziemię, leżał-by tam godzinami bezwładny, rad, że nie porusza spracowanymi mięśniami. Kiedy więc po wysiłku tygodniowym nadejdzie chwila odpoczynku, daje folgę temu instynktowi. Jego towarzysz dakocki nie schyla karku, ani nie napina swoich mięśni. Siedząc na koźle,

pracuje natomiast zmysłami wzroku, przedewszystkiem zaś słuchu. Ma przed sobą jedynie muły, za sobą zaś cały mechanizm żniwiarki, a zatem jej zęby, ścinające zboże, jej ramiona, wiążące słomę, jej narzędzia, wyrzucające snopy. Uchem chwyta zgrzyt paszczęki i szmer wiązadła i z ich prawidłowości sądzi, czy automat działa normalnie. Każde zepsucie daje znać o sobie w ten sposób, że targa tak lub owak gamę zwykłych dźwięków. Po dniu pracy schodzi z fotelu z przytępionym słuchem i zmordowanym wzrokiem, ale z mięśniami, domagającymi się wysiłku po wielogodzinnej bezczynności. Dodajmy, że inaczej się karmi, mięso, stanowi bowiem podstawę jego odżywiania. Emocye jego muszą wyglądać nie tak, jak u naszego wieśniaka. Jak on reaguje na wrażenia świata zewnętrznego, jakie żądze w nim górują, jak się bawi i nawet w jaki sposób zaleca się dziewczynie, o tem nic a nic nie umiem powiedzieć, ale przeczuwam, że we wszystkiem różni się od swojskiego parobka! Są to przedstawiciele dwóch odmiennych formacyi rozwoju społecznego.

* * *

Z kimś uciekam od bateryi żniwiarek na terytoryum sąsiedniej fermy, Ściernisko, nie posiadające bruzd i równe, jak podłoga, służy nam za gościniec. Później zjeżdżamy na łąkę, która, niewielkiej będąc szerokości, ciągnie się za to bez końca w jedną i drugą stronę, i swoją zielonością odbija, niby rzeka, od żółtych przestrzeni. Domek drewniany stoi na tej strudze trawy niekoszonej, samotny, o parę a może więcej wiorst od najbliższej chaty. To wiejska szkółka ele-

mentarna, łąka zaś, ciągnąca się w obie strony, jest gruntem, jakim uposażono siedzibę oświaty początkowej. Co cztery mile angielskie na tej smudze łącznej znajduje się podobna szkółka. Najmniejszego drzewka w pobliżu, żadnej drogi i nawet ścieżyny! Dokoła porasta jedynie bujna trawa szlaku stepowego. Schodzimy z bryczki i pukamy do drzwi, chcemy bowiem obejrzeć wnętrze wiejskiej szkółki. Nadaremnie! Nikogo niema, drzwi zaryglowane. Muszę poprzestać na szczegółach, których udziela towarzyszący mi obywatel dakocki. Szkółki te dają tylko początki oświaty i to najmłodszemu pokoleniu. Są otwarte jedynie podczas lata, bo zamiecie śnieżne zamykają do nich dostęp zimą. Nauka odbywa się tylko w niedzielę. Rodzice zwożą dziatwę, sami się bawią na łące, a drobiazg siedzi w izbie. Kiedy dzieciak podrośnie, wtedy ojcowie wysyłają go na zimę do najbliższege miasteczka, dokąd często-gęsto sami uciekają przed nudami wiejskiemi.

„Szczycimy się dzisiaj swoją pszenicą, w przyszłości będziemy się chlubili szkołami!“, rzekł dumnie mój przewodnik, kiedyśmy, po niefortunnem pukaniu do drzwi, siadali na bryczkę. Nie są to czcze przechwałki. Osadnicy na dalekim zachodzie umieją cenić dobrodziejstwa oświaty. Z ogólnego terytoryum stanu wydzielono aż trzy miliony akrów ziemi, t. j. 6% całej powierzchni, na uposażenie szkół. Oświata dostała na własność olbrzymi fundusz, z którego może czerpać pełną dłonią i do którego, prócz władzy szkolnej, nikomu nie wolno się wtrącać. W obecnej chwi

li wypada jedna szkółka publiczna na sto głów ludności.

* * *

Puszczamy się ścierniskiem dalej i po kwadransie jazdy jesteśmy przed parową maszyną, która młóci zboże. Ferma to niewielka, zaledwie 800 akrów rozległości. Małe jej rozmiary nie pozwalają posiadać własnej młockarni, drożyzna zaś rąk i cały skład gospodarstwa czynią jej pomoc nieodzowną. Ale Ameryka znalazła na to sposoby: stworzyła nowe przedsiębiorstwo, wynajmu. Ktoś, zwykle prosty mechanik, nabywa maszynę, najmuje robotników i objeżdża osady. Fermer jedynie dozoruje zsyp ziarna, resztę zaś bierze na siebie ów przedsiębiorca.

Znajduję klucz do zagadki, która mnie trapi od początku podróży. Z okna wagonu widziałem na polu niewielkie szare domki z zabitemi drzwiami, których celu nie mogłem odgadnąć. Taką chatkę mam właśnie przed sobą. Kwadratowy budynek, z futryną tam, gdzie mają być drzwi, a do której wsuwa się deskę z góry po desce. Domek jeszcze bez dachu. Ziarno z młockarni spada przez drzwi do wnętrza, w miarę zaś tego, jak poziom podnosi się, wsuwają nową deskę. Później pokryją budynek dachem. Na większych folwarkach istnieje parę takich domków. Amerykanin, z którym jestem na polu, nie może ukryć swego podziwu, że przypatruję się tak prostej rzeczy. Jest to redaktor pisemka rolniczego, wychodzącego w Grand-Forks. Opowiadam mu o naszych stodołach

i murowanych spichlerzach. Yankee dziwi się manii naszych obywateli, nieprodukcyjnie wkładających spore kapitały. Objaśniam tę konieczność brakiem elewatorów i wogóle ukształtowaniem naszego handlu zbożowego.

„A dlaczego nie budujecie domków na polu?"— pyta nieubłagany towarzysz i notuje moje odpowiedzi, napisze pewnie w swojem pisemku artykuł o rutynie europejskiej.

Wzruszam ramionami i milczę. Ale yankee nie daje za wygraną i powtarza pytanie.

„Rozkradziono-by zboże",—odpowiadam i przerywam rozmowę. Amerykanin zaś na mnie patrzy, czy z niego nie żartuję. W Ameryce kradną miliony w bankach i bandy rzezimieszków wykolejają pociągi. Ale kradzieży zboża nie znają: niema tam na wsi nędzy, która-by do tego zmuszała.

* * *

Jedziemy śród pól całą kawalkadą w powiększonem gronie. Przybyli fermerzy okoliczni, córki ich towarzyszą nam konno. Jedna, dziewczę szesnastoletnie, popisuje się swoją umiejętnością dosiadania rumaka przegania nas, skacze przez kopce. Czarna, ale twarda droga, porosła trawą, w której widać tylko tory kołowe. Zielsko sięga koniom do brzucha. Na ściernisku szarzeją domki do przechowywania zboża Parę razy przejeżdżaliśmy przez fermy. Ani poświeci tam drzewka, bo człowiek, niedawny przybysz w stepie, nie zdążył jeszcze osłonić cieniem swojej siedziby. A zatem mamy tylko dom mieszkalny, zwykle bardzo porządny, i stajnię dla koni. Nic więcej

Podwórza nie otoczono płotem, porasta ono zielskiem, tak, iż podobniejsze jest do preryi, pług z siedzeniem rdzewieje w chwastach. Siedziba każdym swoim szczegółem świadczy, że rolnik nie żywi przywiązania do gleby, którą uprawia. Niema tutaj owego ciepła, jakiem oddychamy w wiosce europejskiej. Raczej chłód przeraźliwy dolata z tej pustki bez parkanu i zabudowań, bez ogrodu i nawet pojedyńczego drzewka i kwiatka. To kantor geszefciarza na drobną skalę, ściślej, rolnego kramikarza, który osiadł na ziemi i z kredką w ręku robi corocznie obrachunek, czy warto dalej pokutować w takiem pustkowiu. Prócz dorobku, nic go nie wiąże z ziemią, w każdej chwili gotów szukać nowych warunków *of maney making*. A jeżeli tak pusto tutaj podczas lata, cóż dzieje się w tej porze, kiedy dokoła rozłoży się całun śnieżny i zimowa zadymka utrudni komunikacyę, wiatry zaś poczną hasać po dawnej preryi? Na tych obszarach w których zbywa na tradycyjnej gromadzie wioskowej, w umyśle rolnika zwolna rozwija się ideał zastąpienia wsi miastem. Żyłby on chętnie w takiem ognisku, jak S. Paul, i udawał-by się na fermę, jak to czynią wędrowne tłumy najemników, z wiosną wyruszających na daleki zachód i powracających ku jesieni. Na pustej preryi sterczały-by bezludne wille i budynki dla maszyn, oraz na śniegu odbijały-by swoją barwą brudno-czerwone elewatory. Już dzisiaj dzieje się coś podobnego. Wielkie folwarki wysyłają nawet swoje muły na leże zimowe o paręset wiorst dalej na południu, drobne zaś oddają na stajnię odpowiednim przedsiębiorcom.

Na dalekim widnokręgu czerwienieją w promieniach słońca elewatory. Czem są na naszej równinie wieżyczki kościołów wiejskich, tem te wyniosłe budynki na polach Dakoty: panują nad obszarem. A jest ich mnóstwo, w jednej stronie oko spostrzega trzy, w innej cztery uspołecznionych śpichlerzy.

* *
*

Bryczki zwożą nas na czyjąś fermę. Przyjmuje nas grono młodych dziewcząt, córek okolicznych rolników. Typ to nieco odmienny od amerykanki z miasta, mniej ruchliwy, naiwniejszy. Może wieś robi swoje. W podwórzu rozbito olbrzymi namiot, pod nim ustawiono długie stoły. Zanim jeść podadzą, idę obejrzeć fermę, lecz prócz stajni, oraz domu mieszkalnego, nic nie znajduję. Poczynam więc gawędzić z fermerami, których zjechało się kilkunastu. Są ubrani odświętnie, to znaczy: wielu z nich posiada znaczki przy surducie,—masońskie. Niemal każdy najdrobniejszy fermer należy do loży farmazońskiej i nosi jej order. Związków tych musi być mnóstwo, bo kiedy w Grand Forks rzuciłem okiem na ogłoszenia w jednym z miejscowych dzienników, spotkałem wiadomość o blizkiem posiedzeniu aż kilku lóż masońskich z okolicy. Związki te zwykle stanowią organizacyą bardzo niewinnej natury: są stowarzyszeniami wzajemnej pomocy, niekiedy rozwijają działalność w kierunku samouctwa, zawsze zaś zbiorowej zabawy. Tem nie mniej tajemnica osłania loże, zdradzana na zewnątrz znaczkami przy surducie i mundurami. Ale czasami coś poważniejszego wydobywa się z tych towarzystw. Wielki kapitał,

upostaciowany w kolejach żelaznych i elewatorach, oraz w ringach na giełdzie, daje się we znaki drobnemu fermerowi. Loże masońskie, z natury rzeczy, stają się organizacyą protestu. Niektóre z nich zakładają korporacyjne elewatory, mające walczyć z akcyjnymi—utopia, która skończy się bankructwem, inne stwarzają rzecz praktyczniejszą, bo kooperacyę pracy. Związani solidarnością fermerzy z sąsiedztwa, w liczbie kilkunastu, naprzód pracują na jednej fermie, potem przechodzą do sąsiedniej. Spędziwszy dzień na robocie, wieczorem się bawią. W ostatnich czasach loże stały się kolebką „populistów", partyi, która wciągu lat paru z nicości wyrosła do potężnego stronnictwa. Żąda ona upaństwowienia kolei i elewatorów, wydawania przez państwo zaliczek na zboże, kokietuje z grupami robotniczemi, przeplatając zdrowe a praktyczne aspiracye mrzonkami filantropijnemi, rojeniami *à la* Proudhon i wybrykami ciasnego widnokręgu osady fermerskiej. Założyłbym się, iż drobni fermerzy, którzy nas przyjmują, są populistami, wówczas kiedy wielcy matacze przemysłowi, którzy nas przywieźli, przyznają się do zasad republikańskich. Dwie odmienne grupy interesów, dwa różne typy ludzkie i dwa odmienne stronnictwa polityczne!

Ucztujemy pod namiotami. Przy obiedzie nietylko niezbrakło mów, ale też trunków, jakkolwiek jesteśmy w stanie, gdzie alkohol sprzedają jedynie w aptekach, za receptą doktora. Ale dla nas zrobiono wyjątek z reguł prohibicyjnych. Na świeżem powietrzu rozwiązały się języki. W przemówieniach rej wodzą przed-

stawiciele Ameryki południowej, którzy tną prosto z mostu co myślą. Są to wszystko postacie urzędowe, a jednak z ust ich wychodzą takie zdania, że obywatel ziemski sądził-by, iż ma przed sobą niebezpiecznego warchoła. Jeden z nich, urugwajczyk, profesor antropologii, urąga wprost stosunkom europejskim i piętnuje je w najokropniejszy sposób! Nie mniej ciekawie brzmią oświadczenia mówców dakockich. Wielu z nich bez ogródki przyznaje się do tego, iż przed laty kilkunastu przyszli z paru dolarami w kieszeni, obecnie zaś posiadają fermy po tysiąc akrów rozległości. Zabiera też głos p. Larimore. Dowiadujemy się, że dochód z akru nie tylko pokrywa na jego fermie wszystkie koszta uprawy, lecz daje czystego zysku akurat drugie tyle, niekiedy zaś więcej. Później zaczyna on filozofować. Ów przewrót techniczny, któremu przyglądaliśmy się w dniu dzisiejszym, jego zdaniem, pociągnie za sobą skutki w zakresie pojęć idejowych. Z mowy możemy wywnioskować, iż p. Larimore ma na myśli deizm panteistyczny przyrody i że uważa go za przyszłą filozofię łanów Dakoty.

* * *

Larimore jest ostatecznym kresem naszej podróży. Korzystając z kwadransu czasu, jaki jeszcze pozostaje do odejścia pociągu, z kimś udajemy się do najbliższego elewatora obejrzeć szczegóły urządzenia. Wjechał wóz ze zbożem, pudło zielonej barwy z ruchomą tylną ścianą, pszenica w niem leży bez przykrycia. Część podłogi jest szalą wag setnego systemu. Wóz zajeżdża na to miejsce i dozorca notuje ciężar

brutto. Szala obraca się około osi, wraz ze stojącym wozem, tylne jego koła idą na dół, przednie do góry, za wozem powstaje otwór, odsuwają tylną ściankę pudła i ziarno naturalnym swoim ciężarem zsuwa się do przestworów dolnego piętra. Pusty wóz zostaje znowu zważony. Dozorca z kwitaryusza wydziera poświadczenie, że otrzymał tyle a tyle pudów pszenicy, i rzecz skończona. Może jeszcze dzisiaj winda parowa poniesie ziarno do góry i oczyści je z kurzu i domieszek, później spłynie ono rynnami do kadzi, z których jutro zsunie się do wagonu i pojedzie w świat daleki. Fermer pozostanie z kwitem w ręku, świadczącym, że taka to a taka kompania posiada na składzie u siebie tyle to a tyle jego zboża, takiej-to nomenklatury. Jest on właścicielem ziarna, ale nie swego własnego, które już może będzie spożyte, gdy jego producent sprzeda komuś swoje plony. Nie dba on jednak o losy dobytku własnej krwawicy, wie bowiem, że w każdej chwili otrzyma to z powrotem, co złożył, co większa, dostanie w dowolnem miejscu za potrąceniem kosztów przewozu. Spółki elewatorskie są połączone pomiędzy sobą podobnie, jak u nas banki. Teoretycznie przeto istnieje możliwość, że nawet drobny fermer, nie opuszczając swojej okolicy, będzie zbywał zboże w Nowym-Yorku. Uda się do elewatora, w którym złożył ziarno, odda kwit i opłaci koszta transportu i telegramu, jeśli idzie o pośpiech, a związkowa kompania w New-Yorku wyda towar. Fermer trzyma gazetę z kursami i obrachowywa, gdzie i kiedy najkorzystniej sprzedać produkt. Dużo znaczy to, że ziar-

no amerykańskie odznacza się niezwykłą jednostajnością, wówczas kiedy u nas wygląda inaczej niemal na każdym folwarku. Elewator pobiera pewną opłatę za przechowywanie zboża i oczyszczanie, nadto odtrąca coś na możliwe straty, z powodu iż ziarno wysycha. Zastąpił on sobą nasze spichlerze, które uciekły z folwarków i stały się w społecznym podziale fachów łupem odrębnego procederu. To samo w miastach rozwój ekonomiczny zrobił ze stajniami. które przybrały wielopiętrowe rozmiary: konie są przy pomocy windy podnoszone na czwarte i piąte piętro i tam przy wynajętym żłobie czekają rozkazów właściciela.

Wieś zostaje ogołoconą z oddzielnych swoich budynków i rozkłada się w wirze społecznego podziału pracy!

29 sierpnia, w pociągu kolejowym.

Pociąg rusza z powrotem. Dojechaliśmy do krańców stepu pszennego. Na widnokręgu oko nasze spostrzega pasma wzgórzy. Tam nie uprawiają już pszenicy, lecz zajmują się jedynie hodowlą bydła. Wzrok, znużony oglądaniem ścierniska, odwraca się od krajobrazów, jakie przesuwają się przed oknami.

Osobliwy to zakątek ziemi. Dakota posiada w obecnej chwili wszystkiego 200,000 mieszkańców, z którejto liczby przynajmniej 10% trzeba odciągnąć na ludność miejską. Ta garstka wyprodukowała w ubiegłym roku tyle pszenicy, że na każdego mieszkańca, bez względu na wiek i płeć, pobyt w mieście lub na fermie,

wypadło 200 dolarów brutto. Dodajmy teraz wartość innych plonów z ziemi i z obory, gdyż druga, wzgórzysta połowa Dakoty wytwarza zgoła odmienne produkta. Wydajność pracy ludzkiej pochodzi nietylko z urodzajności gleby, lecz niemniej zawdzięcza sporo tym żelaznym ramionom, które chwytają kłosy, owym brzytwom, które je ścinają, i innym potworom z żelaza, zawezwanym przez rolnika do pomocy. Na równinach Dakoty wschodzi zorza nowej przyszłości w rolnictwie. Wszystko tam inaczej odbywa się i inaczej wygląda. Weźmy chociażby tamtejszą osadę włościańską, tj. taką, której właściciel uprawia grunta własnoręcznie i nie najmuje postronnej siły roboczej. Wynosi ona mniej więcej około 5 włók na swojską miarę. Żniwiarko-wiązałka w ciągu dnia zdoła skosić zboże z 20 akrów i związać w snopy. A zatem fermer, skoro ma syna wyrostka do pomocy, w ciągu czterech dni może uporać się ze żniwami, pracując ośm godzin dziennie. Robota, która tyle troski przysparza naszemu rolnikowi, nie sprawia tam kłopotu. Kiedy zboże spoczęło w kopcach, zjeżdża wtedy przedsiębiorca mechanik i jeżeli urodzaj jest bardzo dobry, będzie potrzebował dwu dni do wymłócenia plonu. Najzmudniejszą pracą jest orka. Pług uchodzi za najbardziej zachowawczy sprzęt w gospodarstwie rolnem. Postęp techniczny jakoś nie mógł z nim dać sobie rady. Ale też dla niego wybiła godzina! Na wielkich fermach zaczynają zastosowywać pług parowy. Lokomotywa ciągnie za sobą sześć lemieszy i odrazu odwala spory zagon ziemi. Dla drobnej osady jest to narzędzie za kosztowne,

chociaż z czasem zjawi się też na jej gruntach. Naturalnie, fermer nie sprawi sobie takiej drogiej maszyny, to byłoby istnem szaleństwem, na jakie pozwolić może sobie tylko ten i ów „postępowy“ obywatel w naszym kraju. Znajdzie się obrotny przedsiębiorca, który podobnie będzie z pługiem objeżdżał drobniejsze fermy, jak to dzisiaj dzieje się z młockarnią. Wtedy na upartego nawet dziesięcio-włókowy, lecz pobłogosławiony liczną rodziną fermer zdoła obejść się bez parobków!

Zaprawdę, dziwne dążności kiełkują na polach Dakoty! Jak niegdyś ubywała gospodyni jedna czynność domowa po drugiej, porwana przez rozszerzający się wir społecznego podziału pracy, tak dzisiaj podobny proces odbywa się na fermie amerykańskiej. Mechanik wyzwolił gospodarza rolnego od młocki; zamiast stodół i spichlerzy, wznoszą swoją cudacką postać elewatory; wreszcie może rolnikowi ubędzie orka i dostanie się w ręce kogoś z miasta! Przewrót to doniosły i daleko prowadzący! Ongi, w czasach średniowiecznych, wieś stanowiła podstawę ustroju społecznego, miasto było małego znaczenia, służyło za rezydencyę dla władzy świeckiej i duchownej. Tutaj, na dalekim zachodzie, dzieje się przeciwnie, wieś bowiem rozpływa się w mieście. Bo te techniczne ulepszenia stwarzają pustkę na wsi. Fermer dąży ku ogniskom, gdzie znalazł-by z rozrywkami towarzystwo, i zwolna mieszczanieje duchem. Powtóre, skoro najważniejsze roboty spełniają ludzie, przybywający z miasta na czas jakiś, wtedy rolnik, taki, który hoduje je-

dynie zboże i siedzi na fermie, staje się piątem kołem u woza. To też ucieka on zimą z fermy i muły oddaje na przechowanie innemu przedsiębiorcy. Czyż więc nie może nastać chwila, że na stepie nie zoczymy ani jednej chatki, i dopiero z wiosną zostaną tam rozłożone namioty i przyjdą tłuszcze z miasta pracować w polu i używać czystego powietrza? Już dzisiaj—tylko nie dla powietrza—przybywają w ten sposób najemnicy, sprowadzani przez wielkie fermy. A folwarki łączne są prowadzone już dosłownie w taki sposób. Na przestrzeni wielu mil kwadratowych nie usłyszysz w ciągu całego roku głosu ludzkiego dopiero w czerwcu zjawiają się robotnicy, zbrojni w kosarki, automaty ładujące, prasy do wyciskania cegieł, i po paru tygodniach gwaru znowu na kobiercu trawy zapanowywa cisza z pustką.

* * *

Dość było dwóch dni, a już spostrzegamy widoczne zmiany w rozściełającym się przed nami krajobrazie. Uprzątnięto trupy ze ściernisk, zamiast nich ciągną się sterty słomy. Wszędzie na widnokręgu dymią młockarnie. Siedząc w oknie, widzę ściernisko tylko z jednej strony, ale ilekroć powiodę okiem, naliczam jeden, i drugi i piąty słup dymu! Maszyna parowa przy młócce przestała być rzadkością w naszej części świata, ale niema tam tak powszechnego zastosowania. Tutaj w Ameryce w całej pełni nastał wiek pary! Ba, nietylko pary, lecz nawet elektryczności. Bo już oglądałem motory elektryczne, zastosowywane do niektórych

robót gospodarskich, np. do sieczkarni. Technika marzy nawet o zastąpieniu konia przez tę samą siłę. Może więc ukażą się wozy elektryczne, zwożące zboże...

* * *

Pociąg stanął w gołem polu. Jedynie elewator wznosi się w tem miejscu. Mnóstwo bryczek czeka na nas i wiezie ku dymiącej się w pobliżu młockarni. Na widnokręgu czerwienieją budynki folwarczne, nad polem panuje wysmukły, niby chojak, elewator i kłębami dymu zanieczyszcza wiejskie powietrze. Naszemu pochodowi przez drożyny polne towarzyszy grono młodych amerykanek z poblizkiego miasteczka Hillsboro— na welocypedach, Jesteśmy wreszcie przy maszynie, która huczy i wyrzuca z siebie kłęby pyłu. Wszędzie na widnokręgu dymią się słupy, wychodzące z podobnych potworów. Biorę lornetkę do ręki i liczę. Część jedną widnokręgu zasłonił obłok kurzu i dymu, unoszący się nad młockarnią, inną gaik, zasadzony ręką ludzką. A jednak naliczyłem aż trzynaście słupów, niektóre w takiej blizkości, iż mogę dojrzeć kominy. Trzynaście maszyn na przestrzeni, jaką oko zdoła objąć na płaszczyźnie! Obfitość taka stanowi charakterystyczny rys widoku.

Jesteśmy na gruntach jednej z sekcyi fermy akcyjnej Dalrymple'a, cieszącej się dzisiaj sławą wszechświatową. Posiada ona 70 tysięcy akrów ziemi, w tej liczbie 30 pod orką! Służy tam armia najemników, zorganizowana po wojskowemu; zamiast naszych włodarzy, mamy mechaników, wiedza zaś czysto agronomiczna najmniej tu potrzebna. Bo gospodarstwo też

odznacza się niezmierną prostotą. Z roku na rok wiosną orzą te same pola, bez nawozu; maszyna rozrzuca jare ziarno, które pod działaniem długich dni, właściwych okolicom tej szerokości geograficznej, już w drugiej połowie sierpnia można kosić; maszyna sprząta zboże i młóci. Płodozmiany nieznane, ani inne wynalazki tak zwanej postępowej gospodarki. Zresztą nie wiele oglądamy z rozpowiadanych cudów. Stoimy przed parową młockarnią, która pono stanowi arcydzieło techniki, bo żadna dla swego działania nie wymaga tak małej ilości sił roboczych. Ziarno spada do wozów, które natychmiast odjeżdżają do poblizkiego elewatora i rzucają je tam do jego czeluści. Takich spichlerzy znajduje się kilka w majątkach Dalrymple'a i wszystkie stoją przy torze kolejowym.

Nie długo siedzimy na jednem miejscu. Bryczki wiozą nas, o parę wiorst dalej, pokazać jeszcze inną młockarnię. Po co, doprawdy nie wiem, chyba, że amerykanie chcą nas przekonać, że para zupełnie zapanowała na polach Dakoty. Grono pań towarzyszy nam na welocypedach, lecz później znika z oczu. Kilkanaście tych sprzętów stoi przy elewatorze. Welocyped, będący u nas tylko zabawką, w Ameryce stał się narzędziem praktycznego użytku: w Newarku widziałem listonoszów, rozwożących na nim korespondencyę.

* *
*

Jedziemy znów koleją. Słońce kryje się za widnokręgiem. Jego tarcza schowała się do połowy i pozostałą krawędzią oblewa ściernisko czerwonawem światłem. Jeszcze ono nie zagasło, a już w różnych

punktach na ziemi poczynają buchać olbrzymie stosy. Płomień zatlił się w jednem miejscu, przesmykami biegnie dalej, obejmuje tam nową stertę, aż wreszcie rozległa podnosi się łuna. To malcy rozpoczynają igrzyska nocne na stepie pszennym i podpalają wymłóconą słomę. Popiół będzie jedyną mierzwą, którą człowiek odda stepowi wzamian za plony. A im mniejszy okrawek słońca czerwieni się nad widnokręgiem, tem więcej dymi się ognisk. Niebo jest czerwone łunami pożarów, na widnokręgu migocząą niepewnym rzędem drobne ogniki. To wszędzie palą się sterty. Przed paru jeszcze tygodniami rozpościerał się, na dziesiątki mil wszerz i setki wzdłuż, zwarty łan pszenny; w ciągu paru dni żelazne automaty ścięły go i usłały ściernisko trupami bez liku, jeszcze później dymić się zaczęły na stepie tysiące parowych młockarni, aż wreszcie nadeszła godzina pożarów! Gospodarstwo iście koczownicze.

29 sierpnia, Hillsboro.

Drobna stacya, licząca kilkaset mieszkańców. Już zmierzch dobry rozpostarł się nad ziemią, kiedyśmy w niej się znaleźli. Mieścina wystąpiła z przyjęciem i przypina nam wstęgi, na których złoci się snop pszenicy ze statystycznym wykazem rocznych plonów na fermie Dalrymple'a. Naturalnie, nawet w tej amerykańskiej Kiernozi istnieje klub, który po śpieszył otworzyć dla nas swoje podwoje. Wśród nocy zaledwie mogę odnaleźć chodnik drewniany; stąpam po nim ostrożnie, bo zszedłszy, znalazłbym się w pośrodku

kałuż, dołów i chwastów. Rzędem stoją drewniane budy Ktoś pokazuje mi klub: drewniany domek, wyższy od innych, pierwsze piętro zajęto pod salę. Izba obszerna, z estradą. Publiczność fermerska: mężowie z żonami, na kolanach tu i owdzie wrzeszczy małe bobo. Jak na taką osadę, klub to bardzo pokaźny, świadczący wymownie o wartkości życia publicznego. Tutaj-to odbywają się zebrania polityczne i posiedzenia lóż masońskich, włościanie-fermerzy zbierają się na zabawy, lub pogawędkę. A może któryś z tych ogorzałych, rubasznych rolników zamyśla o urządzeniu w porze zimowej wykładów uniwersyteckich! Oświata bowiem w Ameryce zstępuje ze swoich wyżyn mandaryńskich i, zniecierpliwiona, że do niej idą powoli, sama udaje się na spotkanie tłumów. Indyana i Wisconsin już dawniej, za niemi zaś Minnesota, pokrywają się siecią „fermerskich instytutów,“ stanowiących jakby wędrowny uniwersytet włościański. W mieścinach sąsiednie uniwersytety zakładają podczas zimy filie, wykłady są prowadzone w sposób popularny, ale systematyczny, fermerzy, wolni od robót, zjeżdżają z żonami i dziećmi, uczą się i bawią, słowem, używają przyjemnie a pożytecznie wczasów zimowych.

Zdaje się, iż jestem na tropie uprzejmości, z jakiej korzystamy. Fermer dalekiego zachodu szemrze przeciwko możnowładcom kolejowym, ale obu łączy wspólność interesów. W nowo powstających ogniskach kultury, życie jakby uwzięło się dowieść, że renta ziemska to nie owoc zapobiegliwości właści-

ciela, ale płód postępu społecznego. Każdy osadnik, który już usadowił się na tej ziemi, troszczy się jak najusilniej o to, ażeby potok ludzki, przybywający zdaleka i rozlewający się w sąsiedztwie, pozostawił możliwie grubą warstwę po sobie. Im więcej bowiem przywędrowało kolonistów, tem snadniej ceny gruntów podnoszą się, i to, co wczoraj grosza nie było warte, dzisiaj cenią na złotówki. I my też jesteśmy pono przywiezieni po to, abyśmy w najdalszych zakątkach globu roztrąbili sławę łanów Dakoty. A ci, którzy nas wiozą, popisują się swoją zapobiegliwością o dobro publiczne przed wyborcami: „patrzcie, jak dbamy o was, wybierajcie nas jesienią do kongresu!“ Bezwarunkowo, jesteśmy maryonetkami, tańcującemi na arenie agitacyi politycznej, i sami o tem nie wiedząc, miewamy mowy ku większej korzyści republikanów i ich celnej polityki, oraz podnosimy zasługi miejscowych matadorów tego obozu. Gdzie publiczność była wrażliwszą i rozumiała rzucane półsłówka, tam niepodobna tego było dostrzedz. Ale w Hillsboro przyjmują nas włościanie, bądź co bądź, nawet w Ameryce wymagający, aby im kładziono mądrość łopatą do głowy.

30 sierpnia, w wagonie kolejowym.

Horda najezdników, która przed 20-u laty zwaliła się do stepów i wygnała bawoły, uwija się szybko. Gospodaruje ona jak rzezimieszek, zabiera gruntom soki, na których nagromadzenie pracowały stulecia; lekkomyślnie i bez zwrotu, rozprasza je po dalekim świ ecie

Uczeni agronomowie dakockiej stacyi doswiadczalnej, mający na widoku interesy dalszych pokoleń, chcieliby tej gromadzie nadać instynkta osiadłego trybu życia, odwieść od uprawy tylko pszenicy, bo taka jednostajność zanadto wycieńcza grunta. Nie wiem, jaki skutek odniosą te podszepty. Jak na dzisiaj, fermer po dawnemu uprawia wyłącznie pszenicę, świadom tego, że póki żyw, gruntom nie zbraknie urodzajności. A potem? Na daleką przyszłość zapatruje się on według maksymy Ludwika XV.

A jednak to plemię koczowników, tak energiczne w porównaniu z naszym rolnikiem, znalazło przecież panów nad sobą. Nasz niezaradny włościanin miota się w pajęczynie drobnomiasteczkowego lichwiarza-przekupnia, fermer amerykański—możnowładców kapitału. Elewatory, których paręset widzieliśmy, są oczkami sieci pajęczej; koleje, któremi jedziemy, jako nici, biegną od jednego oczka do drugiego i służą także do odpowiedniego celu. Przekupnie zboża, młynarze i kolejarze solidarnie powiązali się w tajne kartele i pospołu konspirują przeciwko fermerom. Elewatory łączą się wzajemnie, są spółki, posiadające z górą setkę takich uspołecznionych spichlerzy. Spółki te zmawiają się z sobą i z kompaniami młynarskiemi, wszystkie zaś z kolejami. Tym spiskom przysłuchuję się obecnie do przesytu. Towarzyszą nam potentaci: jakiś dostojnik drogi, po której jedziemy, jakiś możnowładca z branży młynarskiej, nie braknie też przedstawicieli spółek elewatorskich. Ścisła zażyłość łączy ich wzajemnie. Kiedy rozsiądą się w wagonie obserwacyjnym, całemi godzinami

słyszę, jak rozmowa się obraca około fermera i sposobów zapuszczenia ręki do jego kieszeni.

Na czele tej zgrai plutokratów idą koleje. Każda osada, licząca więcej nad 200 głów ludności, jest w Dakocie stacyą? Stan porznięto, niby szachownicę, siecią równoległych torów. Spółka kolejowa z góry zapobiega, ażeby inni kapitaliści nie uprzedzili jej i nie zajęli posterunku, i jeszcze nim potok ludzki rozleje się w pewnym kierunku od głównej linii, budują bocznice. Akcyonaryusze kolei są głównymi akcyonaryuszami spółek elewatorskich. Taką jest potęga, z którą zmierzyć się musi fermer: energiczny i ruchliwy, znajduje pająków jeszcze zręczniejszych. Rzecz odbywa się grzecznie, z zachowaniem możliwych uprzejmości, pająk wysysa muchę, ale jednocześnie podsuwa jej różne słodycze. Kolej np. podniesie taksę o pół centa na przewozie buszla pszenicy, lecz przywiezie cudzoziemców i będzie tłómaczyła, że ci swojemi opowieściami o cudach dakockich sprowadzą potok nowy osadników, przybysze zaś przyczynią się do podwyższenia ceny gruntów już uprawnych. Zresztą pająki odznaczają się inteligencyą. Wiedzą, że drobnych muszek nie warto chwytać. Budują więc kolej przez preryę, z której olbrzymi pas dostają od rządu na rzecz przedsiębiorstwa, przewożą osadników z rzeczami i sprzętami po cenach kosztu, ustanawiają nizkie ceny, póki fermer jest na dorobku. Ale kiedy pustkowie zamieniło się na zakątek kulturalny, wtedy poczynają śpiewać inną piosnkę.

* * *

Wracamy do Chicago pośpiesznie, odpoczęliśmy jedynie godzinkę w Fargo. Niedawno zgorzało ono do połowy, ale, zamiast zgliszczy i nędzy, znaleźliśmy setki murarzy na rusztowaniach. Fargo tonie w zieloności, istny park rzekłbyś! Było to rankiem, obecnie jest już pod wieczór, a my nie zatrzymaliśmy się nawet na jednej stacyi. Jedziemy po linii, która się ciągnie równolegle do dawnej drogi i należy do tego samego towarzystwa akcyjnego. Miejscami idzie aż trzy, cztery i nawet pięć takich równoległych torów. Przerzynamy okolicę, pełną jezior, a którąśmy poznali z innej krawędzi. Od stacyi Morris pola orne niemal ustały i trawa porosła pagórkowate błonia, już nieco żółtawa. Niekiedy długimi szlakami idą złote kobierce, jakieś kwiecie tak ubrało łąki. Fermy bieleją z pomiędzy gajów, tu i owdzie przy nich rozsiadły się stogi siana, niekiedy widać cegły z niego zrobione. Na kwiecistych kobiercach pasie się kilkanaście i kilkadziesiąt krów. Jesteśmy zatem wśród obszarów, które wyspecyalizowały się w produkcyi nabiału, podobnie jak okolice rzeki Czerwonej — pszenicy. Osady mleczarskie i fermy, trudniące się opasem bydła na rzeź, usadowiły się przy sobie setkami. Pomiędzy niemi podnoszą swoje kominy fabryczki masła i sera, przerabiające mleko sąsiednich osad. Wogóle specyalizacya zagnieździła się w rolnictwie amerykańskiem: potworzyły się obszary, produkujące jedynie nabiał, inne, które wysyłają na rynek tylko siano, jeszcze inne—bydło na rzeź albo pszenicę. Są okręgi owocowe, warzywne. Agronomowie europejscy każą jednoczyć uprawę roli z hodowlą

bydła i produkcyą nabiału, obok dworu zakładać ogród owocowy. Za morzem rad takich nie dają, bo ich-by nie słuchano. Rozwinięte środki komunikacyjne pozwalają na to, że nad rzeką Czerwoną uprawiają jedynie pszenicę i jedzą na wsi mięso z bydła stepowego, że w innych terytoryach trudnią się tylko produkcyą nabiału i wzamian kupują mąkę. Gruntu zdatnego pod łąkę na nic innego tu nie używają na przestrzeni setek mil kwadratowych. Specyalizacya doszła nawet do tego, że istnieją fermy, zajmujące się jedynie hodowlą kurcząt, niczem innem. Gospodarstwo rolne utraciło swój naturalny charakter, w jakim przez tyle wieków kroczyło: żyje ono ze sprzedaży i produkuje na sprzedaż, prócz swego specyalnego produktu nic nie wytwarza u siebie, lecz wszystko to kupuje.

* * *

Godzina jazdy, najwyżej dwie przedzielają nas od Misisipi. A im bliżej rzeki, tem powabniejsze widoki roztaczają się przed nami. Znajdujemy się w okolicy naturalnych parków. Powierzchnia gruntu pofałdowaną jest w tysiące wzgórzy i tysiące kotlin, w których ukryły się jeziora, prawidłowo okrągłej formy. Idą one z przerwami po obu stronach toru kolejowego od paru godzin, srebrząc się w zielonej oprawie łąk i gajów.

Pociąg wjeżdża na most, przerzucony po-nad tonią. To jezioro Minnetonka, sławne w całej zamorskiej rzeczypospolitej. Parowiec czeka na nas w przystani, ażeby pokazać nam uroki tutejszej przyrody. Po drodze dostajemy niewielkie mapki:

reklama jednego z miejscowych hoteli, użyteczna dla nas i korzystna dla zakładu. Wyobraźmy sobie mnóstwo jezior, mniejszych i większych, rozsianych w pobliżu, pomiędzy któremi swawolna przyroda wyżłobiła cieśniny, czego zaś ona nie zrobiła, tego dokonała sztuka ludzka. W ten sposób, z połączenia wielu zbiorników, powstała toń Minnetonki. Jezioro więc posiada zaiste fantastyczne kształty, nawet wyobraźnia, najbardziej rozszalała, z trudnością nakreśliła-by cudaczniejsze kontury. Wyspy i wysepki sterczą z pośród wód, to znowu w łono jeziora wrzynają się półwyspy potwornej postaci. Rzekłbyś, ktoś wziął potężne a pełne odnóg drzewo i według tego wzoru ukształtował języki ziemi. Przejażdżka po powierzchni obfituje w niespodzianki. Statek pruje toń przezroczystą, zda się zewsząd zamkniętą. Parę uderzeń koła i przed nami otwiera się cieśnina, i oko, ślizgające się po niej, spostrzega inne niezmierzone żwierciadło, mieniące się w promieniach zachodzącego słońca. Z jednej odnogi mkniemy do drugiej, z ramienia do ramienia. Brzegi jakgdyby igrały z nami: zbliżają się tuż do statku, parę chwil i już umknęły het daleko, wygięte w prawo i w lewo. A zachodzące słońce do tej fantastyczności dorzuca nową: długie cienie pobiegły od pagórków i języków, również poszarpane i pokrzywione, i to, co było długie, staje się jeszcze dłuższem.

O lepsze z siłami przyrody staje sztuka ludzka. Amerykanin umie korzystać z powabów natury i w pogoni za grosiwem nie zatracił poczucia jej piękna. Z pośród bujnej zieloności wyglądają wille i domki, roz-

rzucone wzdłuż brzegów podobnie fantastycznie, mieszają się z gąszczami, przeglądają w toni, to znowu pochowały się w osłonie leśnej pod drzewami i tylko ścieżka ku wodzie i ławka na brzegu zdradzają ich obecność. Akurat naprzeciwko nas rozsiadł się olbrzymi hotel, niesmacznej struktury, z dachem podobnie poszarpanym jak brzegi jeziora, a którego czteropiętrowe miejscami fronty, zdaje się, że są tuż przy ziemi, tak wysokość maleje wobec potwornej długości zrębu. O komforcie mówić nie potrzebujemy. Jest to rzecz nieodłączna od tego rodzaju zakładów. Takich hoteli, urządzonych według najnowszych wskazówek techniki, stoi około tuzina nad wodami Minnetonki. Jedne z nich usadowiły się na przesmykach, inne ośmieliły się nawet wleźć na drobne wysepki, lecz zawsze są podobnie sporych rozmiarów, po sto i nawet kilkaset numerów—naturalnie] prócz salonów, czytelni, nawet sal dziecinnych. I państwo też niezapomniało o swoich obowiązkach, bo różne półwyspy i wysepki zajęło pod parki publiczne i tem samem udostępniło je dla każdego. Wogóle jest to zasadą w Stanach Zjednoczonych że rząd unarodawia zakątki, sławne z swej piękności. Między innemi dokonano w tym kierunku dzieła, które tylko tutaj, w Ameryce, jest możliwe. W kącie północno-zachodnim Wyomingu założono park narodowy, przestrzeni nie o wiele mniejszej niż stan Connecticut nad Atlantykiem. W pośrodku dzikiej kotliny górskiej, rozlało swe wody jezioro Yellowstone. Nad niem piętrzą się góry, porznięte w cudackie baszty, twierdze i wieżyce i poprzedzielane głębokimi wąwozami. Gór-

skie potoki i wodospady, liczne gejzery, idące tarasami, gęste lasy, słowem najrozmaitsze żywioły złożyły się na podniesienie powabów tego *National park*, jak z dumą mówi yankee, czujący, że nikt prócz niego nie zdobył się na ideę unarodowienia przyrody na tak wielką skalę. W parku pozakładano hotele, tory kolejowe do niego biegną i z każdym rokiem wzrastają w liczbie, komfort się sadowi. Pedagodzy przebąkują o tem, aby dziatwa z całych Stanów Zjednoczonych zjeżdżała tam na lato, żyła w namiotach i studyowała przyrodę, ćwiczyła swoje mięśnie i urządzała olbrzymie sejmy.

Wracajmy jednak do skromnej naszej Minnetonki. Na wybrzeżu bieleją przystanie i odpoczywa bez liku czółen i yachtów. Minął już sezon i chłód daje się dobrze we znaki. Gdyby nie to, inny spostrzeglibyśmy widok. W lipcu bywa tutaj gwarno, na brzegu tej lub owej odnogi wznoszą się obozy amatorów rybołówstwa, nad wodami rozległa się muzyka i okrzyki wioślarzy, nawet letni uniwersytet na jednej z wysepek prowadzi swoje wykłady.

1 września. Milwaukee, Wi.

Ostatni popas! Milwaukee leży na ziemi amerykańskiej, ale nie yankee je zamieszkał. Niemcy, skandynawczycy i polacy złożyli się na ludność, która wynosi dwieście tysięcy głów z górą. Prócz handlowej, inne dzielnice kąpią się w zieloności. Omyliłem się, bo jeszcze jeden wyjątek należy zrobić od tej zasady: „parafie“ polskie. Z karety widzę jedną jak na dłoni.

Małe drewniane domki tulą się do siebie, jak gdyby obawiały się amerykańskiej samotności. Uderza mnie ich struktura, której przypatrzyłem się zresztą już w Buffalo. Do piętrowego budynku przytyka drugi, tej samej szerokości, lecz niższy, do tego zaś trzeci, jeszcze niższy. Rzekłbyś, parę szczebli, wyjętych z olbrzymich schodów. Ktoś mi dał klucz do tej łamigłówki, każdy z tych stopni powstawał w innym czasie, w miarę tego, jak gospodarz porastał w pierze. Zdaje się, tłómaczenie to dobre nie dla wszystkich przypadków, bo ot ktoś buduje dom odrazu w postaci schodów. Może późniejsi przybysze, zastawszy ową strukturę, nie dociekali powodów, lecz wręcz rzekli do siebie, że taki to już zwyczaj „nowego kraju,“ i jęli go naśladować, aby nie zdradzić się, iż są *greenerami.* W otoczeniu drobnych domków, na tem większego olbrzyma wyrasta świątynia pańska i nieproporcyonalnością swoją nadaje obrazowi widok, mało licujący z duchem amerykańskim. Zwłaszcza rażą ciężkie, niezgrabne wieże. Ale nie lekceważmy tego dzieła. Nasz rodak amerykański posiada swoją ambicyę i dba o to, aby go w „nowym kraju“ nie wzięto za byle kogo. Źrenicą tej ambicyi są właśnie takie wieże. Pochłaniają one ogromne sumy. Owa świątynia, którą oglądałem, kosztuje—jakem później się dowiedział—z górą ośmdziesiąt tysięcy dolarów, z tej zaś kwoty około trzydziestu poszło na wieżyce.

Kolonia polska w Milwaukee należy do najwpływowszych. W r. 1867 znajdowało się tutaj wszystkiego 30 rodzin, które przystąpiły do budowy parafii,

oddając pod zastaw swoje majątki. Jadący w tej samej ze mną karecie Niemiec, miejscowy dziennikarz, udziela mi różnych szczegółów. Dowiaduję się, że obecnie znajduje się 5000 rodzin polskich, żyjących własnemi parafiami. Opowiada mi, iż nasi rodacy wogóle odgrywają w życiu politycznem miasta rolę bardzo znaczną. Znaleźć ich można na najwyższych posadach publicznych, nawet w gronie senatorów. Mają się dobrze, większość ojców posiada własne domki, pracują głównie przy budowie domów i kanałów, oraz zajmują się ładowaniem towarów w porcie. Wielu jest fermerami w okolicy. Świadectwo to człowieka postronnego więcej jest warte, niż przechwałki współziomków. Dodam, że w szkółkach parafialnych znajduje się 4000 dziatwy, że w tym roku założono wyższą szkołę, gdzie będą wykładali, prócz polskiego, języki: niemiecki i angielski. matematykę i fizykę, oraz stenografię, buchalteryę i umiejętność pisania na *type-writerach.* Nauczycielami będą zakonnicy. Muszę zaznaczyć, że personel nauczycielski jest szczupły i mało przygotowany—45 sióstr i 5 nauczycieli na 4000 dziatwy!

* * *

Milwaukee posiada jeszcze świeżą pamięć o swoim początku. Nad jeziorem, tam gdzie rozpoczyna się najpiękniejsza dzielnica, stoi posąg pierwszego kolonisty, który osiadł w pustkowiu i dał początek miastu. Zaledwie pół wieku przedziela nas od tej chwili. Mimowoli zaczynamy rozmyślać nad historyą miast amerykańskich i nauką, jaką z niej może czerpać obywatel. Wciągu paru dziesiątków lat drobne osady zamieniają

się na ludne ogniska ruchu handlowego. Całe dzielnice powstają w lat kilka. To też krzywych, nieregularnych ulic nigdzie nie spotkasz, chyba wyjątkowo natrafisz na coś podobnego. Są one zawsze prościutkie, szerokie, pod prostymi kątami. Człowiek z góry wyznacza miejsce na nie i dopiero później je zabudowywa. Ma tylko kłopot z nadaniem nazwiska ulicom, rodzącym się jak grzyby po deszczu. Wszak trzeba ochrzcić jedną i drugą setkę arteryi ruchu. Historya Stanów Zjednoczonych wyręcza amerykanina z trudności. Patryotyczni ojcowie każdego miasta powyciągali prezydentów i wice-prezydentów, nie zapomnieli nawet o wybitniejszych wojakach i ich nazwiskami ozdobili rogi. Nie znając miasta, z góry możemy zawsze wymienić nazwy paru ulic i nigdy nie omylimy się! Naturalnie, idą one po sobie w tym porządku, w jakim następowali prezydenci. Ale tego materyału nie wystarczyło dla ochrzczenia wszystkich noworodków w takich ogniskach, jak New-York, Filadelfia i inne wielkie miasta. Wynaleziono przecież na to radę, a zrobiono to w sposób, który zerwał z wszelką tradycyą i świadczy, że miasta amerykańskie nie powstawały zwolna wciągu wieków, lecz że ulice wyszły jednego dnia całym batalionem z mózgu ludzkiego i zostały ochrzczone jeszcze przed swojem narodzeniem. Zwrócono się o pomoc do alfabetu lub wzięto kolejne cyfry. W Chicago i w Nowym-Yorku, takie dzielnice ciągną się na przestrzeni wielu mil kwadratowych. Odrazu odnajdujemy tam rękę człowieka. Rozumiemy, że wola ludzka od początku przewodniczyła porodowi miasta!

Razi to przybysza z naszej części świata. U nas wszystko wykluwało się powolnie i potrzebowało wieków, a każda epoka położyła swoje znamię na ulicy i zostawiła jakąś spuściznę, opowiadającą o dziejach miasta. My nie czujemy tego, bośmy przywykli, i dopiero za Atlantykiem uświadamiamy sobie różnicę. Zabrano się nawet do podobnego usystematyzowania hrabstw całych. Wiosek w Ameryce niema, fermerzy mieszkają pojedyńczemi osadami. Jak któregoś znaleźć, sprawa to nieraz kłopotliwa. *County* Contra-Costa (w Kalifornii) zdobyło się na wynalazek, który usuwa tę trudność. Nie wdaję się w drobiazgi urządzenia i poprzestanę na wzmiance, że w kilkustronicowym notatniku może zostać umieszczony *Adresbuch* zamorskiego powiatu, pozwalający nawet obliczyć odległość jednej fermy od innej. I znowu szemat!

Te ulice, opatrzone nazwami cyfrowemi i aleje literowe, te drogi, z góry przeprowadzone w określonej odległości od siebie, ta przestrzeń tak wielka, jak nasza gubernia, a przecież tak usystematyzowana, że adresy dają nam poznać przestrzeń pomiędzy dwoma pierwszemi lepszemi domostwami: wszystko to, na pozór małoważne i podrzędne, posiada jednak głębszą doniosłość. Taki szematyzm szczególnie działa na przybysza. Czuje on, że atmosfera jest inną, niż w „starym kraju,“ gdzie wszystko ma swoją historyę i żywiołowo tworzyło się i jakby woła, że samo z siebie się zrodziło i narzuciło swoją wolę człowiekowi, wybierając go jedynie na wypowiadacza swoich dążności. Tutaj, po amerykańskiej stronie Atlantyku, jeste-

stwem całem pojmujemy, że wszystko zrobiono. My zresztą tylko pojmujemy, ale rodowitemu amerykaninowi to czucie wrasta w krew i nerwy! Doktryna, tłómacząca historyę ludzką w sposób „materyalistyczny," t. j. że materyalne warunki bytu w rozwoju dziejowym odegrały większą rolę, niż świadoma działalność człowieka, nigdy-by chyba nie zrodziła się w mózgownicy socyologa amerykańskiego. On, przeciwnie, wysunąłby „ideę" na plan przedni! Statystom i publicystom zamorskim zbywa na poczuciu historyczności, są oni pełni pogardy dla erudycyi bibliograficznej. Obojętność dla tradycyi i bezwzględna pogarda dla warunków historycznych, z jakich-to przymiotów w Europie czynią zarzut radykalistom, stanowią jakby drugą naturą yankee'ów. My mówimy o prawach historycznych rozwoju, amerykanin n nich nie myśli i wprost nawet nie nie umie myśleć. Czyż ulice miast jego nie mówią, że zrobił je człowiek? czyż całe hrabstwo nie świadczy o tem, że jest dziełem ręki ludzkiej? czyż w Minneapolisie nie pokazują przybyszom staruszka, w Milwaukee zaś posągu pierwszych osadników? Umysł wyciąga stąd dalsze wnioski: jak zrobiliśmy ulice, podobnie możemy robić historyę i ulepszać stosunki społeczne. Trzeba pobyć dłużej w Ameryce, aby zrozumieć, jak oddziaływa taka maksyma, będąca płodem otoczenia. Bez przeszłości historycznej, wśród dowodów bez liku, że wola ludzka stwarza stosunki i że idea jest wszechwładną, yankee w polityce innych aniżeli my używa argumentów.

* * *

Zwiedzamy browar Pabsta, „największy w świecie.“ Po drodze zawiązuję rozmowę z miejscowym Niemcem o stosunkach, jakie panują w Milwaukee. Narodów jest tutaj co niemiara, przedstawiciele jednych są zamożni, innych biedni, i zajmują stanowiska, które z natury swojej wywiązują wzajemny antagonizm. Niemiec przyznaje, że ekonomiczna sprzeczność interesów istnieje i nieraz rodzi wzajemne walki, ale stanowczo zaprzecza, ażeby waśnie rasowo-plemienne trwały w swojej mocy europejskiej. Opowiada mi, że biblioteka miejska, stojąca bezpłatnie na oścież dla każdego, zaprowadziła u siebie dział, poświęcony jedynie sprawie narodowościowej. Kupuje co tylko w jakimś języku wychodzi a dotycze narodowości. Zarząd podobnie postępuje w zakresie „sprawy społecznej.‘

— Chyba, że to najpraktyczniejszy sposób rozwiązywania takich kwestyi, bąknął pod koniec rozmowy. – Chyba!

1 września, w wagonie kolejowym.

Milwaukee pozostało za nami. Jeszcze godzina, a staniemy z powrotem w Chicago. Myśl buja het daleko, tam nad łanami Dakoty, ale zamiast rozkoszować się naturą stepu pszennego, usiłuje zbudować szkielet statystyczny tamtejszych stosunków. Zaprawdę, wszystko tam wygląda inaczej, i to nietylko na fermach, lecz równie w pomniejszych majątkach. Stosunek wzajemny do siebie różnych części kapitału jest zgoła odmienny. Jako wzór, weźmy pewne gospodarstwo, posiadające około 50 włók, a zatem majątek średniej wielkości. Ma ono w swoim inwentarzu mar-

twym siedm wiążących żniwiarek, czternaście pługów dwuskibowych na kołach, młockarnię parową, kilka siewników. Jak na rozmiary folwarku, liczba narzędzi nieznaczna, co tłómaczy się wytwórczością sprzętów. Kapitał, który zakrzepnął w wyliczonym inwentarzu, przedstawia sumę do 10 tysięcy rubli. Drugie tyle poszło na wozy, uprząż, drobniejsze sprzęty, żóraw studzienny. Tymczasem fundusze, uwięzione w budynkach, stanowią kwotę bardzo nieznaczną; jest tam willa z drzewa i parę stajen skleconych z desek, według wzorów tandety pociejowskiej. Na sto akrów gruntu, mniej więcej, przypada zaledwie para koni roboczych. Majątek więc, o którym tylko co wspominaliśmy, mimo swoich włók pięciudziesięciu, poprzestaje na dwunastu koniach, inny, cztery razy większy, na 65. Co zaś do robotników, zwykle jeden, niekiedy dwóch podczas zimy, zdołają wykonać wszystkie prace na folwarku 1000-morgowym. Wiosną liczba ta podnosi się do 5, niekiedy do 9, jeżeli w majątku orzą grunta w tej porze; w okresie żniw dosięga swego maksymum, to znaczy tuzina głów. Cyfry te wskazują chwilę przypływów i odpływów ludności w stepie Dakoty, które idą z ognisk miejskich wiosną i wracają ku jesieni.

Szczegóły to suche, wymowne przecież mimo swojej oschłości! Maszyna wygnała ze wsi zarówno człowieka, jak bydlę juczne. Jakiż przewrót wywołała-by ona, gdyby wkroczyła do naszej części świata i owładnęła rolnictwem! Owce pożarły ongi włościan angielskich, ów stan, który był podstawą wielkości *old merry England*: wsie ludne zniknęły przed szopą

z paru owczarzami, rozbój zapanował wzdłuż dróg i szubienice pracowały skrzętnie, ażeby okiełzać włóczęgów, oderwanych od ziemi. Maszyna nowoczesna, która tam w Dakocie opanowywa ziemię dziewiczą bez tradycyi historycznej, wśród rutyny włościańskiej naszej Europy wywarła-by skutki okropne. Tak spokojna w Ameryce, byłaby w „starym kraju“ straszną burzycielką, siejącą nędzę i niezadowolenie.

* * *

Myśl od stepu pszennego biegnie w kierunku sieci komunikacyjnej. Przyglądam się mapce obszarów, przerzniętych przez nurt rzeki Czerwonej. Linia czarna ciągnie się równolegle do linii, niekiedy pięć takich szlaków leży obok siebie. Środkiem idzie tór główny niby pień olbrzymiego drzewa, z niego, jak gałęzie, wyrastają różnej długości bocznice, nieco pochyłe przy początku, później równoległe. Im która jest krótszą, tem późniejszego bywa pochodzenia i przebiega terytoryum mniej ludne. Niektóre z nich są jak ślepe zaułki w starej dzielnicy wielkiego miasta: skoro w nie wejdziesz, to musisz zawrócić, aby wydostać się z powrotem. Bocznica kończy się zwykle w czystem polu, wybiegłszy niekiedy o kilkanaście kilometrów po-za ostatnią placówkę ludzką. Szlak taki przeprowadzono w oczekiwaniu przyszłego potoku kolonistów. W preryi kolej wyprzedza człowieka i wyznacza kierunek osadnictwa, przywozi deski odpowiednio przygotowane, z których wczorajszy przybysz złoży dom tak samo, jak dzieciak to robi z sześcianków; dostarcza mięsa i masła. Istota ludzka choć osiedla się w pustkowiu,

znajduje się w pełnym odmęcie wymiany. Linie równoległe, oddalone od siebie o kilkanaście kilometrów, są porznięte siecią innych, prostopadłych.

Ktoś przerywa mi przyglądanie się mapce Dakoty. To agent towarzystwa ekspresowego. Obchodzi on pasażerów, bierze kwity pakunkowe i w zamian wydaje czeki z blachy. Za małą opłatą zbywam kram odbierania bagażu, w parę godzin odeślą go mi do domu. Pośpiesznie układam rzeczy, bo już migają uboższe wille Chicaga, rozproszone daleko od siebie wśród spalonej na słońcu trawy i okryte wstrętnym tumanem kurzu.

3 września, Chicago, wystawa.

Dziwni to ludzie ci amerykanie. Przeciwko powodzi reklamy, w której falach trudno odróżnić prawdę od przesady, rzetelność od blichtru, szukają ucieczki w psychologii. Ilekroć wezmę do ręki gazetę i rozwinę ją na dziale ogłoszeń, przed mojem okiem przesuwa się jeden portret po drugim. Lekarz poleca cudowną „medycynę,“ a już do reklamy dołączył swoją podobiznę, jakby mówił: przyjrzyjcie się mojej fizyognomii, niema w niej fałszu ani podejścia... To czyni wróżbiarka, sprzedawca mydeł, nieznany autor. Amerykanin, zanim złapie się na lep reklamy, będzie wpatrywał się długo w portret.

Psychologię uprawiają na szeroką skalę w codziennym gwarze życia zamorskiego. Kto wyrobił sobie imię dzielnego a uczciwego człowieka, jakkolwiek nie posiadał-by ani grosza majątku, będzie hojnie korzystał z kredytu. Ze stanowiska geszeftu,

uczciwość nie posiada żadnej wartości teoretycznej, w praktyce zaś jest nader ceniona.

Portrety na ogłoszeniach przychodzą mi teraz na myśl, kiedy siedzę w gmachu kalifornijskim i przerzucam stronice ostatniego sprawozdania rady szkolnej. Z właściwą sobie praktycznością obywatel zamorskiej rzeczypospolitej pojął, że ktoś, ażeby był dzielnym pedagogiem, winien patrzeć na swoj zawód nie jak na złotodajną żyłę, lecz jako na rodzaj kapłaństwa. Nauczyciel musi być marzycielem, niby negacyą zmysłu geszefciarskiego, oraz posiadać swobodę czynów. Posłuchajmy co powiada w tej mierze urzędowe sprawozdanie inspektora szkolnego z San-Francisco: „Musi istnieć—czytamy w urzędowym dokumencie—jednostajność w zakresie studyów, lecz martwość chińska w sferze szczegółów stanowi największą klęskę w szkolnictwie. Przybytek szkolny niechaj w żadnym razie nie będzie machiną. W dzisiejszym naszym systemie istnieje sporo przestworu dla entuzyastów, którzy posiadają w głowie ideę. Zapał, to podstawa powodzenia w wychowaniu. Jeżeli z roku na rok powierzać będziemy zarząd szkolny w ręce inteligentnych entuzyastów, którzy umieją ocenić znaczenie ciężaru poruczonego, nie będziemy potrzebowali wtedy im wskazywać, co winni czynić!"

* * *

Ściany mienią się wszystkiemi barwami tęczy. Tu wiszą różnokolorowe przeplatanki, tam migocą gwiazdy możliwych odcieni, koła, obrazy z papieru lub drutu. Oko nasze, gdziekolwiek się zwróci, widzi owo-

ce pracowitości dziecięcej. To wystawa froeblowskich ogródków stanu Ohio! Wszędzie spostrzegam ćwiczenia, nieznane swojskiej froeblowszczyznie. Wynalazczość zamorska wyprawia harce nawet w tej dziedzinie.

Tak, wyprawia ona łamańce istnie amerykańskie. Entuzyastkom dano zupełną swobodę, one zaś dowiodły, co zapał zdoła. Z ciekawością przyglądam się ogromnym fotografiom, przedstawiającym szkółkę podczas lekcyi, i wyszukuję tam obl
Zdrowie i zadowolenie tryskają im z twarzy, uśmiech okala usta, taki sam, jaki spostrzegamy u matki, kiedy zdejmujemy z jej drobiazgu obraz, ona zaś rozkoszuje się naszym podziwem nad dorodnością dziatwy. Nie! do takiego uśmiechu są zdolne tylko entuzyastki, które wierzą, że, ucząc dziatwę, pracują w winnicy pańskiej. Żadna z nich nie pozostawi szkółki pod opieką starej mamy lub cioci, która nietylko nigdy nie uczyła kogobądź, lecz może nawet nie zdoła podpisać dobrze swojego nazwiska, i nie będzie biegała po lekcyach prywatnych, nadużywając zaufania rodziców. I nawet gdyby chciała; tego nie uczyni, gdyż po nad nią stoją i dozorują inne entuzyastki. Wszerz i wzdłuż Stanów Zjednoczonych dążą do odebrania ogródków z rąk geszeftu prywatnego. Zjawia się w mieście entuzyasta albo entuzyastka, zwołują meeting obywateli i tam rzecz przedstawiają. Ten i ów zobowiązuje się dawać stałą składkę roczną, organizują towarzystwo i zakładają szkółkę. Pomiędzy bogaczami amerykańskimi weszło też w zwyczaj, że kiedy dziecina im umrze, naówczas zakładają jej imienia ogródek. Niekiedy są to

ofiary olbrzymie: pani Stanford poświęca na ten cel w San-Francisco z górą 300 tysięcy rubli i stwarza odrazu siedm szkółek, każda na setkę dzieciaków. Za tym przykładem idą kongregacye religijne i giełdy, gildye kupieckie, agentury. Naprzykład giełda w San-Francisco posiada zakład froeblowski dla 250 dzieciaków. Wszystkie instytucye w mieście powierzono zorganizowanemu stowarzyszeniu, które baczny dozór rozciąga i prowadzi finanse. Z instytucyi prywatnej stają się one rzeczą półpubliczną, niektóre zaś miasta obejmują kierownictwo nad niemi i włączają do ogólnego systemu szkolnego, jako najniższe ogniwo. Entuzyastki nie poprzestają na tem, urządzają bowiem kółka dla studyów psychologicznych nad maleństwem, zakładają systematyczne kursa dla matek, ba! nawet organizują meetingi na których bywa po tysiąc rodzicielek. One to stworzyły za morzem sprawę froeblowską.

4 września, Chicago, City Hall

Długi a ciemny korytarz. W zagłębieniu wejście do wind oraz bufet, nieco dalej przyrząd, sprzedający automatycznie wodę z jakąś przyprawą: rzucam centa i trzymam przywieszony na łańcuszku kufelek, napój wlewa się do szklanki póki jej nie napełni. Na dole urzędy policyjne, biura administracyi miejskiej, centralny urząd straży ogniowej, niby serce pojedyńczych posterunków, maszyna parowa, poruszająca windy. Tuż przy urzędzie policyjnym znajduje się pokój, noszący nazwę *reborters'room.* Ba, to nietylko biuro

reporterskie, ale zarazem retorta, z której wychodzą dziennikarze amerykańscy.

Dickens żartował kiedyś, że gazety, wychodzące w Nowym świecie, powinny nosić miano *the Daily Sewer*—zlew lub rynsztok nawet! Plotki wraz ze skandalem i informacyami rozpanoszyły się w szpaltach dzienników i wypłoszyły ztamtąd publicystę i literata. Reporter stał się osobą najważniejszą, dziennik bowiem może się obejść bez sił literackich w Ameryce, ale zginie marnie, jeśli nie będzie posiadał dobrych dojeżdżaczy, polujących na sensacyę. Znaleźli się przedsiębiercy, którzy zorganizowali dostarczanie nowin i włożyli w ten „interes" spore fundusze. Powstały firmy, trudniące się zbieraniem wiadomości, niekiedy zaś, jak twierdzą złe języki, podejmujące się mniej godziwych obowiązków. Jeden z posterunków usadowił się w ratuszu, tuż obok straży ogniowe i policyi Sprytniejsi ajenci policyjni zmiarkowali, że mogą zrobić *business* na reporterce. To ten, to ów wpada do kantoru i spienięża plotkę, A ponieważ nie jeden z takich „współpracowników" rozporządza ciętem a dowcipnem piórem, przeto po pewnym czasie wychodzi na skończonego dziennikarza, ba nawet na redaktora. Wnosi on do nowego fachu spryt *moucharda*, oraz jeszcze coś więcej, bo umiejętność wkręcenia się wszędzie i rozbrat poniekąd z uczciwością.

* * *

Dziennik amerykański to nawskroś produkt bezimienności. Nadaremnie poszukiwalibyśmy tam autora artykułu. Zgoła inaczej bywa w miesięcznikach,

w których nawet drobną notatkę podpisują, w tych bowiem czasopismach gnieździ się ideologia publicystyczna, tam zabierają głos największe powagi i roztrząsają kwestye bieżące. Gazeta zaś zastąpiła kumoszkę, która dostarcza plotek. Istnieje ona poto, aby wydawcom przynosiła zyski, nie zaś aby służyła za upust dla natchnień poetyckich lub literackich.

O pracy dziennikarskiej mówi się wprost jako o fabrykacyi plotek, *the making of News!* Redakcya jest w całem słowa znaczeniu kuźnią, w której panują stosunki fabryczne. Właściciel często niezna nazwiska swoich najemników, ani nie wie, co wyszło z pod czyjego pióra. I sztab redakcyjny wygląda inaczej. Każdy oddział reporterów ma swojego szefa. Są tam specyaliści, na których cięży obowiązek wynajdowania głośnobrzmiących tytułów, oraz streszczania w paru wierszach zawartości artykułu—czytelnik z góry wie, co znajdzie pod danym nagłówkiem. Są redaktorzy-inżenierowie, którzy z góry układają kampanię dziennikarską, wysyłają reporterów i węszą, co najbardziej połechtać zdoła podniebienie publiczności. Spotykamy nawet prawnika, który przegląda podejrzane skandale, mogące narazić pismo na sprawę sądową i nadaje im formę, pozwalającą wykręcić się od odpowiedzialności.

* * *

Życie tętni w gazecie. Czuć puls jego w każdym szczególe. Artykuł ciągnie się na jednej szpalcie, tam zostaje przerwany w pośrodku wyrazu i trzeba go szukać gdzieś na dziesiątej stronicy. Reporter jeszcze nie

skończył pisać, kiedy zecerzy nazbierali materyału na arkusz i oddali go pod prasę, koniec zaś pójdzie na innej stronicy. Rysunków co niemiara. Zdarzy się wypadek niezwykły, np. ktoś zastrzeli się w parku publicznym, a już tego samego dnia zdarzenie podano pod szumnym tytułem, z portretami samobójcy, policyanta, który go spostrzegł pierwszy, nawet kochanki, mniejsza czy istotnej. W natłoku życia codziennego, dział polityczny zniknął niemal. Mówię naturalnie o polityce ogólnej, bo o swoich sprawach dzienniki sporo rozprawiają – w sposób reporterski. Kiedy przerzucam gazetę amerykańską, czuję pewne upokorzenie. Przypomina mi się uczucie lekceważenia, kiedy w rubryce politycznej wypadnie mi pisać o zajściu pomiędzy „jakąś“ Nicaraguą a Costa-Ricą. Wiem, że te kraje leżą w Ameryce Środkowej, posiadają miasta i prezydentów, kłócą się, swarzą i godzą, ale ostatecznie kto tam jest prezydentem i o co toczy się waśń domowa, jakoś mnie to ani grzeje ani ziębi. Z podobnem uczuciem, poniekąd obojętności, a może wyższości, pisze amerykanin o naszych sprawach europejskich. Czuję przez skórę, że nie wyróżnia dobrze „jakiejś“ Austryi od Niemiec, polaków zaś od węgrów. Anglię jeszcze poważa, bo to jakby cząstka jego ojczyzny, zgrzybiała wprawdzie i nieco niezaradna, ale rodzicielka! Toleruje Wilhelma II za jego ekscentryczność, chociaż stawia na równi z Boulangerem, obu zaś chętnie sprowadziłby do Ameryki, aby mieli o sobie odczyty. Więcej nic go nie obchodzi. Parę razy zadałem sobie tyle pracy, żem zliczył, jak dużo polityka europejska zajęła miejsca w gazecie. Wypadło, że część 64-tą Niekiedy cała rzecz

bywa przedstawiona w sposób humorystyczny i ozdobiona karykaturami. Zresztą ze swoimi matadorami dziennikarz zamorski postępuje jeszcze z mniejszą ceremonią. Sesye kongresu opisuje jedynie ze strony komicznej, nawet zjazdy naukowe traktuje w tenże sposób. Olbrzymie głowy na lilipucim tułowiu—bywa też odwrotnie! Z ust wybiegają mimowolne dowcipy, niekiedy treść całej mowy przedstawiona w karykaturze. Jakiś np. obrońca srebra tonie w potoku dolarów z tego metalu, który zalewa podobnie kraj cały, a on jecze woła z pod fali: za mało srebrnej monety.

5 września, Chicago, wystawa.

Zmęczony chodzę się po wystawie pedagogicznej i przypatruję się sportowi szkolnemu. Ściany pawilonów zawieszono fotografiami, przedstawiającemi gonitwy dzieciaków, kluby atletyczne, gry w piłkę. Na obrazku oglądamy, jak w przerwie pomiędzy wykładami dziatwa wśród ławek ćwiczy swoje mięśnie: malcy obok dziewczątek. Tam znowu grono podlotków obraca się w korowodach, lub młodzież szkolna się musztruje, bo trzeba wiedzieć, że nawet w szkółkach istnieją bataliony, złożone z młodych obywateli a zaprawiające się zawczasu do umiejętności bronienia ojczyzny. Pedagogika amerykańska wyznaje mądrą zasadę dawnych czasów, że dzielny duch może zamieszkiwać tylko w zdrowem ciele. Uświadomiła sobie, że zwyrodniały organizm nie wyda dzielnego czynu umysłowego, a jeżeli to uczyni, zabarwi go naówczas kolorytem histeryi. Gimnastyka zatem, a jeszcze więcej inne ćwi-

czenia fizyczne, prócz pożytku pociągające młodociane mięśnie swoją treścią, bywają pilnie zalecane przez zarządy szkolne. Niektórzy myślą nawet o unarodowieniu zakładów gimnastycznych, to znaczy, ażeby gmachy ze sprzętami, niezbędnymi do ćwiczeń, stały dostępem dla wszystkich, jak to dzieje się dzisiaj z czytelniami.

Wystawa kolegium z Amherst. Plan olbrzymi na ścianie. Wielkie przestrzenie, wolne od zarośli, dokoła odrzewione. To miejsca, wyznaczone do gier w piłkę, krokieta i inne zabawy, w pobliżu park z budynkami, środkiem płynie woda. Jakiś domek piętrowy, w którym zamiast pierwszego piętra mamy ściany wyjęte, tak, iż dostajemy wolną galeryę. To halla odpoczynku dla gimnastów! Tam znowu olbrzymie tablice, przedstawiające rezultat pomiarów antropometrycznych na uczniach, wstępujących do kolegium, oraz opuszczających ławy szkolne. Posąg „zdrowego“ mężczyzny i kobiety, t. j. z rozwiniętymi mięśniami, silnymi członkami, stoją w atletycznej halli wspomnianego zakładu, jako ideał dla organizmu. Dzieje szkolnej gimnastyki datują się tam od r. 1861. Co parę lat jakiś filantrop coś ofiaruje na te cele: ów składa fundusz na nagrody konkursowe, tamten przeznacza około dziesięciu tysięcy rubli na budowę halli gimnastycznej lub zakupno pola do gry w piłkę. Ogół tych podarunków wynosi w obecnej chwili około pół czwarta setki tysięcy rubli na nasze pieniądze! Naturalnie, ćwiczenia fizyczne jedynie dążą do tego, ażeby wzmocnić ciało, uzdolnić ucznia do bardziej napiętej pracy umysłowej i dać mu zdrową a moralną roz-

rywkę podczas wypoczynku. Wszystkie sporty odbywają się na podstawie klubów i wraz z giętkością mięśni stwarzają umiejętność zrzeszonego czynu.

Przyzwyczajenie, nabyte na ławie szkolnej, staje się jakby drugą naturą, nieopuszczającą człowieka w dojrzałym wieku. Istnieją olbrzymie związki, bawiące się atletycznemi ćwiczeniami, posiadające swoje grunta, pałacyki, fundusze na konkursa. Ruch ten dopiero zaczyna się, amerykanie sami przyznają, że pozostali w tyle za anglikami, obiecują jednak, że niebawem dogonią starą macierz i nawet przegonią ją, bo doskonalenie mięśni uczynią zabawą ogólnie narodową.

* * *

Szablon fabryczny wżarł się silnie w życie zamorskie i swoim jadem zatruł oryginalność. Zamiast starodawnych zegarków, z których każdy nosił na sobie znamię swego twórcy, maszyna wyrzuca na rynek tysiące okazów, tak podobnych do siebie, jak jedna kropla wody do drugiej. Jednostajność rozpostarła się w Ameryce we wszystkich dziedzinach, nawet powieść powstaje w kuźni szablonu: w pewnych agenturach oficyaliści śledzą w prasie codziennej dramatyczne wątki, wycinają je i dają do opracowania najemnikom pióra, firma zaś sprzedaje zrobioną powieść od siebie. Zdawało-by się, że w wychowaniu równie każdą ludzką duszę poddano tej samej tresurze, że zaprzężono ją do tej samej książki, ostrzyżono według tego samego stempla. Tak nie jest. Nie wiem, czy w jakimkolwiek kraju uszanowano tak głęboko młodocianą naturę w jej różnobarwności. Szkoła stała się elastyczną

niby guma, nie drobiazg ludzki winien się przystosować do niej, lecz ona do duszy, a przynajmniej do uzdolnień swoich wychowanków. Zasługa to entuzyastów. Oni bowiem zadali cios rutynie szkolnej i prowadzą w dalszym ciągu dzieło jej przeobrażenia.

„Uczyń szkółkę pociągającą, czytamy w jednem z urzędowych sprawozdań, ozdób ściany kilku obrazami, postaw parę zielonych grządek nie dla analizy, ale celem ozdoby. Ubieraj się ze smakiem — kawałek barwnej wstążki tyle dostarczy przyjemności dziatwie! Odłóż na bok oficyalną powagę i postępuj, jak gdybyś była pomiędzy równymi, uśmiechnij się, jeżeli coś śmiesznego się zdarzy!“ oto, rady jakich zarząd szkolny udziela nauczycielkom. Napada on ostro na jednostajny szablon nauczania. „Zasady demokratyczne są w szkole zgubnemi i rujnującemi. Społeczeństwo niechaj nie urąga przyrodzie twierdzeniem, że wszystkie dzieci są jednakowych uzdolnień i winny być według tej samej modły chowane. Każde maleństwo to odrębna indywidualność. Jednostajne programy i jednostajne metody, skoro zostają zastosowane do licznej rzeszy dziecięcej, należy potępić jako niemądre i niesprawiedliwe.“ Zasadę więc wyraźnie i jasno postawiono—w teoryi. W praktyce rozmaicie ją rozwiązano. Może należało-by powiedzieć: rozwiązują, ponieważ obecnie władze szkolne borykają się w najlepsze z trudnościami, jakie wyrastają na torowanej przez zarządy edukacyjne drodze. W Brooklynie zrobiono tak, że wprowadzono do średnich zakładów system, nieco podobny do obowiązującego na wszechnicach niemieckich. Ażeby

uczeń dostał patent, musi zdać egzamin ze wszystkich przedmiotów i cały kurs przesłuchać. Wolno czynić mu to nie klasami, lecz naukami, może znajdować się w niższej klasie języków, lecz wyższej matematycznej. W stanie Massachusets malcy, wchodzący do szkółki, w ciągu pierwszych miesięcy, słuchają tego samego kursu, ale skoro nauczyciel rozpozna zdolności, zostają podzieleni na dwie grupy, z których jedna kończy nauki w cztery, druga zaś w sześć lat. Stan Waszyngton poszedł jeszcze dalej, bo zamiast dwóch, wprowadził cztery szczeble uzdolnień. Wszystko to dopiero próby. Cokolwiek z nich wyjdzie, widoczna, że zamorska rzeczpospolita nie hołduje i nie chce hołdować w szkolnictwie szablonowi fabrycznej jednostajności. Jeżeli za postęp uważa wtargnięcie maszyny do sfery dóbr materyalnych, natomiast nie życzy sobie, ażeby monotonność zapanowała w produkcyi dusz obywatelskich. Przyznaje ona zasadę, że uzdolnienia są różne, i nie podciąga ich pod ten sam strychulec. Kogo przyroda hojniej uposażyła darami umysłu, niechaj rychlej rozwija tkwiące w nim zarodki i prędzej dochodzi do dojrzałości duchowej.

6 września, Chicago, City.

Kształtny budynek z czerwonej cegły w najpiękniejszej dzielnicy miasta. Cały w zieloności. To tymczasowowy przytułek dla biblioteki imienia Newberry. Ktoś zapisał około 5 milionów rubli na założenie książnicy, która-by utrwaliła jego nazwisko. Gmach dla fundacyi jeszcze nie ukończony, urządzają zaś go

według najlepszych wzorów, jakie technika stworzyła w danym zakresie. Tymczasowo przyszła instytucya osiedliła się w długim piętrowym budynku.

Niewielki pokoik na prawo od wejścia. Nie widzę żadnego urzędnika, czasopisma oddano pod opiekę publiczności. Jest to czytelnia pism peryodycznych z zakresu wiedzy ścisłej. Zeszyty ustawiono w pudłach tekturowych. Publiczność—wejście otwarte dla każdego — bierze je sama. Mimowoli przypominają mi się skrzynki pocztowe wzdłuż ulic. Nad niektóremi wiszą koszyki druciane. Nieraz można w nich widzieć posyłki i paczki, poczta sama je zapisze, nikt zaś z przechodniów nie wyciągnie ręki po to, co do niego nie należy.

Po drugiej stronie od wejścia czytelnia książek. Trzeba mi przejrzeć specyalne wydawnictwo antropologiczne, wychodzące w Ameryce. Udaję się do urzędnika. Okazuje się, że jest już po piątej i biuro zamknięte. Nie odchodzę jednak z niczem, bo dostaję katalogi. Nadaremnie je przeglądam, nie mogę znaleźć odpowiedniego tytułu. Niema! Urzędnik jakby poczuwał się do winy, zaczyna się tłómaczyć. Notuje tytuł książki i zapewnia, że w przyszłym tygodniu wydawnictwo będzie w komplecie, pojutrze bowiem przypada posiedzenie rady zarządzającej, więc zawiadomi ją o braku owego dzieła.

— Ale może znajdę książkę w bibliotece publicznej, powiadam, niepewny czy zjawię się tutaj powtórnie.

— Nic to nie znaczy, powinniśmy mieć to dzieło.

Zaczynamy rozmawiać o rozwoju nauki etnograficznej w Stanach Zjednoczonych. Bibliotekarz prowadzi mnie na górę, ażebym przypatrzył się działowi antropologicznemu; pokazuje publikacye, o których mogłem nie wiedzieć, wreszcie pozostawia mnie samego pomiędzy książkami. Nie mogąc doczekać się powrotu swojego *cicerone*, schodzę po kwadransie na dół i chcę mu podziękować. Niema go już w bibliotece.

11 września, Chicago, Memorial Art Palace.

Sala zapełniona na górze i na dole. Wątpię, czy znalazło-by się miejsce chociażby dla jednej osoby. Szpilka, rzucona z galeryi, na pewno nie upadła-by na podłogę, lecz zawisła-by na czyimś karku. Wśród tłumu zrywa się burza oklasków. We drzwiach ukazuje się orszak różnobarwnych postaci — bez końca, sunie zwolna pomiędzy ciżbą głów ludzkich i z powagą zmierza ku estradzie, na której oczekują go rzędy krzeseł. Purpurowe tuniki, żółte, błękitne, zielone, białe, słowem wszelkiej barwy—rzekłbyś gromada motyli; głowy dźwigają na sobie najrozmaitszego kształtu pokrycia, a z pod zawojów, czapeczek, kasków, bodaj czy nie z końskim ogonem, wyglądają twarze najodmienniejszej cery: tutaj z pod zawoju uśmiecha się delikatny bronzowej barwy profil wyznawcy braminizmu, tam widać ciemne twarze budystów cejlońskich, w pośrodku stąpają mongolskie typy uczniów Konfucyusza, w jednym rzędzie z aryjczykiem idzie murzyn, obok biskupa grecko-wschodniego obrządku spostrzegamy metodystkę i czarny frak przedstawiciela spencerow-

skiego agnostycyzmu. Na czele orszaku stąpa ktoś w purpurze, to kardynał Gibbons z Baltimore. Dyplomatyczna twarz, milcząca jak marmur. Niema na niej zachwytu, jaki widzimy u budystów. Tłum różnobarwny dochodzi do estrady i rozsiada się: motyle mongolskie i hinduskie zajmują rząd pierwszy, niewysłowiona błogość rozlała się na ich twarzach; fraki kryją się w tyle — wśród nieustającego grzmotu oklasków. Organy, umieszczone na górze, wyrzucają z siebie dźwięki hymnu religijnego, publiczność, stojąc, powiewa chustkami i chórem śpiewa. Bonney, prezes komitetu zjazdowego, głos zabiera.

Parlament religijny otworzono. Po raz pierwszy, od kilkuset tysięcy lat, jak ród ludzki tuła się na globie ziemskim, zebrali się w jednem miejscu przedstawiciele najrozmaitszych wyznań. Dotychczas znali względem siebie stosy i prześladowania. Ale epoka dzisiejsza, rzucając pomiędzy najodleglejszymi zakątkami kuli ziemskiej pomost wzajemnej wymiany, jęła ścierać dawną nienawiść. W wirze wszechświatowego zbliżenia naprzód poczęły mieszać się produkta martwe, później idee. Wreszcie na ziemi amerykańskiej wyznawcy najodmienniejszych obrządków zebrali się, ażeby wspólnemi siłami wypracować „porównawczą teologię.“ Projektodawcy, czystej krwi deiści, wyszli z założenia, że każda religia zawiera cząstkę prawdy, ale żadna — całej, że w solidarnej pracy można ziarno rzetelne wyłuskać i oczyścić z plewy. Spodziewają się oni, że sejm religijny będzie zwiastunem nowej epoki w dziejach ludzkości — epoki, kiedy ogólna religia

czystego deizmu, wyłoni się z pośród istniejących dzisiaj wierzeń. Czy proroctwa ich staną się rzeczywistością, mniejsza, ale że ów zjazd zaprawdę jest pionierem nowej epoki w stosunkach człowieka do człowieka, to niewątpliwe. Jeszcze przed pół wiekiem byłby on niemożliwością nawet na ziemi amerykańskiej. I wątpię, czy byłby możliwy gdzieindziej. Ażali biskup Dunajewski raczył-by siedzieć obok bramina i czy pozwolił-by na to, aby błogosławieństwa, przez niego udzielane, stawiono na równi z błogosławieństwem lamy peponskiego?

Po p. Bonney zabiera głos kardynał Gibbons, później przedstawiciele paru odłamów protestantyzmu, arcybiskup grecko-wschodni z Zantu, filozofowie hinduscy, wyznawca Konfucyusza i jeszcze ktoś, i znowu ktoś. Pierwsi mówcy są bardzo oględni w swoich przemówieniach, ale reprezentanci religii egzotycznych nie znają dyplomatycznych wykrętów i dają folgę temu, co leży im na sercu. Wszędzie jest sporo fałszu i źdźbło prawdy, ta myśl dźwięczy w mowach coraz jaskrawiej. Wszystkie oświadczenia, oględne i nieoględne, wygłoszone w sposób dyplomatyczny i mniej rachujące się ze słowami, rozpływają się w morzu wynurzeń na temat wszechludzkiego braterstwa, podnoszą zasługę projektodawców, zwracają się z serdecznem pozdrowieniem ku przedstawicielom innego wyznania, podkreślają znaczenie uroczystości jako jutrzenki, poprzedzającej wspanialszą niż dzień dzisiejszy przyszłość. A tłumy, zebrane w sali? Jeżeli mówcy, ukazujący się na trybunie, hołdują jeszcze zasadom dyplomacyi, na-

tomiast widzowie wzięli rozbrat z tą umiejętnością nieszczerego serca.

13 września, Chicago, city.

Ktoś zawiadomił mnie o swoim ślubie. Żona porzuciła go ubiegłej zimy. W marcu otrzymał on rozwód, z którego przeniewierczyni skorzystała natychmiast. Obecnie zaś porzucony małżonek równie wstępuje w powtórne związki małżeńskie. Sprawa rozwodowa obyła się bez długich korowodów: ponieważ stroną pozywającą był mężczyzna, zapłacił przeto aż 50 dolarów. Gdyby żona występowała w roli powódki, wtedy koszta wyniosły-by tylko dwa dolary. Prawodawstwo stanu Illinois nie uznaje równości!

Rozwód w Ameryce uchodzi za podporę stateczności społecznej. Prawo brzmi bardzo odmiennie w oddzielnych stanach. Na południu, gdzie tradycye katolickie są silniejsze, rozwód otrzymać trudniej, tu i owdzie zaś zupełnie go niema. Różnice istnieją równie co do tego, czy winowajca może wstępować w powtórne śluby i po jakim czasie. Prawo wygląda groźniej niż rzeczywistość, bo sądy tylko wtedy wdają się, kiedy jedna strona wystąpi ze skargą na drugą, iż nie czekała wyznaczonego terminu. Zresztą co stan, to obyczaj. W Illinoisie żona ma prawo do rozwodu, kiedy mąż ją wygrzmocił, ten zaś jeśli połowica jest niegospodarną i niechlujną. Sprzeczność charakterów stanowi przyczynę dostateczną. „Bigamia" zawsze wystarcza, rozumiana dowolnie i szeroko: starczy jednej stronie pokazać zbyt gorące listy, pisane przez

drugą do kogoś trzeciego. Małżonkom względem siebie przysługują różne prawa, prowadzące do sytuacyi oryginalnych. Żona, podejrzywająca swego męża o stosunki na stronie, ale niechcąca go porzucić, najmuje agentów w prywatnem przedsiębierstwie tajnej policyi, aby śledzili małżonka, a kiedy go na gorącym uczynku złapie, pakuje do kozy na rekolekcye, aż póki nieotrzyma on przebaczenia od rozsrożonej połowicy. Natomiast istotna bigamia niekiedy bywa dozwoloną, mianowicie jeśli ktoś żyje z trzecią osobą, druga zaś połowa nic niema przeciwko temu. W pewnej gazecie świeżo wyczytałem wiadomość, że sąd odrzucił skargę męża, iż żona żyła z kimś innym lat kilka. Wydał tylko wyrok, uznający jej pierwsze małżeństwo ze nieistniejące nadal. Praktyka ta rozpowszechniła się tak mocno, że księża dają ślub nawet wtedy, kiedy do ich uszu dochodzą pogłoski, że wychodźca może pozostawił żonę w „starym kraju.“ Żona za morzem, jakby nie żona!..

15 września, Chicago, city.

Piszę pod wrażeniem rozmowy z członkiem zjazdu antropologicznego, posiadającym w świecie naukowym imię dość głośne. Uczeni amerykańscy miewają dzikie idee. Gdyby ktoś zdradził się u nas z podobnemi zapatrywaniami, okrzyczano-by go chyba za warchoła. Ów badacz oświadczył bez ogródki, że ludzkość nagromadziła zanadto wiedzy, za mało zaś rozpowszechniła jej wyniki. Ciułamy fakty po faktach, jak skąpiec—duka-

ty, niepomny, że pieniądz po to istnieje, ażeby dostarczał nam wygód i przyjemności życia. Najgłówniejsze zadanie chwili obecnej to nie dalsze gromadzenie szczegółów naukowych, niedostępnych dla ogółu, ale „zdemokratyzowanie“ ich między tłumami. Naturalnym tokiem rozmowy schodzimy na *University Extension Movement*, prąd, organizujący w Ameryce wędrowne kursy uniwersyteckie. Dokoła każdego uniwersytetu powstaje mnóstwo takich filii, które podają rzeszom wiedzę w postaci nader przystępnej, lecz niepozbawionej systematyczności. Koła kierownicze wydają *syllabi*, mieszczące drobiazgowy program w pewnym zakresie wiedzy dla samouków, wysyłają wędrownych prelegentów, którzy przybywszy do pewnej okolicy na parę tygodni, strzeszczają w kilku odczytach punkta wytyczne danej gałęzi nauk i zawiązują korespondencyę, pozwalającą chętnym korzystać listownie z rady specyalistów. Mój interlokutor opowiada mi o departamencie popularyzacyjnym, jaki istnieje przy miejscowym uniwersytecie. Po mieście są rozproszone różne „ośrodki,“ gdzie można zapisywać się na wykłady, otrzymywać informacye, porozumiewać się z kandydatami. Właśnie w pobliżu leży czasopismo *U. E. World*. Ów ktoś, z kim prowadzę rozmowę, bierze go do ręki, znajduje spis takich ognisk i czyta. Jest ich w mieście nad Michiganem około trzydziestu. Instytucye takie są również rozrzucone po całym stanie, w liczbie kilkudziesięciu, tu i owdzie zaś potworzyły się szersze związki, np. północno illinojski. Słowem, departament popularyzacyjny uniwersytetu w Chicago

ma pod swojem kierownictwem setkę ognisk rozpowszechniania oświaty wyższej. Każda wszechnica prowadzi propagandę na własną rękę, chociaż żadna nie dorównała filadelfijskiej. Prąd popularyzacyjno-uniwersytecki rozwija się potężnie, jawność zabezpiecza go od wybryków tego lub innego z inicyatorów, kontrola publiczna uniemożliwia nepotyzm. W końcu rozmowy towarzysz mój radzi mi przyjrzeć się osobiście działalności któregoś z ognisk, polecając mi fundacyę imienia Newberry, jako najbliższy punkt organizacyi popularyzacyjnej.

16 września, Chicago, City Hall.

Wznosimy się windą na trzecie piętro. Wagon pełny. Każdy z nas ma książkę pod pachą.

Długi korytarz, oświetlony elektrycznością. Na ścianach arkusze, zapisane przy pomocy *type-writera*; to spisy najnowszych książek, zakupionych przez zarząd i jeszcze niewniesionych do katalogu drukowanego. Pomiędzy niemi znajdują się tablice, podające, w jakich dzielnicach ulokowały się oddziały biblioteki miejskiej. Ażeby oddać książkę i dostać nową, nie potrzebuję udawać się do ratusza, lecz mogę to uskutecznić za pośrednictwem filii. Jeden z obywateli miasta podpisał się na blankiecie, z którym zjawiłem się do zarządu, i bez żadnych formalności zacząłem dostawać książki, po zwłoce jednodniowej, potrzebnej, ażeby przygotować mi bilet. Mimo że zwiedziłem wiele różnych bibliotek, nigdzie nie napotkałem takich ułatwień. Manipulacye są nad wyraz proste. Mogę otrzy-

mywać nawet książki, nie znajdujące się w czytelni. Na żądanie będą one sprowadzone z innych bibliotek. Mężczyźni oddają wypożyczone książki i otrzymują nowe przy innem okienku, inne znowuż służy dla kobiet. Niezmiernie to ułatwia procedurę wydawania.

Nasi przedsiębiercy, utrzymujący czytelnie, wyszliby bardzo źle na tym interesie w Ameryce. Istnieje bowiem tutaj takie mnóstwo bezpłatnych instytucyi tego rodzaju, wolnych przytem od ociężałości biurokratycznej, tak prędko nabywają one książki nowe i tak tolerancyjnie patrzą na wszelkie prądy myśli ludzkiej, że *business* prywatny stracił zupełnie grunt pod nogami. Byłem w paru miastach Związku; po dwóch dniach pobytu zawsze miałem już u siebie książki z biblioteki miejskiej i korzystałem z możliwych czasopism — bezpłatnie. Na upartego, można nawet nie nabywać gazet codziennych. W każdem bowiem mieście są czytelnie bezpłatne, zwykle przy bibliotekach. Jedne z drzwi, wychodzących na korytarz, prowadzą właśnie do sali, gdzie znajduje się do czterystu wydawnictw peryodycznych w różnych językach: z polskich jest tu *Tygodnik Ilustrowany i Kolce*, mogłoby zaś być więcej, gdyby odpowiedni czytelnicy w Chicago o to dbali. Pokój to olbrzymi. Wzdłuż ścian stoją pulpity, do których nieruchomie przymocowano gazety codzienne. Pisma miesięczne i tygodniki, których jest tu paręset, są otrzymywane za kwitem w przeciągu minuty. W środku sali rzędy krzeseł, niekiedy tak zajęte, że trzeba wyrzec się czytania dla braku miejsca. Dla kobiet odgrodzono część sali, urządzenie tam wygodniejsze.

17 września, w wagonie, Chicago.

Na dworcu czterdziestej któręjś ulicy. Publika wali do pociągu, liczne głosy polskie. Wagony przepełnione pasażerami, przyodzianymi, jak na Amerykę, ubogo. Wszystko to gestykuluje żywo, słychać niemiecki, czeski i polski, przeplatane amerykańskim *all right*. Pomiędzy publicznością uwija się kilka postaci o przebiegłem spojrzeniu i minie lisa: w miejscach, gdzie zapał gaśnie, podlewają one stosownej oliwy, gdzieindziej dają informacye.

Zatrzymujemy się na każdej ze stacyi miejskich i przyjmujemy nowych kandydatów. Robi się ciasno, słońce wrześniowe przypieka mocno, dym z okruszynami węgla przedostaje się do wagonu przez otwarte okna. Twarze roznamiętnione, wyraz „loty“ słychać coraz częściej, niektórzy przypatrują się mapkom.

Jedziemy darmo—oglądać loty, t. j. kawałki ziemi. Wczoraj znalazłem przed drzwiami mieszkania parę swistków, każdy w innym języku, zawiadamiających, że jutro o dziesiątej z rana odejdzie pociąg z muzyką do takiej to a takiej miejscowości. Reklama wróży świetną przyszłość temu pustkowiu i obiecuje obfite zyski nabywcom parcel. Jadę więc także, nie kupię, ale co mi szkodzi potargować...

* * *

My, ludzie ze „starego kraju,“ nie mamy nawet pojęcia, jak rozwinęła się spekulacya ziemią po amerykańskiej stronie Atlantyku. I nie dziw. Nawet emigracya ze stron naszych, stanowiąca, bądź, co bądź, jeden z najnieruchliwszych żywiołów wychodźczych, nieraz robiła

interesy na kupnie ziemi. Niejeden taki przybysz z za morza, uciuławszy w Ameryce nieco grosza, nabywał lot na pustkowiu. Po dziesięciu latach gdy grunta podniosły się w cenie, stawał się względnie bogatym, dzięki rozwojowi ekonomicznemu. Cóż dopiero mówić o przebieglejszym amerykaninie lub niemcu? Ci, ulokowawszy szczęśliwie kapitalik, budzili się pewnego pięknego poranku milionerami. Przeszłość to niedawna, jeszcze żyje w pamięci ludu! Obracając się pomiędzy swoimi, wciąż słyszę: ten grubas dorobił się z niczego kilku domków, tamten, niegdyś płacąc po parę dolarów miesięcznej raty, posiada do dziesięciu tysięcy majątku. Przykłady takie działają zachęcająco i podniecają ducha spekulacyjnego. Chowania pieniędzy w skrzyni nie zna nawet najbiedniejszy, odkąd stąpa po „nowym kraju.“ Ogarnia go szał spekulowania ziemią. Jeszcze nie dowiedział się o istnieniu Św. Dżulaja, jeszcze nie może dać sobie rady z „szelągami“ i „talarami“ amerykańskimi, a już wie, że na lotach porobiono majątki. Skoro zebrał kilkanaście dolarów, zaczyna grać na tej giełdzie. Wchodzi w umowę z agentem, płaci 20—30 dolarów zaliczki za wybraną sadybę i zobowiązuje się uiszczać stałą ratę tygodniową z zastrzeżeniem, że jeśli nie wniesie jej w terminie właściwym, traci prawo do nabytego kawałka. Zupełnie tak samo kupują u nas maszynę do szycia. Następnie, w ten sam sposób na wypłatę, nabywa domek, rozmiarów niewielkich, do którego z czasem przybudowywa inny. Oczekuje teraz, aby los mu się uśmiechnął i cena lotu poszła w górę.

Namiętność ta jest bardzo na rękę różnym agen-

tom, którzy ciągną sowite zyski ze swego pośrednictwa. W każdej z gazet amerykańskich, w niemieckim, polskim, czeskim, czy jakimkolwiem języku, zawsze znajdziemy sążniste ogłoszenia. Jedno sili się wyzyskać stronę patryotyzmu i oznajmia, że w parku Bismarka sprzedają się loty, godne swej nazwy, inne donosi, że w danej okolicy wkrótce ma powstać parę dużych fabryk i ludziska znajdą tam dobrze wynagradzaną pracę, kawałki zaś ich staną się kopalnią złota. Styl reklam lichy, szalbierstwo wygląda z każdego wyrazu, ale niestety pająk zna dobrze swoje muchy. Wie on, że im więcej obiecuje lub szumniej przemówi do serca, tem chętniej będzie słuchany. Prostak domyśla się, że go okłamują, ale najprzód są uczucia, którym nie zdoła się oprzeć — „park Bismarka! może obełguje szelma, ale to zawsze park Bismarka...“, powtóre, słysząc dokoła fałszywe przyrzeczenia, rozumuje sobie, że ten jeszcze najwięcej dotrzyma, kto najwięcej obiecał.

Niekiedy zjawiają się inni spekulanci. W ciągu paru tygodni słyszę o emigracyi na zachód. Jeden z młodzieniaszków, świeżo przybyły do nowego kraju, równie bezczelny jak chciwy, wyznał mi o co chodzi Namówię rodaków do Waszyngtonu, tam założę kolonię, sprowadzę księdza, zbuduję kościół i plebanię i wtedy sprzedam kawałki swoje, które będą leżały tuż przy kościele. Reszta niechaj sobie robi co chce...

* * *

Stanęliśmy u celu naszej wycieczki. Rozsypujemy się na polu, oprowadzani przez agentów. Pustka kompletna! Trawa tak sucha, że gdyby rzucono zarzewie,

okolica stanęłaby w ogniu. Na widnokręgu coś szarzeje, to miasteczko. Pole porznięto, tu i owdzie napisy na tablicach: „sprzedane!“ W jednem miejscu deska z olbrzymią reklamą. Udaję się za agentem rodakiem. Gromadce swojej opowiada on o widokach na przyszłość. Miasteczko pobliskie rośnie, fabryka w niem sadowi się po fabryce, kiedyś dojdzie ono aż do lotów. Ludziska będą mieli dobry zarobek. Agent radzi kupować z całego serca, „bo co ziomek to nie niemiec!“ Trzeba się spieszyć, twierdzi, potem będzie już za późno. A kto pierwszy kupi, ten nie pożałuje. Ten i ów niedowierza, rozpytuje się o szczegóły, wyraża wątpliwości. Ale pewna siebie mina agenta rozprasza niewiarę. Niektórzy gorączkują się na dobre. Gdy inni odchodzą, aby naradzać się z sobą, lub oglądają loty, czy też zmęczeni upałem, kładą się spać na trawie, gorliwsi badają pośrednika, który obciera ręką pot z czoła i nie przestaje udzielać informacyi.

20 września, Chicago, city.

Jestem w bibliotece imienia Newberry, ażeby otrzymać wskazówki, dotyczące prądu uniwersyteckiego. Nie skończyły się jeszcze wakacye, a zatem wykładów niema. Ktoś silnie trzęsie moją rękę, rad żem zainteresował się tą sprawą. Nie czcze komunały płyną z ust jego. Wyraz twarzy świadczy, że mam do czynienia z entuzyastą, który ukochał swoją ideę. Prowadzi mnie do maluchnej izdebki na górze, prosi siadać— niema na czem. Radzimy sobie jakoś, ja lokuję się na biurku, mój gospodarz na pace książek. Usiedzieć je-

dnak nie może, tak go rozmowa gorączkuje. Co chwila podnosi się, ażeby wyszukać jakiś świstek. W postawie apostoła odczytuje ustęp z broszurki:

„Stare przysłowie o wszechmocy pióra nigdy nie zawierało w sobie takiej prawdy, jak obecnie. Podczas wieków średnich ludzie wypowiadali się czynem fizycznym, za pomocą dzidy i miecza. Abecadło uchodziło za narzędzie czarnoksiężników. Później wzrosła w potęgę władza krasomowców. Był czas, kiedy rozprawy w izbie gmin wywierały więcej wpływu aniżeli pisarz. Dzisiaj epoka wojownika i epoka krasomówcy minęły. Tylko temu dają posłuch w wieku XIX, czyje książki czytają. Kto uczestniczy w tygodniowych ćwiczeniach prądu uniwersyteckiego, ten zdobywa umiejętność wykazania swojej indywidualności i oddziaływania na innych.“

Skończył i patrzy, jakie wrażenie wywarła na mnie apoteoza działalności popularyzacyjnej. Widać, że ta frazeologia podoba mu się bardzo. Nauczyłem się grzeczności amerykańskiej, wtykam więc *Allright*, tak jakgdybym stawiał punkt na końcu zdania. Rzecz więc załatwiona. Przechodzimy do innych szczegółów. Dowiaduje się, że w ubiegłym roku szkolnym, pod kierunkiem fundacyi imienia Newberry, odbyło się aż dwanaście kursów, każdy w sześciu odczytach, że wydano na to do 13 tysięcy biletów. Kto chciał, tego w końcu kursu egzaminowano piśmiennie. Mój gospodarz wyciąga z szuflady arkusz hektografowany. Są to pytania egzaminacyjne o literaturze angielskiej z ostatnich czasów, ściślej zaś o czterech powieściopi-

arzach: Dickensie, Thackerayu, Austenie i Elliocie. 'rzytoczę kilka:

...3. Opisać właściwości humoru Austena.

5. Różnice pomiędzy tymi pisarzami w przedstawieniu scen życia wiejskiego.

6. Jak należy rozumieć cynizm Thackeray'a.

9. Jak trzeba tłómaczyć pozorne wygórowanie harakterów i opisów u Dickensa.

12. Właściwości czterech beletrystów co do wyboru bohaterów? W przedstawieniu jakich warst społecznych każdy z nich celuje...

Słuchacz posiada *syllabus* drukowany, w którym najduje wzkazówki. Raz na tydzień słyszy wykład, treszczający to, o czem czytał. Ma prawo na nim przedtawić swoje wypracowanie na jeden z tematów, dotyzących poprzedniego odczytu a wskazanych w przewodniku.

Po ukończeniu kursu pisze w domu swoim ćwizenie na cztery z powyżej podanych pytań. I to wszytko kosztuje go półtora dolara! Mój entuzyasta pokazuje mi nawet bilety i wtajemnicza w kwestyę, jakie ormy dla dowodów są najodpowiedniejsze. Zmierzch zagląda do pokoju, a on jeszcze wyciąga świstek po świstku, *syllabus* po *syllabusie* i czyta głośno.

21 września, Chicago, city.

Jeszcze w kraju słyszałem, że, po drugiej stronie Atlantyku, ludzie wyprawiają z domami najrozmaitsze dziwy. Opowiadano, że na ulicach można widzieć dom murowany, przesuwany z jednego miejsca na drugie

na odległości niekiedy kilku mil. Opowieści te brzmiał dla mnie nieprawdopodobnie. Wzruszałem ramionam uważając przenoszenie paropiętrowych kamienic za je dnę z licznych bajek o Ameryce.

A jednak wieści tego rodzaju okazały się jakna prawdziwszemi! Amerykanie przenoszą dwupiętrow kamienice z jednego końca miasta na drugi, niekied budują je w odpowiednim warsztacie, później jak szew u nas odsyła buty do domu kundmanowi, podobn majstrowie murarscy czynią z domami. Na wsi amery kańskiej całe fermy tak wędrują z warsztatu do sie dziby rolnika.

Ale oglądałem przenosiny tylko małych drewnia nych gniazd ludzkich, zwykle parterowych. Wreszci dzisiaj, podczas jasnego dnia, udało mi się ujrzeć prze prowadzkę dwupiętrowej kamienicy. Tak, prawdziw kamienica. Pod dom, u dolnego zrębu, wstawiono o brzymie łyżwy, wzdłuż ulicy ułożono pomost, po któ rym toczą się walce, na nich dom odbywa podróż d miejsca przeznaczenia.

A jednak zjawisko to jest rzeczą bardzo prost Struktura bowiem murowanego domu w Ameryce je zgoła inną niż u nas. To istotny szkielet, nadający si dobrze do mnóstwa machinacyi, o jakich nie mamy po jęcia. Kamienica zamorska jest klatką, zbudowan z żelaza lub drzewa i oklejoną cegłą albo terakot Rusztowanie jest mocne i nie rozlezie się, jeżeli paro piętrową klatkę podniesiemy z fundamentu i umieści my ją na innem miejscu.

22 *września, Chicago, city.*

Na murach i parkanach Chicago można codziennie glądać olbrzymie, już nie łokciowe ale wprost sążnio-re plakaty, mieniące się najjaskrawszemi barwami. Za-niast liter, malowidła: dziewczęta pląsają na łące, męż-zyżni boksują się, ogień objął wnętrze domu i z okien ucha długimi językami, zastygła krew czerwienie-e na ofiarach mordu. Treść bywa zawsze „straszną.“ Pociąg kolejowy w pełnym rozpędzie wjeżdża na most, który stoi w płomieniach; przerażeni pasażerowie tło-zą się do okien, jakaś kobieta spuszcza się na dół po inie, przyczepionej u baryery. Tam, nad przepaścią, ziejącą czarną mgłą, z jednej krawędzi na drugą zwie-sił się żywy pomost: z ludzi, poprzeplatanych nawza-em jako ogniwa zwartego łańcucha, po tej zaś kładce dziewczę ratuje się ucieczką. Jeszcze na innej zamalo-wanej płachcie wysoka baszta sterczy nad wściekle uderzającą o skały tonią morską; na jej wierzchołku kilka postaci w ogromnych kapeluszach wygraża sobie nawzajem sztyletami, kobieta na klęczkach czołga się przed zbójem, który trzyma ją jedną ręką, w drugiej zaś unosi nóż; ktoś spada z wieży, zrzucony do wody... Takie tematy przemawiają do oka z każdego zaułka gdzie na murze znalazło się dosyć miejsca na przykle-jenie parołokciowej płachty. To reklamy teatrów ame-rykańskich.

Teatr zamorski jest na wskroś przybytkiem pry-watnego *businessu*, który puszcza w ruch takie same sprężyny, jak wszelki inny geszeft. Każda nowa sztu-ka jest w ciągu wielu tygodni roztrąbywana na komi

nach, parkanach, oknach szynków, w postaci malowide przedstawiających najefektowniejsze ustępy w bar wach jaskrawych, niekiedy z dodatkami, obcymi utwo rowi. Nieraz na murach widzimy portrety artystów, wy stępujących na scenie. Największa nawet znakomitoś nie uniknie losu ozdabiania swym wizerunkiem parka nów amerykańskich. Może nigdzie niema tak wdzię cznego pola do obserwacyi tego, jak ujemnie *busines* oddziałał na scenę. Niegdyś marzono o tem, żeby z tea tru uczynić przybytek piękna, prawdy i moralności, zro bić go kazalnicą, która podniosła-by wyżej poziom ar tystyczny kraju. Rozumie się, żadnemu z amerykań skich robigroszów, którzy postanowili dorobić się ma jątku na teatrze, nie chodzi o to, aby sztuka uszlache tniała serca. Jedynym powszechnym ich zamiarem jes nabicie sakwy—za wszelką cenę. Jak truciciel szczu rów usiłuje wynaleźć truciznę, która-by najlepiej sma kowała natrętnym „robakom,“ tak samo postępuj władca desek teatralnych. Od czasu do czasu, w ja kimś wyjątkowym teatrze, ukazują się utwory pierwszo rzędnych talentów — dla specyalnej publiczności, al to wypadki, względnie rzadkie. W zasadzie zaś naj częściej grywają sztuki niewybrednej treści, lecz schle biające upodobaniom szerokich kół ludności.

Poznać repertuar amerykański to znaczy zrozu mieć smak artystyczny tłumów zamorskich. Ponieważ przedsiębierca ma na widoku jedynie interes pieniężny, przeto „ulica“ jest bezwzględnym panem, teatr grywa tylko rzeczy, mogące zwabić licznych widzów.

O smaku artystycznym za Oceanem dają pojęci

nasze teatrzyki na polu Mokotowskiem. Zamiast sklejonej z desek budy, wyobraźmy sobie wielopiętrowy gmach, wielką scenę i przewyborną maszyneryę. Wogóle Mokotów wciąż przemawia do nas w objawach kultury zamorskiej. Rinaldyni, rozwałkowany na dziesięć aktów a dwadzieścia odsłon, przepełniony okropnościami, taką jest treść sztuki, t. j. większości sztuk. Bohater bywa wrzucany do przepaści, skacze z płonącego mostu w nurty rzeki, ucieka niby zwierz w kniei, osaczony przez rzezimieszków i zbójów. Co chwila spodziewać się wypada, że ot! niechybnie już zginie. Lecz Opatrzność czuwa. Wychodzi zwycięzko ze wszystkich niebezpiecznych matni, zdobywa majątek i w dodatku poślubia piękną, młodą panienkę. Sztylety, olbrzymie kapelusze, zbójeckie płaszcze stanowią nieodłączny szczegół dobrej sztuki. Ale, bądź co bądź, czujemy po za tymi efektami zdrową, chociaż niewykształconą naturę publiczności. O wyuzdaniu, jakiego widownią są ogródki Europy, niema mowy. Amerykanin nie smakuje w zepsuciu erotycznem, towarzyszącem zwykle słabym organizmom. Zresztą nie zbywa na nieprzyzwoitości, ale podobnej do wybryków dziesięcioletniego malca, który uparł się, na złość ciotce, sypać przy obiedzie popisami swojego humoru. Jest wszystko prócz lubieżności.

Jak rzeczy stoją gdzieindziej na przestrzeni Stanów Zjednoczonych, niewiem. Sądzę, że w Bostonie, Filadelfii, wogóle nad Atlantykiem, smak musi być bardziej wyrobionym.

24 września, Chicago, city.

Ilekroć zachodzę do gmachu, w którym wyznawcy najrozmaitszych religii obradują, zawsze oglądam ten sam widok. W korytarzach trudno się przecisnąć. Przy drzwiach, prowadzących do sali odczytowej, tłok kompletny. Setki osób oczekują chwili, kiedy odczyt się skończy i drzwi uchylą się, ażeby wpuścić stojących. Na ścianach ogłoszenia o wydawnictwach religijnych, przy stolikach sekty wtykają przechodniom do ręki swoje dogmaty. W sali równie tłumno. Niekiedy bywa ona przybytkiem niekłamanego entuzyazmu. Z wielu takich chwil pamiętam przewybornie jedną. Na mównicy zjawił się arcykapłan sekty japońskiej, w jaskrawych a powiewnych szatach, z infułą na głowie i szyntojską monstrancyą w ręku. Zaczął dowodzić, że ludzkość jest jako gromada turystów, wdzierających się na wierzchołek góry różnemi drogami. Każdy spina się po innej ścieżce i inne widoki ma przed okiem, lecz wszyscy kiedy staną na wierzchołku, ujrzą to samo. Podobnie różne szczepy dążą do tej samej prawdy w zakresie religii. Zaledwie skończył a już amerykanki polazły na estradę, ażeby publicznie otrzymać błogosławieństwo od poganina. Arcykapłan japoński je wycałował, na co bohaterki odpowiedziały łzami rozczulenia, publiczność zaś rzęsistymi oklaskami.

25 września, Chicago, city.

Amerykanka zasługuje na wyczerpujące studyum, tak dalece różni się od kobiety naszego lądu. Udział

jej w życiu publicznem jest znaczny. Ktoś uczynił dowcipną, ale tylko dowcipną uwagę, że amerykanka tylko dlatego bierze tak żywo do serca sprawy ogólne, ponieważ w domu stała się nieznośną sekutnicą. Biedny mąż, nie wiedząc co robić z tym chodzącym przybytkiem przekorności, chętnie wypycha ją na forum publiczne, rad, że za tę cenę zdobywa sobie spokój w domu. Przyczyny nie odróżniono tutaj od skutku. Kobieta tylko wtedy jest nieznośną w domu, kiedy utraciła cnoty dawnej prababki i nie chce poprzestawać na tym strumyku wrażeń, jakich dostarcza ognisko rodzinne. Mąż, zaniepokojony objawami buntowniczego usposobienia, pragnie jaknajmniej z nimi się spotykać. Zresztą jest to na razie rzeczą małej wagi, jakie pobudki sprawiły, że amerykanka posiada inne wymagania i inną rolę odgrywa w życiu społecznem. Rozmiary zdobytych praw, zajęte przez nią stanowiska, spełniane obowiązki, wszystko to ani na jotę nie ulegnie zmianie od odpowiedzi, kto ma za sobą słuszność: czy ów dowcipniś, lub ci, którzy są innego zdania o kobiecie zamorskiej.

A trzeba przyznać, że amerykanka odbiegła daleko od naszych wzorów. Na ławach wyższych zakładów szkolnych stanowi ona nader wielki procent, bodaj czy nie znaczniejszy niż mężczyźni. Przeważa wśród grona pedagogicznego, nawet na najwyższych szczeblach spotykamy profesorów matematyki w spódnicy. Kobieta stanowczo zagarnia w swe ręce berło nauki i sztuki, wówczas kiedy mężczyzna tępieje uczuciem, a może umysłem, w pogoni za wszechmocnym do-

larem. Rutynistom ze starej części świata, którzy w żaden sposób nie mogą pogodzić się z myślą, ażeby białogłowa była zdolną do czegoś po za kuchnią i marnotrawieniem mamony na gałganki, radził-bym przepłynąć Atlantyk i przyjrzeć się stosunkom, jakie panują tutaj. Na dalszym zachodzie kobieta wygląda jeszcze dzielniej. Tam zdobyła w niektórych okolicach prawo wyborcze, o jakie dopomina się dość energicznie w innych zakątkach swojej ojczyzny. Na swoje rozporządzenie posiada ona argumenta wymowne. „Dajecie— mówi ona — prawo głosu ciemnym i niewyrobionym przybyszom, którzy nieumieją niekiedy wybełkotać porządnie po angielsku zdań kilka, nie znają uderzeń serca na wspomnienia naszej przeszłości, ani nie odczuwają naszych potrzeb kulturalnych. A przecież ci przybysze, nie posiadający najmniejszego pojęcia o naszej konstytucyi, wyrokują o naszych losach, rozstrzygają, sprzedawani przez swoich prowodyrów, niby trzoda baranów, o zwycięztwie, tej lub innej partyi. Tymczasem my wykarmiłyśmy się mlekiem naszej przeszłości, serce nasze uderza silniejszem tętnem, kiedy usłyszymy melodyę narodowego hymnu. Czemuż więc myśmy wzgardzone, córy naszej ojczyzny, przybysze zaś wyniesieni?“

Kto coś ma odpowiedzieć, niech wystąpi.

3 października, Chicago, city.

Pusto i bezludnie dokoła uniwersytetu chicagoskiego. Otacza go jeszcze dawna prerya, pokryta w obecnej chwili suchą trawą. Ulice przyległe niebru-

kowane, miejscami braknie chodników, gdzieindziej ciągną się one pomiędzy chwastami. Wśród pustki wznosi się już kilka wielkich budynków. To hale uniwersyteckie. *Alma mater* wyrosła w ciągu lat trzech, dzięki opatrzności prywatnej. Sypnęli groszem zamorscy bogacze, niekiedy odznaczający się niezmierną szczodrością. Na lądzie amerykańskim co krok oglądamy dzieła ich hojności. Dary, składane na ołtarzu dobra publicznego przez plutokracyę europejską, nie wytrzymują porównania z ofiarnością zamorską. Geszefciarz amerykański drze niemiłosiernie jeśli może, ale też hojnie rzuca pieniądze na cele filantropijne i naukowe. Jest w Stanach Zjednoczonych niejaki Rockefeller, wielki szwindler, który zrujnował dziesiątki współzawodników i na ich bankructwie oparł swój dobrobyt. Żadnym fortelem nie gardził, wszystkie były dobre, byleby prowadziły do celu. Królik ten plutokratyczny ofiarował z górą trzy miliony rubli, inny, niejaki Field, *drygoods*, *king*, t. j. właściciel olbrzymiego handlu detalicznego, równie dał coś około tego. Inni dorzucili resztę — wszystko na wybudowanie wszechnicy. Potężny dolar dokonał cudów. Tam, gdzie przed paru laty rosło tylko zielsko, dzisiaj wznosi się mnóstwo budynków dość przyjemnej powierzchowności. Leżą one dość daleko jedne od drugich; łączy je tylko chodnik, urządzony wśród preryi. Tu i owdzie parę drzew. Jest to ośrodek przyszłości, wzniesiono dopiero hale najpotrzebniejsze.

* * *

Wykład tylko co się skończył. Z hali Cobba, do

której mam interes, wyłania się potok młodzieży, urozmaicony obecnością kilku osób w podeszłym wieku. Koleżanki stanowią zastęp znaczny, sądzę, że część trzecią lub czwartą. Wreszcie przedostaję się do wnętrza. Biuro sprzedaży *syllabusów* zamknięte. Chodzę więc po korytarzu i przyglądam się ogłoszeniom. Na ścianie wiszą plany wszechnicy, jak będzie wyglądała po zupełnem ukończeniu. Rozproszone budynki, wznoszące się teraz w pustkowiu, utworzą zwarty czworobok, przerznięty w pośrodku podobnie spójnym rzędem gmachów. Są tam domy dla studentów, obliczone na paruset lokatorów, każdy mieszkaniec będzie miał niewielki pokoik z alkową. Urządzona zostanie kuchnia pod dozorem komitetu, wybranego na ogólnym meetyngu słuchaczy; będą domy dla klubów i zabaw, słowem kompletne miasto studenckie.

Idę dalej i odczytuję druki na ścianie. Klub atletów zawiadamia swoich członków, że tego to a tego dnia odbędzie się walne zgromadzenie, klub gry w piłkę zaprasza na zabawę. Pewna *lady* ogłasza, że w takim to dniu będzie przemawiała do studentów w głównej sali. Treści odczytu nie podano, z czego wnioskuję, że musi to być jakaś znakomitość, kiedy samo już nazwisko wystarcza. Postanawiam obejrzeć też aulę i zapuszczam się w głąb korytarzów. Spora sala, ale bez powagi, jaka panuje w starych wszechnicach Europy. Budową swoją przypomina zwykłą budę jarmarczną, w której pajace popisują się dowcipami. Rzędy foteli, na środku pianino, na którem właśnie brząka jakiś wychowaniec w kapelu-

szu na głowie, paru innych żywo gestykuluje, równie w kapeluszach. Na fotelach leżą książki, elegancko oprawne. Są to zbiory hymnów religijnych. Aula służy niekiedy za salę do praktyk pobożnych. Może owa *lady* będzie kazała na temat biblijny...

* * *

Otworzono kantor. Wzdłuż ścian pułki z książkami, na stole nowości. Studenci kupują różne rzeczy, ten przychodzi po papier, ów wybiera stalówki. Rzecz prosta, uniwersytet posiada własną księgarnię, która nabywa ryczałtem materyały szkolne i odstępuje swoim wychowańcom po cenie kosztów. Kupuję parę *syllabusów*, ale po inne wydawnictwa odsyłają mnie do departamentu popularyzacyjnego. Na tym samym korytarzu parę drzwi dalej. Sekretarza niema, bywa dopiero o szóstej, *miss* dwudziestoletnia załatwia sprawy bieżące. Od podłogi aż do sufitu piętrzą się pułki, napełnione świstkami i broszurami. *Miss*, jak wszystkie amerykanki, ciekawa i naiwna, entuzyastka działalności naukowo-apostolskiej i patryotka amerykańska do szpiku kości. Rozmowa nasza skacze: z Chicago do Warszawy, od miłego charakteru sekretarza, o tej godzinie nieobecnego, do przyjacielskiej rady, ażebym nie lenił się i wziął do serca przykłady wielkiej rzeczypospolitej zamorskiej. Co chwila świstek jakiś przybywa do pliki papierów, dla mnie przeznaczonych. Rzekłbyś: szczur, który wyciąga wszystko co tylko zdoła. Czy sekretarz będzie rad temu, zaprawdę nie wiem. Niewszystko dobrze rozumiem, co *miss* powiada, tak prędko udziela informacyi. Wspomina o *Hull-House*

w Chicago, to osada społeczna, w której ten i ów z jej znajomych przebywa, ażeby pomiędzy ludnością okoliczną szerzyć smak artystyczny, przyzwyczajać ją do życia klubowego, przyuczać do wzajemnej pomocy i zbiorowej działalności. Z instytucyą tą jakoś połączyła moja interlekutorka odezwę, którą mi wsuwa do ręki: wezwanie, ażeby sąsiedzi tworzyli spółki celem kupna węgli, mleka i wogóle wiktuałów. Role nasze są dziwne, młoda amerykanka jakby mnie łajała, że jestem opieszały, ton jej mowy jest takim, jakim matka udziela admonicyi synowi za lekkomyślność. Rozstajemy się jako przyjaciele, na pamiątkę notuję jej swoje nazwisko na kartce papieru i obiecuję, że napewno złożę wizytę sekretarzowi. O! on żyje jedynie pracą nad rozpowszechnianiem oświaty, słyszę na odchodnem...

5 października, Chicago, city.

Na ulicy Halsted. obok jednego z podrzędnych teatrów, *miss* wtyka mi do ręki świstek reklamowy. Czytam przy świetle latarni: ktoś będzie popisywał się śpiewem w salach teatrzyku, wejście bezpłatne.

Teatr sporych rozmiarów, elegancko i wygodnie urządzony. Zamiast krzeseł pół fotele, sala przedstawia rodzaj amfiteatru, każdy następny rząd krzeseł wznosi się wyżej od poprzedniego. Dokoła stołu na estradzie kilka osób: parę skromnie ubranych dam, młoda amerykanka kręci się przy pianinie, wysoki mężczyzna w zaniedbanym ubiorze stoi z rękami na krzyż złożonemi i bacznie przygląda się napły-

wającej publiczności. Coraz więcej osób gromadzi się w sali. Przy mnie siedzi matka z dwoma podlotkami, strój świadczy, że rodzina posiadać musi spore dochody. W poprzedzającym rzędzie zajęło miejsce paru staruszków, pomiędzy których wkręcił się ulicznik i wyróżnia się arcy-poważną miną. Na twarzy jego znać zadowolenie, że rozpiera się w tak wygodnem siedzeniu. Dałej spostrzegam młodą przekupkę z koszykiem w ręku. Ktoś wchodzi z dużym koszem, zbliża się do każdego z obecnych i podaje mocno zużytą książkę, z podartemi, zabrudzonemi stronicami i pozaginanymi rogami. Biorę do ręki upominek. To zbiór śpiewów religijnych. Psalm idzie po psalmie, hymn po hymnie, każdy oznaczony kolejną cyfrą. Przy słowach znajduje się melodya. Teatr—bezpłatne wejście—śpiewnik religijny, cóż to będzie? Niedługo czekam na rozwiązanie zagadki. Ów jegomość w zaniedbanym ubiorze wstępuje na mównicę, bierze do ręki książkę i głośno komenderuje: taki to a taki numer. Zapatrzony, nie zdołałem dosłyszeć komendy. Publiczność wyszukuje hymn w śpiewniku; *miss*, znajdująca się przy pianinie, grać poczyna, a ów ktoś intonuje śpiew, powtarzany chórem przez obecnych. Brzmi melodya śmiała, wojownicza, raczej stworzona do marsza. Dźwięczą w niej znane mi tony. Ach! to melodya z paryskiego bruku, śpiewana na Père-Lachaise, w dniu 18 marca. Kto u kogo ją pożyczył? Niema wątpliwości! Purytanie musieli z tą melodyą religijną iść do boju, czasy nowożytne podłożyły w Europie treść inną, ale po tamtej stronie Atlantyku szata religijna jeszcze nie

opadła. A kiedy hymn skończono, rozpoczęto na komendę drugi, trzeci...

Publiczność wciąż napływa. W chwilach kiedy drzwi się otwierają, słychać okrzyki rozdających swistki reklamowe.

Upływa kwadrans jeden, drugi. Zmęczony bieganiną po mieście, z przyjemnością odpoczywam w wygodnym fotelu, w sali, pełnej światła i powietrza. Melodye dobrze wybrano: nie chybiają one celu, bo niecą stan błogości. Zaczynam rozmyślać na duchową fizyognomią zebranego tłumu i własne wewnętrzne wrażenia przekładać na język obcej duszy. Wszystko to są udzie spracowani: jedni siedzieli nad pracą w kantorze, inni, jako subjekci, krzątali się po sklepach jeszcze inni biegali po mieście. Odpoczynek w wygodnem siedzeniu, przy dźwiękach stosownej muzyki i tonach chóralnego śpiewu, w oświetleniu niebieskawem lamp elektrycznych, zaczyna wywierać na mnie swoje wpływy. Czuję, iż przestaję być odrębną indywidualnością, zlewam się w współdrganiu nerwowem z nieznanymi współtowarzyszami w ową mistyczną, a jednak istotną jaźń duchową, którą psychologia, badająca objawy życia zbiorowego, ochrzciła nazwą duszy społecznej. Rozglądam się dokoła i spostrzegam, że inni rozpływają się także w ogólnym zachwycie. Można to wyczytać z twarzy, a im która jest bardziej zbróżdżona przedwczesnymi zmarszczkami i silniejsze nosi znamię spracowania, tem większą oddycha błogością. Religia tutaj działa na masy, uderzając o struny emocyonalne. Na razie milczy o dogmatach. Wprzódy

zdobywa ona uczucie, później zwraca się do rozumu. Bo śpiew chóralny jest tylko wstępem. Kiedy ekstaza nerwowa uczyniła już swoje, natenczas ów jegomość zaczyna mówić. Już z pierwszych słów widać dzielnego wirtuoza, który umie wygrywać na przygotowanej duszy zbiorowej i brać odpowiednie akordy. Bacznie spogląda na tłum i korzysta z wrażenia, jakie wywołał śpiew chóralny. „Śpiewajmy po pracy, bo śpiew wzmacnia ducha, uczy nas kochać bliźniego, każe zapominać o złych myślach. Śpiewajmy więc dużo, a razem!“ Później potrąca inne struny—natury moralnej, jeszcze później — dogmatycznej. Wzruszenie ogarnia publiczność, dogmat przez serce trafia do umysłu, przybrany w zachwyt emocyonalny. W oczach ukazują się łzy, ten i ów podnosi się z miejsca i porusza rękami w powietrzu. Narkotyk ekstazy zbiorowej działa.

A cóż dopiero dziać się musi na wielkich zborach-obozach, gdzie tysiące osób nawzajem siebie podniecają wśród woni łąk i lasów, upojenia słońcem i czystem powietrzem, muzyką i śpiewem?

11 października, Buffalo N. Y.

Na ulicach z prostych desek baraki. To przyszłe biura odbierania głosów. Kampania wyborcza rozpoczęła się na dobre i oba wielkie stronnictwa, demokraci i republikanie, walczą o to, które z nich owładnie sterem rządów miejscowych. Miasto oddycha polityką. Jestem w przejeździe i niemam czasu przypatrzeć się fizyognomii obecnej, a tembardziej sprawdzić tego, co

mi fama przynosi. Mam po szyję utyskiwań, że korupcya weszła do organizmu Stanów Zjednoczonych i toczy go w samem rdzeniu, że wielką rzeczpospolitą rządzi klika łapowników, którzy frymarczą dobrem publicznem. Nadmienić muszę, że obracam się w kołach inteligencyi wychodźczej, która w nowej ojczyźnie jest jakby kropla oliwy na powierzchni wody—nie zlewa się z jej żywiołem. Rada municypalna, to zgraja opryszków, która przed niczem nie cofa się, ażeby zapewnić zwycięztwo klice demokratycznej. Kluby, podczas wyborów, teroryzują ludność, fałszują rezultaty głosowania, ustanawiają improwizowaną policyę, która ma oko na swoich i na wrogów. A ów *boss* Crocker, wielki kacyk stronnictwa demokratycznego, to łotr, jakiego chyba dotychczas słońce nie widziało! Niegdyś członek jednej z band ulicznych, które wszystkiem trudnią się potrosze: od wyciągania sakiewek z kieszeni do opieki nad nierządnicami, później bokser szynkowy i właściciel podejrzanego „salonu,“ rzemiosła dawne zamienił na rolę arcyzbira politycznego. I opowieści o nadużyciach płyną po opowieściach... Ktoś pokazuje mi na ulicy mężczyznę. Nieuk, ale zręczny, cięty w języku, wyćwiczony w umiejętności mydlenia oczu. Zaczął od pozycyi prostego pionka i wznosi się coraz wyżej w hierachii partyjnej. Prosty wyżeł przed paru laty, dzisiaj ubiega się o stanowisko aldermana. Ktoś inny bierze rzeczy do serca spokojniej, chociaż osobiście oberwał guza w poprzedniej kampanii. Ale sam jest politykierem, więc tem samem zgadza się z losem walki. Wie, że kto wczoraj był na wozie, może znaleźć

się też pod wozem. Kiedy republikanie zwyciężyli, naówczas, przy podziale łupu publicznego, otrzymał był miejsce w urzędzie pocztowym; gdy demokraci wzięli górę, poszedł precz z innymi.

Gazety obrzucają wrogów wszelkiego kalibru pociskami. Przeglądam organy republikańskie. Rysunek przedstawia organizacyę demokratów, znaną pod nazwą *Tammany-Hall*, jako krwi chciwego tygrysa, jej przedstawiciele figurują tam, jako zbóje przydrożni, szefowie zamyślają o wskrzeszeniu starożytnej tyranii plebejuszów nad wszystkiem, co wyrosło po nad motłoch. Są oni zdrajcami kraju, bo przed każdymi wyborami stwarzają nowych obywateli, niemających pojęcia o konstytucyi kraju, i takich wandalów prowadzą do urny, ażeby rozstrzygali o przyszłości. Demokraci bowiem w takich chwilach na wielką skalę kupują głosy wychodźców; polityczna ich potęga, w okolicy jezior Wielkich, spoczywa na irlandczykach i polakach. Właśnie tylko co wyczytałem o jednym kandydacie, że podczas egzaminu, poprzedzającego przyjęcie, odrzekł, jako nad Ameryką panuje „cesarz“ Cleveland. Tego było zanadto i obywatelowi *in spe* kazano nauczyć się nieco konstytucyi nowej ojczyzny...

12 października, w wagonie kolejowym.

Rzadko kiedy zdarzyło mi się oglądać tak uroczą okolicę. Przed olbrzymiem oknem wagonu przesuwają się domki rolników. Chatki zwykle szarawej barwy. Nad niemi w górze różnej wielkości wiatraczki studzienne, opodal brudno-czerwonawe gumna kąpią się

w półmgle, przetkanej promykami porannego słońca. Każdy szczegół świadczy o zamożności. Kiedy niekiedy osada znika w gąszczu drzew owocowych, które ciągną się rzędami i otulają budynki, tylko strzecha unosi się po-nad tym przyodziewkiem z zieloności. Jeszcze częściej spostrzegam pola warzywne: na rżysku po kukurydzy czepia się uschłej łodygi owoc w rodzaju naszej dyni, tylko jaskrawo-czerwonej barwy. Może dlatego rzuca się tak w oczy i sprawia wrażenie, że jest uprawiany częściej niż w samej rzeczy, bo wzrok mój zatrzymuje się wciąż nad tym brzydalem. Czasami ułożono na ziemi sporą gromadkę tego krasnego owocu, widocznie na sprzedaż. Dom za domkiem, gaj owocowy za gajem, pola z czerwonemi a brzuchatemi dyniami uśmiechają się do nas i niebawem chowają, przyprószone im dalej, tem silniej lękkim całunem mgły porannej. A oko wyraźnie spostrzega, że to, co pozostało za nami w tyle, jakoś w dół się zapada. Nie myli się ono, jedziemy bowiem po wyniosłej pochyłości, oddzielającej jezioro Chautauquę od wielkiej macierzy wód, jeziora Erie. Pomiędzy jeziorami rozpostarł się wał, mający zaledwie dziesiątek mil angielskich szerokości, lubo różnica w poziomie jest znaczna, bo powierzchnia wód chautauquańskich wznosi się o 800 stóp po-nad toń eryjską.

Grunt jest coraz bardziej pofałdowany i dziksze widoki rozpościerają się zamiast niedawnej sielanki. Więcej a więcej wąwozów i pagórków, i częściej pokrywa je naturalna szata gęstwiny leśnej. Powaby przyrody splotły się z wysiłkami ręki ludzkiej i stwo-

rzyły z tego zakątka istny ogród, pół-dziki, pół-cywilizowany. A chociaż jesień wycisnęła już na okolicy swoje piętno, chociaż żółtawa purpura przebija się pomiędzy zielenią i liśćmi usłała murawę, przyroda zaś w ospałości swojej błaga o spoczynek, przecież osobliwy urok unosi się nad tą łagodnie poszarpaną przestrzenią. Im szerzej słońce rozprasza całuny mgły, z tem większą mocą czaruje ona turystę. Teraz coś błysnęło przed nami. To Chautauqua srebrzy się w dali, jeszcze spowita w tumanie.

12 października, Chautauqua, N. Y.

Zostawiliśmy za sobą Mayville i jesteśmy na miejscu, w owej Chautauqua, które imię na skrzydłach rozgłosu świat obiegło. Ale minęły dni świąteczne! Czujemy tu na każdym kroku, kiedy stąpamy po tej ziemi nowych wzorów i nowych zwyczajów. Z wrześniem nastaje cisza w tych gajach i na tych brzegach, które tak oryginalnem i hałaśliwem tętnią życiem w porze lipcowej i sierpniowej. Mytnik nie ściągnął z nas haraczu za wejście na grunta filozoficzno-atletycznego kiermaszu, któremu, ażeby znaleźć pokrewne urządzenia, musielibyśmy się cofnąć aż do igrzysk olimpijskich starożytnej Helady. Przed kilku tygodniami zoczylibyśmy bowiem przy wrotach cerbera. Wydał-by on nam kartę pobytu, ściągnąwszy, odpowiednio do zamierzonej gościny, mniejszą lub większą kwotę podatkową. Ale wkupne to posiada wiele przymiotów, bo naprzód niema przeraźliwych rozmiarów, wynosi na na miesiąc zaledwie parę rubli—istotny drobiazg przy

taniości pieniędzy w rzeczypospolitej zamorskiej. Jedyny to w swoim rodzaju haracz na globie ziemskim. Chautauqua wyznaje wspaniałą zasadę: każdy grosz, przez nasz uiszczony, daje nam przywilejów bez liku. Złożywszy ten okup, zyskujemy tem samem bezpłatne wejście na codzienne odczyty publiczne i koncerty, dostajemy prawo do stąpania w zbiorowych obchodach i dysputowania na wiecach, stajemy się obywatelami tego osobliwego obozu-uniwersytetu, jaki rozlokował się na tarasach, co pokryte zielonością i oświeżane powiewem z jeziora, tak uroczo przeglądają się w wodach, niby zakochane w własnej piękności.

Niestety, przybyliśmy o niewłaściwej porze. Gwar, który unosił się nad wzgórzami i rozlegał się się w gajach, zamarł, wielotysięczna rzesza, która na łonie przyrody tak osobliwie połączyła odpoczynek z nauką, gimnastykę umysłu z ćwiczeniami mięśni, życie nieraz na pół obozowe z dobytkami cywilizacyi, wróciła do zmudnej taczki życia codziennego. W Chautauqua pozostali jedynie ci, kogo do tego uroczego zakątka przykuły warunki bytu. Stali mieszkańcy patrzą na mnie z podziwem, po co do tych miejsc przywędrowałem, kiedy już wszyscy dawno odlecieli i jak Marek po piekle, tak tułam się wśród ciszy i przyglądam pustym halom. Ale nawet te pustki pociągają mnie ku sobie! Milczą, przecież w swem milczeniu składają jeszcze tak wymowne świadectwo... Tylko co minąłem lekki budynek, służący za halę muzyczną. Stylem swoim przypomina mi ona domki szwajcarskie. Dokoła galerya, nad nią miejscami druga. To konserwatoryum

letnie, prowadzone według trybu amerykańskiego, to znaczy w sposób mocno odróżniający się od rutyny wykładowej w Europie: prócz lekcyi muzyki i odczytów o jej historyi, teoryi i wpływach, hala zajmuje się urządzaniem koncertów publicznych i pochodów muzykalnych podczas sezonu obozowego. Mijam jeszcze drugi i trzeci budynek, każdy o odmiennej architekturze: ta hala ubrała się w szaty doryckie, inna przypomina mi nasze kościoły małomiasteczkowe, dwie niby wieże z kadłubem pośrodku patrzą się na mnie. A wszystko kąpie się, t. j. musiały się kąpać w zieloności. Jeszcze obecnie murawa jest utrzymana niby kobierzec salonowy, drzew wszędzie bez liku, osada wygląda jak gdyby była wybudowana w leśnym parku. Coś w rodzaju Otwocka, mnóstwo mniej lub więcej kształtnych domków rozproszonych w gęstwinie leśnej i nad wodami jeziora. Gdybym puściwszy wodze fantazyi, przedstawił sobie w umyśle miasta dalekiej a szczęśliwszej przyszłości, to właśnie wyobraziłbym je sobie nie w innej postaci. Płód rozigranej fantazyi występuje tutaj jako drgająca życiem rzeczywistość. Park zaś nie wstydzi się swego pochodzenia. Na każdym kroku otwarcie przyznaje się do tego, że jest dawnym borem, przez który przeprowadzono ulice i uliczki, w którym pobudowano domki i wille, gdzieniegdzie zaś wytrzebiono większe place, wszędzie zaś zręcznie uporządkowano, chociaż nie zgwałcono, porywy dawnej wolnej przyrody.

Błąkam się rzekomo bez celu w tem rozrzuconem a bezludnem miasteczku. Oko z przyjemnością kąpie

się w nieładzie, w jakim pozornie stoją domki, po większej części drewniane i bardzo skromne, chociaż tu i owdzie nie braknie wspanialszej willi. Ulice przeniewierzają się aż nazbyt zasadom przyzwoitej prawidłowości, budynki usadowiły się w różnem od siebie oddaleniu, te stanęły rzędem nad tonią jeziora, tamte wstydliwie kryją się w gąszczu, każdy zaś współubiega się z innym o głębszą ciszę i piękniejszą zieloność. Uliczka, może godziłoby się powiedzieć: dróżyna, opatrzona drewnianym chodnikiem, biegnie pomiędzy drzewami i chowa się w lesie i tam wije się i skręca wężykowato od domku do domku. Idziemy po niej. Strumyk szemrze w gęstwinie zlekka ucywilizowanej, zręczny mostek z pniów, zalotnie naśladujący nieokrzesane kształty wiejskiej kładki z poręczami, cisza leśna, jędrne, świeże powietrze... Woda płynie u dołu z cichym pluskiem, a w tym szmerze wyobraźnia chwyta echa gwarnych korowodów nad ruczajem, i deklamacyi, zmieszanych z dysputami filozoficznemi, i szeptów miłosnych. Przyrodzie zostawiono jej wdzięki naturalne i nie ośmielono jej znieważyć tresurą koszarową. Swawoli ona jak smarkacz amerykański, któremu wolno nabić sobie guzów bez liku na łbie, byleby tylko samej głowy nie roztrzaskał. Oparty na poręczy mostku, wypatruję, czy z po-za drzew nie bieleją płócienne namioty. Wiem, że ich niema, lecz łudzę się nadzieją, że może zoczę niedobitka. Bo te paręset domków, z jakich składa się Chautauqua, nie wystarczają na potrzeby rzeszy, która podczas lata napływa z dalekich okolic, ani nie zawsze przypadają do gustu letnikom, któ-

rzy znalazłszy się tutaj, chcą nacieszyć się przyrodą. Przedsiębiorcy budują obozy, złożone niekiedy z setki i więcej namiotów. Na ziemi ułożona jest z desek podłoga, nad nią rozpięto nieprzemakalne płótno, prosty stolik, łóżko żelazne i bujający się fotel stanowią całe umeblowanie. W pośrodku stoi drewniany barak z werendą, to restauracya. Może wygodniś nie będzie zadowolony w takim obozie, niejeden z swojskich letników pogardliwie wykrzywi usta na taką poziomość gustów, ale amerykanin nie zważa na przesądy, ani nie obawia się prostoty. Organ miejscowy daje rady przewyborne: „lęka się ktoś drobnych niewygód, niechaj w domu siedzi!“ „zabierajcie z sobą co najlepsze pledy, jezioro bowiem leży 1,200 stóp nad poziomem morza i bywa tam czasami zimno nawet w sierpniu!“ Obozowy tryb życia stwarza taniość, utrzymanie kosztuje na tydzień zaledwie pięć dolarów, co przy stopie zarobku za morzem odpowiada tylu naszym papierkom. A kto rozporządza środkami pieniężnymi, w olbrzymim hotelu *Atheneum* może znaleźć wszelkie wygody. Ludzie wszelkiego stanu i położenia, *all sorts and conditions of men*, znajdują w Chautauqua odpowiadającą swojej zamożności i swoim skłonnościom strzechę nad głową.

* * *

Kultura zamorska posiada w sobie sporo takiego, co wychuchany zdechlak ochrzciłby mianem prostactwa. Oko ogląda tam niejednokrotnie namioty w uroczych zakątkach: nad jeziorami, w gąszczu leśnym, na wysepkach. Na upartego w niejednym z takich obozów

ujrzałoby wieczorem w pośrodku proste ognisko. To yankee używa wczasów na łonie przyrody. Niekiedy szkoła na parę tygodni wynosi się pod gołe niebo studyować naturę. Naprzykład akademia w Rochesterze ucieka do kniei na ośm tygodni, połowę tego czasu obozują chłopcy, drugie pół—dziewczęta. Przepisy nakazują młodzieży spędzać cały czas na świeżem powietrzu i ćwiczyć swoje mięśnie. Kilku nauczycieli kieruje musztrą, gimnastyką, boksowaniem, nauką pływania; odbywają się systematyczne wykłady geologii i biologii, zdejmowania pomiarów i fotografowania. To czasami tysiąc osób i więcej wynosi się do gajów tonąć w zachwycie mistyczno-religijnym: słuchają one tam kazań, śpiewają hymny pokutne, wywołują w sobie dreszcz skruchy. Niekiedy taki *revival* liczy do dziesięciu tysięcy uczestników.

Z podobnych namiotów narodziła się Chautauqua. Knieje ciągnęły się jeszcze przed laty trzydziestu na tych wzgórzach, po których stąpamy. Komuś z pośród metodystów spodobała się okolica. Zwołał współwyznawców na ćwiczenia religijne. Obok rozpamiętywań urządzono wykłady o Biblii dla nauczycieli, pracujących w szkółkach niedzielnych. Powtórzono zbory pod gołem niebem w drugim i trzecim roku na coraz większą skalę, do wykładów z Historyi świętej dodano kurs pedagogiki. Aż wreszcie ktoś wpadł na myśl zorganizowania stałego związku, który pod nazwą *Chautauqua Assembly* wniesiono 1873 do aktów stanu nowoyorskiego. Zasady zboru dosyć proste. Na czele stoi zarząd, wybierany przez właścicieli gruntów w Chau-

tauqua, prezydent i kanclerz spełniają obowiązki bezpłatnie, inni członkowie pobierają tyle, ile płacą urzędnikom pokrewne instytucye, zyski idą na utrzymanie, względnie rozszerzanie fundacyi. A dochody są nielada, w ubiegłym roku wynosiły bowiem na naszą monetę około 300,000 rubli! Z funduszów są opłacani profesorowie, wydawany stały miesięcznik, oraz czasowy organ codzienny podczas lata, przeprowadzone wodociągi, wznoszone nowe gmachy i utrzymywane stare. Zaczątki były bardzo skromne. Zamiast uroczego miasteczka z halami szkolnemi bielały tylko namioty. Cele zaś były jeszcze mniej pokaźne. Założycielom szło tylko o to, ażeby podnieść poziom oświaty pomiędzy nauczycielami, którzy wykładali w szkółkach niedzielnych. Chcieli oni wyrobić z nich uzdolnionych pedagogów, przedewszystkiem zaś poznajomić ich z Historyą świętą. Ale fundacya niebawem przyjęła szersze rozmiary. Kurs, obliczony na dwa tygodnie, przekształcił się na uniwersytet, trwający przez tyle miesięcy, nauka religii na wykłady o wiedzy świeckiej, namioty na hale i pracownie Co jeszcze niezwyklejsza, twórcy umieli dotrzymać kroku rosnącemu dziełu. Wiek, który szronem osypał ich włosy i może zgarbił postać, bynajmniej nie ostudził zapału, ani nie zniżył polotu. Przywykliśmy do tego, ażeby ci, którzy zrobili na pewnej drodze krok naprzód i powołali coś gdzieś do życia, tem samem dawali za wygranę dalszemu postępowi i swoim uporem szkodzili zwycięztwu własnej myśli. Związek chautauquański nie zna takiej sztywności. Stworzył go kapłan metodysta. Ale nie uląkł się świe-

ckiej nauki, ani pozytywizmów lub materyalizmów. Stojąc u steru zarządu, bezustannie rozszerzał zakres kursów i nie obawiał się pomocy heretyków. Nauka więc nowoczesna z swemi uogólnieniami i wnioskami wyryła sobie w Chautauqua szerokie koryto i przedostaje się do umysłów licznej gromady letników. A wśród dziwów rzecz najosobliwsza, że rosnący z każdym rokiem obóz, mimo że wyhodowali go sekciarze, nietylko nie wyklinał nauki świeckiej, ale równie nie rzucał i nie rzuca gromów na inne sekty. Każde wyznanie jest równouprawnione w obrębie gruntów Chautauqui. Rok rocznie widzi ona na swojem terytoryum parlamenty religijne na drobną skalę: przedstawiciele różnych sekt, jeden po drugim, wstępują na tę samą mównicę i słuchaczom, do których przemawiał poprzednik, wykładają główne zasady swego obrządku, niekiedy toczą się dysputy, ale jeden drugiemu nie wydrapie oczu, bo nawet młodsi wiekiem starcom wrogiego obozu podają ramię i wprowadzają na trybunę. W Ameryce rozpowszechnia się czysty deizm, powiadający, że wszystkie nauki są tyluż manowcami, prowadzącymi ku tej samej prawdzie, która jest jedna i powszechna. Ci różni kaznodzieje wyłuszczają ją ze swego punktu widzenia, zebrani zaś niechaj oceniają, który stoi najbliżej skrytego źródła owej prawdy.

Chautauqua do dnia dzisiejszego nie zrzuciła z siebie szaty pierwotnej. Otrząsnęła się ze ślepego dogmatyzmu i wzięła rozbrat z nietolerancyą, ale hołduje niezmiennie duchowi religijnemu. Właśnie w obecnej chwili stąpam po najwymowniejszem świadectwie.

że poczęła się ona w takim duchu. Jestem w parku palestyńskim, który ciągnie się równolegle do toni jeziora. Amerykanin poglądowość uprawia nawet w nauczaniu Historyi świętej! Dla unaocznienia dziejów Biblii, stworzył olbrzymi model ziemi palestyńskiej. Wody jeziora są morzem Śródziemnem, naturalnemu ruczajowi nadano bieg Jordanu i zmuszono go wlewać się do stawu, przedstawiającego morze Martwe. Od tej kotliny podnosimy się w górę rzekomego Jordanu i po zrobieniu kilkuset kroków mamy przed sobą pagórek. To góra Hermon, z której możemy przyglądać się pasmom górskim i dolinom ziemi świętej, jej miastom i wodom. Nawet skały, które piętrzą się w parku, pochodzą z Chanaanu, aż stamtąd bowiem przywieziono głazy! Podczas lata bywa tutaj niekiedy bardzo gwarnie, od czasu do czasu zapraszają jakiego z turystów, który zwiedzał Palestynę. Dni jego pobytu stanowią uroczystość dla dziatwy: oprowadza on nową generacyę po miniatiurowej ziemi świętej i opowiada o tem, co widział na własne oczy. Jeszcze częściej czyni to nauczyciel. W bliskości wznosi się muzeum pamiątek biblijnych, oraz panorama Jerozolimy. Wszystko to są środki pomocnicze do wykładów, miewanych dla dzieciaków codziennie w *Children's Temple*. Dodajmy do tego widoki stereoptyczne, drzeworyty rozdawane z opisami Palestyny, jej ludności i zwyczajów, czytane głośno podróże po jej terytoryum, a będziemy mieli jakie takie pojęcie o chautauquańskim trybie nauczania Historyi świętej.

* * *

Sanktuaryum chatauquańskie. Wśród drzew bieleje *Hall of Philosophy,* lekki, powiewny budynek na kolumnadzie dorycklej. To zbór koła naukowo-literackiego, słynącego pod skróconą nazwą *C. L. S. C.* (*Chautauqua literary and scientific circle*). Tak zowie się organizacya samouctwa, w postaci kółek rozproszona po całym Związku a kierowana przez zarząd centralny. „Szkółki domowe,“ mieszczące w sobie wyrostków i starców 60-letnich, specyalistów z pewnej gałęzi, którzy przecież życzą sobie poznać inne dziedziny nauki, i prostych robotników, siedzących nad abecadłem wiedzy, pracują podczas zimy w miejscach swego pobytu. Latem ich członkowie udają się nad jezioro, do *Alma mater.*

Naturalnie, jadą nieliczni, chociaż wszyscy marzą o tem, żeby parę tygodni pobyć nad jeziorem, skąpać się w panującej tam atmosferze koleżeństwa i zaświadczyć o swojej obecności udziałem w pochodach chautauquańskich. Każdy z nich obiecuje sobie, że kiedyś odbędzie tę świętą wycieczkę, skoro upora się z całkowitym kursem, i że pójdzie w uroczystym marszu, w jakim ci, którzy świeżo uzyskali dyplomy honorowe, wkraczają po raz pierwszy w progi świątyni filozoficznej. Dzień ów, przypadający w sierpniu, bywa największą uroczystością w obozie. Wille i namioty zostają przybrane odświętnie, w gajach powiewają gwiaździste chorągwie Związku północno-amerykańskiego, powietrze rozbrzmiewa głosami ludzkimi, na drodze do świątyni wznoszą się bramy tryumfalne, którym za podpory służą popiersia Platonów i Sokratesów,

spoidłami zaś są łańcuchy kwiatów. Wszystko, co tylko Europa wciągu wieków wynalazła, celem zwiększenia świetności występów, z wszystkiego skorzystała jej córa, ażeby podnieść wspaniałość pochodu. Na czele kroczą władze rzeczypospolitej chautauquańskiej, później w różnobarwnych kokardach idą alumni z lat poprzednich i wśród dźwięków hymnu obozowego:

...O happy circle, ever wider
And wider be thy sweep,
Till peace and knowledge fill the earth
As waters fill the deep...

wprowadzają nowe zastępy towarzyszów do sanktuaryum, przed którem są rozdawane dyplomy. Ojciec z matką i dziećmi niekiedy dostają jednocześnie takie papiery, opatrzone różnej barwy pieczęciami, to znowu po dyplom sięga ktoś, przyprószony siwizną. Grzmot oklasków i głośne *hear! hear!* witają każde podobnie niezwykłe świadectwo.

Wreszcie nowi członkowie zostali wtajemniczeni do misteryi filozoficznych i otrzymali prawo uczestniczenia w zborach, jakie odbywają się w hali. Codziennie o ósmej zrana, w pogodę i podczas słoty, filozofowie obu płci gromadzą się pod białą kolumnadę na uczone dysputy, wskrzeszające tradycyę klasycznych Aten, tak samo jak je wskrzesza struktura gmachu, odtwarzająca kształty Parthenonu. Wielu leni się stanąć do apelu o tak wczesnej godzinie, za to wieczorem zjawiają się do „stołu okrągłego.“ Na odgłos dzwonu, rozbrzmiewającego z gaju, wypróżniają się czółna, przerzedzają zastępy atletów. Wszyscy śpieszą

na zbór, poczynający się o piątej. Ławki niebawem zostają zajęte, uczestnicy gromadnie sadowią się na ziemi. Zasady nudnego *savoir vivre'u* poszły w zapomnienie, zapanowała swoboda koleżeńska. Sabbat poczyna się od śpiewów, później na wezwanie przewodniczącego powstają z siedzeń ci, którzy po raz pierwszy znaleźli się w sanktuaryum, witani oklaskami przez kolegów, wreszcie ktoś ma odczyt, po nim ciągną się dysputy. Jeżeli ochoty starczy, otwartą bywa „puszka zapytań.“ Zewsząd w kierunku stołu lecą karteczki z zapytaniami, dlaczego ten a ten kurs ułożono w tym, a nie w innym porządku? czemu na liście książek rekomendowanych znalazło się takie a takie dzieło? Pytania poważniejsze przeplatane bywają błahszemi: o barwie wstęgi zastępu z tego lub owego roku, o kolorze oczu lub kształtach nosa tej lub innej znakomitości... Swawola dziecinna towarzyszy pożytkowi, szanowne zgromadzenie filozofów trzęsie się nieraz od śmiechu i darzy rzęsistem hop! hop! mimowolnych dowcipnisiów. Sabbat trwa, aż póki organizm nie zaprotestuje. Tłumy opuszczają halę, o którą odbija się echem śpiew pożegnalny. Dokoła świątyni płomień bucha z trójnogów greckich i rozprasza mroki, gromadki zapaleńców dyskutują przy drgającem świetle pochodni klasycznej.

* * *

Indyanie zniknęli z okolicy, pozostawiając po sobie wspomnienie jedynie w nazwisku jeziora. Zwyczaje ich przetrwały, obóz bowiem chautauquański ze swego charakteru jest bliższy życia czerwonoskórego, ani-

żeli naszej atmosfery cywilizowanej. Morgan z powodu Irokezów czyni uwagę, że „widzimy tam fakt szczególny, iż każda czynność, społeczna lub polityczna, bierze początek swój lub kończy się w radzie zbiorowej.“ Podobnie dzieje się nad jeziorem. Zabawa i nauka, ćwiczenia fizyczne i wycieczki poczynają się w zrzeszeniu i niem się kończą. Co tylko posiada cel wspólny lub jednakie upodobania, wszystko to sejmikuje pospołu, wiąże się w kluby i stwarza organizacyę. Ci, którzy chcą nauczyć się języka przypuśćmy francuskiego, stanowią już odrębny związek, po za wykładami zbierający się regularnie parę razy w tygodniu na sejmiki— francuskie. Gdzieś na łące rozkładają ognisko, młodzież siedzi na pniach lub leży na pledach i do późnej nocy gorączkuje się, rozprawiając o jakiejś kwestyi w języku, w którym jeszcze niezbyt daleko zaszła. To znowu zwolennicy francuszczyzny gromadzą się w hali, deklamują utwory znakomitych pisarzy, dają przedstawienia amatorskie, słuchają odczytów o literaturze lub życiu Francyi.

A skoro języki, np. francuski lub niemiecki, albo przedmioty, jak ekonomia lub estetyka, posiadają własne kluby, tem bardziej łączą się pomiędzy sobą przedstawiciele jednakich interesów, potrzeb i skłonności. Więc wyrostki sejmikują parę razy w tygodniu. Zorganizowani wzorem ciała prawodawczego Stanów Zjednoczonych, według jego ustawy odbywają posiedzenia, wnoszą bile, rzecz małej to wagi, że dotyczą one szczegółu w grze w piłkę, i wyłaniają komisye celem zbadania warunków przechadzki zbiorowej. Dziewczę-

ta w starszym wieku czynią również to samo. Rozprawy obracają się około interesów czysto dziewczęcych, o ile bowiem idzie o sprawy ogólno-ludzkie, amerykanka nie będzie unikała mężczyzny, ale pospołu z nim obradowała. Zebrania panieńskie są przyjęciami towarzyskiemi, niby rautami, przeznaczonemi dla płci żeńskiej, a noszącemi najrozmaitsze nazwy. A zatem mamy *a library tea,* podczas której prawdopodobnie roztrząsano kwestyę biblioteczek domowych; *a school girls' breakfast*—raut, wydany przez starsze pokolenie dla młodszego wieku podlotków; *dulcedomum tea* — herbatkę pożegnalną przed rozjechaniem się z Chautauqui. Dziewczęta na swoich sejmikach wysuwają dyalektykę „przywilejów,“ przysługujących siostrom i córkom, mówią o obowiązkach, spoczywających na gospodyni domu, potrącają o etykę ławy szkolnej, rozbierają nawet szanse towarzystwa, walczącego z migreną. Niema tam owego feminizmu, który wstydzi się swojej kobiecej natury i nietylko przywdziałby ubiór męzki, lecz pragnąłby posiąść instynkty mężczyzny. Jeszcze wyżej w hierarchii klubów widzimy sejmy kobiet-matek, radzących o swoich specyalnych powinnościach. Najobficiej wątku dostarcza wychowanie dziatwy, później idzie kwestya wstrzemięźliwości i propaganda nieużywania trunków—spisek przeciwko mężom!

W ciągu całego lata gwarno bywa w Chautauqua od sejmów i sejmików, rozpraw i odczytów, komitetów i podkomitetów. Obradują w językach angielskim, francuskim i niemieckim; zbierają się cykliści,

gimnastycy, śpiewacy, ba któż zliczy różne sporty! Kłócą się i przekonywają wyrostki, podlotki, matki; roztrząsają o sprawach publicznych sejmy ekonomiczne, w dyalektykę wprawiają się filozofowie. Życie zrzeszone wrze z całą pełnią i porywa przybysza w swój odmęt. Wreszcie, wieczorem, chautauquańczyków, zmęczonych nauką i dysputami, oczekują bezpłatne igrzyska. Każdy obywatel letniej *Assembly*, opłaciwszy przy wejściu na terytoryum tej osobliwej rzeczypospolitej haracz, bezpłatnie korzysta z odczytów i koncertów w amfiteatrze. Zgrabny front jego nieco przypomina strukturę wspanialszych świątyń wiejskich. Pomiędzy dwie wieżyczki wtłoczył się główny przybytek. Tułów wydłużył się i wkroczył w łono pagórka, tak, iż frontowe wejście jest o piętro niżej galeryi, która leży na powierzchni wzgórza. Wnętrze zdoła pomieścić w swojem przestworzu kilka tysięcy osób, przewiewne łączy w sobie komfort z prostotą. Hala filozoficzna jest świątynią wybranych, Amfiteatr zaś— wszystkich obecnych. Do tego budynku ściągają tłumy w różne godziny dnia, rano na hymny religijne, popołudniu na odczyty. Najludniej jednak bywa tam ku zachodowi słońca. Wtedy toczą się w sali dysputy teologiczne pomiędzy wyznawcami różnych sekt, odbywają się turnieje „sylabizowania“ [1]), poprawnej wymowy, poetyckie; to

---

[1]) „Sylabizowanie“ odgrywa wielką rolę w życiu amemerykanina. Jakiś dowcipniś wyrzekł, że w języku angielskim imię pisze się „Józef,“ a czyta „Jan.“ Kiedy spotka się parę nieznajomych osób, sylabizują litera po literze, z nie-

znów ktoś daje koncert lub czyta klasyczne utwory literatury angielskiej, jakaś znakomitość wygłasza odczyt. „Podróże idealne“ cieszą się nielada powodzeniem. Yankee lubi zmieniać miejsce swego pobytu a kiedy rzeczywistość stawia mu przeszkody, naówczas chce, aby go chociaż łudzono. *Ideal trip* poznajamia go zatem z okolicami, których jeszcze nie oglądał. Są to odczyty, posługujące się nowoczesną techniką stereoptyczną. W powieści słowo jest tylko dodatkiem do szeregu obrazów, rzucanych przez stereoptykon na płótno. Widok za widokiem przesuwa się przed publicznością: przyroda w swej szacie różnobarwnej dzieła ręki ludzkiej, twory kunsztu, słowem, co tylko opisywana okolica posiada godniejszego uwagi, wszystko to po kolei oglądamy w pewnem wyrozumowanem a przyczynowem następstwie. Prelegent swoją opowieścią wiąże obrazy jedne z drugimi, wdaje się w szczegóły, rzuca uwagi.

Igrzyskami w amfiteatrze kończy się zwykle dzień nad jeziorem.

* * *

Już po drugiej. Znudzony oglądaniem pustek, na słońcu przyglądam się wodom jeziora. W powietrzu rozpostarła się przezroczystość jesienna, pozwalająca mi odróżniać kontury drugiego brzegu. Powierzchnia toni zlekka faluje, rozleniwiona ciepłem gasnącej jesie-

---

słychaną prędkością, swoje nazwiska. *How do you spell* — jak się pan sylabizuje?—pyta yankee cudzoziemca, który zapomniał zarekomendować siebie w ten sposób.

ni. Przerzucam biuletyny zarządu. Świstki w sposób amerykański głoszą sławę obozu-uniwersytetu. Im więcej ktoś siebie chwali, ten, przy rzeczywistej zasłudze, będzie bardziej wywyższony, zasada ta życia amerykańskiego buńczucznie rozparła się na każdej stronicy: podnosi urodę jeziora, wysławia twórców, opowiada cuda o zdrowotności gruntów obozowych. Trzeba jednak przyznać, że plewy tej jest znów nie tak wiele, jak na ojczyznę reklamy, przesada zaciera się w mnóstwie informacyi i sprawozdań natury przedmiotowej, które w jaśniejsze, a jaśniejsze barwy ubierają przedemną ten osobliwy płód kultury amerykańskiej. Muszę podziwiać niezmordowaną wynalazczość kierowników. Zarząd rzeczypospolitej chautauquańskiej nietylko przewodniczy kształceniu rocznie kilkudziesięciu tysięcy samouków. Założył jeszcze związki, składające się z drobnych obywateli—*Chautauqua young Folk's reading union.* Rok rocznie wydaje podwójny program dla dziatwy, jeden dla tej, która nie skończyła dwunastego roku życia, drugi dla starszej. Każdy z młodocianych uczestników jest zobowiązany do przeczytania sześciu wskazanych w programie książek. Na dowód, jako jest członkiem ligi, nosi strzałkę srebrną z godłem *Aim high!*, po wykazaniu się zaś z przeczytania kursu, otrzymuje dyplom honorowy i podczas uroczystości nad jeziorem, jeśli jest obecny, idzie w zastępie swoich kolegów. Komitet wydaje *memoranda*, ułatwiające zapamiętanie rzeczy przeczytanych, oraz publikuje urzędowny kwartalnik, poświęcony komunikatom małoletnich członków i ich kółek

W cieniu ligi drobnego obywatelstwa, niby w fałdach sukni matczynej, kryje się parę pomniejszych. Z nich wymienię chociażby *C. T. C. C.* (miejsko-wiejski klub, *Chautauqua town und country club*). „Jestto związek dziatwy, która o czem chce się dowiedzieć, czemś zostać i cokolwiek zdziałać. Szkoła i zarazem ogród, ma on za towarzyszy zwierzęta i rośliny, przyjaciół zaś i książki za kierowników. Nauczycielami są rolnik, ogrodnik, hodowca kwiatów, dozorca bydła, pasterz, dziewczyna do dojenia krów i inne osoby, wiedzące, co potrzeba wiedzieć w zakresie spraw wszelkiej rośliny i każdego pożytecznego zwierzęcia na folwarku lub w wodzie.“ Czyli, bez przenośni i górnolotnej frazeologii, jest to samouctwo, w którem poznanie żywej przyrody nierozerwalnie wiąże się z praktycznemi zastosowaniami wiedzy w rolnictwie, hodowli bydła, w pszczelnictwie i innych pokrewnych gałęziach przemysłu. Członkowie w ciągu zimy czytują polecone książki; kiedy zaś nadejdzie lato, pracują praktycz nie Przez cały zaś czas, codziennie wciągu każdego z następujących po sobie miesięcy, winni wprawiać się kolejno w jakąś z czynności meteorologicznych: zapisywać o wyznaczonej godzinie wysokość barometru, notować kierunek wiatrów i chmur; jednocześnie zaś, przez kwartał, hodować pewne zwierzę lub roślinę według udzielonego programu. Siedzibą zarządu jest ferma w stanie nowoyorskim. W tem to ognisku znajduje się biuro informacyjne—rodzaj skrzynki otwartej. Każdy z młodocianych członków może nadsyłać zapytania z zakresu rolnictwa, ogrodu, hodowli i otrzymuje odpo-

wiedź od kogoś, kto stosownym działem zarządza na folwarku.

* * *

Czas nagli. Perspektywa przenocowania w opustoszałej a chłodnej stolicy uniwersytetu wakacyjnego niezbyt mi się uśmiecha. Opuszczam więc jezioro i z powrotem udaję się pomiędzy hale. Dążę do kolegium, ale po drodze wstępuję do gimnazyum—budynku, zgodnie z swoim źródłosłowem, będącego przybytkiem ćwiczenia mięśni. Chautauquańczycy przypisują doniosłe znaczenie temu rodzajowi powiedziałbym rozrywki, gdybym, wyrażając się w ten sposób nie wypaczał zasadniczej myśli. Sport b wiem przestał tam być zajęciem, uprawianem z nudów przez próżniaków, lecz uchodzi za święte przykazanie hygieny ciała i umysłu. Około tuzina miejsc dla *lawn-tennisu,* kilka placów dla gry w piłkę, mnóstwo regat w porcie, szkoły pływackie, oraz jazdy konnej i na rowerze, zabaw w polu i boksowania, wreszcie gimnazyum zachęcają opieszałych do wzmocnienia siły fizycznej, podniesienia żywotności organizmu i przygotowania w ten sposób gruntu pod systematyczną, a zdrową działalność umysłową. Katalog tegoroczny wylicza aż 25 nauczycieli, którzy kierowali różnymi działami ćwiczeń fizycznych! Ćwiczenia ciała przeplatane bywają wykładami, poświęconymi anatomii i fizyologii ruchów, ażeby gimnasta zrozumiał skutki naprężenia każdego mięśnia. Stereoptykon pomaga wykładowi ustnemu. Atleci wiążą się w kluby: w zakresie samej gry w piłkę jest ich aż dziesięć! Gdzie zaś są kluby, tam możemy być pewni,

że istnieje rywalizacya. I w rzeczy samej wyścigów i konkursów bywa mnóstwo w porze letniej, np. miłośnicy piłki dwa razy tygodniowo walczą z sobą o lepszą, kluby stają na przeciwnych metach. Uroczystość wyścigów wodnych, oraz konkurs cyklistów, stanowią uroczystość publiczną. Wszelkiego kalibru gimnastyka to obowiązek społeczny i przepis moralności chautauquańskiej.

* * *

Kształtny, sporych rozmiarów budynek z mnóstwem galeryi. Wewnątrz pełno słońca i światła. To kolegium! Olimpijczycy starego świata może pogardliwie spojrzą na kółka samouctwa i udzielane dyplomy, na igrzyska letnie i sporty, odczyty i sejmy. Zarzucić mogą, że te instytucye hodują dyletantów, którzy zapoznali się z ostatnimi wynikami głównych gałęzi wiedzy, lecz nie nawykli do systematycznego myślenia, ani nie wyszkolili się w metodologii naukowej. Takie lekceważenie dorobku umysłowego, nagromadzonego nie w biurokratyczny sposób, pierzchnąć winno z chwilą, kiedy wstępujemy do kolegium. Najbardziej wymagający mandaryn chyba że złoży broń przed tym budynkiem!

Wszystkie instytuty i zakłady, a więc kolegium i inne, są prowadzone zgodnie z przepisami systematycznego szkolnictwa. Dają one wiedzę teoretyczną, względnie umiejętność praktyczną, za tanie pieniądze, o jakiej to taniości nie mamy w Europie wyobrażenia. Sądzę, że nauczanie jest tam poważniej i serdeczniej traktowane aniżeli w naszych zakładach, może mniej

jest balastu erudycyjno-mandaryńskiego, więcej za to zrozumienia podstaw danej nauki, uświadomienia sobie jej metod i owładnięcia przedmiotem. Bądź co bądź, słuchacz-amator pracować musi nie na żarty. Nie jest on studentem w europejskiem znaczeniu słowa, nie zna próżnowania całorocznego z rujnowaniem zdrowia w epoce egzaminów, zdobywa naukę świadom swoich zamiarów i w niczem nie przypomina dwudziestoletniego wyrostka, który jak smarkacz uczy się tylko na stopnie, rad kiedy na egzaminie podpatrzył pytanie i zdobył dypłom medyka, na jaki nie zasłużył. Kończy on zakład, przeświadczony, że dopiero rozpoczął się uczyć i że całe życie jest nieustającą szkołą, wymagającą ciągłych studyów. Co zaś najważniejsza, „szkoła domowa" jest wytrwałem ćwiczeniem woli i wyrabianiem charakteru. Chautauquańczyk może o sobie powiedzieć, że jest dziełem rąk własnych i budowniczym swego losu—*master of himself*, jak mówią tutaj za morzem.

12 października, na jeziorze.

Ma się ku zmierzchowi. Niewielkie czółno pruje wody i wiezie mnie do Mayville'u. Jezioro wije się niby rzeka, długie na 20 mil angielskich i nie więcej nad dwie szerokie, w pośrodku zaś niemal ścięte. Może stąd pochodzi jego nazwa, która zdaniem niektórych znawców indyjszczyzny—inni mówią coś zgoła odmiennego—ma oznaczać: worek, związany pośrodku. Oko ślizga się po pełnych uroku widokach: obfita wegetacya, swoją barwą tu i owdzie zdradzająca obecność zdrojów, brzeg mniej to więcej urwisty, dźwigający na

sobie gaje, przyodziane w purpurę i od obecności jesieni i od promieni zachodzącego słońca. Toń przezroczysta jak w krynicy. Słyszę plusk najłagodniejszy wody o czółno, taki głęboki spokój panuje dokoła. I dla jeziora nastały chwile spoczynku. Parowce, które zawalone turystami pruły je wszerz i wdłuż podczas lata, w przystani oczekują przyszłego lipca, flotyle yachtów, kajaków i czółen odpoczywają. Zmroków nie rozprasza światło elektryczne, ani ognie bengalskie, jak to bywało, kiedy obchodzono „noce weneckie.“ Cicho i głucho, a do tego chłodno, ba nawet zimno...

Łódź trzyma się brzegów. Długie cienie pobiegły od lądu i kładą się na zmarszczonej powierzchni i czynią chłód jeszcze dotkliwszym. Terytoryum uniwersyteckie zniknęło z oczu. Wyobraźnia, swoją drogą, zaprząta się wzorami, jakie tam powołano do życia. Idea bowiem chautauquańska znalazła apostołów i naśladowców. Na całym obszarze rzeczypospolitej zamorskiej powstają filie macierzy. Jeszcze silniej rozpowszechniają się systemy samouctwa i organizacye, niem kierujące przy pomocy korespondencyi, oraz zwyczaj treściwych wykładów w porze letniej. Na razie obchodzą nas tylko córy *Almae matris*, które nie wypierają się swoich rodowodów. Jest ich pono do półsetki. Żadna nie zdołała dorównać obozowej macierzy, lecz każda pracuje z pożytkiem i krząta się nad podniesieniem poziomu kultury ojczystej. Chautauquańczycy, którzy dla odległości lub z innych powodów muszą wyrzec się wycieczki nad jezioro, probują w swej okolicy zaimprowizować coś, takiego, coby przy-

pominało w miniaturze starą macierz. W dalekiej Florydzie wśród gajów, nad niewielkiem jeziorem, rozrosła się Chautauqua południowa; inna, która usadowiła się w jednym z zakątków Indyany na licznych wysepkach, posiada nawet taki sam model Palestyny; „Hala na wzgórzu“ w Lakeview (w stanie Massachusets) jest kopią hali filozoficznej. Niektóre z nich gromadzą po parę tysięcy uczestników. Iście po amerykańsku biorą się ludziska do rzeczy. Ażeby marzenia swoje przyoblec w szaty rzeczywistości, nie dbają oni o wygody, ani nie cofają się przed wieloletniem krzątaniem. Posiwiali starcy rozwijają taką gorączkową działalność, jak gdyby dopiero wstępowali w lata męskie. Naprzykład chautauquańczycy z Saint-Paulu i Mineapolisu postanowili nad wodami pobliskiego jeziora stworzyć obóz-uniwersytet. Wybrano wyspę czarodziejską — skałę, kąpiącą się w górze w zieloności, u dołu zaś w przezroczystej krynicy Minnetonki, pełną uroku i powabów. Projektodawcy zwołali meetyng z przedstawicieli miejscowego koła chautauquańskiego. Stawiło się do trzystu osób. Obrady ciągnęły się późnym wieczorem przy łunie ogniska obozowego i pod przykryciem z czółen. A kiedy ułożono ustawy nowej filii i zgodzono się na statut, melodya hymnu obozowego *Almae matris* zadrgała w powietrzu:

...God bless the hearts that beat as one
Though continents apart.
We greet you, brothers, face to face,
We meet you heart te heart!...

—hymnu, głoszącego, że Chautauqua nie jest związana

z żadnem miejscem specyalnem, i opiewającego koleżeństwo jej uczniów i rzeczników. Niektóre z pośród cór przenierzyły się nieco wzorom macierzy-założycielki. Chautauqua np. w Monteagle (stan Tennessee) rozwinęła o wiele mocniej stronę towarzysko-społeczną pożycia. Raz na tydzień bywa tam urządzany wieczór wszystkich obecnych—celem zabawy i wymiany myśli, wówczas kiedy w macierzy płynie życie mnóstwem drobniejszych prądów i nie zna takiej ogólnej agory. W tym celu wybudowano olbrzymi gmach, stojący w ciągu całego dnia na oścież, jest on wtedy czytelnią bezpłatną.

A ponieważ amerykanom nie zbywa na ambicyi, napewno niejednemu z tych apostołów kołata się w umyśle nadzieja, że z biegiem czasu jego twór przyćmi może swoją sławą starą macierz. Ale jakoś ona też nie starzeje się. Z roku na rok każda z jej cór kilkudziesięciu nabiera sił, lecz *Alma mater* czyni też postępy. Marzy ona—ba, o czem nie marzy! Chciałaby stworzyć takie same, jak latem, zjazdy podczas zimy — dla rolników, w porze letniej nie mogących porzucać roli, która przecież ich żywi. Wolni w miesiącach, kiedy całun śnieżny otula ziemię, znaleźliby w Chautauqua zimowej naukę i jednocześnie właściwe tej porze rozrywki. Dąży do zbudowania różnych muzeów, naprzykład historycznego. W gajach sterczały-by budynki, zawierające każdy drobiazgową historyę kultury tego lub innego zakątka globu ziemskiego. Marzy dalej o tem, ażeby park Palestyny rozszerzył się i objął całą Syryę i nawet Egipt, słowem, wszy-

stkie miejsca, związane z Historyą świętą. Geografia winna posiadać własne muzeum z biblioteką, gdzieby uczeń znalazł modele dziwów i kaprysów przyrody, panoramy charakterystyczniejszych ustroni, rzeźby całych lądów. Lingwistyka zmierza do tego, ażeby ogniska obozowe „niemców,“ „rzymian“ i innych narodów zamieniły się na całe osady. Studyujący niemczyznę mieszkałby w dzielnicy germańskiej, w której nie wolno będzie w innym języku powiedzieć ani słowa, restauracya dawać będzie potrawy niemieckie, członkowie chodzić w stroju narodowym i w stosunkach towarzyskich trzymać się wzorów niemieckich. Tam, gdzie tak daleko zabiegają w marzeniach, te zaś usiłują nieustannie przekuwać na rzeczywistość, tam niema obawy, że zgrzybiałość i niemoc złamią dawną Chautauquę. Przytem nie jest ona zazdrosną, największem bowiem i najmilszem z pośród rojeń założycieli jest marzenie, aby Chautauqua przestała być lokalną, t. j. związaną z jednym zakątkiem ojczyzny amerykańskiej. Wszak hymny nawet o to proszą Istotę najwyższą. Niechaj idea obozów-uniwersytetów wędruje w świat daleki i na wzór, a podobieństwo *Almae matris* wszędzie stwarza takie same instytucye. I rzeczywistość spełnia to życzenie. Widzieliśmy jej pochód po lądzie amerykańskim. Nie zlękła się też przestworów morskich! Rzecz charakterystyczna, że kiedy nasza stara Europa niedowierzająco przysłuchuje się wieściom o cudactwach yankee'ów w zakresie oświaty, wówczas nowe lądy pokrywają się kółkami samouctwa i letnimi uniwersytetami. Hasła chautauquańskie

znajdują tam gorących wielbicieli. W Kaplandzie i Natalu, w Australii i Nowej Zelandyi, ba, nawet w Honolulu istnieją takie organizacye. W Japonii młode pokolenie, wykształcone na wzorach angielskich, tak żwawo się zakrzątało, że nawet miesięczny organ związku amerykańskiego jest systematycznie tłómaczony, takie bowiem istnieje zapotrzebowanie.

Pogrążony w myślach, ocknąłem się już w pobliżu Mayville'u. Zmrok zapadał, w nim migały zdala światełka miasteczka. Wyskoczyłem na brzeg z żalem, że na zawsze muszę opuszczać jezioro, jeszcze zaś z większym, że nie udało mi się spędzić jakiegoś tygodnia nad jego wodami w tej porze, kiedy gwar uniwersytetu letniego unosił się nad tonią.

12 października, w wagonie pomiędzy Buffalo a New-Yorkiem.

Pod wrażeniem atmosfery wyborczej w Buffalo, rozmawiam z kimś o stosunkach politycznych rzeczypospolitej zamorskiej. Ów ktoś, to yankee z ojca praojca i jednocześnie demokrata. Idzie mi o zapatrywania rdzennego amerykanina na politykę. Umyślnie kładę nacisk na zepsuciu. Yankee zżyma się na potwarz. Przyznaje, że w świecie politykierów bywa różnie, ale winę zwala na republikanów. Wyborcy to nie trzoda bezwiedna, taką rolę odgrywają tylko *scabs* emigracyjni. Ludności trzeba, ażeby bronił ktoś jej interesów i chodził zabiegliwie a skrzętnie około prawodawstwa. Bierze więc nicponiów nawet, byleby wywiązali się z tego obowiązku. Toleruje politykierów, póki ci dzia-

łają w zgodzie z potrzebami wyborców, usuwa kiedy skrewią. Że wyrzucają oni wrogów z posad i dzielą się urzędami, rzecz to małej wagi: ludzie, którzy czatują na synekury, są mało warci. Swój swego tam gryzie: republikanin — demokratę. Ale każdemu sprawiedliwość kark skręci, jeżeli dopuści się poważniejszych nadużyć. Dowodem niechaj będzie sprawa elmirska. Dyrektor tamtejszy wiele lat broił i puszczał w świat olbrzymie sprawozdania o rezultatach swojej działalności pedagogicznej względem więźniów. Sława reformatorym w Elmirze rozbrzmiewała daleko: zagranicą pisano książki o dodatnich skutkach nowej metody. Tymczasem działy się nadużycia jaknajwiększe: dyrektor katował winowajców i znęcał się nad nimi, nikogo nie poprawiał, raczej demoralizował. Sprawozdania owe, to *humbug!* Dzisiaj, kiedy to wszystko się ujawniło, wysoki dostojnik znajduje się pod sądem jako zwykły zbrodzień.

Zwolna namiętność polityczna ogarnia mego towarzysza. O! ten niecnota Mac-Kinley, który z innymi republikanami jest na żołdzie możnowładców przemysłu! A Harrison, któremu kapitaliści kalifornijscy dali synekurę w uniwersytecie w San-Francisco, ten tchórz, który przed laty 30-tu zemknął z pola bitwy! Wyborcy republikańscy to wielcy panowie, wydają duże pieniądze na stroje. To też demokraci zwyciężają przy urnie, ilekroć deszcz pada, arystokratom bowiem szkoda surdutów i nie idą głosować. Jeszcze później opowiada o fortelu swoich przyjaciół politycznych. Domy nierządu w New-Yorku nie mają prawa istnieć, ale z potrzeby

są tolerowane. Pewien ksiądz, republikanin, postanowił wyciągnąć je na światło dzienne i pozwać przed sąd radę municypalną, demokratyczną. Udał się z „detektywem,“ t. j. agentem prywatnej policyi, aby wyszukać te nory. Ale agent, demokrata szczery, doniósł swoim o niebezpieczeństwie. Zanim więc sprawa poszła do sądu, *World* narobił hałasu o demoralizacyi pomiędzy duchowieństwem: opisał wędrówki księdza, nawet podał jego portret w otoczeniu nagich kapłanek Izydy. Jakże nierząd niema istnieć, zapytuje dziennik, skoro posiada podobnych opiekunów. Duchowny został na zawsze skompromitowany. Yankee kończy swoje opowiadanie wybuchem śmiechu, później, niby punkt na końcu zdania, dodaje: *All right!*

* * *

Ktoś zajął ławkę przedemną, dotychczas pustą. Zwykły to, starannie wygolony yankee, w zwykłym kapeluszu na głowie. Intryguje mnie niewielka szafeczka, którą widzę przy nim, zrobiona z drzewa jesionowego, około łokcia wysoka, pół szeroka. Nosi na sobie Nr. 330. Podróżny otworzył ją: we wnętrzu dwie półki, zapełnione elegancko oprawionemi książkami. Zaciekawiony, podnoszę się z siedzenia i przeprosiwszy za natręctwo, czytam tytuły na grzbiecie tomów. Dzieła treści ekonomicznej, dobrane umiejętnie. Gide, Ruskin, Marshall, Mill, Brentano, Gronlund —nie, niepodobna uczynić lepszego wyboru! Z rozmowy okazuje się, że jestem wobec jednej z osobliwości kultury zamorskiej—wędrownego działu publicznej biblioteki stanu nowoyorskiego. Szafeczki takie krążą pomiędzy rol-

nikami. Są one jakby olbrzymią biblioteką, rozdzieloną na mnóstwo niewielkich, których przeznaczeniem jest wędrować po świecie. Kto skończył lat szesnaście i zobowiąże się piśmiennie nie niszczyć książek oraz spełniać przepisy ustawy, korzysta darmo z biblioteczki latającej. Mój towarzysz jest małomówny, szczodrze za to obdarza mnie katalogami wędrownych filii biblioteki publicznej. Szafka Nr. 1 zawiera sto tomów treści mieszanej: parę książek religijnych, parę folklorystycznych i z dziedziny nauk ścisłych, najwięcej beletrystyki, nieco podróży, sporo historyi. Szafka Nr. 2 podobnie ułożona. Są też specyalne biblioteczki. Szafka Nr. 630 zawiera 60 najlepszych dzieł z zakresu agronomii, Nr. 673 — historyi. Jeżeli gdzieś znajdzie się kółko samouków, życzących sobie mieć pod ręką biblioteczkę specyalną, zwraca się ono do zarządu i dostaje szafkę na czas określony.

Dostałem też prospekty związku bibliotek amerykańskich z nagłówkiem, streszczającym krótko a węzłowato cele organizacyi: „jaknajlepszego czytelnictwa dla możliwie najszerszych mas za cenę najniższą!“ Stowarzyszenie uważa biblioteki za pierwiastek zasadniczy w systemie wykształcenia publicznego, zachęca więc do zakładania nowych czytelni i wyszukuje mecenasów lub zbiera składki groszowe, wywiera nacisk na prawodawstwo, zbiorowemi siłami wydaje bibliografię ogólną, oraz działów specyalnych, drukuje wskazówki, co godnem jest czytania. Zresztą tyle tam pytań i zadań, o których nie miałem nawet pojęcia, że istnieją!

20 października, New-York N. Y.

Avenue Nr. 9. Okazały gmach, swoją powierzchownością nielicujący z Ameryką. Raczej wygląda na warownię. Narożne wieżyce z wązkiemi okienkami, osadzonemi wysoko nad ziemią, nadają mu pozory wojowniczości. Opodal na tej samej ulicy znowu inna forteca, nawet jeszcze groźniejsza. Bastyony, ganki, strzelnice, niczego tam nie braknie. Gdybyśmy mieli cierpliwość i odbyli wędrówkę po mieście, znaleźlibyśmy więcej twierdz takich. Każdy szczegół obliczony na to, ażeby warownia zdołała wytrzymać dłuższe oblężenie. Pułk cały może w *armory* znaleźć schronienie, wraz z warsztatami do fabrykowania nabojów. Zapasy amunicyi starczą na parę tygodni. Słowem, twierdze to nie od parady. Są one zaopatrzone, jak gdyby oczekiwały wojny i oblężenia.

Oblężenia—z czyjej strony? wojny—z kim? Pytania te wprowadzają nas w rdzeń kwestyi. Jeszcze przed laty dziesięciu podobnie warownych zbrojowni nie było na ziemi amerykańskiej. Ale od tego czasu niesnaski domowe zaostrzyły się mocno w Stanach-Zjednoczonych. Yankee twierdzi, że w jego ojczyznie niema „ludu,“ bo wszyscy są równi, i syn drwala, ba nawet drwal może marzyć o godności prezydenta. Życie jednak zadaje kłam temu. Zajścia przeszłoroczne w Buffalo i w Pittsburgu dowiodły wielkiego rozdrażnienia. Wzrostowi zorganizowanej niechęci z jednej strony, towarzyszy z drugiej przygotowanie się do obrony. A w Ameryce wszystko przyjmuje rozmiary potężne.

Dziennikarstwo republikańskie, tłómacząc zatargi dotychczasowe, daje do zrozumienia, że trucizna jest środkiem najlepszym na szczury, plutokracya zaś poczyna myśleć o swojej obronie. Warownie nowoyorskie zbudowano właśnie z tego powodu. Jedna ochrania taki to dworzec i linię kolejową, druga znowu strzeże innego dworca i kolei. Wszystkie tak ulokowano, aby w potrzebie trzymały miasto w szachu. Nietylko zaś wzniesiono twierdze, lecz równie zabrano się do zreorganizowania tak niewinnej niegdyś milicyi obywatelskiej. Usunięto z niej żywioły podejrzane. Niemcy w New-Yorku i w innych wielkich miastach są przesiąknięci duchem społeczno-demokratycznym, przyniesionym z Europy; w pułkach więc czysto amerykańskich systematycznie szerzoną jest niechęć przeciw „drągalom-niemczurom.“ Na czele milicyi postawiono osoby, zajmujące wybitne stanowisko w hierarchii przemysłowo-handlowej, to jest bankierów i hurtowników Do jakiego stopnia zmieniono skład kadrów, o tem możemy przekonać się z samego wyglądu wnętrza tych koszar-zbrojowni. Wejdźmy do *armory*, będącej rezydencyą siódmego pułku milicyi. Na ozdoby wewnątrz koszar wydano aż do stu tysięcy dolarów. Pułk dzieli się na kompanie. Każda kompania posiada własny wielki salon: podłoga wysłana tam pięknymi dywanami, firanki i portyery aksamitne, jest i fortepian, jest dużo kwiatów, palmy nadają sali pozór oranżeryi. Stangreci na kozłach powozów oczekują przed eleganckiem wejściem na panów żołnierzy, którzy za swoje fundusze zbudowali zbrojownię. Ale nie sądźmy, abyśmy

mieli przed sobą niedołęgów, bawiących się w wojskowość. O nie! Ci panicze z najpierwszych domów nowoyorskich ćwiczą się bez przerwy i umieją dobrze używać broni, biblioteka w zbrojowni posiada wszystkie podręczniki kunsztu wojennego, arsenał zaopatrzono w oręż jaknajlepszy. Szeregowcy traktują musztrę jako sport i nabywają w sztuce wojennej rzadkiej doskonałości. W głównym salonie na ścianie wmurowano godło—olbrzymię bombę. Napis objaśnia, co ma ona znaczyć. Jestto pierwszy pocisk, rzucony w maju 1871 na zbuntowany Paryż z fortu Mont-Valérien.

21 października, New-York.

Ulica Nr. 14. *Tammany Hall*, t. j. dom klubu demokratycznego i zarazem ognisko najpotężniejszej kliki politykierów, nie cofającej się przed niczem, kiedy idzie o postawienie na swojem. Żywioły o najdrapiężniejszych instynktach czyhają tam, zorganizowane na wzór armii, i łupią municypalność nowoyorską. Istna banda opryszków, przyznają to nawet przyjaciele Clevelanda, skrupulatniejsi. *Boss*, „pryncypał,“ stojący na jej czele, był szynkarzem i bodaj że paserem, w knajpie jego schadzały się różne wyrzutki. *Tammany Hall* bez skrupułu zapuszcza swoje pazury w dobro społeczne. Municypalność nowoyorska w jego ręku, wielu członków ciała prawodawczego jest kością z jego kości. Przeprowadzają oni mnóstwo bilów tylko po to, ażeby ich niespełniano. Powstaje moc drobnych przepisów, nader uciążliwych dla szynków, domów nierządu, jaskiń gry, nawet dla zakładów przemysłowych. Wszy-

stkie te instytucye opłacają stały haracz klubowi' przez niego wyznaczany. W razie odmowy, jeden ze stróżów prawa przypomina, że tekst przepisu istnieje w zbiorze bilów obowiązujących. Każdy urzędnik-demokrata równie składa z swojej pensyi stałą kwotę podatkową. Organizacya rozporządza dużymi funduszami i jej *bossowie* żyją jak magnaci, chociaż nie sieją ani orzą. Dawniej rzezimieszek odpowiadał głową za rozbój, który mu przyniósł parę dukatów, dzisiejsi zbóje mieszkają w pałacach i krajem rządzą. Organizacya jest zwartą i karną, niby armia. U dołu stoi wielka rada, złożona z pięciu tysięcy członków i regularnie zbierająca się co miesiąc. Każda dzielnica miasta wysyła liczbę, proporcyonalną do obfitości żywiołu demokratycznego. Rada wybiera z siebie sztab główny, z 60 członków, na którego czele stoi *boss*, posiadający nieograniczoną władzę wykonawczą, bo prawodawcza zależy od rady i sztabu.

Listy kandydatów, bile przyszłe do wniesienia w ciałach prawodawczych kraju, pomysły różnych fortelów, wszystko to wychodzi z łona komitetów specyalnych wielkiej rady, przetrawione w sztabie głównym i ostatecznie przyjęte lub odrzucone przez „pryncypała." Biada mu, jeśli błąd popełni—na jego miejsce czyha mnóstwo tygrysiąt! Sztab ów rozporządza oddziałem dojeżdżaczy, „kapitanów," których jest przeszło tysiąc w New-Yorku. Każdy pobiera żołd stały; jeśli dowiedzie swoich zdolności, czeka go karyera polityczna. Kapitan zarządza pewną dzielnicą, w której zna każdego demokratę. Co miesiąc składa do sztabu raport

który z tych szeregowców umarł lub przeniósł się gdzieindziej, kto przybył natomiast lub został zwerbowany, jakie osoby pozyskują wpływ i czy można na nie liczyć. Według danych, klub z góry oblicza, ile głosów może otrzymać w dzielnicy wyborczej. Jeśli okaże się mniej, to kapitan zostaje uznany za niezdolnego. Zwykle bywa on szynkarzem i w knajpie swojej przy absyncie obrabia interesy polityczne.

Tammany Hall hołduje w doborze swoich zastępów zasadom wolnej konkurencyi. Droga tam otworem stoi dla talentów. Nie pyta on się o przeszłość, zwraca uwagę tylko na zdolności. Człowiek najbardziej zbrukany w życiu może być przyjęty i w miarę zasług wywyższony. Daje to organizacyi niezwykłą sprężystość, ale też pozbawia ją do szczętu skrupułów moralnych.

* * *

Towarzysz, oprowadzający mnie po klubie i opowiadający o tych szczegółach, to świeżo upieczony obywatel rzeczypospolitej zamorskiej, obdarzony sporym zmysłem politycznym i jeszcze większą namiętnością. Nie jest ani demokratą, ani republikaninem, a przecież nie może ukryć wrażenia, jakie na nim wywarła ostatnia agitacya obu tych stronnictw. Dostał wprost gorączki nerwowej na widok przeglądu zastępów demokratycznych, odbytego przez Clevelanda, podczas kampanii, która go wyniosła na prezydenta. Kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn przedefilowało wtedy przed swoim przewódcą, sędziwi starcy szli w ordynku obok wnuków. Rzęd sunął po rzędzie, dzielnica po

dzielnicy, mając przed sobą z boków hufce dzieciaków Zastępy maszerowały przy odgłosie śpiewu:

Four, four
Years more!

t. j. jeśli przegramy sprawę, jeszcze przez la cztery będziemy musieli dźwigać republikańskie jarzmo polityki celnej. Ożywienie tłumów, solenne dźwięki marsza, łączność różnych pokoleń świadczyły, że ów pochód jest czemś więcej, niż popisem kliki politykierów. I republikanie podobnie maszerowali, tylko że inny *refrain* towarzyszył uroczystości:

Tin, tin,
Will win!

t. j. „blacha wygra“ — z powodu bilu Mac-Kinleya w Ameryce rozwinęła się produkcya tego przedmiotu, dotychczas nie istniejąca. Blachę więc wzięto za symbol dodatnich skutków polityki celnej.

A takie pochody odbywały się wszerz i wzdłuż kraju. Malcy dziesięcioletni szli obok ojców, ucząc się szanować sztandar, pod którym walczyli dziadowie. Czas wyborów to nieustająca uroczystość dla dziatwy. Nocami buchają ogniska na ulicy. Mały obywatel kradnie schodki z pod domów, rozbiera parkany, wyciąga deski z chodników i rozpala stosy, lub też śpiewając: *four, four years more!* szturmem bierze ogniska wrogów. A kiedy partya „jego“ zwycięży, niema uciesze granic.

Należenie do partyi nie jest więc czczym wyra-

zem. Stronnictwa są zbiorem spokojnych obywateli którzy za pomocą prawodawstwa chcą bronić swych interesów. Walkę zaś pozostawiają politykierom, swojego rodzaju zbirom. Niechaj ci intrygują i toczą wojnę, niech nawet popełniają nadużycia—ale w pewnych granicach. O tem wie politykier. Będzie rozdawał posady, ściągał podatki z domów nierządu, ale nie tknie szkolnictwa, cofnie się przed zgwałceniem sądu, nie skrzywdzi obywatela, który żyje z czegoś więcej, niż z szulerni i szynku, nie podniesie ręki na konstytucyę ojczyzny. Bo wtedy jego własna partya zwróci się przeciw niemu.

22 *października*, *Newark*, *N. J.*

Rankiem spostrzegłem na ulicy plakaty ligi samokształcenia, oznajmiające, że popołudniu w jej hali odbędzie się odczyt o źródle przesileń handlowych. Nie omieszkałem skorzystać z nadarzającej się sposobności.

Sala odczytowa na drugiem piętrze, wejście bezpłatne. W przedpokoju ogromny stół ugina się pod stosami świstków, broszur i większych książek — treści, jak wyrażono się niegdyś, humanitarnej. Sprzedają tam po najniższej cenie rozprawy o wiwisekcyi, alkoholizmie, postępie, miłości bliźniego. W sali znajduje się kilkadziesiąt osób, przejścia pokryte prostej roboty grubemi wojłokami. Na ścianach ustawy ligi i portrety filantropów i humanistów. Po sali leżą książki, elegancko oprawione w okładki jednakowej barwy. Siadam na pierwszem lepszem

miejscu i ręką sięgam po upominek, rozłożony na niem i oczywiście dla mnie przeznaczony. *Cosmian hymn book!* Wydawca w przedmowie spowiada się z pobudek, które skłoniły go do wydrukowania zbioru hymnów kosmicznych. Publiczność, gromadząca się w salach towarzystw etycznych i humanitarnych, oddawna utyskuje, że nie posiada śpiewnika, któryby zjednoczył hymny wyższej moralności z dobranemi melodyami, a był wolny od wszelkiego ciasnego sekciarstwa. Oko ślizga się po kartach książki. Hymny na cześć przyrody Shelley'a, pełne uniesienia i fanatyzmu, energiczna liryka Byrona, oddychająca żądzą indywidualizmu, utwory poetów zagranicznych w angielskim przekładzie, slowem, umiejętna ręka dokonała wyboru. Humanizm przemawia z każdego wiersza, to energiczny i zuchwały, to rozmarzony i miękki.

Sala zapełnia się publiką różnego wieku i płci oraz, o ile wolno sądzić z pozorów, różnej zamożności. Młodziuchna *miss* siada przy umieszczonem w kącie pianinie, ktoś wchodzi na trybunę. Posiedzenie otwarte. Prezydujący bierze zbiornik hymnów kosmicznych i dyktuje Nr. 84. To znaczy, iż chórem go odśpiewamy. Panienka wydobywa z pianina stosowną melodyę i po sali płyną dźwięki hymnu *Life let us cherish!* Opiewa on radości życia: prowadzi nas na łono przyrody i każe napawać się jej wdziękami, wskazuje na wielkie czyny i radzi je szanować, opowiada o miłości i o tem, jak to uczucie uprzyjemnia drogę żywota. Strofka każda wybucha dziękczynieniem i zarazem radą: niechaj życie będzie nam miłe. Po chórze rozpoczyna się od-

czyt. Wywody płytkie, wnioski dziecinne. Trwa z pół godziny, poczem nowy hymn rozbrzmiewa w sali — na cześć wzajemnej miłości. Człowiek dla człowieka niechaj będzie bratem i nigdy nie odmawia pomocy moralnej i materyalnej. Niewiadoma bowiem godzina, kiedy my sami będziemy potrzebowali ręki braterskiej.

Hymn ów zamknął część pierwszą posiedzenia. Jakiś jegomość z kapeluszem w ręku obchodzi publiczność, ze składki będzie wynagrodzoną *miss* przy pianinie i prelegent. Chwilowa przerwa i znowu chór, napełniający przestworza hali echami śpiewu. Wreszcie rozpoczyna się ożywiona dyskusya na temat odczytu. Osoby z pośród publiczności głos zabierają, jedne mówią rozsądnie, inne plotą jak na mękach, ale prezydujący nikomu nie przerywa, wolność jest zupełną. Po rozprawach jeszcze raz hymn brzmi z piersi obecnych.

27 października, na Oceanie.

Bałwan wzdyma się za bałwanem, a każdy coraz bardziej oddala nas od Ameryki. Obrazy pierzchają z pamięci, chociaż nie wszystkie. Są takie, które owszem nabierają mocy szczególniejszej. Wśród żywiołu morskiego zapominam zwolna o kurzu, który codziennie łykałem w Chicago, i o dziurawych chodnikach, i o cuchnącej rzece, co przerzyna to miasto, i o ofiarach ludzkich, jakie pożera Moloch kolejowy, nie wstrzymywany szlabanami. Nie! Kraj nowy wygląda w mojej wyobraźni coraz okazalej. Brudne Chicago zamienia się na wrzód na łonie Ameryki: wprost widzę ten

obrzydliwy nowotwór, jak rozsiadł się tam i zbrukał dawną sielankę, reklama zaś przypomina zachcianki olbrzyma, który włożył na siebie strój błazeński i udaje pajaca. Po przez falę morską uśmiechają się do mnie urocze miasteczka, tonące w oprawie zielonej, schludne domki, pozbawione piętna koszarowości i rozrzucone w nieładzie wśród gajów, wabią okazałe szkółki i bezpłatnie stojące otworem biblioteki, nawet pociąga i to, że jeżeli ktoś nastąpi mi na odcisk, to wolno odwzajemnić się pięknem za nadobne. Tęsknota ogarnia mnie po tej ziemi, uciekającej dalej a dalej.

Tak, wśród plusku bałwanów, Ameryka w wyobraźni mojej zarysowała się okazalej. Tutaj na pokładzie *Danii*, kiedy w promieniach słońca jesiennego i otulony ciepłem gulfstreamu wypoczywam po kilkumiesięcznem chwytaniu wrażeń, mózg mój samorzutnie wykonywa syntezę: z drobnych odłamków, które tam w nieustającym potoku nowych wzorów nie zdążyły spleść się w zwartą wiązankę, powstaje zwolna mozajka harmonijna. Kraj nowy przedstawia mi się jako zwierzę rozigrane, które w poczuciu swojej mocy rwie się wciąż naprzód, acz samo nie wie dokąd. To znowu wyobrażam sobie rzeczpospolitą zamorską jako nieskończone pole urodzajności nadzwyczajnej. Siewca bezimienny, owo fatum historyczne, rzuca do jej gleby posiew wzorów, które dojrzewają bujnie: nasze domy zamieniają się na „drapacze nieba“ i wieże Babel, drobne kurniki stają się folwarkami, hodującymi jedynie kurczęta i sprzedającymi po kilkanaście tysięcy sztuk drobiu rocznie, nabiałki z jajami rosną do rozmiarów

spichlerzy, gdzie w ciągu lata parę milionów sztu oczekuje na zwyżkę cen jesienną. Pod tchnieniem po wszechnej metamorfozy natura ludzka przeinacza si także. Przybywa zahukany chłopek, który trzech ni umiał zliczyć, a już po paru latach gardłuje na meetyn gach, jest mecenasem kółek dramatycznych i wpad w drugą ostateczność: chce o wszystkiem mieć zdani i upiera się przy swojem, chociażby plótł brednie wie rutne. A jeżeli przyprzemy go do ściany, wtedy wy bucha argumentem najwyższym: *greener* wczoraj prz jechał ze Starego kraju i już nas uczy rozumu! Sta mi w pamięci dzielnica żydowska w New-Yorku, br dna, zakopcona, z atmosferą. w której niema ani cz stki czystego powietrza. Po południu na chodniku pr cesya nieskończona dzieciaków, powracających szkółki. A w kolegiach można spotkać dziewczęt które w starej Europie nie umiały czytać i może m siały-by sprzedawać się dla chleba.

28 października, na Oceanie.

Dania wlecze się zwolna. Myśl buja wciąż na Ameryką. Coraz jaśniej pojmuję tę prawdę, że kraj wdzięczny i wielki, chociaż ja, wychowaniec Stare świata, nie pasuję do niego. I cała inteligencya w chodźcza, która tak urąga tamtejszym stosunkom, ż je wprawdzie w nowym kraju, czerpie z niego utrz manie, ale jest mu obca duchem. Świeżo na pokład prowadziłem rozmowę a takim malkontentem, któ opuścił ląd amerykański z paru tysiącami dolarów m jątku, chociaż był przyjechał bez grosza w kiesze

eraz czerni ją bez litości. Wszystko tam tandeta reklama, monopol i niedbałość! Nawet tramwaje złe, a krótko zatrzymują się na przystankach, trzeba się pieszyć, bo odjadą. Później chwila milczenia, po któ- ej moja dwunożna katarynka zaczyna grać z innego nu. O! yankee jest dzielnym człowiekiem, umie sta- iać czoło wszystkiemu! Między innemi pochwałami yszę zachwyty nad zręcznością, z jaką wskakuje do ędzących tramwajów. Zamiast więc wywnioskować, usposobieniem swojem nie przystosował się do go- ączkowego tempa życia tamtejszego, wymyśla na kraj, którym znalazł dobrobyt!

I tak bywa zwykle. Prostak przyzwyczaja się two do Ameryki; wychodźca inteligentny nie może ę pogodzić ze zwyczajami nowej ojczyzny. Rzecz na- ıralna, bo wyrósł pod osłoną przywileju: choćby wy- ıawał zasady najdemokratyczniejsze, natura jego żyma się przeciw urządzeniom odpowiednim. Żona je-) sarka, że służąca jada przy tym samym stole co ıni, on czuje się dotkniętym, kiedy pacyent, chociażby gminu, nie uchyla kapelusza w pokoju, lub kryty- uje w oczy zapisane lekarstwo. Wychowany od ko- ebki pieczołowicie, pod opieką rodziców i nauczycieli, rzyzwyczajony później do różnych zastrzeżeń, ogra- iczeń i kontroli, nie może pogodzić się z zasadą *self- elpu*, ani wolnej konkurencyi.

W starej Europie skoro lekarz uzyskał dyplom, ıa już przed sobą drogę utorowaną. Tam za morzem zieje się inaczej. Potok życia jest tak wartki, że ka- dy, kto raz wypłynąwszy, nie dokłada wysiłków sy-

stematycznych, ażeby utrzymać się na powierzchni zostaje zapomniany. Pieszczoch europejski gubi si w tym odmęcie, gdzie zdobyte stanowisko trzeba bro nić pięścią. A kiedy znużony szuka przyjemności, t nadaremnie ogląda się za nią: zabawy, zrodzone z du cha gminnego, są za szorstkie dla jego duszy wydeli kaconej. Wszak rozrywki zamorskie to tylko pole Mo kotowskie podczas Wielkiej nocy, rozszerzone na kra cały, użytkujące z doskonałej techniki, ulokowan w gmachach z marmuru, ale bądź co bądź, pole Moko towskie. Demokrata z pośród inteligencyi przekon się po tamtej stronie Atlantyku, że w każdej tkanc nerwów jego, w każdej potrzebie jego ducha tkwi isto ta, posiadająca instynkty zgoła niedemokratyczne.

1 listopada, na Kanale.

Wdaję się w rozmowy z pasażerami t. zw. *Zwi schendecku*, oddziału najtańszego. Wielu tam naszyc ziomków, mnóstwo żydów, kilku czechów, słowaków znalazł się nawet bośniak. Uciekają z Ameryki. Zastó który tam się sroży obecnie, wypędził ich z „noweg kraju.“ Bośniak przywędrował na wiosnę, pozosta wiwszy swoją chudobę na opiece żony. Pół roku błą kał się po Minesocie, nie znajdując pracy. Z opowia dania widać, że nie umiał dać sobie rady, nie znał ję zyka, nie miał rodaków, którzyby ułatwili mu zarobek Doszło do tego, że żonisko musiało się zapożyczy i wysłało pieniędzy na powrót. Inni jadą z gotówk do kraju, niektórzy z nich dali za wygranę Amerycе wielu zamierza wracać, kiedy u *bossów* będzie robota

a paru wiezie ładne sumki. Jeden ze słowaków pracował w „majnach,“ „rak“ [1]) przygniótł mu nogę, więc wraca do „ojców,“ zebrawszy po latach pięciu 600 dolarów. Ktoś inny był tylko półtrzecia roku i wiezie 200. Dziewczyna, około lat 25, z Mogilna, służyła u „rzetelnych“ amerykanów półtrzecia roku i prócz garderoby, kapelusza, rękawiczek i zegarka ma 400 dolarów. Jakaś zamężna kobiecina z pod Włocławka posiada 300, mąż jej pozostał jeszcze do wiosny, ona zaś jedzie do swojej osady 6-morgowej. Ameryka zrobiła swoje, nauczyła prostaczków interesu bankowego. Bo każdy ma z nich tylko drobną sumkę przy sobie, resztę wysłał rodzinie przekazem bankowym.

Ciekawość mnie bierze, z czem ci ludziska powracają do swych zakątków, t. j. z jakimi poglądami w głowie. Wszystko to lud rezolutny, umiejący wypowiedzieć myśl swoją. Z mężczyznami trudniej się dogadać, zresztą całodzienna praca nie wiele dawała im czasu do rozpatrzenia się w życiu zamorskiem. Natomiast kobiety chętnie gadają o tem co widziały. W mózgownicach ich mieści się istna kontrabanda. Młoda mężatka, ta sama, która wiezie 300 dolarów, wyszczekana co się zowie, chociaż ma lat zaledwie 20. Ameryka bardzo się jej podoba. „Chłop“ nie waży się tam bić żony, bo zaraz ona weźmie „orant“ (ma to być *warrant*) i fiut do kozy! Mężowi za to kraj nowy nie przypadł do smaku: „chłop u ameryków jeno marnieje,“ powiada. Równie zachwycona jest, że parobek nie skrzy-

---

[1]) Majny—*mine*, kopalnia. „Rak“—*rock*, skała.

widzi dziewuchy, bo ta może wpakować go za krat
i trzymać, póki jej nie poślubi. Dobrze tam za morzem
mięso tanie, nawet ananasy tyle kosztują co u na
jabłka. Zresztą o zwyczajach amerykańskich niem
wyobrażenia. Ale to co wie wystarczy, ażeby wnieś
ferment pod strzechę domową. Lubię rozmawiać z t
pionierką praw kobiety w chacie włościańskiej, będzi
tam buntowała baby, mówiąc o „orantach.“ Dziewczy
na z pod Mogilna była półtrzecia roku za morzen
i wraca, bo chce wyjść za mąż za swojego, mówi p
niemiecku i po angielsku. Kupi w miasteczku lot, zbu
duje dom taki, jakie są w Clevelandzie, i założy z mę
żem „salon“ (knajpę). Widziała dużo, widocznie służył
u zamożniejszej rodziny. Czeszka lat 40, spędziła
w Ameryce lat jedenaście i wiezie parę tysięcy dola
rów. Powiada, że za mąż nie wyjdzie, bo nie chce słu
chać chłopa. Ma pieniądze, faceta więc znajdzie i—do
daje otwarcie,—odprawi go, kiedy się jej podoba.

* * *

Wśród pasażerów *Zwischendecku* widzę mło
dego żydka. Całemi godzinami wpatruje się on nieru
chomy w toń morską. Chudy jak szczapa, żółty, twarz
zbrużdżona zmarszczkami przedwczesnymi, nieczesany
niemyty—zresztą trudno się umyć w wodzie morskiej
porządnie, jaką dają w klasie trzeciej — pociągną
mnie ku sobie swoją postacią oryginalną. Usiło-
wałem zbliżyć się do niego zaraz na początku. Na
daremnie. Zbywał mnie milczeniem. Ale w miarę po-
dróży stawał się dostępniejszy, nawet wyraz cierpie
nia złagodniał na jego obliczu. Wreszcie lody zostały

przełamane i teraz z kolei nastąpiła powódź wynurzeń bez końca. Był agentem zbożowym i miał się wcale nieźle. Ale tęsknota go opanowała, ruszył więc bez celu w świat szeroki i znalazł się na bruku nowoyorskim. Różnie się tam zdarzało: bywał na wozie i pod wozem. Znowu napadła go dawna tęsknota, wydał grosz ostatni, przyszła nędza, dostał choroby piersiowej, aż wreszcie znalazł dobroczyńcę, który kupił mu bilet do Berlina. Wraca do Europy, choć nie wie, co pocznie, ale czuje się lepiej. Robak wciąż go trapi, skoro siedzi dłużej na tem samem miejscu, i opuszcza go, kiedy jest w drodze dokądindziej. Rozmawiamy często, spowiada się ze swych dolegliwości, chęci, planów. Postać to zajmująca, lecz materyał kruchy i niepewny; jak ptaszyna dzika w klatce, tak zmarnieje, zapędzony do czegoś stałego. Przypominają mi się prace nad typem urodzonych tułaczów. Mój towarzysz podróży jest jednym z takich okazów, od dzieciństwa źle odżywianym i ubożuchnym w soki żywotne, niby statek bez żagla, na łasce wiatrów — wola jego nie wytknie wędrówkom żadnego celu. Pielgrzym to cierpiący, bez energii, słaby duchem i ciałem, pozostawiony w Ameryce, spadałby niżej, aż utonąłby w gronie owych *tramps* zamorskich. Tułacze ci, nie mogąc zapewnić sobie stanowiska we własnym kraju, wywędrowali za Ocean, ufni, że zaświeci im lepsza gwiazda. Ale za morzem jeszcze trudniej wybić się osobie bez energii i przywyknąć do wartkiego życia nerwowego. Zostają do szczętu wykolejeni. Mieszcząc się pod wagonami towarowymi lub na dachu wagonu, z niebezpie-

czeństwem życia, włóczą się w poszukiwaniu lekkiej, atwej pracy. Rzekłbyś, wiory, odrzucone przez rozwój społeczny!

5 listopada, na morzu Północnem.

Wpłynęliśmy na wody morza Niemieckiego. Z jednej strony bieleje śnieżny, jak kreda, brzeg angielski, z drugiej przypruszona mgłą zarysowuje się krawędź ziemi francuskiej. Ale myśl moja przykutą jest wciąż do Ameryki. Żal mi, że chociaż tam byłem, przecież jej nie poznałem. Spędziłem parę miesięcy w Chicago, w tym najbrudniejszym grodzie pod słońcem amerykańskiem. Zatrzymałem się jeszcze po parę tygodni, niekiedy po parę dni, w kilku miastach fabrycznych, które wszędzie i zawsze wyglądają plugawie. I oto cała znajomość kraju! Że nie jest to jeszcze Ameryka, o tem zdołałem się przekonać podczas krótkiej wycieczki do Dakoty. Wyobraźnia moja ucieka obecnie od śnieżnej białości brzegów angielskich het tam na zachód, przebywa Atlantyk, przerzyna lądy, aż wreszcie zatrzymuje się na owym *Far West*, któremu po głowie chodzą różne szalone idee. Rozwój tam idzie, jak w bajce królewicz, który przywdział buty-samochody: uczyni krok jeden zaledwie, a już zrobił mil siedem. „Zachód amerykański" zaczął cywilizować się najwyżej od pół wieku. A jednaj dzisiaj wyrastają tam grody, które śmiało myślą współzawodniczyć z Chicago. Kapitał, zwolniony od pęt historycznych, w których swoją drogą jęczy w stanach nadatlantyckich, postanowił wykazać, do czego jest zdolny w swojej potędze. Jest on

tam pierwszym przybyszem i na niezajętej przestrzeni wyprawia harce, do których zbrakło mu gruntu na wschodzie. Człowiek nie potrzebuje zwalać starych budynków i przekształcać dawnych wzorów, które zakrzepły w tej lub innej postaci. Kolej wyprzedza osadnika i odrazu rozstrzyga o zaludnieniu, tramwaj powstaje wprzódy, niż miasto, i zamienia pustkę w wieś olbrzymią. Przewrót jest zwłaszcza ogromny w najrutyniczniejszej gałęzi pracy ludzkiej — w produkcyi środków spożywczych. Oglądaliśmy stepy pszenne wzdłuż rzeki Czerwonej, przypatrywaliśmy się widokom lasów owocowych, spotkaliśmy się z zamiarami stworzenia ze stepów jednej olbrzymiej obory, przy którejby się znajdowały rzeźnie, obliczone na spożywców całego globu ziemskiego. Wzdłuż Pacyfiku kapitalista pobudował „fabryki" zarodku rybiego; Kolorado i Nebraska posiadają folwarki, których przestrzeń stuwłókowa dzieli się na zagrody, ferma zaś hoduje parę dziesiątków tysięcy rasowych merynosów. Bliżej ku nurtowi Misisipi usadowiły się „fabryki" opasowe. A folwarki łączne, strusiowe, nawet żółwiowe i pszczelnicze!... Jestto tylko jutrzenka dopiero, zbywa bowiem jeszcze na ludności! I człowiek zjawia się z innem obliczem. W ciągu wieków wynosiły się z naszej części świata za morze żywioły energiczne, szukające guza po świecie. Ta dzielność antropologiczna przy braku tradycyi historycznej stworzyła dzisiejszą wielkość Ameryki, t. j. wschodu nadatlantyckiego. Z tych terytoryów rozpoczął się dzisiaj odpływ podobny—ku zachodowi. Dobór energii z pośród

dokonanego doboru! Już dzisiaj mieszkańcy San Francisika i innych ognisk zachodu spoglądają na wschód macierzysty z poczuciem wyższości. Maluczko, a śmiać się będą ci „zdobywcy świata“ z niedołęgów Bostonu i Filadelfii... Tak, tam na *Far West* tworzy się nowe ognisko cywilizacyjne, zrodzone pod tchnieniem zapładniającym kapitału na zupełnem pustkowiu, bez żalu za przeszłością i bez zapowiedzi rutyny, że to brzydkie a tamto piękne. Ludność jest na wskroś przeniknięta poczuciem, że do niej przyszłość należy. Mowy, jakiemi nas raczono w Dakocie, wyrażały wciąż to samo: „wczoraj byliśmy zerem, dzisiaj jesteśmy potęgą — patrzcie na nas! A jutro — poczekajta jeno!“ Zarozumiałość jest cechą całego zachodu amerykańskiego.

Podobna arogancya u osoby pojedyńczej byłaby wstrętna, pyszałkowatość narodu, chociaż nie milsza, świadczy, że czuje on w sobie rzeczywiście wielkie siły.

6 listopada, Hamburg.

Krzyki i tłok na dworcu, obecność *Schutzmannów*, ścisk przy kasie i opłata za każdy funt bagażu po nad marnym pudem, oszczędność groszowa i groszowa chciwość, wykrzykiwania konduktorów i różnej gradacyi sale i bufety. Każdy szczegół zwiastuje rodzimą Europą. Ale wszystkie przyjemności nie łechcą ucha po doświadczeniu zamorskiem. Tęskno mi po Ameryce i jej *self helpie!*

KONIEC.

SĄ DO NABYCIA W HANDLU KSIĘGARSKIM:

L. Krzywicki. Ludy. Zarys antropologii etnicznej. Warszawa 1891. Cena 2 rs. 50 kop.

K. R. Żywicki. Przed i po 1 Października. Rozwój antagonizmów ekonomicznych w Niemczech. Warszawa 1893. Cena kop. 35

